

CHRISTIANE HEGGAN
NIGDY NIE MÓW NIGDY

Przekład *Iwona Rutkowska*

Tytuł oryginału *NEVER SAY NEVER*

Pamięci mojego ojca

Z wyrazami głębokiej wdzięczności

dla Eileen Reynolds z „Philadelphia Inquirer” za oprowadzenie mnie po redakcji i podzielenie się rozległą wiedzą dotyczącą przemysłu wydawniczego;

dla fotografa Eda Hille 'a za odpowiedzi na wszystkie moje pytania;

dla Eda Browna z „Central Record” za zaangażowanie i nieocenioną pomoc

oraz dla firmy Annę Klein Associates, dzięki której wszystkie drzwi stanęły przede mną otworem

*Nie licz na przebaczenie,
gdy do grzechu dodajesz grzech.*

Ben Sira

Księga mądrości

Prolog

Austin, Teksas, 28 października 1994 roku

Laura Spencer zbyt późno zorientowała się, że ktoś usiłuje ją zabić.

Samochód, który przed chwilą o mały włos jej nie przejechał, zawrócił z piskiem opon.

Biegła, a stukot jej wysokich obcasów odbijał się głuchym echem od szarych ścian garażu. Samochód Mildred był zaparkowany w dole rampy. Gdyby tylko udało jej się do niego dotrzeć...

Ledwie ta myśl zdążyła zaświtać jej w głowie, brązowy sedan był już z powrotem.

Odruchowo skoczyła w bok między zaparkowane samochody. Krzyknęła z bólu, szorując kolanami o twardey beton. Uderzył w nią podmuch z rury wydechowej, gdy samochód z hukiem przejechał tuż obok.

Strach ścisnął jej żołądek. Oparła czoło o drzwi niebieskiej furgonetki.

Bez paniki, pomyślała, oddychając przerywanie. Przecież byłaś już w gorszych opalach i zawsze wychodziłaś cało.

To ją uspokoiło. Wciąż roztrzęsiona, choć zdolna już trzeźwo myśleć, wychyliła głowę, by rozejrzeć się po garażu. Żadnego dźwięku. Myśli, że ją zabił? A może tylko czyha, aż Laura wyjdzie z ukrycia?

Siedziała skulona za samochodem i bała się poruszyć. Wtem usłyszała

odgłos zbliżających się szybkich kroków.

- Wszystko w porządku? - rozległ się zaniepokojony męski głos. - Proszę pani? Nic się pani nie stało?

Odetchnęła z ulgą, gdy dwoje starszych ludzi wyjrzało zza furgonetki.

- Nie, chyba nic mi nie jest.

Spojrzała na kolana. Były poobcierane i zakrwawione, ale poza tym nic jej niebyło. Żyła.

- Ten człowiek jechał prosto na panią - powiedziała z oburzeniem kobieta, gdy razem z mężczyzną pomogli Laurze się podnieść. - Mój mąż i ja wszystko widzieliśmy.

- Rozumiem - powiedziała Laura.

Rozejrzała się wokół, nasłuchując, czy nie nadjeżdża samochód. W garażu jednak panowała cisza.

- Przyjrzała mu się pani? - spytał mężczyzna, patrząc na nią uważnie. Skinęła głową.

- Chyba wiem, kto to był.

- Więc powinna pani wrócić do środka i zadzwonić na policję. Pójdziemy z panią. - Zerknął na żonę, która kiwnęła głową. - Będą pani potrzebni świadkowie.

- Dziękuję.

Laura otrzepała spódnice. Drżała i miała sucho w ustach, ale poza tym nic się jej nie stało. Ależ była głupia, że przyszła sama. Dziesięć lat pracuje jako reporterka kryminalna i dała się nabrać na taki stary numer! Umówiła się przez telefon i nie sprawdziła źródła informacji.

Zobaczyła go, gdy miała właśnie wyjść zza osłaniającej ją furgonetki.

Stał nie więcej niż dziesięć metrów dalej, schowany za kolumną.

Starsza pani spojrzała w tę samą stronę.

- Co się stało, kochanie? - spytała.

Mężczyzna wyłonił się zza kolumny, a pod Laurą ugięły się nogi. Sparaliżowana strachem mogła tylko wpatrywać w wycelowany w nią pistolet.

1

Austin, Teksas, 30 września 1994 roku

Laura siedziała przy stole w ciemnym, pustym nocnym klubie i z uśmiechem słuchała pełnej ekspresji interpretacji Fever Peggy Lee w wykonaniu matki.

Przyszła na przesłuchanie zadowolona, że chociaż na godzinę może uciec od rozgardiaszu w redakcji „Austin Sentinel”. Chciała podtrzymać na duchu matkę, która mimo tylu lat na scenie, wciąż potrzebowała wsparcia.

Wciąż pełna magii, pomyślała Laura. Mroczny głos matki wypełnił pusty klub. Nawet teraz, każde pojawienie się pięćdziesięcioletniej Shirley Langfield na scenie wzbudzało wśród publiczności szmer zachwytu. Miała gęste kręcone popielate włosy i ogromne piwne oczy. Ojczym Laury utrzymywał, że jedno ich spojrzenie wystarczy, by stopić lody Alaski. Miała też figurę, za którą każda modelka „Playboya” oddałaby życie.

Stroje, które nosiła na scenie i poza sceną, były równie ekstrawaganckie jak ona sama: krótkie spódniczki pokazujące oszłamiające nogi, naszywane cekinami sukienki w tęczy kolorach i cała kolekcja przybranych górskimi kryształami kowbojskich kapeluszy, dobranych tak, by pasowały praktycznie do wszystkiego. Na dzisiejsze przesłuchanie ubrała się w miarę skromnie. Na czarny kostium założyła fioletową kurtkę z frędzlami, a głowę ozdobił fioletowy stetson zawadiacko zsunięty na bakier.

W opustoszałej w południe Złotej Papudze, gdzie odbywało się przesłuchanie, poza pianistą w głębi sceny i siedzącym obok Laury mężczyzną nie było nikogo.

- I co, nie jest cudowna, Joe? spytała Laura, zwracając się do właściciela klubu.

Joe Fielding, emerytowany pułkownik lotnictwa z nosem Karla Maldena, skinął głową, wpatrując się w kobietę na scenie.

- Przyznaję, że jest lepsza, niż sądziłem. Ma dobry głos i jest bardzo seksowna. Problem w tym, że... - Unikał wzroku Laury. - Właściwie nie o taką osobę mi chodziło.

- To znaczy, że chcesz kogoś młodszego.

- Tego nie powiedziałem.

Nie musiał. Przez ostatnie osiem tygodni Laura towarzyszyła matce w co najmniej sześciu przesłuchaniach i zdążyła się zorientować, że w przemyśle rozrywkowym panują bezwzględne zasady: gdy osiągniesz pewien wiek, nie masz już tam czego szukać.

Emerytowany wojskowy był starym przyjacielem jej ojczyma, uznała więc, że może go trochę przycisnąć.

- Daj jej szansę, Joe. Zobacysz, jak ją przyjmie publiczność.

- Nie wiem, Lauro... - Potrząsnął głową. - To dla mnie duże ryzyko.

Laura pochyliła się nad stołem. Zniżyła głos.

- Ubijmy interes. Podpiszesz z nią sześciotygodniowy kontrakt, a ja załatwię tę reklamę, na którą podobno cię nie stać. Co powiesz na serię ogłoszeń w piątkowych numerach „Sentinela” za, dajmy na to, pół ceny?

Joe położył rękę na szerokiej klatce piersiowej, drugą uniósł do twarzy, dotykając ust palcem wskazującym. Cicho zachichotał.

- Mówił ci już ktoś, że umiesz się targować?

- No cóż, miałam wspaniałego nauczyciela.

- Skoro o nim mowa, o tym starym koźle, twoim ojczymie, to jak J. B. miewa się ostatnimi czasy?

- Korzysta z emerytury.

- Miło to słyszeć. Pozdrów go ode mnie, dobrze?

- Jasne.

Laura znowu spojrzała na scenę.

- A co z moją matką? Ubijemy interes?

Tym razem Joe wybuchnął śmiechem.

- Nic dziwnego, że tak szybko wyprowadziłaś tę gazetę na szerokie wody. Nie ustępujesz ani o krok.

Laura uśmiechnęła się nieśmiało.

- To znaczy, że się zgadzasz?

Zastanawiał się przez chwilę, patrząc na Shirley z zaciśniętymi ustami. Wreszcie skinął kilka razy głową i powiedział:

- Dobrze, młoda damo. Zgadzam się. Ubiliśmy interes. Ale jeśli to nie wyjdzie... jeśli zacznę tracić klientów...

- Dotrzymam umowy.

Wstała, słysząc jak Shirley kończy piosenkę.

- Nie będziesz tego żałował, Joe. - Uścisnęła rękę właściciela klubu. - Byłabym wdzięczna, gdyby ta rozmowa pozostała między nami.

- Rozumiem.

Shirley skończyła śpiewać i ukloniła się. Joe wstał i głośno zaklaskał.

- Brawo! - krzyknął, idąc w stronę sceny. - Pani córka mówiła, że z wrażenia pospadają mi skarpetki i, mój Boże, miała rację! Jest pani wspaniała, moja droga.

Pomógł rozpromienionej Shirley zejść ze sceny.

- Dziękuję - powiedziała zdyszczanym głosem jak Marilyn Monroe. - Czy to znaczy, że dostałam angaż?

- Co pani powie na sześciotygodniowy kontrakt?

Shirley uniosła do ust zaciśnięte dłonie jak dziecko, któremu spełniło się najskrytsze marzenie.

- Brzmi wspaniale. Kiedy zaczynam?

- We wtorek. Pierwszy koncert jest o dwudziestej, drugi o wpół do jedenastej. Proszę przyjść trochę wcześniej, trzeba będzie podpisać kilka papierków. - Zerknął na zegarek. - A teraz bardzo panie przepraszam, ale muszę pogodzić dwóch kelnerów, zanim zupełnie zdemolują lokal.

Shirley ujęła jego rękę w dłonie i serdecznie uścisnęła.

- Bardzo panu dziękuję, panie Fielding. Nie mam pojęcia, jak uda mi się panu kiedykolwiek odwdziaczyć.

- Proszę tylko ściągnąć do tej budy nadzianych gości, a będziemy kwita. - Puścił do niej oko. - I proszę mi mówić Joe. Tak jak wszyscy.

Piętnaście minut później Laura razem z matką szła przez wybrukowany dziedziniec popularnej teksasko-meksykańskiej restauracji Serrano. Restauracja znajdowała się przy Symphony Square i jak zwykle tłoczyli się w niej młodzi i eleganccy ludzie interesu. W powietrzu unosiła się woń potraw.

Idąc w stronę stołu ustawionego na patio przy podwyższeniu, Laura pomachała ręką redaktorowi z „Austin American Statesman”. Była nieświadoma pełnych zachwyty spojrzeń, jakimi obrzucano ją i matkę.

Chociaż nigdy nie uważała się za szczególnie ładną, trzydziestodwuletnia Laura Spencer należała do kobiet, których bezpretensjonalność i naturalny urok sprawiają, że ludzie unoszą głowy na ich widok. Miała szczupłą, choć zaokrągloną sylwetkę, długie płomiennorude włosy i ogromne bursztynowe oczy - po ojcu, czarodzieju sceny, który spojrzeniem uwodził publiczność na całym świecie. W kąciку nad górną wargą miała seksowny czarny pieprzyk, którego nie starała się już ukryć.

Jednak promieniejąca z niej energia przyciągała ludzi jeszcze bardziej niż uroda. Bez względu na to, czy szła przez salę restauracyjną, czy prowadziła ważne spotkanie, emanujące z niej witalność i pasja były niemal namacalne. Ludziom udzielała się jej energia - niezbędna na stanowisku wydawcy „Austin Sentinel”.

Zamówiły lunch. Shirley oparła się na siedzeniu z westchnieniem zadowolenia.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że ten wspaniały człowiek mnie zatrudnił. Masz pojęcie, na ilu przesłuchaniach byłam, odkąd wróciłam do Teksasu?

- Mam. Zawlokłaś mnie przynajmniej na połowę.

Laura patrzyła, jak matka odgryza kęs ciepłej tortilli, omijając pyszne, ale tuczące *chili con queso*. Wyglądała promiennie, zupełnie inaczej niż zapłakana kobieta, która zadzwoniła do Laury w środku nocy osiem tygodni wcześniej.

- Hantz mnie zwalnia - wykrztusiła Shirley, szlochając. - Mówi, że jestem za stara. Angażuje nową dziewczynę, jakąś lafiryndę, która nie ma pojęcia, kim jest Peggy Lee.

Matka przestała zawodzić dopiero, gdy Laura w chwili słabości zaproponowała jej przyjazd do Austin.

Shirley sięgnęła przez stół i poklepała Laurę po rękę.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, kochanie - powiedziała. - Za wszystko. I za to,

co dzisiaj dla mnie zrobiłaś.

Laura uniosła do góry brwi.

- Dzisiaj?

- Nie rób miny niewiniątka. - Shirley zaczekała, aż kelner poda sałatki z owoców morza w ogromnych muszlach z ciasta naleśnikowego. - Wiem, że namówiłaś Joe Fieldinga, żeby dał mi tę pracę. Nie wiem tylko, jak ci się to udało. - Rozwinęła szeleszczącą czerwoną serwetkę. - Ale nie będę pytać, bo nie mam zwyczaju zaglądać darowanemu koniowi w zęby.

Odrobina dramatyzmu zdaniem Shirley była niezbędna w każdej rozmowie, pozwoliła więc, by jej oczy napełniły się łzami i czule spojrzała na córkę.

- Dziękuję, kochanie.

Laura uśmiechnęła się, wiedząc, że zaprzeczanie byłoby bez sensu.

- Proszę bardzo.

Shirley nadziała na widelec dużą krewetkę.

- Wiesz, nie byłam pewna, jak między nami się ułoży - powiedziała, żując jedzenie. - To znaczy chciałam być blisko ciebie, sądziłam jednak, że nie chcesz, żebym tu została.

Laura też nie była tego pewna. Przez tyle lat mieszkały z dala od siebie i były raczej jak dalekie znajome niż jak matka i córka. Nigdy jednak nie zostawiłaby jej w potrzebie. Shirley może nie była najlepszą matką, ale Laura kochała ją mimo wszystko.

- To przecież ja zaproponowałam, żebyś tu przyjechała, pamiętasz?

- Tak. Ale szczerze mówiąc, wtedy w nocy strasznie ci się żaliłam. Nic dziwnego, że się zlitowałam nade mną.

- Każda córka postąpiłaby tak samo.

Shirley napiła się margarity.

- Na dźwięk mojego głosu inna córka odłożyłaby słuchawkę. Po tym, jak cię skrzywdziłam.

Laura pomachała widelcem w powietrzu.

- Nie mówmy o tym. Nie przyszłyśmy tu po to, żeby roztrząsać to, się stało szesnaście lat temu, tylko żeby uczcić twoją nową pracę. Uszy do góry.

Jak przystało na artystkę, nastrój Shirley zmienił się w okamgnieniu.

- Masz rację - powiedziała głosem pełnym entuzjazmu. - Chcę to naprawdę uczcić. Urządę w domu przyjęcie dla ciebie i twojego nowego przystojnego narzeczonego.

Laura wzdrygnęła się. Stuart, w którego żyłach płynęła teksaska niebieska krew - jego drzewo genealogiczne sięgało czasów króla Jerzego III - uważał, że Shirley przynosi Laurze wstyd. Nie ukrywał swojej opinii, co stanowiło źródło nieustannych sprzeczek między nimi.

- Na twoim miejscu nie brałabym Stuarta pod uwagę, mamó. Wiesz, jaki jest teraz zajęty.

Z piersi Shirley wyrwało się ciężkie westchnienie, godne samej Sary Bernhardt.

- Wcale go nie widuję! Od waszych zaręczyn w zeszłym miesiącu zapraszałam was do siebie trzy razy i zawsze coś stawało na przeszkodzie.

Wydeła wargi, robiąc minę, która wyglądałaby śmiesznie na twarzy większości kobiet w jej wieku.

- Zdaje się, że mnie unika.

- Ależ mamó, wiesz, że to nieprawda - skłamała Laura. - Odkąd został zastępcą prokuratora okręgu Burnet, pracuje dzień i noc.

- Nie wiedziałam, że w Burnet jest aż tylu przestępców.

- Nie ma groźnych kryminalistów, ale ludzie popełniają mnóstwo drobnych przestępstw i dlatego jest bardzo zajęty.

- I nie masz nic przeciwko temu?

Aby uniknąć badawczego wzroku matki, Laura pochyliła się nad sałatką.

- Oczywiście, że nie - powiedziała.

- Proszę cię, żebyś mu przekazała, że to przyjęcie jest dla mnie ważne i że chciałabym, żeby postarał się przyjść. Dopasuję się do jego rozkładu zajęć. Co ty na to?

Laura uśmiechnęła się.

- To bardzo miło z twojej strony.

Żeby zmienić temat, pomachała matce przed nosem lewą ręką.

- Wiesz, że nawet nie wspomniałaś o pierścionku. O co chodzi, twoim zdaniem nie jest dość duży?

Shirley zaparło dech w piersi, gdy wzięła rękę Laury, by podziwiać oszałamiający trzykaratowy soliter.

- O mój Boże! Nie żartowałem, kiedy mówiłem, że warto poczekać. Ta dziewczynka musiała go kosztować fortunę. - Spojrzała na córkę wyczekująco. - Ustaliliście już datę?

Laura zabrała rękę.

- Nie.

Uśmiech znikł z twarzy Laury.

- Dlaczego nie? Tylko mi nie mów, że jest zbyt zajęty, żeby wyznaczyć datę ślubu.

- Nie. Po prostu chcemy mieć pewność, że termin ślubu nie będzie kolidował z naszym rozkładem zajęć, to wszystko. Za kilka tygodni Stuart będzie prawdopodobnie oskarżycielem w procesie Hallowaya o podpalenie i nie wiadomo, ile to potrwa.

- On cię chyba nie zwodzi?

- Oczywiście, że nie.

- I kochasz go?

Laura roześmiała się.

- Oczywiście, że go kocham. Gdybym go nie kochała, po co miałabym wychodzić za niego za męża?

- Och, nie mam pojęcia. Za moich czasów ludzie brali ślub z miłości. Ale teraz, gdy mężczyźni i kobiety są tak zajęci robieniem kariery? Kto wie, dlaczego młodzi ludzie robią to, co robią?

- Nie wiem jak inni, ale zapewniam cię, że Stuart i ja się kochamy. Bardzo.

Jednak na wspomnienie beznamiętnych oświadczyń Stuarta sama Laura usłyszała w swoim głosie niepokojący brak przekonania. Jak on to ujął? „Mamy ze sobą wiele wspólnego, Lauro. Oboje jesteśmy ambitni, inteligentni i lubimy przebywać w swoim towarzystwie. Dlaczego tego nie zalegalizować?”

Nie były to najbardziej romantyczne oświadczyńy pod słońcem, ale Stuart nie należał do ludzi tracących czas na czułe słówka. Jeśli jakakolwiek pasja kryła się pod jego chłodną powierzchownością, znajdowała ujście w sądzie.

Shirley westchnęła z rezygnacją.

- Tylko nie czekaj zbyt długo. Ten facet to wspianiała partia i dopóki obok pierścionka zaręczynowego nie masz obrączki - Shirley pogroziła jej palcem z polakierowanym na szkarłatny kolor paznokciem - jakaś ładna młoda dziewczyna może ci go sprzątnąć sprzed nosa.

- Zapamiętam to.

Grupa siedzących przy sąsiednim stoliku osób podniosła się, szykując do wyjścia. Laura zerknęła na zegarek.

- O nie, zobacz, która godzina. - Wytarła usta serwetką. - Muszę lecieć.

- Nie zjadłaś sałatki - zaprotestowała Shirley.

- Wiem, ale gazeta czeka.

- Tchórz - powiedziała Shirley, nastawiając policzek. - Boisz się, że jeśli zostaniesz dłużej, zmuszę cię, żebyś ustaliła datę ślubu.

Laura pochyliła się, by ją pocałować.

Kiedy Laura wróciła do „Sentinela”, w redakcji wrzało, chociaż do jedenastej - ostatecznej pory zamknięcia numeru - zostało jeszcze wiele godzin.

Odkąd osiem miesięcy temu została wydawcą gazety, wiele razy przekraczała próg redakcji. Wciąż jednak z dumą rozglądała się wokół, myśląc, jak wiele udało jej się dokonać w tak krótkim okresie.

Jeśli chodzi o wygląd, redakcja licząca osiemdziesiąt siedem lat gazety

niewiele się zmieniała. Było to ogromne pomieszczenie z wiszącymi pod sufitem jasnymi lampami. Wschodnią część zajmowało pół tuzina pokoi, zaś wzdłuż dwóch wąskich przejść ustawiono rząd szerokich, stojących blisko siebie biurka.

Zmianie uległo nastawienie zespołu i czytelników. Dzięki nowemu formatowi i profilowi gazety, w której ukazywało się więcej sensacyjnych informacji, reporterzy i redaktorzy zaczęli uważać „Sentinela” za pismo emocjonujące i agresywne. Zniknęła etykieta nudnej, nienadążającej z duchem czasu gazety, jaką przypinano jej przez lata.

Laura czuła rosnące podekscytowanie, słysząc dzwoniące telefony i patrząc, jak reporterzy biegną do wydarzeń z ostatniej chwili. Żadne inne miejsce nie mogło się równać z redakcją. Panowała tu atmosfera pierwotnego, gorączkowego podniecenia.

Już miała wejść do swojego gabinetu, gdy ktoś zawołał ją po imieniu. Laura odwróciła się i przywitała z Nicki Cochran, redaktorką z działu zagranicznego, którą zatrudniła kilka tygodni wcześniej.

- Właśnie dostaliśmy to zdjęcie z Associated Press - powiedziała Nicki, podając Laurze odbitkę. - Zrobił je Ted Kandall tuż przed wyjazdem z Sarajewa. - Nicki zawahała się. - Masz coś przeciwko, żebyśmy zamieścili je zamiast zdjęcia Reutersa?

Laura wzięła fotografię i oglądała przez chwilę. Zdjęcie było znakomite. Zrobiono je z helikoptera. Przedstawiało scenę, gdy po otwarciu ognia przez snajperów pracownicy lotniska kryją się przed kulami. Na drugim planie widać inny śmigłowiec w ogniu. Zdjęcie było przejmujące i pełne dramatyzmu. Właśnie dzięki takim fotografiom nazwisko teksańczyka Teda Kandalla stało się powszechnie znane.

- To wspaniałe zdjęcie. Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko zamieszczeniu go?

Nicki zaczerwieniła się.

- Słyszałam o ciągnącym się od lat konflikcie między „Sentinelem” a wujem Kandalla i myślałam...

- Myślałaś, że nie będę chciała wykorzystać niczego, co ma z nimi jakikolwiek związek - dokończyła za nią Laura.

- Mniej więcej.

- To tak, jakbym chciała sobie odmrozić uszy na złość babci.

Jeszcze raz rzuciła okiem na zdjęcie i z uśmiechem oddała je Nicki.

- Masz dobre oko, Nicki. Weź to zdjęcie do numeru. Sprawdź tylko, czy oprócz nazwy agencji umieszczono przy nim nazwisko Teda Kandalla. W końcu to jego robota.

Laura podeszła do stojącego przed gabinetem biurka sekretarki.

- Są dla mnie jakieś wiadomości, Mildred?

Chociaż Mildred Masters obchodziła niedawno sześćdziesiąte drugie urodziny, nie wyglądała na więcej niż pięćdziesiąt lat. Ubierała się klasycznie. Była zadbaną elegancką kobietą o ciemnych włosach, zawsze spiętych w kok, i inteligentnych piwnych oczach. Roztaczała wokół siebie aurę bezpieczeństwa.

Mimo że była oddana J. B., który przez ponad czterdzieści lat kierował „Sentinelem”, z łatwością przystosowała się do zmian, jakie zaszły w redakcji, i Laura mogła zawsze liczyć na jej poparcie. To było bardzo ważne, bo gdy przed ośmioma miesiącami Laura powróciła do Teksasu, by objąć stanowisko ojczyma, spotkała się z powszechną niechęcią.

- Są cztery wiadomości - powiedziała Mildred, podając jej różowe karteczki.
- Pierwsze dwie od prezeski Stowarzyszenia Pań Wspierających Szpital Breckenridge. Chce wiedzieć, czy zabierzesz głos podczas organizowanego w przyszłym miesiącu uroczystego lunchu. Trzecia od Toma Granta, prezentera wieczornych wiadomości w KYZZ. Poszukuje współgospodarza programu w Boże Narodzenie. Ostatnia wiadomość jest od J. B. Oddał twój samochód do naprawy. Skrzynia biegów jest w porządku, ale sprzęgło padło. Najwyższy czas, żebyś kupiła sobie nowy samochód - powiedziała z uśmiechem. - To słowa twojego ojczyma.

Laura zachichotała, przeglądając karteczki. J. B. nie po raz pierwszy podawał w wątpliwość niezawodność jej wozu. Laura jednak nie potrafiła rozstać się ze swoim gruchotem - żółtym fordem mustangiem, rocznik 1974 - którego kupiła trzynaście lat temu, w czasie studiów na tutejszym uniwersytecie.

- Zastanowię się. Mogłabyś zadzwonić do prezeski Stowarzyszenia Pań i przekazać jej, że ostateczną odpowiedź dam jej za kilka dni.

- A co z Tomem Grantem?

- Sama do niego zadzwonię.

Weszła do gabinetu. Biurko jak zwykle zawałone było gazetami z całego kraju, notatkami, projektami budżetu oraz prośbami o datki na cele charytatywne.

Był to duży słoneczny pokój. Okno z widokiem na rzekę Kolorado zajmowało jedną ścianę, druga, przeszklona, oddzielała gabinet od redakcji. J. B. chciał, by Laura zajęła jego biuro na piątym piętrze, ale odmówiła. Jako wydawca biorący czynny udział w pracy redakcji lubiła być w centrum wydarzeń.

Przeglądała arkusz z projektem budżetu na następny kwartał, gdy Ken Malloy wsunął głowę przez uchylone drzwi.

- Masz chwilę? - spytał.

- Oczywiście.

Ken był weteranem „Sentinela”. Miał pięćdziesiąt cztery lata, z których trzydzieści przepracował w gazecie jako jeden z najlepszych specjalistów od reklamy w tym biznesie. Na widok ponurego grymasu na jego twarzy, powitalny uśmiech Laury przygasł.

- Co się stało? - spytała, czując skurcz w żołądku.

Ken usiadł na jednym z krzeseł stojących po drugiej stronie biurka.

- Straciliśmy kolejne duże zlecenie.

Arkusz budżetu, który trzymała w ręku, opadł na biurko.

- Które?

- Schwartz Holmes.

- Cholera.

Schwartz Holmes, jedno z największych przedsiębiorstw budowlanych w centralnym Teksasie, kupowało reklamy za ponad milion dolarów rocznie. To było trzecie duże zlecenie, jakie stracili w tym tygodniu. Jeśli ta tendencja się utrzyma, trzeba będzie zamknąć gazetę jeszcze przed końcem roku.

- Podali jakiś powód?

- Taki sam jak inni. Spadek obrotów. Muszą obniżyć koszty.

- Obcinając wydatki na reklamę? - spytała Laura z niedowierzaniem. - Oni chyba powariowali. A może myślą, że to ja zgłupiałam?

- Ani jedno, ani drugie. W ciągu ostatnich dwóch kwartałów firma Schwartz Holmes osiągnęła najlepsze wyniki od trzech lat. Jestem pewien, że to zмова, żeby zniszczyć gazetę, Lauro. Stawiam moją roczną pensję, że to sprawka Malcolma Kandalla.

Laura z ponurą miną skinęła głową. Pierwsze zlecenie zostało anulowane zaledwie cztery dni temu. W tym samym dniu, w którym na łamach gazety w redagowanej przez Laurę kolumnie zatytułowanej „Widzieć” ukazał się artykuł poświęcony kandydatowi na gubernatora Malcolmowi Kandallowi. Artykuł kwestionował legalność niektórych źródeł finansowania kampanii wyborczej Kandalla.

- Jeśli będziemy ponosić takie straty, długo nie wytrzymamy. - Ken powtarzał to, co przed chwilą pomyślała. - Wczoraj cały dzień wisiałem na telefonie, żeby pozyskać nowe zlecenia, ale... - Potrząsnął głową. - Nic z tego nie wyszło.

- Może nadszedł czas na konfrontację?

Kierując się impulsem, Laura sięgnęła po słuchawkę stojącego na biurku telefonu.

- Mildred, zadzwoń, proszę, do sztabu wyborczego Malcolma Kandalla i powiedz jego sekretarce, że chcę się z nim dzisiaj spotkać.

2

Z rękami założonymi z tyłu Malcolm Kandall wyglądał przez okno luksusowego gabinetu w sztabie wyborczym na siedemnastym piętrze wieżowca Carlisle. Z okien stojącego w samym centrum Austin budynku widać było siedzibę władz stanowych - wielki klasycystyczny pałac, który w swoich murach gościł najbarwniejsze postaci w historii Teksasu. Przy ścianie za plecami Kandalla stał telewizor odbierający CNN. W dowolnej chwili Kandall mógł obejrzyć najświeższe wiadomości i dowiedzieć się, jak wyglądają ostatnie wyniki sondaży przedwyborczych.

W wieku pięćdziesięciu sześciu lat Malcolm Kandall mógł z łatwością uchodzić za czterdziestopięciolatka. Jego brązowe włosy były tylko lekko przyprószone siwizną, a dzięki intensywnym ćwiczeniom był szczupły i w dobrej formie.

Lekko utykał z powodu urazu odniesionego w młodości. Mimo że ułomność była prawie niewidoczna, Kandall bardzo się nią przejmował. Podczas kampanii wyborczej starał się ją ukryć, chodząc powoli i często zatrzymując się, aby porozmawiać z wyborcami.

Tak jak wielu jego poprzedników był ambitnym teksaskim politykiem i chociaż przed kilku laty jego kariera uległa zachwianiu, z nawiązką odrobił stracony czas. Tego charyzmatycznego człowieka wielu porównywało do Richarda Nixona, a przygniatające zwycięstwo, jakie odniósł w ostatnich wyborach na burmistrza, zawdzięczał chwytliwemu sloganowi „Kandall dba” i umiejętności przekonania mieszkańców Austin, że to prawda.

Ogarnęło go zadowolenie, gdy patrzył w okna drugiego piętra siedziby władz stanowych. Wkrótce to on zasiądzie w fotelu gubernatora. Będzie podejmował decyzje na szczeblu stanowym, będzie spotykał się z przywódcami całego świata, będzie brał udział w oficjalnych uroczystościach. Po latach ciężkiej pracy i włożenia wszystkim w tyłek w końcu udało mu się dotrzeć na szczyt. No... nie na sam szczyt. Do Białego Domu jeszcze daleka droga. Ale sądząc po rosnącej popularności w sondażach, zwycięstwo nad urzędującym gubernatorem miał niemal w kieszeni. A potem, pomyślał, drżąc z podniecenia - Pennsylvania Avenue.

Pod warunkiem że Laura Spencer najpierw go nie zniszczy.

Przed chwilą taki zadowolony, teraz poczuł lekki ból głowy. Pomasował

nasadę nosa dwoma palcami. Nie po raz pierwszy doszło do zatargu pomiędzy nim i „Sentinelem”. Szesnaście lat temu, gdy Malcolm ubiegał się o intratne stanowisko we władzach okręgu, J. B. Lawson odkrył, że jako radny miejski Malcolm popełnił oszustwo ubezpieczeniowe i ujawnił to na pierwszej stronie.

Ten skandal kosztował Malcolma wybory - musiał powrócić do praktyki adwokackiej. Z czasem opinia publiczna zapomniała o tym incydencie i Malcolm mógł w końcu powrócić do polityki. Ale nigdy nie przebaczył J. B. zjadliwego artykułu.

A teraz jego pasierbica - też kiepski pismak - grozi, że zrobi to samo. Chyba że uda mu się ją powstrzymać.

Brzęczyk interkomu na biurku przerwał jego rozmyślania.

- Tak, Lillian.

- Przyszła pani Spencer, proszę pana.

- Niech wejdzie.

Sekretarka wprowadziła Laurę do gabinetu. Malcolm siedział za biurkiem elegancki i zrelaksowany jak podczas wystąpień telewizyjnych.

- Jak się masz, Lauro? Dość dawno się nie widzieliśmy, prawda?

Laura zignorowała wyciągniętą rękę i stanęła na wprost niego.

- Przestań chrzanić, Malcolm. To nie jest wizyta towarzyska. Chcę wiedzieć, co, do cholery, wyprawiasz?

Malcolm siedział z charyzmatycznym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- O trzech zleceniach reklamowych, które właśnie straciłam: Orbach Motors, Dom Handlowy Bradley i ostatnio Schwartz Holmes. Właściciele to, jak sądzę, twoi dobrzy przyjaciele.

- To chyba lekka przesada. - Odchylił się nieco. - Wiesz, jak to jest, kiedy kampania wyborcza dobrze idzie. Wszyscy chcą się z człowiekiem zaprzyjaźnić.

- Daruj sobie te uwagi, Malcolm. Wiem, że to twoja sprawka. I wiem, dlaczego to robisz.

Malcolm wyprostował palce i trzymał je złożone przed sobą.

- Może zaspokoisz moją ciekawość. Dlaczego?

- Dowiedziałeś się, że sprawdzam pochodzenie funduszy na twoją kampanię wyborczą, i nie spodobało ci się to. Wykombinowałeś sobie, że jeśli napniesz trochę mięśnie, pokażesz mi, jaki jesteś silny, wycofam się jak grzeczna dziewczynka.

- Po co miałbym mieszać się do prasy? Nie mam nic do ukrycia.

- Naprawdę? To znaczy, że według ciebie to nic złego, że trzech biznesmenów z Austin, którzy wpłacili ogromne sumy na twoją kampanię wyborczą, wygrało przetarg na roboty dla miasta, gdy ty byłeś burmistrzem?

Mimo że wszystko, co Laura powiedziała, było prawdą, Malcolm postarał się wyglądać na zaskoczonego.

- Nic z tych rzeczy - powiedział z oburzeniem w głosie. - Wszyscy wiedzą, że aby zdobyć kontrakt na roboty dla miasta, bez względu na to, jak są duże, trzeba wygrać przetarg. Twoje insynuacje są oburzające.

- Ale to prawda.

- Nie, nieprawda. Nie znajdziesz nikogo, kto potwierdziłby te zarzuty.

Laura próbowała już to zrobić. Niestety, wszystkie zainteresowane strony miały zbyt wiele do stracenia, by sprawa wyszła na jaw.

- Znajdę - powiedziała z przekonaniem, którego wcale nie czuła. - Nie powstrzymasz mnie, próbując zniszczyć moją gazetę.

Z piersi Malcolma wyrwało się bolesne westchnienie.

- Moja droga, mylisz się. - Patrząc na nią, zakołysał się delikatnie. - Prawda wygląda zupełnie inaczej, dlatego zgodziłem się z tobą spotkać. Miałem nadzieję, że moglibyśmy zapomnieć o dzielących nas różnicach i przynajmniej na jakiś czas zawrzeć coś w rodzaju rozejmu.

Wzajemna niechęć trwała tak długo, że jego propozycja wytrąciła Laurę z równowagi.

- Rozejm?... My?

- W przeszłości między naszymi rodzinami nagromadziło się mnóstwo nieporozumień. Ale teraz jest inaczej i wbrew temu, co sądzisz, nie chcę ani ciebie skrzywdzić, ani zniszczyć „Sentinela”. Z przyjemnością porozmawiam z Alem

Schwartzem i z innymi. - Uśmiechnął się. - Na znak dobrej woli.

- Więc przyznajesz, że wywierałeś na nich naciski?

- Nic podobnego. Wyciągasz pochopne wnioski. Powiedziałem tylko, że wstawię się za tobą. Reszta, oczywiście, zależy od nich.

Jest dobry, przyznała Laura w duchu. Na wierzchu gładki jak aksamit, a w środku twardy jak stal.

- Rozumiem - spojrzała na niego pogardliwie. - Zrobisz to z dobroci serca czy może chcesz coś w zamian?

Zdawał się odzyskiwać dobry humor.

- Skoro o tym wspomniałaś, miło byłoby mieć od czasu do czasu trochę dobrej prasy.

- I rozumie się samo przez się, że mam przestać interesować się pochodzeniem pieniędzy na twoją kampanię.

- Szkoda by było tracić czas na rzeczy tak błahe, skoro czeka tyle ważnych spraw. - Wbił w nią błękitne oczy, dziedzictwo męskiej linii rodu Kandall. - Ale to oczywiście zależy tylko od ciebie.

Patrzyli sobie prosto w oczy i Laura uświadomiła sobie, jak okrutna może być jego zemsta i jak błyskawicznie i bezlitośnie może uderzyć. Tak łatwo byłoby zrobić to, co zasugerował, i tak jak inni udawać, że niczego nie dostrzega. Szczególnie, że od jej decyzji zależy praca pięciuset osób - ludzi, którzy liczyli na nią i mieli na utrzymaniu rodziny.

Jednak nie może wybrać łatwej drogi. Zbyt szanuje zawód dziennikarza. Malcolm Kandall nic się nie zmienił. Manipuluje ludźmi i jest tak samo pozbawiony skrupułów jak zawsze. Może na razie nie uda jej się niczego mu udowodnić, ale w końcu to zrobi. A do tego czasu znajdzie sposób, by utrzymać „Sentinela”, bez względu na to, czy Kandall będzie jej rzucał kłody pod nogi, czy nie.

- Na dobrą prasę trzeba zasłużyć - powiedziała spokojnym, równym głosem.
- Zamierzam dalej robić to, co umiem robić najlepiej: będę pisać prawdę.

Tym razem w jego oczach błysnęła nienawiść. Udała, że jej nie widzi, i podeszła do drzwi. Już miała je otworzyć, gdy zawołał ją po imieniu.

Odwróciła się w jego stronę z ręką na klamce.

- Nie bądź krzyżowcem, Lauro. W moim mieście to się nie oplaca.

Malcolm patrzył, jak zamyka za sobą drzwi, z grymasem gniewu na ustach.

Wścibska zadufana dziwka. Głęboko wciągnął powietrze. Jest taką samą głupią idealistką jak jej ojczym. I tak samo niebezpieczną.

Nie martwił się tym, że coś podejrzewa. Bał się, że może coś odkryć, jeśli będzie dalej węszyć.

Uderzył pięścią w biurko. Nie pozwoli, by go zniszczyła. Prawie osiągnął cel.

Oczywiście może się zdarzyć, że gdy przemyśli jego propozycję, zrozumie, że współpraca z nim to dla niej jedyna szansa.

Jeśli nie, będzie musiał zastosować silniejsze środki perswazji.

Jadąc na zachód autostradą nr 71, Laura wyprzedziła osiemnastokołową ciężarówkę. Jechała ze stałą prędkością. Miejski pejzaż - wraz z charakterystycznym dla niego zgiełkiem - ustąpił miejsca pagórkowatemu wiejskiemu krajobrazowi, leśnemu rajowi położonemu na zachód od Austin. O jego istnieniu wiedziało dotąd niewiele osób - odkryto go jakieś dziesięć lat wcześniej.

J. B. Lawson, którego przodkowie byli niemieckimi osadnikami, odziedziczył po dziadku stuhektarowe ranczo w okręgu Burnet. Wypoczywał tam w weekendy, dopóki osiem miesięcy temu nie przeszedł na emeryturę i nie przeniósł się na wieś na stałe.

Laura nie miała mu tego za złe. Powietrze było tu czyste i rześkie, a rytm życia spokojny, typowy dla wiejskich rejonów na zachodzie Stanów. Z dala od cywilizacji Laura napawała się zachwycającymi widokami. Patrzyła na linię odległych wapiennych wzgórz porośniętych zielonymi lasami, na słoneczniki przy

drodze, dzikie petunie i trawę na łąkach.

W tej części Teksasu spędziła najlepsze lata swojego życia. Nawet gdy krótkie małżeństwo jej matki z J. B. dobiegło końca, Laura wciąż uważała Lost Creek za swój dom. A gdy osiem miesięcy temu J. B. zaproponował jej, by wprowadziła się do domku gościnnego, zgodziła się z radością.

Zobaczyła Lost Creek, gdy skręciła w Cattle Trail, długą na półtora kilometra drogę prowadzącą na ranczo. Najpierw pojawiły się ogrodzone pastwiska, na których bujną trawę skubały słynne teksaskie długorogie krowy. W końcu dostrzegła trzypiętrowy dom z bali, zbudowany własnoręcznie przez dziadka J. B.

Zaparkowała samochód ojczyma w oddalonym od domu garażu - był on przedłużeniem warsztatu J. B. - i ruszyła w stronę domu, z przyjemnością wdychając zapach pieczonego indyka i świeżego chleba. Kolacje z J. B. były jedną z tych rzeczy, których najbardziej brakowało jej przez dziesięć lat pracy w Nowym Jorku, więc chociaż w „Sentinelu” często pracowała do późna, starała się jadać na ranczu przynajmniej dwa razy w tygodniu.

Zdjęła zieloną marynarkę, rzuciła ją na krzesło i weszła do jasnego pokoju o ścianach z drewnianych bali. Był tu wielki kamienny kominek i solidne rzeźbione kufry dębowe, które przodkowie J. B. kolekcjonowali przez lata. Na stuletniej drewnianej podłodze leżały kolorowe indiańskie dywaniki. Na ścianach wisiały pamiątki, którymi zachwycała się jako dziecko: jelenie rogi nad kominkiem, lampa naftowa zrobiona przez babcię J. B. oraz obraz przedstawiający pierwszych osadników w Burnet.

- Cześć. Jak się czuje moja gwiazda dziennikarstwa?

Na dźwięk wesołego głosu ojczyma Laura odwróciła się i uśmiechnęła, patrząc, jak idzie ku niej kołyszącym się krokiem. Nawet po dwóch zawałach, sześćdziesięciosześcioletni J. B. Lawson dobrze się trzymał i był wciąż przystojnym, interesującym mężczyzną. Miał siwe włosy, które kręciły mu się na karku, twarz o barwie i fakturze garbowanej skóry i oczy tak jasnobłękitne jak niebo nad Teksasem.

Ten imponujący wygląd onieśmiał nieznanymi. Wystarczyło jednak spędzić z nim tylko kilka chwil, by zorientować się, że pod szorstką powierzchownością kryje się złote serce.

- Dzisiaj nie czuję się jak gwiazda - odpowiedziała Laura.

J. B. objął ją w talii i poprowadził do stojących przed kominkiem wygodnych brązowych sof i krzeseł.

- W takim razie może zaaplikuję ci specjalne lekarstwo? Gwarantuję, że zaraz postawi cię na nogi.

- Wspaniale.

Z uśmiechem patrzyła, jak przechodzi za lśniący drewniany bar w końcu pokoju. Chociaż J. B. nie pił już mocnych trunków, wciąż lubił bawić się w barmana.

Z kieliszkiem martini w jednej ręce i butelką piwa lone star w drugiej podszedł i usiadł naprzeciwko niej. Przyglądał się jej, sącząc piwo.

- Co cię trapi, dziecino? Wyglądasz na przygnębioną.

Laura dwoma palcami wyłowiła z kieliszka oliwkę i włożyła ją do ust. Nigdy nie potrafiła niczego zbyt długo przed nim ukryć.

- Dziś po południu spotkałam się z Malcolmem Kandallem.

Na dźwięk nazwiska największego wroga w oczach J. B. pojawiły się zimne błyski.

- Dlaczego?

- Bo straciliśmy kolejne zlecenie reklamowe - Schwartz Holmes - i chciałam mu powiedzieć, co myślę o jego brudnych gierkach.

- Co ci powiedział?

- Oczywiście wszystkiemu zaprzeczył.

Opowiedziała mu o rozmowie z kandydatem na gubernatora, nie ukrywając, że chciał kupić jej milczenie.

- Zrobił to bardzo sprytnie. Nawet gdybym pamiętała, żeby wziąć ze sobą magnetofon i nagrać to, co mówił, niczego nie mogłabym mu dowieść.

- Nic dziwnego. Malcolm zawsze był chytrym sukinsynem. - J. B. napił się piwa. - Jest bardzo źle, Lauro?

Westchnęła.

- Sama nie wiem. Mam kilka pomysłów, które pozwolą nam przez jakiś czas

utrzymać się na powierzchni, ale jeśli Malcolm zacznie mocniej naciskać, może być kiepsko.

J. B. zamyślił się.

- Mógłbym spróbować nakłonić bank, żeby udzielił mi następnej pożyczki, jeśli myślisz, że to coś pomoże.

Laura nie była tego pewna. Dwa lata temu, gdy trzeba było kupić bardziej nowoczesną maszynę drukarską, J. B. wziął duży kredyt pod zastaw rancza i „Sentinela”. Nawet gdyby dostał kredyt, w co wątpiła, prawdopodobnie nie udałooby się uratować gazety.

- W tej chwili nie ma takiej potrzeby - powiedziała, nie chcąc niepotrzebnie niepokoić J. B. - Jednak zwołałam zebranie kierownictwa. Przydałoby mi się twoja pomoc, J. B.

- Przyjdę - powiedział i stawiając butelkę piwa na stoliku, pochylił się do przodu. Wiesz, że ufam ci bezgranicznie, dziecińo? I bez względu na to, co zdecydujesz, możesz liczyć na moje pełne poparcie.

Spojrzała na niego z rozbawieniem.

- Dlaczego mam wrażenie, że jest jakieś „ale”?

Pokręcił głową.

- Nie ma żadnego „ale”. Po prostu chcę, żebyś wiedziała, że jeśli zdecydujesz się wycofać ze śledztwa w sprawie funduszy wyborczych Kandalla, zrozumieć. Prowadzenie gazety to duża odpowiedzialność.

- Chcesz, żebym się wycofała, J. B.?

- Tego nie powiedziałem. - Patrzył na nią z powagą. - Ale znam cię. Wiem, jak bardzo ci zależy na „Sentinelu” i na ludziach.

- Tak bardzo jak tobie.

- Właśnie. Jeśli więc zwycięży serce i zdecydujesz się wycofać, nie chcę, żebyś uważała, że mnie zawiodłaś albo że postępujesz wbrew własnym zasadom. Czasami trzeba wiedzieć, kiedy podjąć trudną decyzję.

Laura wpatrywała się w swój niedokończony koktajl. Nie musiała pytać, jaką on podjąłby decyzję, gdyby był na jej miejscu. Wiedziała. J. B. był wojownikiem i zawsze nim będzie.

Uniosła wzrok.

- Nie mam zamiaru się poddawać.

J. B. rozparł się w krześle. Przepęłniała go ojcowska duma. Wiedział, że Laura będzie doskonałym wydawcą gazety. Na początku nie chciała się tego podjąć. Nie chciała opuścić Nowego Jorku i „Heralda”, w którym pracowała, odkąd uzyskała dyplom na Uniwersytecie Teksaskim. Szefowie „Heralda” także nie chcieli pozwolić odejść swojej gwiazdzie. Po dziesięciu latach pracy w słynnej gazecie i dwóch Pulitzerach nazwisko reporterki kryminalnej Laury Spencer stało się dobrze znane. Nawet Hollywood upomniało się o nią, jednak odmówiła. W przeciwieństwie do matki, która była w swoim żywiole, gdy znajdowała się w centrum uwagi, Laura nie znosiła światła reflektorów.

Przyjęła propozycję J. B., dopiero gdy powiedział jej, że „Sentinel” umiera powolną i bolesną śmiercią.

Była w trakcie rekonwalescencji po postrzale podczas reportażu z napadu na bank na dolnym Manhattanie. Zmartwiony J. B. poleciał do Nowego Jorku w nadziei, że przekona ją, by wróciła do domu.

- Ostatnia recesja mnie dobiła, dziecino - powiedział, siedząc na brzegu jej szpitalnego łóżka. - Dochody z reklam i nakład nigdy nie były tak niskie. Dobrzy dziennikarze uciekają z gazety jak szczury z tonącego okrętu. Nawet redaktor naczelny grozi odejściem. Myślę, że można uratować gazetę, ale potrzebny jest zastrzyk nowej krwi. I młodszy, bardziej energiczny wydawca.

Zaproponował jej tę pracę także dlatego, że chciał zabrać ją z Nowego Jorku. O tym jej oczywiście nie wspomniał. Chciał, żeby znalazła się wreszcie w bezpiecznym, przyjaznym otoczeniu, gdzie będzie mogła robić reportaże, nie ryzykując życiem.

- Możesz nawet zostać moim współnikiem - dodał, żeby ją zachęcić, chociaż wiedział, że pieniądze nie mają dla niej wielkiego znaczenia. - Teraz dostaniesz dwadzieścia procent udziałów w „Sentinelu”, a dalsze trzydzieści pod koniec roku, jeśli się zdecydujesz zostać.

Kiedy jednak nie zareagowała, tak jak oczekiwał, zagrał kartą atutową.

- No i masz wolną rękę w sprawie zmian, jakie zechcesz wprowadzić.

Jej oczy rozbłysły niczym fajerwerki w Dzień Niepodległości.

- To znaczy, że będę mogła zmienić format?

Od lat Laura namawiała J. B., by przekształcił „Sentinela” w gazetę o bardziej sensacyjnym profilu i innym formacie, on jednak zawsze odrzucał ten pomysł. Uważał, że Austin jest staroświeckim miasteczkiem, w którym ludzie wyznają staromodne ideały, a zmiana formatu z gazetowego na format magazynu ilustrowanego mogła być katastrofalna w skutkach. Zyski zaczęły jednak spadać w zastraszającym tempie i J. B. nie miał innego wyjścia.

- Jeśli sądzisz, że to uratuje „Sentinela” - powiedział - bierz się do roboty.

Tak zrobiła. Dzięki talentowi, energii i nieustępliwości Laury efekty przeszły jego najśmielsze oczekiwania. W ciągu zaledwie sześciu tygodni wrócili do nich wszyscy reklamodawcy, a cotygodniowa kolumna Laury, zatytułowana „Widzieć”, była jedną z najchętniej czytanych w całym Teksasie. Pisała bez ogródek i chociaż nie zajmowała się polityką, tylko kontrowersyjnymi sprawami i ludźmi, którzy skupili na sobie uwagę mediów, dostawała mnóstwo listów z ciekawymi uwagami. Zamieszczała je w kolumnie wydawcy jako dodatkową atrakcję.

Laura patrzyła na J. B., obracając kieliszek z martini.

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytała.

- Bo tak bardzo przypominasz mnie, kiedy byłem młody, pełen pasji i pomysłów. - Jego oczy posmutniały. - Uważaj, żeby nie skrzywdzono cię tak jak mnie. Dobrze zabezpiecz się przed Kandallem.

- Nie rozmawiamy o gazecie, prawda? - spytała cicho.

- Nie. - Przez chwilę zatopiony w myślach patrzył w okno. - Jak się czuje twoja matka? - spytał w końcu.

- Jest bardzo szczęśliwa. Znalazła pracę. Podpisała sześciotygodniowy kontrakt ze Złotą Papugą.

- W klubie Joego? Myślałem, że chce sprzedać tę budę.

- Może. Ale jeszcze nie wie, że mama będzie główną atrakcją lokalu. - Jej oczy pojaśniały. - Och, J. B., szkoda, że nie słyszałeś, jak na przesłuchaniu śpiewała *Fever*. Joe był oczarowany.

J. B. wolno skinął głową, przypominając sobie melodię tej piosenki.

- Cieszę się. - Wstał. Nie chciał poddać się ogarniającej go nostalgii. - Chodź, zobaczmy jak Lenox radzi sobie z indykiem. Umieram z głodu. A może po kolacji zagramy w szachy. Należy mi się rewanż.

- Dobrze. - Wzięła go za rękę. - Ale ostrzegam. Będzie cię to kosztowało.
Dziś jest mój szczęśliwy wieczór.

3

W pomieszczeniu pełniącym rolę ciemni Ted Kandall wyjął z utrwalacza ostatnią odbitkę i powiesił ją na sznurku.

Całkiem nieźle, pomyślał, pochylając się do przodu, by dokładnie przyjrzeć się zdjęciom. Zrobił je dwadzieścia cztery godziny wcześniej w górach na północ od Sarajewa, podczas bitwy pomiędzy bośniackimi Serbami i Chorwatami. W czasie zaciekłych starć śmigłowiec, którym miał odlecieć do Anglii, został dwukrotnie trafiony. Na szczęście uszkodzenia nie były na tyle poważnie, by trzeba było przerwać lot.

Ted był jednym z trzech fotoreporterów, których wpuszczono na terytorium Serbów. Dwa miesiące spędził z małą grupą żołnierzy. Najmłodszy miał zaledwie czternaście lat. Co tydzień wysyłał dziesiątki filmów do Lloyda, naczelnego fotoreportera Associated Press w Londynie.

- Nie widziałem nic równie dobrego od czasu, gdy w latach pięćdziesiątych Robert Capa zrobił serię zdjęć z wojny w Indochinach - powiedział mu przez telefon zachwycony Lloyd. - Nie wiem, co ty o tym sądzisz, ale ja mam przecucie, że dostaniesz następnego Pulitzera.

Fotoreportaż z pobytu wśród bośniackich Serbów był jednym z najbardziej niebezpiecznych, ale równocześnie najbardziej satysfakcjonujących zadań, jakie kiedykolwiek dostał. Nie dlatego że będzie miało wpływ na jego karierę, ale dlatego że za pomocą aparatu fotograficznego mógł pokazać takie oblicze wojny w Jugosławii, z którego istnienia niewielu zdawało sobie sprawę.

Zdejmował jednorazowe rękawiczki, gdy usłyszał natarczywy dźwięk dzwonka u drzwi swojego londyńskiego mieszkania.

- Idę! - krzyknął, wyłączając czerwone światło w ciemni.

Otworzył drzwi i nachmurzona mina znikła z jego twarzy. Na podeście stała jego dwudziestoletnia siostra Sandra z szerokim uśmiechem na ładnej twarzy i torbą podróżną przerzuconą przez ramię.

- Złotowłosa! - wykrzyknął. To przydomko nadał jej wiele lat temu.

Sandra rzuciła mu się w objęcia.

- Cześć, wielki bracie. Cieszysz się, że mnie widzisz?

- Jasne. Niech ci się przyjrzę.

Uśmiechając się szeroko, patrzył na jej kręcone blond włosy, wielkie piwne śmiejące się oczy i mały zadarty nosek. Jej strój, chociaż jak zwykle nie mógł uchodzić za elegancki, z pewnością był czymś w rodzaju swoistej deklaracji. Na lot przez Atlantyk ubrała się w workowate džinsy, skórzane buty z cholewkami, które - jak twierdziła - wzbudziły ostatnio prawdziwy zachwyt w kampusie, i w zieloną wojskową kurtkę kupioną na londyńskim pchlim targu cztery miesiące temu.

Szeroko rozpostarła ramiona.

- Podoba ci się mój strój?

Ted roześmiał się.

- Na tobie tak - odpowiedział.

Wziął od niej torbę i objął ją w pasie. Razem przeszli do salonu.

- Dlaczego nie zawiadomiłaś mnie, że przylatujesz? Wyjechałbym po ciebie na lotnisko.

- Nie było czasu.

Sandra usiadła na głębokiej czerwonej sofie i spojrzała na kilka wiszących na ścianie czarno-białych fotografii, dotyczących aktualnych wydarzeń na świecie. Nie zdziwiła się, widząc, że to nowe zdjęcia. Ted, który nie znosił monotonii ani dookoła, ani w życiu prywatnym, regularnie je zmieniał.

- Wyleciałam z Austin, kiedy ty opuszczałeś Sarajewo.

- Skąd wiesz, kiedy wyleciałem z Sarajewa?

- Zadzwoiłam do Lloyda. - Uśmiechnęła się zadowolona z siebie. - Nie tylko ty masz głowę na karku.

- Najwyraźniej nie tylko ja.

Sandra pociągnęła go za rękę i zmusiła, żeby usiadł na sofie.

- Teraz moja kolej, żeby ci się przyjrzeć.

Zmarszczyła brwi, patrząc na przystojną twarz brata: niesforne popielate włosy, błękitne oczy w odcieniu bławatka, które odziedziczył po ojcu, jednodniowy

zarost i kwadratowa szczęka.

- Mhmm. Wyglądasz na zmęczonego. Ale chyba powinnam być wdzięczna, że żyjesz, biorąc pod uwagę to, co podają wiadomości.

- Co mówili?

- Że brytyjski śmigłowiec z kilkoma dziennikarzami na pokładzie wystartował z Sarajewa pod ciężkim ostrzałem. Byłeś na podkładzie, prawda?

- Przestań marszczyć brwi, Złotowłosa, bo nabawisz się zmarszczek. Jakie to ma znaczenie? Jestem tutaj. Cały i zdrowy.

Twarz Sandry pozostała surowa.

- Prawdę mówiąc, Theodore, jeśli tak dalej pójdzie, nie tylko nabawię się zmarszczek, ale będę jedyną siwą studentką na roku. Martwię się o ciebie.

- Więc przestań.

- Łatwo ci mówić. To nie ty masz brata, który goni za sensacją.

- Do diabła, o czym ty mówisz. Jak to: gonię za sensacją? Po prostu staram się zarobić na życie.

- Dlaczego nie znajdziesz sobie innego, bezpieczniejszego zajęcia? Mógłbyś zająć się fotografowaniem mody. Zarobiłbyś kupę forsy.

- Umarłbym z nudów w ciągu tygodnia.

- Z nudów? - Parsknęła śmiechem. - Z Claudią Schiffer paradującą w bieliźnie przez cały dzień?

Oparł rękę na oparciu sofy i obojętnie wzruszył ramionami.

- Wiesz, co na ten temat mówią. Jeśli widziałeś jedną modelkę w bieliźnie, to tak, jakbyś widział wszystkie.

Chociaż była to lekka przesada, Sandra wiedziała, że Teda pasjonuje to, co robi. Był od niej piętnaście lat starszy i fotoreporterskie szlify zdobył podczas amerykańskiej inwazji na Grenadę. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku, gdy pracował jako wolny strzelec dla „London Timesa”, zdobył uznanie serią kapitalnych zdjęć przedstawiających dwóch uzbrojonych arabskich bandytów, którzy wtargnęli do synagogi w Istambule i zabili dwudziestu jeden wiernych. Teraz, dziewięć lat później, praca wciąż była jego pasją, choć w jego oczach odbijał się smutek.

Nie pamiętała, czy był tam podczas ich ostatniego spotkania. Wojna w Jugosławii naznaczyła go swym piętnem.

Ted oparł długie nogi na stoliku do kawy.

- Jak tam w college'u, Złotowłosa? - spytał.

- Dobrze. Tatuś w końcu pogodził się z tym, że nie będę zdawać na prawo.

- O ile dobrze rozumiem, uparłaś się, żeby zostać nauczycielką.

- Tak. Już zdecydowałam. Właściwie tatuś zawsze o tym wiedział. Potrzebował tylko trochę czasu, żeby się z tym pogodzić, to wszystko.

- Bardzo dał ci się we znaki?

- Nie tak bardzo jak tobie, kiedy mu powiedziałaś, że zostaniesz fotoreporterem, ale był zawiedziony. - Roześmiała się. - Myślę, że w głębi duszy zawsze wierzył, że zostanę drugą Ann Richards.

- Zaczynaj więc jeździć na harleyu.

Śmiejąc się, położyła mu głowę na ramieniu.

- Och, Ted, zawsze potrafisz mnie rozbawić.

Spojrzał na nią, zastanawiając się, dlaczego przyjechała.

- Dlatego przeleciałaś prawie dwadzieścia tysięcy kilometrów? Żeby się dobrze zabawić?

Gdy zwlekała z odpowiedzią, ujął jej brodę w dwa palce i podniósł do góry, zmuszając, by na niego spojrzała.

- Co się stało, siostrzyczko?

- Nic. To znaczy... - Poderwała się na nogi. - Moglibyśmy pójść na spacer? Po ośmiu godzinach lotu muszę rozprostować nogi.

- Dobrze. - Wstał. - Dokąd chcesz iść?

- Nie wiem. Może do tej herbaciarni na Goldborne, którą tak lubię? Chyba nazywa się Beauregard?

Ted założył wiszącą na krześle brązową skórzaną kurtkę.

- Niech będzie Beauregard.

Już po chwili spacerowali po zatłoczonym rynku Portobello. W sobotę po południu można tu było kupić prawie wszystko: wiekowe maszyny do pisania, starodruki, a nawet afrykańskie maski.

Gdy Ted zamieszkał w Notting Hill, dzielnica podupadała. Świadczyły o tym zniszczone ulice, walące się domy i zaniedbane parki. Jednak po trwających blisko dziesięć lat remontach okolica zmieniła się nie do poznania. Na zaniedbanych niegdyś ulicach otwarto nowe butik, galerie sztuki i modne restauracje, odwiedzane przez elegancką, uosabiającą miejski szyk klientelę.

Beauregard, modna herbaciarnia na Goldborne Road, była jednym z tych miejsc, które Sandra lubiła w Londynie najbardziej. Ted zabrał ją tego lata, gdy przyjechała go odwiedzić po raz pierwszy, i zachwycony patrzył na wyraz na jej twarzy, gdy wpatrywała się w witrynę z wyrobami cukierniczymi. Zrobił jej wtedy mnóstwo zdjęć.

W herbaciarni było tłoczno, jednak znajoma kelnerka w ciągu zaledwie kilku minut wyczarowała dla nich stolik. Zamówili herbatę i ciastka. Ted oparł łokcie na stole.

- A teraz, Złotowłosa, powiedz mi, o co chodzi? Twój chłopak dał popalić? Jeśli tak... - Popisując się, zacisnął pięści, aż zachrzęściły kości. - Wystarczy, że dasz mi znać, już ja mu pokażę.

- Nie mam teraz chłopaka.

Sandra spojrzała na starszego mężczyznę z małym chłopcem, prawdopodobnie wnukiem. Usiedli przy stoliku za przepierzeniem. Popatrzyła na Teda.

- Chodzi o tatusia - powiedziała.

Ted zdążył się domyślić. Mimo że Sandra przyjeżdżała do Londynu kilka razy w roku, nie miała zwyczaju wpadać bez uprzedzenia.

- Znowu zachorował?

Powoli skinęła głową.

- On umiera.

Nie wiedział, co było pierwsze - niedowierzanie czy przeszywający ból. Zawsze sądził, że jego ojciec jest niezniszczalny. I miał po temu powody. Był senator, dziś sześćdziesięcioletni, przeżył wojnę w Korei, dwa ataki

terrorystyczne i katastrofę śmigłowca, w której zginęło trzech amerykańskich kongresmanów. Jeśli żył na świecie choć jeden człowiek zdolny uragać śmierci, to był nim Charles Kandall.

Wzruszenie ścisnęło mu gardło.

- Znowu rak?

Sandra skinęła głową.

- Od pewnego czasu nie czuł się dobrze. Miał lekkie bóle w boku, był znużony... W końcu zmęczyło go moje zrzędenie i zgodził się zrobić badania.

Jej głos się załamał.

- Tym razem rak zaatakował wątrobę. Nie można operować.

- Cholera.

Począł, aż obsługująca ich kelnerka odejdzie, i spytał:

- Ile czasu mu zostało?

- W najlepszym wypadku sześć miesięcy. Może mniej.

Sandra wzięła do ręki porcelanowy czajniczek i naląła herbaty do filiżanek.

- Zabiłby mnie, gdyby się dowiedział, że ci powiedziałam. Ale musiałam to zrobić.

Gdy odstawiała czajniczek, łzy, których nie potrafiła dłużej powstrzymać, potoczyły się po policzkach.

- Przepraszam - powiedziała, ocierając twarz wierzchem dłoni. - Nie chciałam się rozkleić.

- Mnie nie musisz się wstydzic. - Wsypał do herbaty łyżeczkę cukru. - Jak ojciec to znosi?

- Och, znasz go. Zachowuje się, jakby nic się nie stało. Bierze nawet udział w kampanii wyborczej wuja Malcolma. Aż trudno w to uwierzyć.

Nie zaskoczyło to Teda. Charles zawsze był przywiązany do młodszego brata. Wiele lat temu, gdy grali razem w piłkę nożną na trawniku przed domem, Charles niechcący popchnął Malcolma, który wpadł na drzewo. W wyniku uderzenia złamał biodro i od tamtej pory lekko utykał. Wypadek zniweczył jego

młodzieńcze marzenia o grze w szkolnej reprezentacji piłkarskiej. Zdruzgotany wypadkiem Charles wziął na siebie pełną odpowiedzialność za to, co się stało, a Malcolm, jak można się było po nim spodziewać, nigdy nie pozwolił bratu o tym zapomnieć.

Ted sięgnął nad stolikiem, ujął dłoń Sandry i uścisnął ją. Sandra miała tylko sześć lat, gdy zmarła ich matka, i dorastała zapatrzona w ojca. Żałuję, że nic na to nie mogę poradzić, siostrzyczko.

- Możesz. - Ich spojrzenia się spotkały. - Wróć do domu, Ted.

Gdyby nie wyraz smutku, jaki malował się na jej twarzy, pomyślałby, że żartuje.

- Wiem, co myślisz - mówiła dalej niskim, nalegającym głosem. - Że nie czeka cię z jego strony serdeczne powitanie, że nie zechce się z tobą widzieć.

- Właśnie. - Nie taił nienawiści. - Siostrzyczko, odpowiedź brzmi: nie. Nie chcę znowu narażać się na odrzucenie.

- Tym razem będzie inaczej. Jest chory i...

- Akurat. To, że śmierć zagląda mu w oczy, niczego nie zmienia. Chciałem się z nim pogodzić wiele lat temu, pamiętasz? Wysłałem mu nawet zaproszenie na moją pierwszą poważną wystawę. Nie przyszedł. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby mnie zawiadomić, że nie przyjdzie. Potraktował ją jak nic nieznaczące widowisko, niegodne tego, żeby poświęcić mu choć chwilę uwagi.

Chociaż Ted rzadko powracał myślą do tego dnia, wydarzenia, które miały wtedy miejsce, bardzo wyraźnie utkwily mu w pamięci. Zawsze był dumny ze swoich osiągnięć. Był pewien, że ojciec też będzie z niego dumny mimo dzielących ich różnic. W tydzień po wysłaniu zaproszenia dzwonił do domu, by upewnić się, że dotarło. Telefon odebrała Lucinda, gospodyni Kandallów.

- Nie przyjdzie na wystawę, Teddy - powiedziała smutno. - Wyrzucił zaproszenie.

Ted nigdy więcej nie zadzwonił do domu.

- Wciąż gniewa się na ciebie za to, co się stało na pogrzebie mamy powiedziała Sandra. Rozdarta pomiędzy nich, starała się być lojalna wobec ojca.

- Racja. I nigdy nie przestanie być zły. Nigdy nie przestanie mnie nienawidzić.

- Nie masz racji. Zmienił się. Dojrzał.

Mówiła jednak bez przekonania.

- Mężczyźni tacy jak on nie zmieniają się tylko dlatego, że są chorzy. Po prostu robią się jeszcze bardziej podli.

- Nie mówiłbyś tak, gdybyś go zobaczył. Och, wciąż jest bardzo niezależny i czasami nie widać po nim, że jest chory. Ale wiem, że w głębi serca obawia się tego, co się z nim dzieje, tego, co go czeka.

- Ty i Lucinda opiekujecie się nim.

- To nie wystarczy. Potrzebuje wsparcia innego mężczyzny. Twojej siły i odwagi. Potrzebuje ciebie, Ted.

Niespodziewanie stanął mu przed oczami obraz matki. Pamiętał, jak patrzyła na niego, gdy widział ją żywą po raz ostatni. Studiował na uniwersytecie w Luizjanie, a matka często go odwiedzała. Przyleciała do Nowego Orleanu, żeby spędzić z nim weekend. Ubrana w brązowe spodnie i białą bluzkę z podwiniętymi rękawami mogła uchodzić za studentkę. Z dala od domu zachowywała się zupełnie inaczej, była pełna życia. Spędzili dwa dni, spacerując po dzielnicy francuskiej, jedząc zupę z okry i słuchając jazzu w stylu Dixieland.

W niedzielę wieczorem na lotnisku wsunęła mu do kieszeni koszuli czek na pięć tysięcy dolarów i uciszyła protesty, kładąc pachnący perfumami palec na ustach.

- Przestań być tak cholernie uparty i weź te pieniądze. Wiem, że ich potrzebujesz.

Dwa tygodnie później zobaczył ją znowu. W trumnie.

- Ted, słyszałeś, co powiedziałam? - Niski, natarczywy głos Sandry przywrócił go do rzeczywistości.

- Słyszałem, co mówiłaś, ale nie mogłbym się stąd wyrwać, nawet gdybym chciał - skłamał, starając się jakoś z tego wybrnąć. - Powiedziałem Lloydowi, że pojedę na Haiti, żeby zrobić reportaż o powrocie prezydenta Aristide'a.

- Jesteś wolnym strzelcem. Wykręć się z tego.

- Ojciec będzie wiedział, że wróciłem z powodu jego choroby.

- Nie, nie będzie. Pomyślałam o tym.

Ted uniósł brwi.

- Pomyślałaś?

- Tak. W Austin jest nowa galeria. Może o niej słyszałeś. Luberick. Gdybyś w najbliższym czasie zorganizował tam wystawę, byłoby to doskonałe wytłumaczenie twojego przylotu.

- Och, siostrzyczko. Ojciec od razu zorientuje się, o co chodzi.

- Nie, nie zorientuje się.

Choć jej determinacja poruszyła go, nie mogła zmienić jego uczuć. Dla niego i dla Charlesa było już za późno.

- To on postawił między nami mur... - powiedział raczej do siebie niż do niej.

- Mury buduje się po to, żeby je burzyć.

Widziała, jak na jego twarzy odbijają się sprzeczne uczucia, i chociaż rozumiała, przez co przechodzi, w głębi duszy była przekonana, że chce wrócić do domu.

- Wiem, że na początku trudno ci będzie stanąć z tatusiem twarzą w twarz, ale wiem też, że potrafisz się na to zdobyć. - Uśmiechnęła się. - Skoro udało ci się wydostać z irackiego więzienia, teraz także sobie poradzisz. - Przerwała na chwilę.
- Wiem, że go kochasz, Ted. Nawet nie próbuj zaprzeczać.

Chciał zaprzeczyć. Chciał jej powiedzieć, że nienawidzi starego za to, że odrzucał go przez wszystkie te lata, że nie kochał syna dość mocno, żeby mu wybaczyć i pozwolić iść swoją drogą.

Sandra znowu spojrzała na Teda.

- Czas zapomnieć o przeszłości, Ted. Czas, żebyśmy znowu stali się rodziną.

Zawahał się. Nigdy nie potrafił jej odmówić.

- Będę tego żałował - wymamrotał. - Z całą pewnością będę tego żałował.

Sandra odetchnęła z ulgą.

- To znaczy, że przylecisz?

Po chwili wahania Ted skinął głową.

- Tak, przylecę - powiedział.

- Co za wspaniały zapach - powiedziała Laura.

Stuart zaglądał do szafek kuchennych w poszukiwaniu korkociągu.

- *Coq au vin*?

- Marengo z kurczaka - poprawił ją. - To przepis, który wymyślił Napoleon podczas bitwy z Austriakami pod Marengo. Wykorzystał to, co było pod ręką: kurczaka, warzywa i oczywiście koniak.

Laura, której nie interesowała zbytnio kuchnia - francuska ani żadna inna - słuchała go jednym uchem. Stuart wbił korkociąg i zgrabnie odkorkował butelkę białego bordeaux.

Stuart Fleming był tak przystojny, jak utrzymywała jej matka. Wysoki, szczupły, o zielonych oczach - przypominał bardziej młodego lekkoatletę niż trzydziestosześcioletniego prokuratora.

Laura poznała go w lutym, kiedy J. B. urządził przyjęcie, by uczcić jej powrót do domu. Stuart, który dostał właśnie nominację na stanowisko zastępcy prokuratora okręgu Burnet, był jednym z zaproszonych gości. Laura od razu zwróciła na niego uwagę. Był inteligentny, skoncentrowany na karierze i potrafił rozmawiać niemal na każdy temat - od legalizacji narkotyków poczynając, na wpływie lasów tropikalnych na klimat kończąc. Jednak serce Laury zdobył nie elokwencją, lecz bezinteresownym poświęceniem dla ludzi, którym gorzej wiodło się w życiu, i pasją dla sprawiedliwości.

Z uśmiechem napełnił złocistym płynem dwa brzuchate kieliszki i podał jej jeden.

- Graves, rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty. Doskonale schłodzony.

Stuknęli się kieliszkami i Laura wypila odrobinę wina. Wolala dobre czerwone, ale Stuart, który był nie tylko kucharzem-smakoszem, lecz także koneserem win, byłby okropnie zawiedziony, gdyby nie wyraziła całkowitej aprobaty.

- No i co? - spytał z oczekiwaniem w głosie. - Dobrze?

- Wyśmienite. Będzie doskonale pasować do kurczaka.

Tchórz. Dlaczego nie powiesz mu, że marka wina nie ma dla ciebie znaczenia. Ważne jest tylko to, czy ci smakuje.

Stuart zmniejszył gaz pod błyszczącym czerwonym garnkiem, wziął Laurę za rękę i zaprowadził do salonu. W mieście miał ładny dom, dwie minuty od centrum Burnet, a w nim wszystko, co niezbędne dobrze zapowiadającemu się młodemu profesjonalście - bardzo nowoczesna kuchnia, salon i sypialnia, która jednocześnie pełniła funkcję gabinetu.

Siadając na sofie w biało-niebieskie paski, przyciągnął Laurę do siebie.

- O co chodzi z obiadem u twojej matki? Przez telefon byłaś bardzo tajemnicza.

Laura napiła się wina.

- To uroczysta kolacja. Mama znalazła pracę. Zaczyna od jutra.

Na twarzy Stuarta nie odmalowały się żadne uczucia.

- Naprawdę? Gdzie?

- W Złotej Papudze. Właśnie podpisała sześciotygodniowy kontrakt...

- Złota Papuga to speluna - oświadczył Stuart bezceremonialnie i puścił jej rękę.

- Nieprawda. To zupełnie przyzwoity nocny klub. Prowadzi go jeden z najstarszych przyjaciół J. B.

- Nie obchodzi mnie, kto go prowadzi. Nawet gdyby prowadził go sam papież, nie byłoby to odpowiednie miejsce dla mojej przyszłej teściowej. Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłaś Shirley podpisać kontrakt.

Laura najeżyła się. Zdarzało się to bardzo często, gdy rozmawiali o jej matce.

- Pozwoliłam? - powtórzyła. - Mówisz o niej tak, jakby była małym dzieckiem, a nie dorosłą kobietą.

- Bo zachowuje się jak dziecko. Ta decyzja tylko tego dowodzi. Czeka ją kolejna klęska.

Wiedziała doskonale, co ma na myśli. Dwadzieścia pięć lat wcześniej w Dallas jeden z kochanków Shirley wtargnął do jej garderoby, gdy przebierała się przed występem, i zaatakował ją nożem. Udało jej się wyrwać mu nóż, ale podczas szarpaniny zraniła go w ramię. Kilka dni później oboje wnieśli pozwy do sądu.

- Historia z Dallas to był odosobniony przypadek - powiedziała. - Nic podobnego więcej się nie zdarzyło.

- Powinnaś była ją powstrzymać - powtórzył z uporem.

- Jak mogę dyktować matce, co ma robić?

Z pogardą w głosie spytał:

- A chociaż spróbowałaś?

- Nie. Myślę, że to praca w sam raz dla niej. Nie tylko zarobi trochę pieniędzy, ale też będzie robiła to, co kocha.

- A wzięłaś pod uwagę wpływ, jaki jej decyzja może mieć na moją przyszłość? Matka narzeczonej śpiewająca sentymentalne piosenki o nieodwzajemnionej miłości w nocnym klubie pełnym napalonych żołnierzy. Jeśli to się rozniesie, może mi zaszkodzić w karierze.

Laura z hukiem odstawiła kieliszek na stolik do kawy.

- Do jasnej cholery, Stuart, dlaczego zawsze musisz się zastanawiać, w jaki sposób to, co robi albo czego nie robi moja matka, wpłynie na twoją karierę? Dlaczego nie możesz od czasu do czasu pomyśleć o niej?

Stuart lekko się zaczerwienił. Zażenowany wpatrywał się w kieliszek.

- Przepraszam - powiedział po chwili. - Chyba trochę przesadziłem. - Spojrzał na Laurę. - A poza tym wątpię, żeby powiązanie moje nazwisko z jej osobą.

Tylko to ma dla niego znaczenie. Laura posmutniała, kiedy uświadomiła sobie, że pomimo jej wysiłków Stuart nigdy nie zaakceptuje jej matki taką, jaka była. Prawdę powiedziawszy, Shirley była nieco płytką i egoistyczną, potrafiła jednak być czułą, wybacząca i aż do przesady szczodra.

- Wybaczysz mi? - Stuart pochylił się i przytulił twarz do jej policzka. - Jeśli się uśmiechniesz, przyjmę zaproszenie twojej matki na kolację.

Laura nie odsunęła się od niego. Nie należała do ludzi, którzy długo żywią

urazę.

- Nie będziesz robił złośliwych uwag na temat jej nowej pracy? Ani na temat jej stroju?

Zrobił znak krzyża na wysokości serca.

- Słowo harcerza. Przyniosę kwiaty i szampana.

Jego ujmujący uśmiech pokonał resztki jej oporu.

- Będzie zachwycona. Wiesz, że ma do ciebie słabość. Myśli, że jesteś najlepszą rzeczą, jaka mi się kiedykolwiek przytrafiła.

- Mam nadzieję, że ty też tak uważasz.

Nie czekając na odpowiedź, odstawił kieliszek i wziął ją w ramiona. Całował długo i namiętnie.

- Nie jesteś już na mnie zła? - spytał, gdy w końcu wypuścił ją z objęć.

- Hmm. Nie wiem - powiedziała. Chwyciła kołnierzyk jego koszuli i przyciągnęła go do siebie. - Może gdybyś zrobił to jeszcze raz...

Późno w nocy, leżąc w łóżku, Laura rozmyślała o sprzeczce, która niemal zepsuła im wieczór.

Na opinię Stuarta o Shirley Langfield - i wielu innych mieszkańców okręgu Burnet - wpłynęły wydarzenia, które miały miejsce wiele lat temu, gdy J. B. - wtedy jedna z najlepszych partii w okolicy - spotkał żywiołową śpiewaczkę z Dallas.

Mieszkańcy miasta patrzyli z dezaprobatą, jak go oczarowała, wyszła za niego za mąż i rok później opuściła, pozostawiając nie tylko jego, ale i swoją szesnastoletnią córkę, by robić karierę w Europie.

Ani Stuart, ani inni mieszkańcy Burnet nie podejrzewali jednak, że stał za tym Malcolm Kandall. Zły na J. B. za niepoehlebny artykuł, zemścił się, wykorzystując w tym celu jedyną osobę, którą J. B. kochał z całego serca - nowo poślubioną żonę.

Korzystając z okazji, że kariera Shirley utknęła w martwym punkcie, Malcolm załatwił jej spotkanie ze znajomym agentem z Europy. Dwa tygodnie później Shirley podpisała roczny kontrakt na trasę po amerykańskich bazach wojskowych w Niemczech, zarzekając się, że to rozwiązanie tymczasowe i że wróci, gdy tournée dobiegnie końca.

Laura błagała ją, żeby nie wyjeżdżała.

- Jak możesz to zrobić J. B.? - spytała. - Nie widzisz, że łamiesz mi serce?

Równie dobrze mogłaby mówić do obrazu.

- Wyjeżdżam tylko na rok, nie na zawsze, kochanie.

- A co ze mną? Ja też cię potrzebuję.

- Może przez jakiś czas zamieszkas w Lost Creek? Jeśli ci się nie spodoba albo jeśli będziesz za mną tęskniła tak bardzo, jak ci się wydaje, przyślę po ciebie. We Frankfurcie jest doskonała amerykańska szkoła.

Laura jednak wiedziała, że byłaby tylko zawadą. Poza tym nie chciała zostawiać J. B., którego kochała jak ojca, ani Lenoksa, angielskiego lokaja J. B., który troszczył się o nią jak kwoka o swoje kurczęta.

Zgodnie z jej przewidywaniami roczny kontrakt Shirley został przedłużony na następny rok, a potem na kolejne lata, aż w końcu stało się oczywiste, że Shirley nie zamierza wrócić do domu. W tym czasie J. B. dowiedział się o roli, jaką Malcolm odegrał w całej tej sprawie. Okazało się, że Kandall zapłacił niemieckiemu agentowi, żeby ten zaproponował Shirley kontrakt, umożliwiając jej karierę, bo wiedział, że nie będzie potrafiła odmówić. Było już jednak za późno, by temu zaradzić. Rozgoryczony J. B. złożył pozew o rozwód i życie na ranczu toczyło się dalej własnym torem, bez Shirley.

Laura potrzebowała wiele czasu, by wybaczyć matce. W końcu jednak jej się to udało. Gdy Shirley zadzwoniła z Niemiec osiem tygodni wcześniej, zdruzgotana myślą o tym, że jej kariera dobiega końca, Laura nie miała serca odprawić jej z kwitkiem.

Stuart od początku był przeciwny temu pomysłowi.

- Co cię opętało, żeby ją tu zaprosić? - spytał. - Tak bardzo zraniła ciebie i J. B. A poza tym gdzie zamierza się zatrzymać? Chyba nie u ciebie? A ranczo jest przecież własnością J. B., na miłość boską.

Na szczęście okazało się, że z tym nie ma problemu. Shirley, sprytna kobieta interesu, zainwestowała pieniądze, które dostała po rozwodzie, i gdy wróciła do Austin, miała na koncie sporą sumkę.

Mimo że zamieszkała z dala od Hill Country, jej powrót do Teksasu spotkał się z żywymi reakcjami mieszkańców okręgu Burnet. Wielu posunęło się nawet do otwartego wyrażenia dezaprobaty na łamach miejscowego tygodnika „Hillside”.

Teraz, gdy Shirley miała nową pracę, konflikt między Laurą a Stuartem mógł się nasilić. Co będzie, jeśli Shirley odniesie sukces? Czyjej powodzenie jeszcze bardziej rozgniewa Stuarta? A może nauczy się z tym żyć?

Laura kilka razy uderzyła pięścią w poduszkę i położyła na niej głowę z nadzieją, że wraz z nastaniem dnia jej kłopoty rozwiążą się same. Przynajmniej niektóre.

4

Siedząc za biurkiem i spoglądając na członków kolegium redakcyjnego, Laura w skrócie opowiedziała o tym, co zaszło między nią a Malcolmem Kandalem i jaki wpływ będzie to miało na sytuację „Sentinela”.

Wszyscy obecni byli oddanymi J. B. weteranami dziennikarstwa, którzy początkowo z dużą dozą sceptycyzmu przyjmowali proponowane przez nią zmiany.

Zmiany jednak były tym, czego wtedy właśnie rozpaczliwie potrzebowali. J. B. wprawdzie próbował skuteczniej zarządzać gazetą, ale „Sentinel” był źle prowadzony. Paraliżowała go biurokracja rodem z początku lat sześćdziesiątych.

Laura dokonała zasadniczych zmian. Wprowadziła nowe porządki, zwalniając niepotrzebnych pracowników, rozdzieliła na nowo obowiązki i odpowiedzialność, zrestrukturyzowała gazetę. Choć w ten sposób nie zaskarbiła sobie przychylności pracowników, osiągnęła jednak zamierzone cele.

W trzy tygodnie po tym, jak Laura została wydawcą, nowy „Austin Sentinel” znalazł się w sprzedaży. Początkowo czytelnicy przyjęli go z rezerwą. Mieszkańcy Austin jednak szybko zorientowali się, że teraz gazeta nie tylko jest źródłem informacji, ale po raz pierwszy od wielu lat przyjemnie się ją czyta.

I znowu wszystkie oczy były zwrócone na Laurę. Już raz udało jej się dokonać małego cudu, spodziewano się więc, że sprawi kolejny - pokona potężnego Malcolma Kandalla.

To było trudne zadanie. Trzy zlecenia, które stracili, przynosiły razem czterysta tysięcy dolarów tygodniowo. Bez tych pieniędzy - albo bez nowych zleceń, które zasiliłyby kasę, „Sentinel” nie przetrwa.

Spośród sześciu obecnych w pokoju osób tylko dwie - Ken Malloy, kierownik działu reklamy, i J. B. - wiedziały o problemach, jakim „Sentinel” będzie musiał stawić czoło. Pozostała czwórka - Marianne Lyons, kierowniczka działu finansowego, Johnny O'Toole, dyrektor naczelny, Leo Brunnel, dyrektor marketingu, oraz Milton Shank, redaktor naczelny - przyjęli niepomyślne wiadomości ze spokojem. Na ich twarzach jednak malowała się powaga, a w oczach czaił się smutek.

- Co będzie, jeśli nie zdobędziemy nowych zleceń? - spytała Marianne. - Albo jeśli stracimy następne? Ile czasu nam zostało? Sześć miesięcy? Mniej?

Laura i J. B. spojrzeli po sobie.

- Raczej trzy.

- Rozmawiałem z przyjacielem, który pracuje w banku, w sprawie kredytu - powiedział J. B. Laura spojrzała na niego ukradkiem niezadowolona. - Chciałem wziąć niewielką pożyczkę. Tyle tylko, żeby przetrwać kryzys. - Potrząsnął głową. - Niestety, zarząd odmówił - powiedział, wzdychając. - Przykro mi. Gdybym nie utopił tylu pieniędzy w maszynie, teraz nie byłibyśmy w tak kłopotliwym położeniu.

- Zrobiłeś to, co musiałeś, J. B. - powiedział Johnny O'Toole. - Kandall mnie wkurza. Za kogo on się, do diabła, uważa, żeby dyktować nam, co możemy, a czego nie możemy drukować?

Leo Brunnel przechylił krzesło do tyłu, opierając je o ścianę.

- Dobrze sobie poradziłaś z tą gnidą, Lauro. Z przyjemnością obwieściłbym światu, kim naprawdę jest: podłym szantażystą. Problem polega tylko na tym, że byłoby to twoje słowo przeciwko jego słowu.

- Zawsze moglibyśmy przyłożyć mu w jakiejś ciemnej uliczce. W marynarce tak załatwiamy sprawy z robactwem takim jak on.

Była to uwaga redaktora naczelnego Milтона Shanka, byłego sierżanta piechoty morskiej, którego nazywano „Buldogiem”.

Wszyscy się roześmiali.

Kenowi Malloyowi nie było do śmiechu. To dział reklamy, którym kierował, stracił trzy największe zlecenia.

- Co masz zamiar zrobić, Lauro? - spytał.

- Nie martw się, nie będzie żadnych przerw w pracy. Ale od dziś podróże służbowe zostają ograniczone do minimum, a wszystkie konferencje i seminaria marketingowe odwołujemy.

Laura patrzyła, jak kiwają głowami na znak zgody.

- Mam jeszcze kilka pomysłów, które chciałabym z wami przedyskutować - powiedziała, rozglądając się po pokoju. - Przede wszystkim uważam, że byłoby

błędem podniesienie stawek za ogłoszenia. Już teraz są zbyt wysokie. Odstraszyłyby to tylko potencjalnych klientów.

J. B. uniósł głowę.

- Zdaje się, że „New York Herald” przeżywał podobny kryzys kilka lat temu, prawda?

Laura skinęła głową.

- W 1991. Kierownictwo zdecydowało się obniżyć koszty, zmniejszając objętość gazety. My moglibyśmy zrobić to samo. Wszyscy wiecie, że poza pensjami druk kosztuje nas najwięcej. Zmniejszenie objętości nawet o kilka stron to będzie ogromna różnica.

- Nie chcesz chyba zamykać działów, prawda? - spytał Johnny.

- Nie. Na razie możemy skrócić artykuły.

Milton skinął głową.

- To może się udać. W dzisiejszych czasach czytelnicy to ludzie zajęci. Chcą krótkich, łatwych do przetrawienia wiadomości. - Podrapał się w głowę. - Ale to chyba nie wystarczy, żeby wyrównać straty.

- To prawda. - Laura przełożyła papiery na biurku. - Dlatego musimy zdobyć nowe zlecenia. Żeby to osiągnąć, trzeba będzie zwiększyć zasięg pisma.

Marianne, przewidując prośbę o dodatkowe fundusze, zmarszczyła brwi.

- Jak masz zamiar to zrobić, nie wydając pieniędzy? - spytała podejrzliwie.

Laura wyjęła notatnik z aktówki i pobieżnie przejrzała zapiski z poprzedniego wieczoru.

- Pomyślałam o reklamie radiowej. Chodzi mi o coś krótkiego i chwytliwego, żeby rozreklamować artykuł z rozkładówki.

Marianne jęknęła.

- Lauro, kampania reklamowa w radiu będzie kosztowała fortunę.

- Nie, jeśli połączymy ją ze specjalną ofertą promocyjną dla nowych prenumeratorów. Ostatnim razem zyskaliśmy w ten sposób ponad tysiąc nowych czytelników. Dodatkowe dochody przewyższą koszty kampanii.

J. B. skinął głową.

- Dyrektor działu reklamy w KYZZ jest moim przyjacielem. Zadzwoń do niego i spytam, czy będzie mógł coś dla nas zrobić.

Laura spojrzała na pozostałych.

- Jakież sprzeciwy?

Leo jako pierwszy wyraził swoje poparcie.

- Z mojej strony żadnego. Moglibyśmy nawet posunąć się dalej i wysłać na ulicę ankieterów. Dowiedzielibyśmy się, co ludzie lubią, a czego nie w nowym „Sentinelu”. Może chcą więcej historii z życia wziętych, a może więcej informacji lokalnych albo sportowych. Spróbujmy spełnić ich oczekiwania.

- A może konkurs dla dzieci? - zasugerował Milton. - Moglibyśmy zorganizować coś wspólnie ze skautami z Power Rangers albo na przykład dołączyć darmowy plakat do niedzielnego wydania gazety. To wystarczy, żeby w niedzielę potroić nakład.

Laura odprężyła się. Wątpliwości, które zachwiały jej wiarę w siebie, rozwiały się. Wiedziała już, dlaczego gazeta zdołała przetrwać tyle kryzysów. Klucz do zagadki był tutaj, w tym pokoju - przyczynili się do tego pełni entuzjazmu, utalentowani ludzie. Ich inwencja i odwaga pozwoliły pokonać wszystkie trudności i Laura była dumna, że jest częścią zespołu.

Tego - pomyślała z uśmiechem zadowolenia na twarzy - Malcolm Kandall z pewnością nie wziął pod uwagę.

W prochowcu, ciemnych okularach i kapeluszu z opuszczonym rondem Malcolm Kandall czekał, aż taksówka, którą jechał, zatrzyma się przy tylnym wejściu do Capri, nocnego klubu na dolnym Manhattanie, przy Dziesiątej Zachodniej. Wyciągnął z kieszeni plik banknotów i zapłacił kierowcy.

Boże, jak on nienawidzi tej części Nowego Jorku. Była ponura i zniszczona, a w nocy roilo się tu od typków spod ciemnej gwiazdy, dziwek i ćpunów. Nie rozumiał, dlaczego Enzo wybrał taką okolicę na bazę. Nie przyjechał tu jednak, by zastanawiać się nad jego upodobaniami. Chociaż jego rozkład zajęć nie

przewidywał zbyt wiele czasu na niespodziewane podróże, Malcolm musiał przylecieć do Nowego Jorku, bo Enzo go wezwał.

Nikt nie odmawiał Enziowi Scarpatiemu.

Malcolm poznał szefa mafii osiemnaście miesięcy wcześniej, podczas przyjęcia wydanego przez dobrego znajomego Malcolma, Jerry'ego Orbacha z Orbach Motors. Jerry, który zaczynał jako drobny sprzedawca samochodów w Nowym Jorku, sprzedał Enziowi pierwszą partię luksusowych limuzyn i od tamtej pory przez wiele lat utrzymywał z nim bliskie kontakty.

Chociaż Enzo Scarpati, którego baza mieściła się w Nowym Jorku, nie był tak znany jak inni mafiosi, na przykład John Gotti, Anthony Salerno czy Carmine Persico, uchodził za człowieka potężnego, którego wpływy polityczne sięgają Zachodniego Wybrzeża.

Podczas przyjęcia, Enziowi, drobnemu, nienagannie ubranemu mężczyźnie o przenikliwym spojrzeniu i dużym znamieniu na nosie, udało się porozmawiać z Malcolmem na osobności.

- Doszły mnie słuchy, że chce pan zostać gubernatorem - zagadnął Malcolma bez ogródek.

Przez następne pół godziny tłumaczył Kandallowi, jak dzięki jego wsparciu wybór na stanowisko gubernatora będzie miał zagwarantowany. Wymienił nawet nazwiska kilku polityków, których otoczył opieką.

Malcolm podszedł do tej propozycji z rezerwą. Dotąd myślał, że czeka go druga kadencja na stanowisku burmistrza, zanim uda mu się uzyskać nominację swojej partii w wyborach na gubernatora.

- A jeśli ktoś dowie się, że pan finansuje moją kampanię wyborczą?

- Uważa mnie pan za głupka? Nikt się nie dowie. Darowizny będą przekazywane za pośrednictwem moich legalnych firm w Teksasie i innych stanach. Nawet jeśli ktoś będzie coś podejrzewał, nie będzie mógł niczego dowieść.

Malcolmowi z trudem udało się ukryć podniecenie i chociaż wiedział, że przysługi tego rodzaju drogo kosztują, gotów był zapłacić każdą cenę.

- Czego pan chce w zamian?

Enzio uznał, że rybka połknęła haczyk, i uśmiech pewności siebie zagościł na jego twarzy.

- Chodzi o niewielką przysługę. Kiedy pan zostanie gubernatorem, ja wyznaczę osobę na stanowisko stanowego prokuratora generalnego.

Malcolm zgodził się współpracować z Enziem przed upływem doby. Chociaż decyzję podjął dużo wcześniej i nie musiał się nad nią zastanawiać, zwlekał z odpowiedzią. Nie chciał, żeby Enzo sądził, że można nim łatwo manipulować.

Następnego dnia przy wtórze fanfar i mnóstwa doniesień prasowych Malcolm ogłosił, że będzie kandydował na stanowisko gubernatora. Prawie od razu Enzo zaczął pompować ogromne sumy na konto funduszu wyborczego Malcolma. W miarę jak Malcolm stawał się coraz bardziej znany, wzrastała jego popularność i wkrótce członkowie partii republikańskiej zdali sobie sprawę, że tylko jeden człowiek - Malcolm Kandall - może pokonać urzędującego gubernatora w listopadowych wyborach.

Gdy taksówka, którą przyjechał, znikła w mroku, Malcolm podszedł do drzwi z napisem „Wstęp wzbroniony” i zapukał. Po chwili otworzył mu Hawajczyk o nieprzeniknionej twarzy, zbudowany jak zawodnik sumo.

Malcolm zdjął ciemne okulary.

- Enzo mnie oczekuje.

Wyraz twarzy głuchoniemego Hino nie zmienił się, ale wpuścił go do środka i zaprowadził schodami na górę. Obok drzwi, na których nie było żadnej tabliczki, siedziało dwóch mężczyzn, co prawda nie tak potężnych jak Hino, ale o równie groźnym wyglądzie. Przerwali grę w karty i spojrzeli na niego uważnie. Obaj mieli w kaburze pod pachą magnum kaliber 357.

Malcolm bardzo starał się nie wyglądać na zdenerwowanego. Żałował, że nie może spotkać się z Enziem na neutralnym gruncie, na przykład w holu hotelowym lub w zatłoczonym barze. Ale Enzo, który w ciągu ostatnich piętnastu lat przeżył trzy zamachy na swoje życie, rzadko opuszczał obecne miejsce pobytu. Gdy wyjeżdżał - czy to poza granice stanu, czy tylko na drugi koniec Manhattanu - trzech ochroniarzy nie odstępowało go na krok.

Malcolm wszedł do pokoju. Enzo siedział za biurkiem. Był jak zwykle ubrany w nienagannie skrojony brązowy prążkowany garnitur, kupiony na Savile Row, białą jedwabną koszulę, a w butonierce miał białą kamelię. Na palcu nosił ogromny sygnet z diamentem.

- Miło cię widzieć, Enzo - powiedział Malcolm, zdejmując kapelusz.

Podszedł do biurka z wyciągniętą ręką.

Enzio dotknął jego ręki koniuszkami palców i wskazał mu krzesło.

- Siadaj.

Nie powiedział proszę ani się nie uśmiechnął. Malcolm poczuł, że zaczyna się pocić pod pachami.

Enzio, który lubił patrzeć, jak w jego obecności ludzie się denerwują, otworzył dużą, stojącą na biurku skórzaną kasetkę z wytłoczonymi na wieczku inicjałami i popchnął ją w stronę Malcolma.

- Odpręż się, Malcolm. Poczęstuj się cygarem. Mój przyjaciel z Hawany właśnie przysłał mi kolejną partię. Są doskonałe.

Mimo że Malcolm nie znosił cygar, wziął jedno i powoli przesunął pod nosem.

- Masz kosztowane upodobania, Enzo.

Urodzony we Włoszech mafiozo zapalił cygaro złotą zapalniczką i lekko się zaciągnął.

- Moja matka, niech odpoczywa w pokoju, uważała, że od urodzenia mam kosztowne upodobania. - Zaciągnął się jeszcze raz i zamknął zapalniczkę, a potem podał ją Malcolmowi. - Niestety, byliśmy bez grosza i dlatego musiałem zdobyć majątek.

Pot spływał Malcolmowi po plecach. Nie podobała mu się ta pogawędka. Bez względu na to, po co Enzo go wezwał, wolałby od razu przejść do rzeczy.

- A więc - powiedział w końcu Enzo, opierając się na krześle - jak idzie kampania wyborcza?

- Doskonale. - Malcolm oparł się pokusie, by rozluźnić krawat pod szyją. - Według ostatnich sondaży mam dziewięć punktów przewagi.

- Mhmm... - Enzo odchylił głowę do tyłu i wydmuchał doskonale okrągłe kółko. - Słyszałem, że „Austin Sentinel” sprawdza pochodzenie twoich funduszy wyborczych?

A więc o to chodzi. Enzo usłyszał, że Laura wtyka nos w nie swoje sprawy. Malcolm zachichotał, próbując zbagatelizować problem.

- Nie musisz się tym martwić, Enzo. Jesteśmy skłóceni od dawna, a Laura

Spencer od czasu do czasu lubi trochę pomścić w poszukiwaniu brudów.

- Gdyby udało jej się coś znaleźć, zaszkodziłaby twojej kampanii.

- Nie uda jej się. Od dziś Laura Spencer ma inny priorytet. Musi ratować gazetę.

Chcąc wykazać się inicjatywą, opowiedział Enziowi, jak sobie z nią poradził.

- Widzisz więc - powiedział na zakończenie - że Laura Spencer nie powinna już stwarzać problemów. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby „Sentinel” zniknął z rynku przed upływem roku.

Enzio nie zareagował tak, jak oczekiwał Malcolm.

- To było głupie posunięcie, Malcolm. Do wyborów pozostał jeszcze miesiąc. Przez ten czas Laura może wyrządzić wiele szkody. - Jego spojrzenie stwardniało. - Niektóre babki są dziwne. Kiedy toną, chcą kogoś pogrążyć, zwykle tego, kto doprowadził do ich upadku.

Malcolm miał wrażenie, że powietrze w pokoju zgęstniało. Oddychał z trudem. Przeciągnął palcem pod kołnierzykiem koszuli.

- Nie znasz jej tak jak ja - powiedział, starając się opanować drżenie głosu. - Jest taka jak jej stary. Obchodzi ją tylko gazeta.

- Zdaje się, że przed chwilą powiedziałeś, że nie uda się jej ocalić.

- Nie. Ale Laura umrze, starając się to zrobić. - Smak cygara przyprawiał Malcolma o mdłości, położył go w popielniczkę. Przysięgam, Enzio, jestem ostatnią osobą, o której będzie myślała.

Enzio pochylił się nad biurkiem, wskazując cygarem w jego stronę.

- Po prostu nie lekceważ tej kobiety, Malcolm. Nie rozmawiamy o jakimś tanim pismaku. To przez nią poszedł siedzieć jeden z moich potężnych przyjaciół. Nikt inny nie umiał go przyskrzynić.

Przenikliwe, bezlitosne spojrzenie Enzia sprawiło, że Malcolm poczuł nieprzepartą chęć, by się czegoś napić i w ten sposób uspokoić nerwy.

- Mam na nią oko.

Enzio powoli pokiwał głową.

- Dobrze. Nie zniósłbym myśli, że cały czas i wysiłek, które w ciebie

zainwestowałem, nie mówiąc o pieniądzach, są stracone.

Malcolm zaczął się odprężać.

- Nie są. Możesz być tego pewien.

- Cieszę się, że ucieliśmy sobie miłą pogawędkę. - Enzo spojrział na złotego roleksa. - Byłeś już u Jerry'ego Orbacha?

- Tak.

- Lepiej wróc tam, zanim żona zorientuje się, że cię nie ma. - Zaczekał, aż Malcolm wstanie, i dodał: - Czy rozwiązała już swój mały problem?

Chryste, pomyślał Malcolm, czując, jak zimny dreszcz przebiega mu po krzyżu. Czy jest coś, czego ten facet nie wie?

- To też jest pod kontrolą, Enzo - powiedział i powtórzył, jakby chciał przekonać samego siebie. - Wszystko jest pod kontrolą.

Gdy Malcolm wyszedł, Enzo zadzwonił po Tony'ego Cordera, lojalnego pomocnika, który zajmował sąsiednie biuro. Kilka sekund później Tony dumnie wkroczył i usiadł na brzegu biurka Enzia.

- Wzywałeś mnie, szefie?

Był to niski, żylasty, przystojny Portorykańczyk, bardzo latynoski w typie. Miał gładko zaczesane do tyłu, związane w koński ogon włosy i zimne, błyszczące oczy, które sprawiały wrażenie, jakby zawsze miał gorączkę. Ubierał się elegancko, tak jak jego szef. Miał ciemnoszare spodnie, czarną jedwabną koszulę rozpiętą pod szyją i czarne eleganckie buty.

- Chcę, żebyś pojechał do Austin na kilka tygodni, Tony.

- Kłopoty, szefie?

- Chcę, żebyś to sprawdził. - Enzo położył cygaro w popielniczce i oparł się na krześle, krzyżując ręce na płaskim brzuchu. - Pamiętasz reporterkę Laurę Spencer?

Kącik cienkich ust Tony'ego uniósł się ku górze.

- Jak mógłbym zapomnieć? To przez nią Vince Denardi trafił do paki.

- Jest teraz wydawcą „Austin Sentinel”.

- Pan żartuje. - Wyraz jego twarzy nie zmienił się. Nic nie było w stanie wzruszyć Tony'ego Cordera. - Sprawia kłopoty, szefie?

- Możliwe. Chociaż Kandall zarzeka się, że nie. - Enzo przyjrzał się swoim wypielęgnowanym paznokciom. - Prowadzi śledztwo w sprawie jego funduszy na kampanię wyborczą. Nie podoba mi się sposób, w jaki Kandall sobie z tym radzi.

- Co zrobił?

- Namówił kilka grubych ryb, żeby zerwały kontrakty z „Sentinelem”. Miał nadzieję, że bez reklam gazeta padnie.

- A pan uważa, że ona się nie wycofa.

Enzio z uwagą przyglądał się diamentowemu sygnetowi połyskującemu na palcu.

- Babki takie jak ona nigdy się nie poddają.

- Może Kandall przysparza więcej kłopotów niż jest wart - zasugerował Tony. - Myślał pan o tym, szefie?

- Tak. I wierz mi, gdyby chodziło o jakikolwiek inny stan, nie Teksas, dałbym sobie z nim spokój. Ale w grę wchodzi ogromne pieniądze, Tony. Dlatego Kandall wart jest zachodu.

Nie przesadzał. Przemyt marihuany przez Rio Grande na tratwach meksykańskich „rzecznych szczurów” był najbardziej lukratywnym interesem w regionie, przynosił dochody rzędu milionów dolarów rocznie. Żeby mieć swój udział w tym biznesie, Enzo potrzebował poparcia wpływowych urzędników stanowych, takich jak Malcolm Kandall i człowiek, którego Enzo zamierzał umieścić na stanowisku prokuratora generalnego Teksasu.

- Co mam zrobić, szefie? - spytał Tony.

- W Austin zgłoś się do Luigiego. On załatwi ci samochód, broń i wszystko, co może być potrzebne. Jak się urządzisz, dowiedz się, co wie ta kobieta i kto jej dostarcza informacje. A co najważniejsze, sprawdź, czy ma coś, co mogłoby powiązać moje nazwisko z Kandallem.

Twarz Tony'ego pozostała bez wyrazu.

- A jeśli ma?

- Pozbądź się dowodów. - Enzo przerwał. - A potem pozbądź się jej.

5

Enzio odprowadził wzrokiem wychodzącego Tony'ego. Spośród wszystkich ludzi, którzy dla niego pracowali - ochroniarzy, pomocników, prawników - tylko Tony'ego Cordera darzył pełnym zaufaniem.

Natknął się na niego, gdy Tony wykrwawiał się od kuli przed klubem Capri dziesięć lat temu. Zamiast zadzwonić na policję, kazał Hinowi wnieść go do środka i wezwał osobistego lekarza.

Tony, który miał wtedy tylko osiemnaście lat, był młodocianym przestępcą o inteligentnej twarzy i kartotece policyjnej długiej na kilometr. Był bystry, szybki w działaniu i gotów zrobić wszystko za dach nad głową i okazję, żeby dołączyć do grona grubych ryb. Enzio, który znał się na ludziach, zapewnił mu jedno i drugie.

Tony szybko awansował w mafijnej hierarchii i Enzio wkrótce zorientował się, że dzieciak ma nie tylko odwagę, ale i inicjatywę. Jego jedyną słabością były kobiety. Niemal co tydzień miał nową babkę i chociaż zarzekał się, że to miłość jego życia, kolejne kobiety pojawiały się i znikwały z niezwykłą regularnością.

Enzio wolałby pomocnika o mniej rozbudzonym libido, ale dopóki kobiety nie przeszkadzały mu w pracy, nie obchodziło go, ile panienek Tony dmuchał.

Enzio wziął cygaro i ponownie je zapalił. Posłanie Tony'ego do Austin to był dobry ruch. On potrafi załatwić tę sprawę.

W piątek rano siedząca przy osłoniętym parasolem stoliku na tarasie hotelu Cztery Pory Roku Laura spojrzała na zegarek. Bill Smolen spóźnił się dwadzieścia minut na spotkanie, które miało się odbyć przy śniadaniu. To nie jest dobry znak. Zwłaszcza że dyrektor Choice Food, największej sieci sklepów spożywczych w Teksasie, znany był ze swej punktualności.

Chociaż Bill Smolen nie zerwał kontraktu reklamowego z „Sentinelem” tak jak inni, nie spieszył się z jego odnowieniem. Laura miała nadzieję, że przygotowana przez nią oferta skłoni go do zawarcia nowej umowy.

Zacząła się zastanawiać, czy nie zadzwonić do jego biura, gdy zobaczyła go w drzwiach restauracji. Spostrzegł ją, pomachał ręką i podszedł do stolika.

- Przepraszam za spóźnienie, Lauro - powiedział, siadając na krzesło naprzeciwko niej. - Dziś rano córka przywiozła do nas wnuki i mieliśmy urwanie głowy.

- Nie ma sprawy - powiedziała, uśmiechając się promiennie, i wręczyła mu kartę. - Mówią, że omlet *southwestern* jest doskonały.

- Nigdy nie jem przed partią golfa. Proszę tylko o kawę - powiedział, zwracając się do kelnerki, która przyszła po zamówienie.

Rozczarowana, że będzie miała mniej czasu na rozmowę, Laura zamknęła menu i powiedziała:

- Dla mnie to samo.

Kelnerka odeszła i Laura pochyliła się do przodu.

- Wiem, że jesteś zajęty, Bill, przejdę więc od razu do rzeczy. Słyszałam, że wkrótce otwieracie nowy sklep w południowym Austin i chcę złożyć ci ofertę, której, mam nadzieję, nie będziesz mógł odrzucić. - Już miała mu ją przedstawić, gdy Bill potrząsnął głową.

- Jestem pewien, że to bardzo kusząca propozycja, Lauro. Ciężko mi to mówić, bo J. B. i ja współpracujemy od dawna, ale niestety, nie planuję przedłużenia kontraktu z „Sentinelem”.

Laurze zrobiło się słabo.

- Dlaczego? - spytała.

Zdjął okulary i powoli przetarł je rogiem serwetki.

- Bo mimo że otwieramy nowy sklep, interesy w innych miejscach nie idą zbyt dobrze. Muszę obciąć budżet na reklamę.

- Twoje reklamy pojawiają się codziennie w „American Statesman”.

- Mam z nimi kontrakt do wiosny. Jeśli do tego czasu interesy będą szły lepiej, chętnie porozmawiam z tobą o nowym kontrakcie. Ale na razie muszę być ostrożny. - Założył okulary. - Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

Kelnerka przyniosła zamówioną kawę, ale Laura odsunęła filiżankę na bok.

- Nie, Bill, nie rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego przez ostatni tydzień bawisz się ze mną w kotka i myszkę i dlaczego uważasz, że musisz mnie okłamywać i opowiadać o cięciach w budżecie. Ale mogę spróbować zgadnąć. Wstydzisz się powiedzieć prawdę.

Zamrugnął oczami, jakby nagle dostał tiku nerwowego.

- Jaką prawdę? O czym ty mówisz?

Opierając łokcie na stole, Laura pochyliła się do przodu.

- Mówię o człowieku, który sprawił, że straciłam już trzy duże zlecenia reklamowe. To ten sam człowiek, który stara się wyeliminować mnie z interesu, bo nie podoba mu się to, co robię.

Bill uniósł rękę.

- Słuchaj, Lauro, nie mam ochoty ciągnąć tego tematu. To, co się dzieje między tobą a Malcolmem Kandalle, nie ma nic wspólnego ze mną...

- Skąd wiesz, że miałam na myśli Malcolma Kandalla? Nie wspomniałam jego nazwiska.

Bill lekko się zaczerwienił.

- Sądziłem... To znaczy wszyscy wiedzą...

- Dlaczego nie powiesz mi prawdy, Bill? Do ciebie też się dobrał. prawda?
- Nie czekając na odpowiedź, dodała. - Nie wiem, jakiego haka ma na ciebie Malcolm, ani co ci obiecał w zamian za to, że będziesz tańczył, jak ci zagra, ale znam cię. Jesteś uczciwy, honorowy i ciężko pracujesz. Chcesz współpracować z człowiekiem pozbawionym skrupułów? Z człowiekiem, który manipuluje ludźmi, jakby byli kukiełkami? Naprawdę tego chcesz?

Wzrok Billa przesunął się po bujnej roślinności hotelowego ogrodu i zatrzymał się na parze starszych ludzi idących obsadzoną kwiatami ścieżką.

- Moja decyzja nie ma nic wspólnego z Malcolmem Kandalle - powiedział stanowczo.

Mówiąc to, nie patrzył jej w oczy i Laura wiedziała, że odgadła prawdę. Tkwił w tym po uszy tak jak Schwartz i inni. Różnica polegała na tym, że przy odrobinie wysiłku może uda jej się go przekonać.

- A gdybym ci powiedziała, że przy twojej pomocy mogłabym zapobiec

wyborowi Malcolma Kandalla na gubernatora? - spytała cicho. - Powiedziałbyś mi wtedy prawdę?

Bill milczał przez chwilę, rozbudzając w Laurze nadzieję. W końcu spojrzał na nią i potrząsnął głową.

- Przykro mi, że źle mnie zrozumiałaś, Lauro. Nie mam ci nic do powiedzenia.

Laura wyprostowała się, powstrzymując westchnienie zawodu. Naiwnie wierzyła, że potrafi go przekonać, żeby powiedział prawdę. Gdy Malcolm miał kogoś w garści, nie pozwalał mu się wymknąć.

- Dobrze, jak chcesz - powiedziała, podpisując czek. - Nie będę cię więcej naciskać. Tylko za kilka miesięcy nie przychodź do mnie narzekać, kiedy okaże się, że człowiek, którego wybraliście, jest zwykłym łajdakiem. Nie będę chciała tego słuchać.

Wstała, skinęła mu głową i odeszła, nie czekając, aż wstanie z miejsca.

- Co cię, do diabła, napadło? - spytał Stuart z wyrazem zaskoczenia na przystojnej twarzy, gdy Laura pociągnęła go na sofę.

Sama nie była pewna. Miała bardzo kiepski dzień. Przygnębiona chciała pojechać prosto do domu i wziąć gorącą kąpiel, ale w ostatniej chwili zmieniła zamiar. Zawróciła i pojechała do Stuarta.

Zręcznie zdjęła mu krawat i rzuciła za siebie.

- Miałam ciężki dzień.

Odpięła guziki koszuli i położyła ręce na jego gładkiej, opalanej klatce piersiowej.

- Człowiek, z którym miałam nadzieję zrobić dobry interes, zawiódł, a jeden z moich najlepszych redaktorów odszedł.

- Fatalnie.

- Tak. - Spojrzała mu w oczy. - Zrób coś, żebym przestała o tym myśleć.

Stuart oblizwał wargi.

- Co?

- Kochaj się ze mną. - Wyzbywając się zahamowań, popchnęła go lekko. Opadł na sofę, a Laura opadła na niego. - Tutaj. Teraz.

- Lauro... to dość niespodziewane... - Patrzył, jak rozpina mu pasek od spodni. - Chodźmy na górę, będzie nam wygodniej...

- Nie. - Rozpięła rozporek i ściągnęła mu spodnie z bioder. - Chcę się kochać tutaj, przy zapalonym świetle. Chcę zrobić coś, czego nigdy przedtem nie robiliśmy.

Jego jabłko Adama zadrgało.

- Na przykład co?

- To. - Z uśmiechem obietnicy odpięła guziki czerwonej szmizjerki i rzuciła ją na podłogę.

- Lauro!

Uśmiechnęła się, widząc jego erekcję. Pruderyjny czy nie, podniecił się.

Ubrana tylko w czarne figi, koronkowy stanik i pończochy usiadła na nim okrakiem.

- Weź mnie na przejażdżkę, kowboju. Na długą przejażdżkę.

Stuart odpiął jej stanik. Przyciągnął ją do siebie i chwycił sutkę w usta.

Ssał, cicho jęcząc. Niestety, gdy przeszedł do drugiej piersi był już w pełni pobudzony. A kiedy Stuart był podniecony, jego potrzeby musiały być szybko zaspokojone, często kosztem jej własnych.

Nie dzisiaj, pomyślała, powoli prostując nogi. Dzisiaj chciała, żeby kochał się z nią powoli, z miłością. Chciała, żeby ją objął, pocieszył i powiedział, że wszystko będzie dobrze.

- Pragniesz mnie, prawda?

- Pewnie.

- Jak bardzo?

- Pozwól mi wejść do środka - Stuart dyszał - to ci pokażę.

- Jeszcze nie.

Skubała koniuszek jego ucha, przesuując rękami wolno wzdłuż jego ciała.

Skubanie zrobiło swoje. Wszedł w nią z jękiem wyrażającym zarówno przyjemność, jak i żal. Chciała się odsunąć, ale jej nie pozwolił.

- Niegrzeczna dziewczynka - powiedział, poruszając się szybko. Doszedł do punktu, z którego nie było już odwrotu. - Zrobiłaś to naumyślnie? Chciałaś mnie podniecić, prawda?

Przez chwilę była tak rozżalona, że niemal się wycofała. Ale on był już za daleko, ścisnął jej piersi i mamrotał namiętne słowa. Nie miała serca pozbawić go tego.

Sprawnie, tak jak nauczyła się przez ostatnich sześć miesięcy, zaczęła poruszać się razem z nim. Choć gdyby tego nie robiła, z pewnością nie sprawiłoby mu to żadnej różnicy.

Szczytował w ciągu kilku sekund, a gdy skończył, zrobił to, co zawsze. Pocałował ją w policzek i powiedział:

- O rany!

Z cichym westchnieniem rozczarowania położyła mu policzek na piersi. Może to jej wina. Za dużo podnieć - czarne koronki i prowokujące zaczepki. Biedny facet nie miał szans.

Laura lubiła się przytulać tak bardzo, jak lubiła seks. Teraz przytuliła się do Stuarta i zaczęła opowiadać o tym, jak minął jej dzień od pełnego nadziei początku, aż do końca, gdy Jan Newcomb powiedziała, że odchodzi.

- Gdyby tylko udało mi się zdemaskować Malcolma Kandalla - powiedziała, rysując palcem małe kółeczka wokół jego brodawek. - To byłby najlepszy artykuł polityczny od czasu Watergate, a nakład rozszedłby się w milionach egzemplarzy. „Sentinel” byłby ocalony.

Westchnęła i czekała na słowa otuchy. Gdy Stuart się nie odezwał, podniosła głowę i spojrzała na niego. Spał głęboko.

6

Agent Teda potrzebował zaledwie kilku dni, by zorganizować wystawę w galerii Luberick. Właścicielka - komisarz wystaw w Muzeum Sztuki Współczesnej w Nowym Jorku - była zachwycona, że będzie mogła pokazać prace „jednego z najwybitniejszych współczesnych fotografików”.

Po raz pierwszy od szesnastu lat Ted stanął na teksaskiej ziemi. W drodze do rodzinnego domu, ogarnęła go nostalgia, gdy patrzył na znajomy krajobraz za oknami czarnego, wynajętego na lotnisku bmw.

Chociaż w miarę upływu lat miasto zmieniało się, West Avenue - najlepszy adres w Austin - pozostała taka sama.

Po obu stronach w cieniu majestatycznych dębów na nienagannie przystrzyżonych trawnikach stały stare, okazałe domostwa. Staromodne bentleye zastąpiły już wprawdzie błyszczące nowe mercedesy, jednak atmosfera dawnych czasów pozostała.

Ted podjechał do krawężnika przy końcu ulicy i zatrzymał się. Dwupiętrowy dom Kandallów w stylu angielskiego gotyku zbudował pod koniec XIX wieku kapitan armii konfederatów. Prapradziadek Teda, wówczas sędzia okręgowy, kupił ten dom w roku tysiąc dziewięćset trzecim i od tamtej pory był on siedzibą rodziny Kandallów.

Siedząc za kierownicą, Ted wyciągnął z kieszeni koszuli paczkę marlboro, wyjął papierosa, zapalił i mocno się zaciągnął.

Wizyta w domu rodzinnym wzbudzała w nim mieszane uczucia. Mimo że spędził w nim przyjemne chwile, przysłoniło je wspomnienie zbyt wielu kłótni, zbyt wielu oskarżeń i gróźb.

Pamiętał, jak przysięgał, że jego noga nigdy więcej tu nie postanie, a jednak był tutaj, w miejscu, gdzie zaczęło się jego życie i gdzie umarła część jego samego.

Wahał się przez chwilę, w końcu otworzył popielniczkę, zgasił papierosa i wysiadł z samochodu.

Nie zdążył nacisnąć dzwonka. Usłyszał odgłos pośpiesznych kroków i Lucinda, od ponad trzydziestu lat gospodyni Kandallów, gwałtownie otworzyła drzwi.

- *Dios mio!* - krzyknęła, przytulając Teda do obfitej piersi. - To ty. To naprawdę ty.

- W całej okazałości, Lucy.

Wypuściła go z objęć, żeby mu się przyjrzeć, ale wciąż trzymała go za rękę.

- Och, Teddy, tak bardzo za tobą tęskniłam.

- A ja za tobą, Lucy. Bardziej, niż myślisz.

Łza potoczyła się po jej okrągłym, ciemnym policzku. Otarła ją wierzchem dłoni.

- Tak bardzo się o ciebie martwiłam. Bez przerwy podróżujesz, wciąż narażasz się na niebezpieczeństwo. - Potrząsnęła głową. - To niezdrowe.

- Myślałem, że zawarliśmy umowę. Ja dbam o siebie, a ty się nie martwisz.

- Za dobrze cię znam, Ted. Wiem, jaki z ciebie niespokojny duch, jak uwielbiasz ryzyko.

Objął Lucindę i uściskał z czułością.

- Jesteś tak śliczna jak zawsze - powiedział, zmieniając temat. - Twój mąż to szczęściarz.

Zachichotała, a Ted pogładził ją czule po gęstych czarnych włosach, teraz gęsto przetykanych siwizną.

- Przestań.

Ted jednak wiedział, że komplement sprawił jej przyjemność. Po chwili spoważniała i powiedziała:

- Ucieszyłam się, kiedy Sandra powiedziała mi, że zgodziłeś się przyjechać. - Westchnęła ciężko. - Twój biedny ojciec.

- Jak on się czuje, Lucy?

- Czasami dobrze, a czasami... - Potrząsnęła głową. - Aż się serce kraje.

- Jest w domu?

Skinęła twierdząco głową.

- Jest w bibliotece. Pracuje nad przemówieniem dla twojego wuja.

W głosie Teda zabrzmiała gorzka nuta.

- Co się stało? Wuj Malcolm nie stać, żeby zatrudnić kogoś do pisania przemówień?

- To przemówienie, które twój ojciec wygłosi osobiście w Izbie Handlowej w piątek. Bardzo się zaangażował w kampanię twojego wuja.

- Sandra mi mówiła.

Ted stał niezdecydowany, niepewny, czy jest gotów stanąć twarzą w twarz z ojcem. Lucinda, popychając go lekko, ale zdecydowanie, pomogła mu podjąć decyzję.

- Idź, *hijo* - szepnęła. - Już czas.

Drzwi do biblioteki były uchylone. Ted otworzył je powoli, rozglądając się po wyłożonym boazerią pokoju z brązowymi skórzanymi fotelami, masywnym biurkiem z drzewa różanego i regałami sięgającymi do sufitu, wypełnionymi starymi książkami prawniczymi.

Nic się nie zmieniło. Wcale go to nie zdziwiło. Charles Kandall był konserwatystą, który zawsze opierał się zmianom, i taką politykę forsował zarówno w senacie, jak i we własnym domu.

Ojciec stał przy oknie. Spoglądał na rozległy dziedziniec, który w szczęśliwszych czasach był widownią niezliczonych rodzinnych pikników i rozgrywek piłki nożnej.

- Cześć, tato. - Ted tak dawno nie wypowiadał tych słów, że niemal uwięzły mu w gardle.

Zobaczył, jak plecy ojca sztywnieją. Zdawało się, że upłynęła wieczność, zanim się odwrócił. Na widok ojca przeżył szok. Choroba wyniszczyła Charlesa. Prawie zupełnie wyłysiał, a jego twarz była blada i poryta zmarszczkami. Choć nie był wysoki, zawsze wydawał się wyższy i silniejszy, niż był w rzeczywistości, bo trzymał się prosto. Dzięki temu robił odpowiednie wrażenie, przemawiając w senacie. Teraz zabrakło tej siły. Był skurczony i postarzały.

Tylko wyraz jego niebieskich oczu nie uległ zmianie. Patrzył na Teda jak na obcego człowieka.

Równie dobrze mogliśmy nie widzieć się milion lat, a nie szesnaście, pomyślał Ted. Mimo to uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Lucinda powiedziała mi, że tu jesteś.

- Czego chcesz? - Charles wypowiedział te słowa głosem spokojnym, zimnym i całkowicie wypranym z emocji, choć nie tak silnym jak we wspomnieniach Teda.

Pod jego twardym, beznamytnym spojrzeniem Ted znowu poczuł się jak dziesięciolatek. Dlaczego, do diabła, dał się Sandrze namówić na przyjazd? To oczywiście, że nie jest tu mile widziany. I nigdy nie będzie.

- W przyszłym tygodniu w galerii Luberick będzie wystawa moich prac, a skoro jestem w mieście, pomyślałem, że wpadnę i się przywitam.

- Dlaczego?

Ted odchrząknął.

- Chciałem się dowiedzieć, jak się czujesz.

- Od kiedy cię to obchodzi? - spytał Charles. Pytanie zabrzmiało jak oskarżenie.

- Nigdy nie przestało mnie obchodzić.

Nie miał zamiaru tego mówić. Nie chciał ujawniać swoich uczuć, żeby Charles mógł z nich szydzić. Teraz jednak, gdy to już się stało, zdawało mu się, że zadanie, jakie miał do wypełnienia, jest łatwiejsze.

- Musimy porozmawiać, tato.

Charles uniósł brodę. Przypominał teraz człowieka, jakim był niegdyś.

- Szesnaście lat temu powiedzieliśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia.

- Nie, to nieprawda.

Ted podszedł powoli i zatrzymał się kilka metrów od ojca. Z bliska zmiany w jego wyglądzie były jeszcze bardziej uderzające: miał ciemne kręgi pod oczami i głębokie zmarszczki wokół ust.

- Przynajmniej taką mam nadzieję.

Potraktował milczenie Charlesa jako zachętę.

- Przez te wszystkie lata chciałem ci tyle powiedzieć, ale nigdy mi na to nie pozwoliłeś. Dlatego przyjechałem. Pomyślałem, że wysłuchasz mnie, jeśli spotkamy się twarzą w twarz.

Żaden mięsień nie drgnął na jego twarzy. Z rękami założonymi na plecach Charles odwrócił się do okna. Gdyby nie Sandra, Ted od razu wyszedłby z pokoju. Wziął jednak głęboki wdech, powoli policzył do pięciu, a potem znowu się odezwał.

- Wiem, że w dniu pogrzebu mamy powiedziałem kilka ostrych słów. Chciałbym cię za to przeprosić, chociaż, prawdę mówiąc, nie pamiętam dokładnie, co powiedziałem...

Charles zwrócił się do niego profilem. Po raz pierwszy wydawało się, że jego twarz się ożywiła.

- W takim razie pozwól, że odświeżę ci pamięć. Powiedziałeś, cytując: „Nigdy, póki żyję, moja noga nie postanie w tym domu. Jesteś tylko pieprzonym mordercą i mam nadzieję, że zgnijesz w piekle”. - Charles uniósł cienką siwą brew.
- Czy to ci coś przypomina?

Ted poczuł przeszywający ból na dźwięk dawno zapomnianych słów. Jak ojciec mógł mu kiedykolwiek przebaczyć, skoro tak dobrze pamiętał rzucone w gniewie oskarżenie?

- Tamtego dnia cierpiałem - powiedział Ted na swoją obronę. Chciałem kogoś zranić. - Przerwał. - Byłem wtedy bardzo młody.

- Teraz więc, gdy jesteś starszy i, jak przypuszczam, mądrzejszy, przyszedłeś zebrać o przebaczenie? O to ci chodzi?

Ted najeżył się.

- Trudno to nazwać zebraniem...

- A może usłyszałeś, że jestem chory, i przyjechałeś, żeby sprawdzić, ile czasu będziesz jeszcze musiał czekać na spadek? - Jego usta wykrzywiły się w napiętym, prawie okrutnym uśmiechu. - Zgadłem?

Ted poczuł, jak się czerwieni.

- Nie, nie zgadłeś - powiedział, nie zadając sobie trudu, by zaprzeczyć, że wie o chorobie Charlesa. - Nie obchodzi mnie twoje pieniądze. Teraz zarabiam na przyzwoite utrzymanie. Wiedziałbyś o tym, tato, gdybyś zadał sobie trud i śledził moją karierę.

Charles niecierpliwie machnął ręką.

- Jeśli przyszedłeś tu, żeby chełpić się swoimi osiągnięciami, to tracisz czas. Nie obchodzi mnie twoja kariera ani to, ile pieniędzy zarabiasz i jakie sukcesy odnosisz. Dawno temu przestałem się o ciebie troszczyć.

Ted stracił resztki opanowania.

- Troszczyć? - Zaśmiał się sarkastycznie. - Nigdy o nikogo się nie troszczyłeś. Zawsze byłeś zbyt zajęty. Spotkania z wyborcami, spotkania z prezydentami. Nigdy nie miałeś czasu ani dla mnie, ani dla mamy, ani nawet dla Sandry. Ale oczywiście nikt o tym nie wiedział. W oczach ludzi byliśmy idealną rodziną idealnego senatora. Powiem ci coś, tato. Nie byłeś i nie jesteś ideałem. Daleko ci do tego.

Oczy Charlesa płonęły wściekłością. Wyprostował się, jakby miał zamiar uderzyć syna.

- Ty bezwartościowy mały śmieciu. Wynoś się z mojego domu. Wynoś się, bo cię zatłukę!

- Z przyjemnością!

Ted zacisnął pięści. Obrócił się na pięcie i wybiegł z pokoju w dwóch ach. W korytarzu prawie zderzył się z Lucindą.

- Co się stało? - krzyknęła, patrząc na Teda.

- Dlaczego nie spytasz ojca?

Wyminął ją i nie oglądając się, wybiegł z domu.

W samochodzie ścisnął kierownicę tak mocno, że pobiełały mu kłykcie. Ten sukinsyn znowu to zrobił. Dobrze wiedział, który guzik nacisnąć, żeby Ted stracił nad sobą panowanie. To dar, który zdaje się, mieli wszyscy mężczyźni z rodu Kandallów. Łącznie z Tedem. Zaczekał, aż trochę się uspokoi, a potem zapalił samochód. Zignorował kobietę, która stała po drugiej stronie ulicy na ganku swego domu, patrząc na niego, i ruszył na zachód, na ranczo J. B.

Następnym razem nawet oddział antyterrorystyczny nie ściągnie go z

powrotem.

Codziennie rano o tej porze roku Malcolm Kandall siedział na tarasie swojego luksusowego domu nad jeziorem w eleganckiej dzielnicy zachodniego Austin. Jadł lekkie śniadanie złożone z tostów, świeżego soku pomarańczowego i czarnej kawy.

To był przepiękny poranek i chociaż Malcolm bał się, że cierpiąca z powodu kaca Barbara może zepsuć mu dzień, szybki rzut oka na wyniki ostatnich sondaży przedwyborczych, w których wciąż znacznie wyprzedzał urzędującego gubernatora, pomógł mu zobaczyć wszystko w jaśniejszym świetle.

Niebieski żagiel przepływającego obok jachtu delikatnie łopotał w porannym wietrze. Dwoje żeglarzy pomachało mu, a Malcolm im odmachał. Nie mógł sobie pozwolić na nieuprzejmość, zwłaszcza że do wyborów pozostały niecałe cztery tygodnie.

Skończył pić kawę, a zawsze usłużna gosposia przyszła, żeby nalać mu świeżej.

- Czy pani Kandall dołączy do pana?

- Spodziewam się, że niedługo zejdzie, Dolores. - Ze srebrnego koszyczka na pieczywo wziął posmarowanego masłem tosta. - Nie czuje się dziś dobrze. Może zajrzyć do niej?

- Nie trzeba, kochanie - odezwał się wesoły głos. - Czuję się świetnie.

Barbara weszła na taras, a Malcolm szybko wstał.

- Widzę.

Odsunął jej krzesło. Z ulgą stwierdził, że nie ma śladu po kacu. Jej krótkie brązowe włosy były teraz modnie zaczesane, a zielone oczy, wciąż jeszcze lekko nabiegłe krwią, nie były tak przekrwione jak godzinę temu.

Malcolm pocałował ją w policzek.

- Ślicznie wyglądasz, kochanie. Nowa sukienka?

Barbara zaczerwieniła się z radości.

- Tak. Matka kupiła mi ją w zeszłym miesiącu w Paryżu. Podoba ci się?

Chociaż Malcolm nie cierpiał swojej teściowej, nigdy nie kwestionował jej dobrego gustu.

- Do twarzy ci w czerwonym. Powinnaś częściej się tak ubierać. - Poczekał, aż Dolores postawi talerz świeżych owoców przed Barbarą. - Tak się cieszę, że czujesz się lepiej, kochanie. Czy to znaczy, że zmieniłaś zdanie i pojedziesz na umówione spotkania?

- Wszystko zgodnie z harmonogramem.

Wzięła z talerza cienki plasterk kantalupa i ugryzła.

- Powiedz Clive'owi, żeby podjechał po mnie o wpół do dziesiątej. Pojedziemy prosto na uniwersytet stanowy.

Malcolm był zadowolony. W ciągu ostatnich kilku lat głosy młodych wyborców liczyły się coraz bardziej i odwoływanie spotkania w ostatniej chwili, nawet jeśli robiła to tylko żona kandydata, szkodziło jego wizerunkowi.

- Doskonale - powiedział, myśląc o własnym pracowitym dniu. - Nie zapomnij, że dziś jest kolacja u Aldenów. Muszę polecieć do El Paso na spotkanie ze współpracownikami, ale powinienem być z powrotem około szóstej.

- Pamiętam, ale... - przerwała skrepowana. - Może poszedłbyś tam sam, kochanie? Nie sądzę, żeby...

Malcolm zachmurzył się.

- Oczywiście, że nie. Jak by to wyglądało, gdybym poszedł bez ciebie?

- Jestem pewna, że John zrozumie.

- Nie o to chodzi. Aldenowie zaprosili na kolację kilku bardzo wpływowych polityków z Teksasu wraz z żonami. Będzie senator Babcock, a nie muszę ci mówić, jak ważne jest jego poparcie.

Popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem.

- Malcolm, bądź rozsądny. W tym tygodniu co wieczór bierzemy udział w jakiejś imprezie. Jestem wyczerpana.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale od początku wiedzieliśmy, że nie będzie

łatwo. - Zorientował się, że w jego głosie słyhać irytację, i natychmiast przywołał się do porządku. Znów był wyrozumiałym, troskliwym mężem. Sięgnął ręką przez stół i ujął dłoń Barbary. - Wiem, że masz bardzo napięty harmonogram, kochanie, i wierz mi, jestem ci wdzięczny, że tak się angażujesz w moją kampanię. Proszę cię tylko, żebyś wytrzymała jeszcze trochę.

Barbara pozwoliła sobie na rzadki u niej gest zniecierpliwienia i wyszarpnęła rękę.

- Joan i Skip Aldenowie zaczynają mi grać na nerwach. Zawsze kręcą się koło mnie, obserwują, pytają, czy dobrze się czuję, czy czegoś mi nie potrzeba. Zachowują się, jakbym była inwalidką.

- Ależ kochanie, to dlatego, że martwią się o ciebie. Tak jak ja.

Weszła Dolores, niosąc telefon.

- To do pani Kandall. Pani Alden.

Barbara spojrzała w górę i wzięła słuchawkę od gospodyni.

- Cześć, Joan - powiedziała.

Podczas gdy Barbara rozmawiała z przyjaciółką, Malcolm zamieszał kawę. Nie mógł wyjść z podziwu, jak szybko doszła do siebie. Inna kobieta na jej miejscu nie byłaby w stanie podnieść się z łóżka. Ale nie Barbara. Bez względu na to, jak źle się czuła, jego kariera zawsze była na pierwszym miejscu.

Odkąd ją poznał osiemnaście lat temu, wiedział, że ma wszystkie cechy dobrej żony ambitnego polityka - urok, inteligencję i doskonałe pochodzenie. Oczywiście pieniądze też były ważne. Tak ważne, że gdy Malcolm dowiedział się, że Barbara nie dostanie pieniędzy, dopóki jej matka, Deirdre, nie umrze, niemal odwołał ślub.

Na szczęście bardzo szybko odzyskał rozum. W końcu Deirdre Fenton, która miała wówczas pięćdziesiąt dziewięć lat, nie będzie żyła wiecznie. Mylił się. Choć od osiemdziesiątych pierwszych urodzin dzielił ją zaledwie tydzień wyglądała tak, jakby zamierzała wszystkich przeżyć.

Fakt, że nie kochał Barbary, nie miał wpływu na ich wzajemne stosunki. Czy to przed tłumem wyborców, czy w zaciszu własnej sypialni Malcolm był mistrzem sztuki aktorskiej i potrafił zagrać każdą rolę.

Jedno ze swych najlepszych przedstawień odegrał na wieść o tym, że po

dwóch poronieniach Barbara nie będzie mogła mieć dzieci. Chociaż wiedział, że duża rodzina to dla polityka atut, cieszył się, bo nie chciał mieć do czynienia z brudnymi rączkami i zasmarkanym nosem dziecka.

Jedyną rysą na ich „idealnym” małżeństwie było pijaństwo Barbary, za które naturalnie Deirdre obwiniała jego.

- Gdybyś spędzał z nią więcej czasu - powiedziała mu pewnej niedzieli po jednym z pijackich wyskoków Barbary - nie musiałaby szukać pocieszenia w butelce.

Aldenowie, ich najbliżsi przyjaciele, mówili o tym bez ogródek. Namawiali Barbarę, żeby poszukała pomocy u profesjonalisty. Malcolm jednak był temu zdecydowanie przeciwny. Uważał, że ujawnienie problemów żony z alkoholem, przekreśliłoby jego karierę. Może później, po wyborach, dopilnuje, żeby leczyła się w ośrodku odwykowym. Nie w jakimś „uzdrowisku” dla alkoholików, gdzie dziennikarze z „National Enquirer” i innych szmatławców tylko czyhają na sensacje, ale w dyskretnym, godnym zaufania ośrodku za granicą.

Do tego czasu nie zrobi nic, co mogłoby zagrozić jego karierze. W przeciwieństwie do brata, który po śmierci żony Elżbiety zrezygnował z fotela senatora, nie zamierzał pozwolić, żeby ktokolwiek lub cokolwiek stanęło mu na drodze.

Odgłos słuchawki odkładanej na widełki przerwał jego rozmyślenia. Barbara trzymała dłonie przyciśnięte do ust. Krew odpłynęła jej z twarzy.

Zaniepokojony odstawił filiżankę.

- Co się stało? - spytał.

- Ted wrócił - odpowiedziała ledwie słyszalnym szeptem.

- Ted? - Malcolm oparł się o krzesło. - To niemożliwe. Charles powiedziałby nam o tym.

- Jest w Austin. Joan widziała, jak wychodził z domu twojego brata. - Zaczęła drzeć. - Och, Malcolm, co będzie, jeśli odkryje prawdę o śmierci swojej matki?

Tym razem Malcolm ujął obie jej ręce i mocno przytrzymał. Nie może dopuścić, żeby teraz się załamała.

- Głuptasie - powiedział, starając się dodać jej otuchy. - Na pewno nie o to

chodzi. Prawdopodobnie dowiedział się, że Charles jest chory, i przyjechał go odwiedzić, to wszystko.

Wydawało się, że jego słowa do niej nie docierają.

- O mój Boże, co ja zrobię, jak tu przyjdzie? Jak ja mu spojrzę w twarz?

7

- Masz, synu. Napij się. - J. B., stojąc przy barze, podał Tedowi szklaneczkę *wild turkey*. - Dobrze ci to zrobi.

Chociaż alkohol nie mógł mu wiele pomóc, Ted napił się i poczekał, aż trunek spłynie do żołądka. Podeszedł do sofy i usiadł.

Tutaj, na ranchu J. B., zawsze czuł się jak w domu. Przez te wszystkie lata, gdy życie na West Avenue było coraz bardziej nie do zniesienia, w Lost Creek czuł się jak w raju. Było to jedyne miejsce, gdzie naprawdę mógł się odprężyć. I marzyć.

- Jak się miewa twój ojciec?

Ted wiedział, że może zaufać J. B., opowiedział mu więc o chorobie Charlesa i ostatniej wizycie Sandry w Londynie.

J. B. sącył piwo. Nigdy specjalnie nie przepadał za Kandallami. Nawet w najlepszych czasach byli jak pryszcz na tyłku. Ale z pewnością lubił tego chłopaka. Lubiał jego sposób bycia, inicjatywę, wrażliwość i pociąg do przygód - to wszystko co w połączeniu z niezwykłym talentem sprawiło, że został najlepszym fotoreporterem.

Dzieciństwo Teda było pełne rozczarowań. Z natury bardzo wrażliwy, szukał rodzinnego ciepła, którego ani Elizabeth, ani Charles nie byli w stanie mu dać.

J. B. poznał Teda wiele lat temu podczas konkursu dla fotografów amatorów sponsorowanego przez „Sentinela”. Niezwykłe zdjęcie rodziny wiewiórczej zrobione przez Teda zwróciło uwagę J. B. i choć chłopak nie dostał pierwszej nagrody, widać było, że młody fotograf ma dobre oko do szczegółów.

J. B. wziął chłopaka pod swoje skrzydła. Podsuwał mu książki o fotografii i co weekend zapraszał na kilka godzin do działu fotograficznego „Sentinela”. Ted zdobywał tam szlify jako fotoreporter i często powtarzał, że zamierza pracować w gazecie po skończeniu college'u. Ale J. B. od samego początku wiedział, że chłopak jest stworzony do większych rzeczy. I miał rację.

Przez wiele lat J. B. prawie nie widywał Teda. Dzwonili do siebie co miesiąc i spotykali się, gdy J. B. był w Anglii. Ale więź nadal istniała, silniejsza niż kiedykolwiek.

- Jak się czuje Charles? - zapytał J. B.

- Źle. Dlatego chciałbym, żeby sprawy ułożyły się inaczej. Może mógłbym go wtedy przekonać, żeby trochę odpuścił, bardziej zadbał o siebie.

- Czasem łatwiej jest powiedzieć, niż zrobić. - J. B. napił się piwa. - Człowiek, który całe życie był osobą publiczną, nigdy nie stanie się z powrotem zwykłym obywatelem.

- Kiedyś tak zrobił. Zrezygnował z kandydowania do senatu po śmierci mamy.

- Był wtedy młodszy. I miał zajęcie, bo prowadził praktykę prawniczą.

- No cóż... Ja nawet nie wiem, czy powinienem mu pomagać, czy nie. Jak dotąd moje wysiłki spełzły na niczym.

J. B. przyglądał się Tedowi z uwagą. Bolało go, że po tylu latach ten dzieciak wciąż niepowodzenia ojca uznawał za własne.

- Jakie masz plany?

Ted wzruszył ramionami.

- W przyszłym tygodniu mam wystawę w galerii Luberick. Do tego czasu nie mam nic do roboty. Potem wracam do Londynu. A potem może pojedę na Haiti i zaczekam na powrót prezydenta Aristide.

- A może... - J. B. spojrział na niego przeciągle - zostaniesz tu jakiś czas i odpuścisz sobie trochę. Chyba po dwóch miesiącach w Bośni możesz trochę odpocząć. Nie ma lepszego miejsca niż pod bezkresnym, błękitnym niebem Teksasu.

- Nigdy nie lubiłem siedzieć beczynn timer, J. B., przecież wiesz.

- A kto mówi, że siedziałbyś beczynn timer? Trzeba pomalować stajnię, naprawić ogrodzenie i wyczyścić boksy. - Uśmiechał się szeroko. - Oczywiście, jeżeli chcesz robić zdjęcia dla „Sentinela”, na pewno dałoby się to jakoś załatwić. Przywykłeś wprawdzie do nieco innej pracy, ale może i tę uznasz za interesującą. Zastanów się. Jestem pewien, że razem z moim nowym wydawcą stworzycie nie byle jaki zespół.

- Nie wiedziałem, że masz nowego wydawcę. Kto to?

- Laura. Moja pasierbica.

- Twoja pasierbica? Myślałem, że pracuje dla jednego z tych kobiecych pism.

J. B. zaśmiał się cicho.

- Lepiej, żeby nie wiedziała, że „New York Herald” zaliczasz do pism kobiecych. Ani „Sentinela”.

W skrócie opowiedział mu, jak zmieniając format i formułę, Laura tchnęła nowe życie w gazetę i wyprowadziła ją na prostą.

Kiedy Shirley i Laura zamieszkały w Lost Creek, Ted był już w Anglii, więc ich nie poznał. J. B. jednak często i z wielką dumą opowiadał o swojej pełnej werwy pasierbicy. Kiedyś już prawie zabrał ją do Londynu, ale w ostatniej chwili pojechała do Niemiec odwiedzić matkę.

- Cieszę się, że znalazłeś kogoś, komu ufasz, J. B. Życzę wam wszystkiego najlepszego.

J. B. oparł stopy o stół i odchylił się z krzesłem.

- Więc co powiesz, synu? Zostaniesz na jakiś czas?

Zza pleców dobiegło dyskretne chrząknięcie.

- Może ja przekonam pana Teda, żeby został i poczęstował się jedną z moich zapiekanek. Albo angielskim biszkoitem w winie.

Ted, słysząc charakterystyczny angielski akcent, zerwał się z sofy.

- Lenox! - Śmiejąc się, chwycił wyciągniętą rękę kamerdynera. Pociągnął go do siebie, obejmując po przyjacielsku. - Boże, jakże się cieszę, że cię widzę. Jak się miewasz?

- Bardzo dobrze, proszę pana. Dziękuję.

Lenox był wysokim, szczupłym mężczyzną o nienaganych manierach i dykcji, której nie powstydzilby się Richard Burton. Gęste, czarne włosy były teraz trochę rzadsze nad czołem, ale cienkie eleganckie wąsy wciąż ocieniały górną wargę, a błysk w oku był jaśniejszy niż kiedykolwiek.

W Lost Creek zamieszkał trzydzieści lat temu, gdy po śmierci miejscowego farmera, u którego przepracował pięć lat jako kamerdynier, został bez pracy i z nieważną wizą. Litując się nad nim, J. B. zatrudnił Lenoksa, mimo że nie miał najmniejszego pojęcia, co należy do obowiązków kamerdynera. Kiedyś J. B.

szczegółowo i z rozbawieniem opowiadał o tych pierwszych kilku tygodniach. Z jego relacji wynikało, że nawiązanie bliższych stosunków zajęło im sporo czasu, ale gdy to już nastąpiło, nie mogli się obyć jeden bez drugiego.

- Angielski biszkopt w winie? - zapytał Ted, puszczając go. - Będzie tak smaczny jak zawsze?

- Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić, proszę pana.

- Hmm... - Ted poczuł, że się odpręży. Whisky, przyjazny uśmiech J. B. i wyraźne przymilanie się Lenoksa - wszystko to podziałało na niego kojąco. Może faktycznie J. B. ma rację. Nie ma po co spieszyć się do Londynu. A jeżeli nie będzie go na Haiti, gdy Aristide wróci, to co z tego? Są w życiu ważniejsze sprawy niż praca. Poza tym dobrze byłoby spędzić trochę czasu z J. B., popracować na ranczu i pograć w karty do późnej nocy, słuchając tutejszych plotek.

To z pewnością o niebo lepsze niż siedzenie w londyńskim mieszkaniu, snucie się z kąta w kąt i rozmyślanie o kłótniach w rodzinie. Podniósł szklanę, kilka razy zakręcił lodem i dopił drinka.

- W porządku - powiedział, spoglądając to na jednego, to na drugiego. - Namówiliście mnie. Zostaję. Na krótko.

Ted wrócił do Lost Creek tego samego popołudnia po piątej. Był w paskudnym nastroju.

Wybrał się do galerii Lubericka, żeby nadzorować rozwieszanie fotografii. W pewnej chwili podszedł do niego reporter, który zakradł się tam tylnymi drzwiami, i zaczął zadawać mu pytania.

Z szacunku dla właścicielki galerii odpowiadał, skomentował nawet kilka fotografii. Tak było jednak tylko do chwili, gdy reporter wspomniał o tym, co wydarzyło się na pogrzebie matki. Ted zakończył wywiad, wyrzucając nietaktownego dziennikarza z galerii.

Cholerni plotkarze, myślał, jadąc coraz szybciej. Nie wystarczą im sensacyjne nagłówki sprzed szesnastu lat? Nie mają nic lepszego do roboty niż przypominać stare rodzinne waśnie?

Ignorując znak ograniczenia prędkości, skręcił w Cattle Trail. Mniej więcej trzysta metrów przed nim, podskakując na krętej wyboistej drodze, jechał żółty mustang. Z trudem mijał kałuże, które najwidoczniej pozostały tu po ostatniej burzy.

Ted włączył klakson, wcisnął gaz i minął jadący powoli samochód.

Prowadząca auto rudowłosa kobieta spojrzała na niego z wściekłością i też nacisnęła klakson. Ted zignorował ją. Kobiety. Amerykanki reagują bardziej emocjonalnie niż Angielki.

Gdy kilka minut później Ted wjechał pod wiatę, zobaczył, że J. B. ostrzy starą piłę.

J. B. zsunął okulary ochronne na czoło.

- Co się stało? - zaśmiał się cicho. - Wyglądasz na zdenerwowanego.

Ted oparł się o bmw i zapalił marlboro.

- Spotkałem dziś sępa - zaciągnął się mocno, żeby się uspokoić. Wydmuchał dym w górę. - To zabawne, dziś nazywa się ich reporterami.

- Aha - uśmiechnął się J. B. - Ale go nie pobiłeś, prawda?

- Tym razem nie. Choć niewiele brakowało. - Przypomniał sobie, że miał przestać palić, rzucił papierosa na ziemię i rozdeptał czubkiem czarnego reeboka. - Przysięgam, że jeżeli jeszcze jakiś reporter zbliży się do mnie na odległość trzystu metrów, no, może z wyjątkiem ciebie, to...

Przerwał mu pisk opon. Odwrócił głowę i zobaczył zwalniającego i zatrzymującego się żółtego mustanga. Rudowłosa kobieta wysiadła z samochodu i ruszyła w jego kierunku.

- Szaleniec - krzyknęła. - Prawie zmiotłeś mnie z drogi.

Mimo złego nastroju Ted dostrzegł kilka szczegółów, które umknęły mu, gdy przejeżdżał obok niej. Przynajmniej przed wszystkim choć niska była wyjątkowo zgrabna. Pod eleganckim czarnym kostiumem widać było świetną sylwetkę. Twarz też miała niezłą - oczy barwy miodu, pełne, pomalowane na czerwono usta i ledwo widoczny seksowny pieprzyk tuż nad górną wargą.

Jednak to właśnie przepiękne ognistorude włosy odróżniały ją od znanych mu kobiet, nawet rudowłosych. Gdy wyobraził sobie, jak zanurza palce w tej płomiennej gęstwinie, krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach.

- Słyszałaś, co powiedziałam? - Dłonie miała zaciśnięte w pięści. - A może jesteś wariatem? - Teraz patrzyła podejrzliwie. - Albo jesteś pijany.

Nadal oparty o bmw, Ted założył ręce na piersi i obrzucił ją jeszcze raz taksującym spojrzeniem. Tym razem zrobił to powoli, delektując się widokiem.

- Tak, jeśli chodzi o pierwsze pytanie, jeśli chodzi o pozostałe dwa, nie - odparł rozbawiony, że pod wpływem jego spojrzenia poczerwieniała jak burak. - Po prostu starałem się dotrzeć do celu.

- Jadąc sto pięćdziesiąt na godzinę? Na drodze, gdzie jest ograniczenie do sześćdziesięciu?

- No już dobrze, dobrze - wtrącił J. B., wycierając ręce w szmatę i stając między nimi. - Widzę, że zdążyliście się poznać. - Błysk rozbawienia mignął w jego oczach, gdy na nich spoglądał. - Przynajmniej nieoficjalnie.

- Znasz tego czubka? - zapytała Laura.

- Oczywiście, że znam. Ted, poznaj nowego wydawcę „Sentinela”. To moja pasierbica, Laura Spencer. Lauro, to jest Ted Kandall. Ma zamiar zatrzymać się w Lost Creek tydzień lub dwa.

Ted Kandall. W ogóle nie przypominał znanych jej fotoreporterów. Większość z nich widywano przeważnie w nocnych klubach albo na stokach gór w luksusowym zimowym kurorcie, zawsze w towarzystwie oszałamiającej długonogiej blondynki. Niekiedy nawet dwóch.

Ted był przystojny i miał ostre rysy twarzy. W niezwykle sposób łączył urok chłopaka z sąsiedztwa i krzykliwy sex appeal. Miał nieco ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, muskularne ciało, rozwiane wiatrem ciemnoblonde włosy i niezwykle, niebieskie jak chabry oczy. Lekki zarost sprawiał, że wyglądał nieco łobuzersko, przez co wydawał się jeszcze bardziej pociągający.

- A więc to jest słynna Laura. - Błyskając zębami w szerokim uśmiechu, wyciągnął dłoń. - Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zła.

Ted był przyjacielem J. B. i gościem w jego domu, Laura uścisnęła więc wyciągniętą dłoń.

- Oczywiście, że nie. Zawsze świetnie się bawię, gdy ktoś ochlapie mi samochód błotem, zaraz po tym jak wróci z polerowania - odparła półzartem.

Spojrzał na zachlapaną drzwiami mustanga od strony kierowcy.

- Teraz rzeczywiście czuję się jak bałwan. - Sięgnął do bmw, wyciągnął ze schowka długopis i wizytówkę, coś na niej nabazgrał i podał ją Laurze. - Może to pomoże mi odkupić winę.

- Co to jest?

- Skrypt dłużny od Kandalla na mycie i woskowanie. Obiecuję, że nie będziesz rozczarowana. Jeśli nie wierzysz, zapytaj J. B.

- Ma rację, dziecino. Nikt nie potrafił lepiej zadbać o mój stary samochód niż Ted.

- No widzisz. Wybaczysz mi?

Rozbawienie sprawiało, że jego głos był figlarny, prawie zmysłowy. Laura stale musiała mieć się na baczności. Urok był wrodzoną cechą Kandallów i jeśli wierzyć plotkom, ten przedstawiciel rodu miał na swoim koncie liczne podboje.

Uwolniła dłoń i unikając odpowiedzi, spytała:

- Jesteś tu służbowo czy dla przyjemności?

- Właściwie ani jedno, ani drugie. Po prostu tu jestem.

Hmm. Dość enigmatyczna odpowiedź. Może właśnie dlatego ma takie powodzenie u kobiet. Niektóre łapią się na takich zmysłowych tajemniczych typów.

Żeby więc przypadkiem nie pomylił jej z jedną ze swoich adoraterek, odgarnęła włosy z twarzy, starając się zwrócić jego uwagę na lewą dłoń.

Teda niemal oślepiło oczko w jej pierścionku. A więc ta dama jest już zajęta. I sprawa jest poważna. Nie wiadomo dlaczego, poczuł ukłucie żalu.

- Kim jest ten szczęściarz? - spytał, wskazując głową w stronę pierścionka.

J. B., który z dużym zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie, oparł dłoń na ramieniu Teda i wyjaśnił.

- Laura jest narzeczoną Stuarta Fleminga. Na pewno go pamiętasz, Ted. Razem chodziliście do Westberry High.

- Fleming - powtórzył Ted, przypominając sobie przystojnego, ale pretensjonalnego chłopaka ze szkoły. - Chyba tak. To ten, który utrzymywał, że jest skoligacony z angielską królewską rodziną?

Usta Laury mimowolnie drgnęły. Obraz Stuarta pyszniącego się swoim pochodzeniem był równie łatwy do wyobrażenia co zabawny.

- Teraz jest zastępcą prokuratora okręgowego - ciągnął J. B. - Tutaj niedaleko, w Burnet.

- Żartujesz. - Ted jeszcze raz zerknął na pierścionek. Był tak pretensjonalny i snobistyczny jak mężczyzna, który go kupił. I z jakiegoś powodu ten cholerny pierścionek na małej, delikatnej dłoni Laury wyglądał nieprzyzwoicie. - Już ustaliliście datę ślubu? - zapytał, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Nie, ale ustalimy. - Laura wsunęła wizytówkę do kieszeni żakietu. - Wkrótce.

Ted kiwnął głową. Jak na kobietę zaręczoną, noszącą pierścionek wart trzydzieści tysięcy dolarów, nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie.

- Pozdrów go ode mnie. A jeśli ma jeszcze ochotę na rewanż w tenisa, bo twierdził, że wygrałem nieuczciwie, jestem gotów. Tym razem rozegramy mecz bez sędziego.

Klepnął J. B. po ramieniu, zapewniając, że zobaczą się przy kolacji, zasalutował Laurze i wszedł do domu. Laura odprowadziła go wzrokiem.

- Jak ci się podoba mój protegowany? - zapytał J. B., podchodząc do niej.

- Rzuca czar. Zupełnie jak wujek.

- Mylisz się, dziecino. Może jest czarujący, ale na pewno nie jest podobny do wuja. Tak naprawdę jest podobny do swojego ojca, choć trzeba powiedzieć, że Charles jest zbyt uparty, żeby to dostrzec.

- Co on tu właściwie robi?

Opowiedział jej o wystawie w galerii Luberick w przyszłym tygodniu i o wysiłkach Teda, żeby pogodzić się z ojcem. Nie wspomniał jednak o chorobie Charlesa.

- Czy on wie, że prowadzę dochodzenie w sprawie Malcolma?

- Wątpię. Ale pewnie dowie się o tym wcześniej czy później. Dlaczego pytasz?

- Czy jego stosunek do ciebie zmieniłby się, gdyby o tym wiedział?

- Jeśli martwisz się, że to mogłoby mieć wpływ na naszą przyjaźń, to

niepotrzebnie. Teda nigdy nic nie łączyło z wujem. A poza tym nie należy do ludzi, którzy żywią do kogoś urazę za to, że robi to, co do niego należy. Nawet jeśli miałyby to oznaczać śledzenie członka jego rodziny.

J. B. podszedł do małej lodówki stojącej obok warsztatu, wyjął z niej dwie wody perrier i odkręcił nakrętkę.

- Mogę spytać, jak postępy w śledztwie? A może twój wybuch powiedział już dość?

Podał jej jedną butelkę. Laura napiła się łączywie.

- Nie ma żadnych postępów. Gdziekolwiek pójde, wszyscy nabierają wody w usta.

Opowiedziała mu o spotkaniu z Billem Smolenem.

- Strach to silne uczucie, dziecino. A zachłanność jest jeszcze silniejsza. Nikt tego nie wie lepiej niż Malcolm. - Czując, że wpadła, bo potrzebuje pocieszenia, dodał: - Wszystko będzie dobrze. Po prostu musisz uzbroić się w cierpliwość i poczekać aż pomysły twoich ludzi przyniosą efekty.

- Masz rację - przyznała. Od razu poczuła się lepiej. Nagle pociągnęła nosem. - Czy to zapiekanka Lenoksa?

- Tak. Przygotował kolację na cześć Teda. Może się do nas przyłączysz? Wiem, że wy dwoje nie jesteście w tak dobrych stosunkach, jakbym sobie życzył, ale po smacznej kolacji i lampce wina wszystko jakoś się ułoży.

Uśmiechnęła się.

- Czy ty przypadkiem nie próbujesz mnie swatać? Bo jeśli tak, to muszę ci przypomnieć, że jestem zaręczona z człowiekiem, którego sam mi przedstawiłeś.

J. B. westchnął.

- To błąd, który od tamtej pory próbuję naprawić.

To była prawda. Odkąd Laura i Stuart zaczęli się spotykać mniej więcej sześć miesięcy temu, J. B. nie krył, co sądzi o prawniku.

- Ten chłopak nie ma ikry - powiedział jej kiedyś. Owszem, jest ambitny, przystojny i bogaty. Ale to wszystko. Nie minie rok, a znudzisz się nim.

Kiedy jednak kilka miesięcy temu Laura powiedziała, że przyjęła oświadczyzny Stuarta, J. B. odsunął na bok swoje obiekcje, objął ją, czule uściskał i

obiecał, że „wyprawi jej takie wesele, jakiego Teksas jeszcze nie widział”. Ona jednak wiedziała, że w głębi duszy jego stosunek do Stuarta się nie zmienił. I co pewien czas dawał to po sobie poznać.

- A więc jak będzie, dziecino? - zapytał, otaczając ją olbrzymim ramieniem. - Zostaniesz?

- Nie mogę. - Laura dopiła wodę i odniosła butelkę pod wiatę. -Mama urządza dziś uroczystą kolację i Stuart za kilka minut po mnie przyjedzie.

- Stuart jedzie do twojej matki? Chyba tanio się nie sprzedał?

- Nic podobnego. - Czuła się w obowiązku bronić narzeczonego. - Sam chciał pójść. Wie, że to ważne i dla mnie, i dla mamy.

- Przede wszystkim dobre dla niego. Ale zarezerwuj w swoim kalendarzu następny piątek, dobrze? Będzie barbecue na cześć Teda. Stuart też jest zaproszony, ale jeżeli nie będzie mógł przyjść, przyjdź sama, słyszysz?

Roześmiała się.

- Dobrze.

Poszedł z nią do samochodu.

- Baw się dziś dobrze, dziecinko. Aha, i pozdrów mamę.

8

W szarych spodniach od dresu i krótkim, czarnym podkoszulku Ted oparł się brzuchem o płot i skierował nikon na stado pasących się krów.

Dawno już nie fotografował czegoś równie sielankowego. Dziwnie było mieć dość czasu, żeby wybrać pozycję, przeanalizować scenę i ustawić ostrość. Dziwne, ale przyjemne.

Obudził się o świcie, nie z powodu różnicy czasu, której już nie odczuwał, ale dlatego że nie mógł przestać myśleć o ojcu. Czy mógł coś zrobić, żeby zapobiec wczorajszemu starciu? Godzinami wciąż od nowa zadawał sobie to pytanie.

Odpowiedź brzmiała: tak. Gdyby nie wpadł w pułapkę, którą ojciec tak sprytnie zastawił, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ta jego cholerna porywczosć przysparzała mu tylko kłopotów. Niewiele osób potrafiło go sprowokować tak jak Charles.

Robiło się coraz jaśniej. Wziął szybki prysznic, narzucił coś na siebie, chwycił aparat, bez którego czuł się nagi, i wybrał się na orzeźwiający, uspokajający spacer.

Uwielbiał okolicę o tej porze dnia. Uwielbiał świeży zapach wilgotnej ziemi, krople rosy na trawie i sposób, w jaki krajobraz przybierał odcień bladego złota, gdy słońce zaczynało powoli wznosić się nad horyzontem.

- Podejź bliżej - krzyknął, kierując obiektyw w stronę krowy przyglądającej mu się z pewnej odległości. - Patrz tak, dobrze? Właśnie tak. Powoli i spokojnie. Prosto w obiektyw. Tak, świetnie.

Właściwie prawie rozmawiał sam ze sobą, a nie z modelem. Nabrał tego nawyku, gdy pracował jako fotograf w domu handlowym.

Idąc wzdłuż płotu, zrobił jeszcze kilka zdjęć, zasalutował obojętnie patrzącej na to krowie i ruszył dalej wąską kamienistą drogą.

Właśnie miał zaczerpnąć głęboko wspaniałego porannego powietrza, gdy ją zobaczył.

Stała na ganku, popijając kawę i patrząc na to samo stado krów, które przed chwilą fotografował. Z chłodnego dystansu, jaki emanował z niej wczoraj, nie

pozostał ślad. Teraz miała na sobie dzinsowe szorty i różowy podkoszulek uwypuklający wysokie, krągłe piersi. Wspaniałe włosy zebrała wysoko na głowie w węzeł, z którego uciekło kilka kosmyków.

Było coś intrygującego w jej wyglądzie - innym niż wczoraj. Była bardziej zamyślona, jakby zakłopotana, i stale patrzyła w dal.

Ted wstrzymał oddech. W porannej mgle obraz był prawie nierealny, jakby za chwilę miał zniknąć.

Podświadomie uniósł aparat, lekko obrócił teleobiektyw, żeby wyregulować ostrość, i zwolnił migawkę. Jak zawsze wtedy, gdy miał przed sobą fascynujący obiekt, zapomniał, gdzie i kim jest, kompletnie zaabsorbowany tym, co robi.

W mgnieniu oka zrobił następne zdjęcie, gdy odgarniała z twarzy włosy, a potem kolejne, gdy śledziła wzrokiem myszołowa szybującego wysoko na niebie. Fotografował bez przerwy, dopóki nie skończył się film. A potem już tylko stał, jedną stopą wsparty o pień dużego starego dębu, i wpatrywał się w nią, nie mogąc oderwać wzroku.

Spojrzała w kubek i weszła do środka. Kierowany impulsem ruszył w stronę domku gościnnego.

Stojący w lasu dębowym pięćset metrów od głównego domu, domek gościnny był jego mniejszą kopią. Były tu przestronne wnętrza, krzesła pokryte perkalem i mnóstwo okien wpuszczających jaskrawe słońce Teksasu.

Ubrana w swój ulubiony niedzielno-poranny strój - szorty i podkoszulek - Laura stała przy blacie kuchennym w małej, lecz wygodnie urządzonej kuchni, i napełniała kubek kawą. Już miała wyjść, gdy nagle wzruszyła ramionami i sięgnęła do pudełka pełnego smacznych kruchych ciasteczek upieczonych przez Lenoksa. Nie było to najzdrowsze śniadanie, szczególnie dla kobiety tak zapracowanej jak ona, ale przygotowywanie czegoś innego zakłóciłoby tylko jej myśli.

Wróciła na werandę, na której pracowała od wczesnego poranka, i popijając kawę, powoli podeszła do stolika ze szklanym blatem. Usiadła i zaczęła przeglądać notatnik. Zapisała w nim nazwiska osób, które miały jej pomóc w zebraniu informacji na temat Malcolma Kandalla.

Niestety, nikogo nie udało jej się namówić do współpracy. Nawet przyjaciele J. B., na których liczyła, nabrali wody w usta. Tak jak Bill Smoleń twierdzili, że nic nie wiedzą o żadnych nieprawidłowościach.

Zgodnie z informacjami, jakie „Sentinel” zdobył w ostatnich miesiącach na temat funduszy Malcolma Kandalla, otrzymał on w ciągu roku datki na ogólną kwotę piętnastu milionów dolarów. Wpływy pochodziły z sześćdziesięciu dwóch tysięcy źródeł. Mimo że w większości były to darowizny od osób prywatnych i wahały się w granicach od dziesięciu do dziesięciu tysięcy dolarów, to jednak na liście znalazły się osiemdziesiąt dwie firmy, które przekazały ogółem ponad dziesięć milionów dolarów. Dwa razy tyle, ile do tej pory zdołał zebrać gubernator.

Połowa firm i korporacji była z Teksasu, reszta z Nowego Jorku, New Jersey, Kalifornii i Waszyngtonu. Tożsamość największych darczyńców nie była niespodzianką. Orbach Motors, Dom Handlowy Bradley i Schwartz Homes zajmowały czołowe pozycje na liście. Ale były też inne firmy, o których Laura nigdy nie słyszała - przedsiębiorstwo budowlane z Queens, telewizja kablowa z Kalifornii i sieć restauracji z siedzibą w Laredo.

To byli ci ofiarodawcy, na których musiała się skupić. Kim byli? Czy wspierali też innych polityków? A może tylko jednego?

- Cześć.

Wystraszona podniosła wzrok. W odległości kilku metrów stał Ted z założonymi na piersi rękami i jedną stopą opartą na pierwszym stopniu schodów prowadzących na werandę. Wsunęła notatnik pod teczkę tak, żeby nie zwrócił na to uwagi.

- Dzień dobry. - Spojrzała na aparat wiszący na jego szyi. - Znalazłeś jakiś ciekawy obiekt do fotografowania?

Uśmiechnął się. Z bliska, bez makijażu, była jeszcze rozkoszniej sza. Przez chwilę kusilo go, żeby sprawdzić, czy te pełne zmysłowe usta z małym czarnym pieprzykiem nad górną wargą były tak miękkie, na jakie wyglądały. Przypomniawszy sobie jednak, że jest zaręczona i pohamował się.

- Bardziej interesujący, niż bym się spodziewał po tak spokojnej okolicy.

Postanowił odtąd trzymać się w ryzach. Spojrzył na mustanga. Błoto znikło, ale maska była podniesiona.

- Twój samochód nawalił?

- Zdaje się, że akumulator się rozładował. Lenox pomoże mi go potem uruchomić.

- Mogę zerknąć? Może to coś innego.

- Znasz się na tym?

- Trochę.

Wzruszyła ramionami.

- Dobrze. Ale nie prosź mnie, żebym ci dała jakieś narzędzia. Oprócz lewarka w bagażniku nic nie mam.

Zdjął z szyi aparat, wszedł po schodkach i położył go na stole. Znow błysnął swoim olśniewającym uśmiechem.

- Pilnuj go jak oka w głowie.

Patrzyła, jak szedł do mustanga. Krok miał szybki i sprężysty, jak koszykarz, z którym umawiała się w liceum. Ale na tym kończyły się podobieństwa ze znanymi jej mężczyznami. Może chodzi o sposób, w jaki uśmiech rozjaśnia mu twarz, przede wszystkim zaś oczy, sprawiając, że zdawał się jakby odmieniony? A może całkowita naturalność, z jaką przychodzi mu rozmowa z ludźmi? Jest przecież sławny, jego prace wystawia się w najslawniejszych galeriach świata. Mógłby być przynajmniej odrobinę zarozumiały. Ale nie Ted Kandall. J. B. miał rację. Ted i jego wuj byli jak dzień i noc - zupełnie różni.

W obecności Teda czuła się niezręcznie, pracując nad sprawą Malcolma. Przynęła laptopa, nacisnęła klawisz, żeby otworzyć plik z artykułem, i zrobiła kopię zapasową. W tym tygodniu rubrykę „Widzieć” poświęciła ostatniej powodzi w Houston i odważnym grupom wolontariuszy, którzy dziesiątkom nieszczęśliwców pomogli znaleźć bezpieczne schronienie.

Pięć minut później usłyszała warkot silnika. Podniosła wzrok i zobaczyła, jak Ted z hukiem opuszcza maskę. Odchyliła się do tyłu.

- Jestem pod wrażeniem.

- Nie ma powodu. To tylko kabel się oblużował. - Wytarł ręce w szmatkę i cisnął ją do bagażnika. - Silnik jest w wyjątkowo dobrym stanie jak na tak stary samochód.

- Powiedz to J. B. Uważa, że jestem zbyt sentymentalna. Powinam oddać ten wóz na złom i kupić sobie prawdziwy samochód - duży, szybki i niezawodny.

Bez zaproszenia Ted wziął krzesło stojące koło Laury i usiadł.

- Dostałaś go w prezencie?

- Nie. Kupiłam go za własne, ciężko zarobione pieniądze, gdy byłam na uniwersytecie. Kiedy po dyplomie dostałam propozycję od „New York Herald”, zostawiłam tu samochód. Miałam zamiar go sprzedać.

- Ale nigdy nie nadarzyła się odpowiednia okazja.

Roześmiała się.

- Nie. Lenox ma złote serce i dba o niego. Jeździ nim raz na tydzień, pilnuje, żeby olej był regularnie wymieniany, a nawet oddaje do woskowania raz lub dwa razy w roku.

Patrzył na nią, gdy o tym opowiadała. Teraz zachowywała się z nieco mniejszą rezerwą niż przedtem. Było coś hipnotyzującego w jej sposobie mówienia, w gestach rąk i szybkich ciepłych uśmiechach. I pachniała bajecznie. Nie perfumami, jak wiele innych kobiet, ale pudrem o zapachu przywodzącym na myśl angielski ogród. Kiedyś będzie musiał znowu ją sfotografować. Tym razem w akcji. Otrząsnął się z zamyślenia i spojrzał na komputer przed nią.

- Nad czym pracujesz?

- Nad nowym artykułem.

- Ach, tak. Pewnie do słynnej rubryki „Widzieć”. Doskonała robota. Świeże podejście i intrygujące tematy. Spodobał mi się zwłaszcza ten kawałek o narkotykach i patrolach granicznych wzdłuż Rio Grande. Bardzo odważny.

Zarumieniała się, słysząc komplement.

- Nie wiedziałam, że jesteś na bieżąco z lokalnymi gazetami.

- Niezupełnie. J. B. ma w domu kilka starych egzemplarzy „Sentinela”. Pomyślałem, że przeczytam kilka twoich artykułów i w ten sposób lepiej cię poznam.

- Dlaczego chcesz mnie lepiej poznać?

Wzruszył ramionami.

- Zawodowa ciekawość.

Spojrzała na niego z ukosa.

- Czy twoja ciekawość została zaspokojona?

- Nie całkiem. Dowiedziałem się, że jesteś dobrą dziennikarką, szczerą aż do bólu i pracowitą. Dlatego J. B. ma takie dobre zdanie o tobie i tak cię ceni. Jestem jednak pewien, że Laura Spencer ma znacznie więcej zalet niż to widać na pierwszy rzut oka.

Roześmiała się.

- Dobra dziennikarka, pracowita. I ta wysoka ocena pochodzi od Kandalla.

Wspaniale się śmiała. Głęboko i zmysłowo jak diabli.

- Nie jestem typowym Kandalem. Niektórzy sądzą, że jestem znacznie gorszy.

Patrzyła, jak wyciąga papierosa. Nie zapalił go jednak, a tylko powoli przesuwając po nim palcami w górę i w dół. Był to zmysłowy, nieco niepokojący gest, mimo że całkiem nieświadomy.

- A ty co o tym myślisz?

Odwróciła wzrok od silnych, opalonych dłoni.

- O czym?

- O tym, że jestem gorszy od reszty Kandallów.

- Och. - Z trudem pozbierała myśli. - Staram się nie oceniać ludzi na podstawie pierwszego wrażenia.

- Mam więc nadzieję, że będę miał szansę zrobić drugie.

Patrzył na nią wyzywająco, na wpół poważnie, na wpół z rozbawieniem. Laurą targały uczucia, których nie powinna była odczuwać. Właśnie próbowała wymyślić jakąś obojętną, niezobowiązującą odpowiedź, gdy usłyszała warkot silnika.

- Stuart!

Ted uniósł brwi i odwrócił się. Olśniewające czerwone porsche zatrzymało się obok mustanga. Wysiadł z niego Stuart Fleming. Mimo wysokiego wzrostu potrafił z wdziękiem wydostać się z niskiego sportowego samochodu. Zmrużył nieco oczy, gdy zobaczył Teda.

Ted patrzył, jak podchodzi. Wyglądał prawie tak samo jak dwadzieścia lat

temu, miał tylko krótsze włosy i bardziej wysportowane ciało. Wciąż w taki sam sposób - jednym zimnym, taksującym spojrzeniem - oceniał tych, którzy jego zdaniem należeli do ludzi niższej kategorii.

Był jednak bardzo przystojny i nietrudno było zrozumieć, dlaczego Laura - lub jakakolwiek inna kobieta - mogła się w nim zakochać. No i zapach pieniędzy na ogół też nie przeszkadza. Chryste, czuć je było wokół niego wszędzie, od ekstrawaganckiego czerwonego wozu począwszy, a na białej marynarce od Armaniego z rękawami podwiniętymi a la Don Johnson i masywnym złotym zegarku na nadgarstku skończywszy. Wątpliwe, żeby pensja zastępcy prokuratora okręgowego pozwalała na kupno tego wszystkiego. Najwidoczniej fundusz powierniczy Flemingów wciąż był okazały i w dobrym stanie. A Stuart, jak widać, nie wstydził się z niego korzystać. Ted wstał.

- Jak się masz, Stuart?

Prawnik zatrzymał się przed schodami.

- Czy my się znamy?

Laura powoli zeszła do niego. Uśmiechała się uprzejmie, niczym mediator starający się zapobiec konfliktowi.

- Stuarcie, to jest Ted Kandall. Słyszałeś, że jest w mieście, prawda?

- Nie.

Objął Laurę w tali i tak weszli po schodach. W geście tym nie było czułości, zauważył Ted. Tylko komunikat: „Nie dotykaj”. Jednak po chwili namysłu Stuart podał mu rękę.

- Jak się masz, Ted.

Ted uściśnął wyciągniętą dłoń. Przez chwilę dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem jak starzy wrogowie.

- Nie narzekam.

- W przyszłą sobotę galeria Lubericka w Austin wystawia prace Teda - poinformowała Laura z ożywieniem. - Całe miasto mówi tylko o tym.

- Ach, tak.

Brak entuzjazmu w jego głosie wywołał uśmiech na twarzy Teda. Tu również nic się nie zmieniło. Motto Stuarta zawsze brzmiało: „Jeżeli to nie dotyczy

mnie, to nie warto o tym mówić".

- Mam nadzieję, że przyjdziecie z Laurą.

Stuart zmarszczył nos, jakby poczuł jakiś nieprzyjemny zapach.

- Wątpię, czy będziemy mogli.

- Będzie szampan za darmo - powiedział zaczepnie Ted. - Niezła wyżerka.

- Dobrze, ale tylko na chwilę. - Uśmiechnął się do Laury. - Jesteśmy bardzo zajęci.

- Słyszałem. - Ted oparł się biodrem o ogrodzenie. - Zastępca prokuratora okręgowego, tak? - Pokiwał z podziwem głową. - Robi wrażenie. Chociaż, prawdę powiedziawszy, zdziwiłem się, słysząc, że wzięłaś tę robotę. Zawsze byłem pod wrażeniem twoich planów dotyczących prywatnej praktyki, pracy w prestiżowej, dobrze prosperującej firmie.

Ta uwaga wywołała błysk irytacji w na ogół beznamiętnych zielonych oczach Stuarta.

- To było dawno. Teraz jestem innym człowiekiem. Mogłem pracować w dużej firmie, ale wolałem wybrać coś, co daje większą satysfakcję.

Ted powstrzymał się od uśmiechu. W języku Stuarta oznaczało to, że nie miał innych propozycji i musiał wziąć to, co mu dawali.

- A co u ciebie? - Stuart podniósł brodę. - Czy któreś z twoich młodzieńczych marzeń już się spełniło, czy wciąż czekasz na wielki przełom?

Hmm. Niezła riposta. Może któregoś dnia usiądą razem i powiedzą sobie coś do słuchu jak za starych dobrych czasów. A zwycięzca odejdzie z Laurą. Ale nim Ted zdążył wymyślić równie błyskotliwą odpowiedź, Stuart odwrócił się do Laury, ignorując go.

- Kochanie, wyglądasz wspaniale, ale chyba włożysz coś innego?

Laura otworzyła szeroko oczy, nieco przestraszona.

- Idziemy gdzieś?

Na przystojnej twarzy Stuarta przez chwilę malowała się konsternacja.

- Zapomniałaś o rocznicy ślubu moich rodziców?

Laura jęknęła w duchu. Jak mogła zapomnieć o czymś tak ważnym jak czterdziesta rocznica ślubu Flemingów? Stuart przypominał jej o tym dziesiątki razy w ciągu ostatniego tygodnia.

Dostrzegła grymas rozbawienia na twarzy Teda i zaczerwieniła się.

- Przepraszam, Stuarcie. Zapomniałam.

Stuart pocałował ją w czubek nosa.

- Nic się nie stało, kochanie. Ile czasu ci potrzeba, żeby się przygotować?

- Najwyżej dziesięć minut.

- Więc do dzieła. - Błysnął uśmiechem w kierunku Teda. - A my z Tedem pogadamy o starych dobrych czasach.

I umrzemy z nudów. Nie, dzięki, pomyślał Ted.

- Może kiedy indziej - powiedział na głos. - Muszę wywołać kilka zdjęć. - Jego spojrzenie znowu powędrowało w stronę Laury. - Dzięki za rozmowę. A i przy okazji, chyba nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli któregoś dnia wpadnę do „Sentinela”, prawda? Chciałbym przywitać się ze starą bandą.

- Nie. Oczywiście, że nie. - Już miała dodać: „Dzięki za naprawienie samochodu”, ale zreflektowała się. W końcu obok stał Stuart. Powiedziała więc tylko: - Wpadnij, kiedy chcesz.

9

Mimo że Ted nie przepadał za swoim wujem, zawsze ogromną sympatią darzył ciotkę Barbarę. Była delikatną, troskliwą kobietą, może nieco nadwrażliwą, ale skoro związała się z takim człowiekiem jak Malcolm Kandall, jak mogła być inna?

Gdy w poniedziałkowy rano zadzwonił do drzwi domu wujostwa, otworzyła mu nieznajoma pokojówka w fartuchu. Patrzyła na niego podejrzliwie.

- Czym mogę służyć?

- Chciałbym zobaczyć się z Barbarą Kandall. Nazywam się Ted Kandall. Jestem jej bratankiem.

Wyraz twarzy kobiety nie zmienił się.

- Powiem pani, że pan przyszedł.

Po chwili wahania otworzyła szerzej drzwi i pozwoliła mu wejść do ogromnego holu.

- Proszę tu poczekać.

Nie minęło trzydzieści sekund, gdy Ted usłyszał odgłos tłuczonego szkła. Nie namyślając się, pobiegł w stronę salonu, skąd dochodził dźwięk, i gwałtownie otworzył drzwi.

Barbara stała pośrodku pokoju. Twarz miała bladą, a w oczach taką mieszaninę rozpacz i przerażenia, że znieruchomiał. Na podłodze obok niej leżała roztrzaskana szklanka.

- Pójdę po zmiotkę - mruknęła pokojówka, wychodząc szybko z pokoju.

Ted zrobił kilka długich kroków i już był przy ciotce. Chwycił jej dłonie.

- Barbaro, wszystko w porządku?

Kiwnęła potakująco głową. Pocałował ją w policzek. Żeby nieco rozładować napiętą atmosferę, dodał:

- Gdybym wiedział, że moja wizyta zrobi na tobie takie wrażenie, postarałbym się o mniej dramatyczne wejście.

Wróciła pokojówka ze zmiotką i szufelką. Trzymając ciągle dłonie Barbary w swoich, Ted odciągnął ją od potłuczonego szkła.

- Może ci coś podać. Wody? Drinka?

- Nie, czuję się dobrze.

Z ulgą zobaczył, że na twarzy Barbary powoli pojawiają się rumieńce.

- Miło cię widzieć, Ted - powiedziała, uśmiechając się słabo. - Byłam ciekawa, kiedy się odezwiesz.

- Wiedziałaś, że jestem w mieście?

- Joan Alden widziała cię, jak wychodziłeś z domu ojca. Mieszka po przeciwnej stronie ulicy. - Objęła dłońmi szyję i lekko ją masowała. - Co cię sprowadza do Austin, Ted?

- Sandra powiedziała mi, że ojciec jest chory - wyjaśnił. Doszedł do wniosku, że nie ma potrzeby trzymać w sekrecie choroby Charlesa. - Postanowiłem spróbować jeszcze raz się z nim pogodzić.

- I udało ci się?

- Moja wizyta zakończyła się fiaskiem. Po pięciu minutach skoczyliśmy sobie do gardeł. - Zaśmiał się niewesoło. - Zdaje się, że stare nawyki są silniejsze.

Barbara bawiła się brylantową łązką na szyi. Jej ręce wciąż drżały.

- Przyjechałeś na długo?

Spojrzał na nią. Jej reakcja - a raczej jej brak - zaintrygowała go. Barbara była kobietą współczującą. Odkąd przed dwudziestu laty stała się członkiem rodziny Kandallów, była dla niego nieustannym źródłem oparcia. Nakłaniała go, żeby był cierpliwy w stosunku do Charlesa, pewna, że w końcu zaakceptuje karierę, jaką wybrał.

Teraz nie było w niej ani współczucia, ani ciepła. Patrzyła niemal... obco.

- Na tydzień. Może na dwa. - Powiedział jej o wystawie i propozycji J. B., żeby zatrzymał się w Lost Creek. - Potem pewnie wrócę do Londynu. - Popatrzył na nią uważnie. - Jesteś pewna, że nic nie mogę dla ciebie zrobić?

Uśmiechnęła się, poprawiając włosy, i przez chwilę widział dawną Barbarę.

- Dlaczego? Wyglądam aż tak źle?

- Wyglądasz świetnie, może jesteś trochę bardziej niespokojna niż dawniej, nic więcej. A może to przeze mnie? - Po chwili zastanowienia zapytał: - Może wolałabyś, żeby mnie tu nie było?

- Och, nie. - Jej twarz wypogodziła się. - Cieszę się, że przyjechałeś. Minęło tyle czasu. Malcolm byłby niepokieszony, gdybyście się nie spotkali.

- Gdzie on jest?

- Na spotkaniu w bazie lotniczej w Bergstorm. Powinam być z nim, ale poczułam się strasznie zmęczona. Nie masz pojęcia, jak wyczerpująca jest kampania wyborcza. Prawdę mówiąc, zanim przyszedłeś, chciałam się zdrzemnąć.

Była to bardzo delikatna aluzja, ale jednak aluzja. Zrozumiał ją i wstał.

- W takim razie pozwolę ci odpocząć. Ale zanim wyjadę, może któregoś dnia zjemy razem lunch? Przyjdziesz na wystawę, prawda? Będzie Sandra.

- Bardzo chętnie. Malcolm też się ucieszy.

Powiedziała to jednak bez przekonania i nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Da jej dzień lub dwa, aby poradziła sobie z tym, co ją dręczy, a potem znów zadzwoni.

Właśnie miał się pożegnać, gdy wszedł Malcolm. Nie mógł złapać tchu, jakby biegł. Zobaczył Teda stojącego pośrodku salonu i zatrzymał się.

- Ted.

- Witaj, wujku Malcolmie. - Ted pierwszy wyciągnął rękę. Malcolm uściśnął ją, ale w tym geście nie było ciepła. Nie było też radości w uśmiechu. - Chyba nie masz mi za złe, że wpadłem. Chciałem się zobaczyć z Barbarą.

- Oczywiście, że nie. - Rzucił szybkie spojrzenie na żonę. Postawił teczkę na stoliku przy drzwiach i dodał: - Dziś rano rozmawiałem z twoim ojcem.

Ted wepchnął rękę do kieszeni.

- Powiedział ci, jak dobrze się dogadujemy?

Malcolm zignorował tę sarkastyczną uwagę. Chyba trochę się odprężył. Usiadł na krześle obitym zielonym brokatem i założył nogę na nogę.

- Słuchaj, Ted, nie chcę wtrącać się w wasze sprawy. Ale dam ci pewną radę, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Najlepiej będzie, jeśli wrócisz do Anglii. Twój ojciec jest chory i choć twój przyjazd i próba pogodzenia to bardzo szlachetny gest,

nie zda się na nic.

- Ojciec tak ci powiedział?

- Nie musiał. Ton jego głosu w słuchawce wystarczył, żebym zorientował się, jak bardzo zdenerwowała go twoja wizyta. - Przez chwilę wpatrywał się w czubek swojego buta, w końcu podniósł wzrok. - Usiłuję ci tylko powiedzieć, najdelikatniej jak potrafię, że dla nas wszystkich byłoby lepiej, gdybyś jak najszybciej wrócił do Anglii. Jeżeli tego nie zrobisz, stan zdrowia twojego ojca może się znacznie pogorszyć. Jestem pewien, że tego byś nie chciał.

Barbara, która od chwili wejścia Malcolma nie odezwała się ani słowem, teraz podeszła bliżej, stanęła za mężem i położyła mu dłoń na ramieniu. Doszła już trochę do siebie.

- Malcolm ma rację, Ted, musimy myśleć o Charlesie.

Ted spoglądał to na nią, to na niego. Od kiedy Malcolm przejmuje się dobrym samopoczuciem brata? Wszyscy, nie wyłączając Charlesa, wiedzieli, że zawsze był o niego wściekle zazdrosny i jedynym powodem, dla którego pracował z nim przez te wszystkie lata, była kariera polityczna.

Cała ta sytuacja wygląda nie najlepiej. Od chwili, gdy postawił nogę w tym domu, wszystko szło nie tak.

Ponieważ atmosfera robiła się coraz gęstsza, chciał tylko jednego - natychmiast stąd wyjść.

- Dzięki za radę, wujku Malcolmie. - Starał się być uprzejmy, klepnął go po ramieniu. - Nie wiem, co teraz zrobię. Kiedy się zdecyduję, dam ci znać.

Malcolm był mistrzem w skrywaniu uczuć, Ted nie wiedział więc, czy ta uwaga go zdenerwowała. Nie mógł jednak nie dostrzec reakcji Barbary, która zacisnęła dłoń na ramieniu męża i zagryzła dolną wargę.

Udając, że niczego nie widzi, pocałował ją w policzek.

- Nie musicie mnie odprowadzać - powiedział cicho. - Znam drogę.

W samochodzie zerknął w lusterko. Malcolm stał w oknie i patrzył na niego.

Co, do licha, dzieje się z tą rodziną? Czy tylko ja i Sandra jesteśmy przy zdrowych zmysłach? A może my też wariujemy?

Malcolm, który po telefonie Dolores skrócił swój pobyt w bazie lotniczej w

Bergstorm, puścił zasłonę i odwrócił się.

- Czego on, do diabła, chciał?

Barbara podeszła do wózka z wodą mineralną i drżącą ręką naląła sobie szklankę evian.

- Dolores ci nie powiedziała? - zapytała z niezwykłym u niej chłodem w głosie. - Pewnie zapomniała.

Malcolm zrozumiał swój błąd i szybko do niej podszedł.

- Przepraszam, że byłem dla ciebie taki nieprzyjemny, kochanie. Zdaje się, że moje nerwy są w nielepszym stanie niż twoje. Proszę jednak, żebyś nie złościła się na Dolores tylko dlatego, że robi to, co do niej należy. Uzgodniliśmy przecież, że musisz mieć kogoś, kto będzie się tobą opiekował, kiedy mnie nie będzie, prawda?

Przymknęła oczy.

- Tak, ja tylko... - Westchnęła bezradnie. - Chciałabym, żeby było inaczej.

- Co masz na myśli?

- Mam już dość tego pilnowania. I traktowania, jakbym była nieodpowiedzialnym dzieckiem. Znowu chcę być silna, jak przedtem... - Nie dokończyła. Uporczywie wpatrywała się w drinka.

Malcolm pogłaskał ją po głowie.

- Uspokój się, przecież dobrze sobie radzisz.

- Nieprawda. Wszystko psuję. Kiedy Dolores powiedziała, że przyszedł Ted, tak się zdenerwowałam, że upuściłam herbatę. - Patrzyła na niego błagalnym wzrokiem. - Chcę wrócić do kliniki, Malcolmie. Strasznie tego potrzebuję. Nie będę musiała znów spotkać się z Tedem.

- A co powiemy naszym wyborcom? Albo tysiącom wolontariuszy, którzy poświęcają na tę kampanię każdą wolną minutę?

- Nie wiem...

Łzy napłynęły jej do oczu. Uniósł dłoń żony do ust.

- Co się stało, Barbaro? Co takiego powiedział Ted?

- Strasznie pokłócił się z Charlesem i teraz jest taki rozbity. Wiem, że przyjechał do mnie po wsparcie, a ja nie byłam w stanie mu go dać, bo się bałam.

Malcolm spojrział na nią uważnie.

- Wiedział, że coś jest nie tak, Malcolmie. Patrzył na mnie tak spokojnie, tak poważnie. Widzisz, w tych sprawach on ma taką samą intuicję jak jego matka.

- Spokojnie - pogłaskał ją po włosach. - Nie myśl o Elizabeth. Nawet nie wymawiaj jej imienia. Tylko poczujesz się gorzej.

Wciąż wpatrywała się w szklanekę z wodą. Kiedy się odezwała, w jej głosie słychać było rozpacz.

- A ty, Malcolmie? Nigdy o niej nie myślisz?

- Nie - powiedział z przekonaniem. - Przeszłość to przeszłość. Nie możemy sobie pozwolić na oglądanie się za siebie. Pomyśl tylko, gdybyśmy tak robili, ilu osobom zniszczylibyśmy życie. Nie tylko sobie, ale i Charlesowi. I Sandrze. Nie chcesz przecież skrzywdzić Sandry, prawda? - Barbara potrząsnęła przecząco głową. - Więc nie wolno ci nigdy wracać do przeszłości. - Ścisnął jej dłoń. - Zrób to dla mnie Barbaro. Zrób to dla nas.

Zamknęła oczy i skinęła głową.

Laura właśnie dyktowała Mildred list, kiedy usłyszała jakiś lekki hałas za drzwiami. Spojrzała na pokój. Ludzie odeszli od swoich biurków i skupili się wokół roześmianego Teda Kandalla, zupełnie jakby witali bohatera.

Jego obecność nawet z tej odległości przytłaczała. Było w nim coś niepokojącego. I w sposobie, w jaki skupiał na sobie uwagę, nie wkładając w to żadnego wysiłku.

- Spójrz tylko na niego - powiedziała Mildred, obserwując Teda ściskającego dłonie. - Zupełnie jakby czas stanął w miejscu, jakby Ted w ogóle się stąd nie ruszał.

- Najwyraźniej wszyscy szaleją na jego punkcie. Mildred uniosła pierś niczym dumna matka.

- Zawsze tak działał na ludzi. Nawet gdy był jeszcze chłopcem.

- Znasz go od dawna, prawda?

- Poznałam go na konkursie fotograficznym. Miał dopiero czternaście lat, ale był zdecydowany i wiedział, co chce robić w życiu. Nigdy nie miałam wątpliwości, że daleko zajdzie. Na przekór ojcu.

Laura obgryzała ołówek i cały czas patrzyła na Teda. Opowiadał coś zgromadzonym wokół ludziom i co chwilę wszyscy wybuchali śmiechem.

Przypominając sobie wszystko, czego się dowiedziała o nim od J. B. i co przeczytała, próbowała wyobrazić go sobie jako chłopca, młodego buntownika, który pewnego dnia odwrócił się plecami do rodzinnej fortuny i oznajmił, że nie zamierza studiować prawa.

Ojciec wściekł się, groził, że go wydziedziczy, ale to nie wpłynęło na decyzję Teda. Kilka tygodni później wyniósł się z domu, zabierając ze sobą niewiele więcej prócz jednej koszuli na grzbiecie i zapisał się na uniwersytet stanowy w Luizjanie. Utrzymywał się z posady asystenta fotografa w domu handlowym.

Tak było do czasu tragicznego samobójstwa matki w górach Aspen w Kolorado szesnaście lat temu. Jej śmierć jeszcze bardziej zaogniła konflikt z ojcem. Wszystkie gazety w Teksasie i w całym kraju rozpisywały się na temat wypadku i tego, jak Ted, na oczach czterystu zgromadzonych na pogrzebie osób oskarżył ojca o morderstwo.

Wkrótce po tym przeprowadził się do Anglii i oprócz J. B. nikt go więcej nie widział. Aż do dziś.

- Nigdy się nie ożenił, prawda? - zapytała, obracając się powoli w krześle.

Mildred potrząsnęła głową.

- Nie.

- Ale chyba nie z powodu braku kandydatki. Chodzą słuchy, że jest kobieciarzem.

- Och, nic o tym nie wiem. - Mildred patrzyła na Teda przez szybę. - W jego życiu było kilka kobiet i wszystkie były piękne, ale nie wydaje mi się, żeby do którejś żywił głębsze uczucie. Pewnie powiedziałby o tym J. B.

- Myślisz, że jest za bardzo wybredny?

- Może trochę. A może nie chce się z nikim wiązać. Pewnie wiesz, że uwielbia dalekie podróże i nie może długo usiedzieć na miejscu.

Przez otwarte drzwi Laura słyszała, jak Ted opowiada coś z niemieckim akcentem. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Niespodziewanie Ted odwrócił się i ich spojrzenia się spotkały. Laura poczuła, że się czerwieni, jakby przyłapano ją na robieniu czegoś złego. A nie robisz? - spytała się w duchu. Wypytajesz Mildred o każdy szczegół jego życia.

Odwróciła wzrok i zaczęła przeglądać papiery na biurku.

- To na razie wszystko, Mildred. Zawołam cię później, kiedy będę musiała podyktować następny list.

- Ależ Lauro... - Mildred spojrzała na nią zdziwiona. - Przecież jeszcze nie skończyliśmy tego listu.

Laura znów poczuła, że się czerwieni.

- Masz rację... Zrobię to później. Lepiej idź i przywitaj się z Tedem. Wiem, że masz na to ochotę.

Mildred wyszła, a Laura nie spuszczała z niej wzroku. Widziała, jak Ted odwrócił się, chwycił ją, uniósł w górę i zaczął obracać ku ogromnej radości Mildred.

Laura uświadomiła sobie, że to niezwykle fascynujący mężczyzna. Odwróciła wzrok i wróciła do pracy.

- I jak ci się podobał film? - zapytał Stuart. Silne reflektory porsche przecinały mrok. - Wystarczająco erotyczny?

Mimo że powiedział to lekko, prawie niedbale, Laura wiedziała, że zmysłowy zagraniczny thriller pobudził go - jeżeli nie psychicznie, to przynajmniej fizycznie. Poznała to po sposobie, w jaki pochylił się podczas kuszącej sceny pod prysznicem i po tym, jak upuścił popcorn.

- Bardziej, niż się spodziewałam - odparła, dusząc się ze śmiechu. - Ale nie dlatego wybrałam ten film.

- Kłamczucha. - Oczy Stuarta błyszczały w ciemności. - Zaciągnęłaś mnie na niego, bo miałaś nadzieję, że mnie rozpali i zawróci mi w głowie.

- Nie wiedziałam, że potrzebujesz zewnętrznych bodźców - droczyła się z nim. Patrzyła na Stuarta rozbawiona. - Podziałało?

Stuart roześmiał się.

- Ty zepsuta dziewczyno. Wiesz przecież, że tak.

Dotarli do domku gościnnego. Stuart zatrzymał samochód, wyłączył silnik i odwrócił się do niej.

- I jeśli chcesz wiedzieć, nie potrzebuję zewnętrznej podniecy. Ty mnie tak rozpalasz. - Dotknął palcem jej ust, a potem delikatnie sięgnął w stronę dekoltu bluzki. - Chodźmy do środka, to ci udowodnię.

Laura opadła na plecy z westchnieniem rozczarowania. Bardzo go kocha, ale jest taki przewidywalny. I tak cholernie monotony. Nawet w stanie pobudzenia. Nie mógłby choć na jedną noc pozbyć się swoich zahamowań i po prostu zgwałcić ją tu i teraz? W porsche?

Czy właśnie tego chcę? Być zgwałconą w porsche?

Uśmiechnęła się na myśl o tym. Ten samochód był skarbem Stuarta. Sam pomyśl, że można by go wykorzystać w celu tak przyziemnym jak seks, był nie do pomyślenia.

- Co ty na to, skarbie? - Dotknął jej warg ciepłymi ustami.

Przez chwilę, ale tylko przez chwilę, miała ochotę przejąć inicjatywę, zachować się jak zdobywca, zerwać z niego koszulę i rzucić się na niego z całą namiętnością, na jaką ją było stać.

Ale on już się odsunął i szukał ręką klamki.

- Pośpiesz się.

No, no, pomyślała, wychodząc z samochodu. Był napalony i pobudzony. Może zaciągnięcie go do kina nie było całkowitą stratą czasu.

Z bijącym sercem otworzyła drzwi. Na podłogę wypadła duża szara koperta.

- Co to jest? - zapytał Stuart.

Laura przykucnęła, żeby ją podnieść.

- Nie wiem. - Oglądała kopertę, kiedy oboje wchodzili do środka. Nie było ani imienia, ani adresu zwrotnego, ani oczywiście znaczka pocztowego. - Zobaczmy.

Otworzyła kopertę, zajrzała do środka i zobaczyła osiem, może dziesięć fotografii.

- To pewnie od mojego wydawcy. Tylko nie rozumiem, dlaczego wysłał je kurierem... - Wyjęła pierwszą odbitkę i zaparło jej dech w piersi. - Co, u licha...

Stojący za nią Stuart aż zagwizdał z wrażenia.

Laura opróżniała kopertę, rozkładając czarno-białe zdjęcia na stoliku do kawy. Było ich pewnie z tuzin. Na wszystkich była ona sama. Zdjęcia zrobiono chyba w tym samym czasie, choć przedstawiały ją w różnych pozach. Nigdy wcześniej nie widziała siebie takiej, nie miała pojęcia, że może wyglądać tak... zmysłowo? Czy tego słowa szukała?

Serce zabiło jej mocniej, kiedy podniosła jedną z odbitek. Fotograf uchwycił jej profil, kiedy stała na ganku i patrzyła w dal. Poranne światło mieniło się w jej włosach, nadawało jej twarzy dziwny, prawie zjawiskowy wyraz. Włosy wyglądały miękko, miały kolor srebrnego pyłu. Usta wilgotne, na wpół otwarte, przez cienki podkoszulek widać było nabrzmiałe sutki.

- Co tu jest grane, do cholery? - warknął Stuart. - Kto zrobił te zdjęcia?

- Przychodzi mi na myśl tylko jedna osoba. Ted Kandall.

- Jak to „przychodzi ci na myśl”? Nie wiesz kto? Chyba mu pozowałaś, tak?

Laura zaczerwieniła się.

- Nie, Stuarcie, nie pozowałam mu. Nawet nie wiedziałam, że jest w pobliżu. Dopóki się nie przywitał. Musiał je zrobić wcześniej... kiedy pracowałam.

- To nie wygląda na pracę.

- Myślałam, a jak wiesz, myślenie to też praca.

Stuart prychnął pogardliwie.

- Ciekaw jestem, o czym wtedy myślałaś.

Kręciło jej się w głowie, policzki płonęły, a oczy błyszczały.

- Słuchaj Stuart, nie podobają mi się twoje insynuacje. To nie do mnie

powinieneś mieć pretensje. Jestem tak samo zaskoczona, jak ty.

- W porządku, masz to załatwione. - Stuart podszedł do parapetu. - Nigdy nie lubiłem tego faceta. I teraz wiem dlaczego. Pomijając jego tak zwany talent, ten facet to czubek z aparatem fotograficznym. Podnieca go fotografowanie kobiet z zaskoczenia.

- Co robisz?

- Dzwonię na policję. Każę aresztować Teda Kandalla.

Podbiegła do niego.

- Za co?

- Za podglądactwo, wtargnięcie i włamanie. Nazwij to, jak chcesz, a ja...

Palcem wskazującym Laura nacisnęła widełki, przerywając połączenie.

Stuart poczerwieniał ze złości.

- Co robisz?

- On się nie włamał. Ani nie wtargnął. Pamiętaj, że to posiadłość J. B. A Ted jest jego gościem.

- Wiesz, że czterdzieści pięć procent gwałcicieli mieszka w promieniu pięciu kilometrów od swoich ofiar? I że...

- Na miłość boską, Ted Kandall nie jest gwałcicielem.

- Skąd wiesz? Spójrz na te zdjęcia. Chcesz mi wmówić, że to nie jest robota zboczeńca?

- Nie zamierzam stać tu i zastanawiać się nad zachowaniem Teda Kandalla. Ani nad motywami jego postępowania. Później się tym zajmę. A ty nie zadzwonisz na policję.

- Dlaczego nie? Dlaczego go bronisz, Lauro? - Spojrzał podejrzliwie. - Kim on jest dla ciebie?

- Nikim, robię to dla J. B. Ted jest jego gościem. I przyjacielem. Jakby to wyglądało, gdybym kazała go aresztować?

- A co ze mną? Jak to będzie wyglądało, kiedy ten czubek zacznie rozsyłać te zdjęcia po całym mieście? Albo jeszcze gorzej, włączy je do sobotniej wystawy?

Jak według ciebie zareagują ludzie, gdy na ścianach galerii Luberick zobaczą zdjęcie mojej narzeczonej wyglądającej jak... - wskazał ręką w stronę zdjęć - jak napalona małolata.

- A ty - odkrzyknęła Laura - zachowujesz się jak zazdrosny, irracjonalny, głupi palant.

- Naprawdę? Więc może lepiej sobie pójde.

- Proszę bardzo. Znasz drogę.

- Dobrze. - Wyprostowany przeszedł przez pokój. Przy drzwiach odwrócił się i rzucił ostatnie mordercze spojrzenie. Jednak gdy go nie zawołała, wyszedł, trzaskając drzwiami.

Laura kopnęła z wściekłością zdjęcie, które spadło na podłogę. I tak skończyła się ta noc, która miała być pełna dzikiej, nieokiełznanej namiętności.

10

Gdy następnego ranka Laura zjawiła się w głównym budynku na ranczu, trwały już intensywne przygotowania do barbecue. Robotnicy biegali z jednego końca posiadłości w drugi, zbijając estradę, wznosząc namioty, ustawiając stoły, przywiązując kolorowe lampiony do olbrzymich dębów.

Znalazła Teda przy zbiornikach. Sprawdzał poziom wody, stojąc na szczycie drabinki przy cysternie. Miał na sobie tylko wygodne dzinsy, buty oraz czarnego stetsona, w którym kilka lat temu chodził J. B.

- Ted!

Spojrzał w dół i zamachał do niej.

- Zaraz zejść.

Patrzyła, jak schodzi po wąskiej drabince niczym doświadczony farmer. Zszedł, rzucił notatnik na pobliską ławkę, tuż obok roboczych rękawic, których najwyraźniej postanowił nie zakładać, i uśmiechnął się szeroko.

- Jak się masz.

Klatkę piersiową, szerszą niż jej się wcześniej zdawało, miał pokrytą potem. Nie odpowiedziała. Odwróciła wzrok i wyciągnęła szarą kopertę.

- Mógłbyś mi to wyjaśnić?

Ted poczuł, że coś między nimi zaiskrzyło. Zastanawiał się, czy ona też to zauważyła.

- A co tu jest do wyjaśniania? Ja jestem fotografem, ty piękną kobietą. To był impuls, to wszystko.

- I nie przyszło ci do głowy, że robienie mi zdjęć bez mojej wiedzy może mi się nie spodobać? Albo że mogę poczuć się urażona?

Rzucił okiem na śliczną rozgniewaną twarz, delikatną szyję i świeży, biały kostium.

- Szczerze mówiąc, nie. Pomyślałem, że może ci się spodoba, jak cię widzi artysta - zmysłową i bezbronną.

- Otóż nie podoba mi się. Na przyszłość panuj nad sobą i nad swoimi impulsami. O mały włos nie wylądowałeś w więzieniu.

Uniósł brwi.

- Aż tak cię to zdenerwowało?

- Stuart chciał dzwonić na policję.

Nie wiedział dlaczego, ale poczuł się nieco zawiedziony. Nie chciał, żeby Stuart Fleming oceniał jego prace.

- Nie sądziłem, że mu je pokażesz.

- Był ze mną, kiedy je znalazłam. I muszę ci powiedzieć, że twoje zdjęcia nie podobały mu się bardziej niż mnie.

Zsunął kapelusz na tył głowy.

- To znaczy, że z mojej pracy w „Sentinelu” nici?

Zesztywniała.

- O czym ty mówisz?

- J. B. myślał, że skoro już tu jestem, może chciałabyś, żebym zrobił kilka zdjęć do gazety.

Zauważył, że to ją poruszyło. Przez moment wyglądała na zakłopotaną, nie wiedziała, co powiedzieć. Ale już po chwili znów była w natarciu.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Moim ludziom nie spodobałoby się, gdyby jakiś wolny strzelec wtargnął na ich teren. Nawet na kilka dni.

Każdy inny wydawca natychmiast skorzystałby z takiej okazji. Ale fakt, że ona tego nie zrobiła, sprawił, że spodobała mu się jeszcze bardziej. Wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy. To tylko propozycja. Gdybyś zmieniła zdanie, po prostu daj znać.

Spokojny, niemal pieszczotliwy ton jego głosu sprawił, że prawie zapomniała, po co przyszła. Zamachała kopertą, którą trzymała w dłoni.

- Gdzie są negatywy?

- W moim pokoju.

- Muszę je mieć.

Uśmiechnął się szeroko i powoli podszedł do niej.

- Dobrze. Jeżeli podrzucisz mnie do domu, to ci je dam.

Bliskość Teda nie pozwalała jej się skoncentrować. Przez jedną zdumiewającą chwilę czuła, jak pochyla się w jego kierunku, jakby przyciągał ją magnes. Z wysiłkiem wyprostowała się i zrobiła krok do tyłu.

- To nie będzie konieczne. Po prostu zostaw je u Lenoksa, a ja odbiorę je później.

Poprawiła zakiet, żeby wyglądać bardziej dostojnie, powiedziała szybko „Do widzenia” i wróciła do samochodu.

W walącym się ze starości motelu niecały kilometr od lotniska w Austin Tony Cordero stał przed pękniętym lustrem w łazience, zawiązując krawat od Billa Blassa.

Tony uwielbiał ciuchy. Nie te cuchnące zgnilizną, które przed laty wybierał ze śmietników sąsiadów, ale ciuchy z klasą. A to, myślał, patrząc z uznaniem na marynarkę w prążki, którą uszył mu jego krawiec z East Village, były ciuchy z klasą.

Nie był zbyt zachwycony, gdy dowiedział się, że następne cztery tygodnie będzie musiał spędzić w stolicy Teksasu. Henrietta, zgrabna instruktorka fitness, z którą umawiał się przez ostatni miesiąc, też nie była zadowolona. Należała do kobiet, które potrzebują stałej uwagi. Gdyby nie siła jego perswazji i kosztowne małe świecidełko od Tiffany'ego, już dawno byłby dla niej historią.

Tony westchnął, poprawiając węzeł. Już za nią tęsknił. Sama myśl o jej jędrnym, silnym, giętkim ciele tuż obok doprowadzała go do szaleństwa.

Może ta robota nie zajmie mu aż tyle czasu, jak twierdził Enzo. Może gdy tylko wpadną mu w ręce niezbędne informacje i zajmie się Laurą Spencer, szef każe mu wracać do domu, wypłaci dużą premię i odeśle w ramiona Henrietty.

W lepszym nastroju zrobił krok w tył, żeby podziwiać swoje dzieło. Wygląda wspaniale. Na to szczególne spotkanie postanowił znów wcielić się w rolę Enrica Garcii, szefa Garcia Creations. Rola pasowała do niego doskonale i wystarczyło kilka niewielkich zabiegów, żeby dopasować ją do okoliczności.

Obiema rękami poprawił zgrabny kucyk i uśmiechnął się szeroko do odbicia w lustrze. Ta robota pójdzie jak z płatka.

Piętnaście minut później, w holu „Austin Sentinel”, westchnął z ulgą. Miła brunetka w recepcji była Latynoską. Czy można być aż takim farciarzem?

Z promiennym uśmiechem, który Henrietta nazywała uśmiechem Johna Travolty, postawił teczkę na biurku dziewczyny i natychmiast wszedł w rolę.

- Dzień dobry, panno Rodriguez - przywitał się, zerkając na tabliczkę z nazwiskiem. - Nazywam się Enrico Garcia. - Wibrujące „r” dosłownie spływało z języka. - Może pani słyszała o Garcia Creations? Domu mody w Los Angeles?

Zanim zdążyła powiedzieć, że nie, z uznaniem popatrzył na jej prosty, dwuczęściowy biały kostium z dżerseju.

- Piękna garsonka.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się. - W czym mogę panu pomóc, panie Garcia?

- Organizuję wielką kampanię promocyjną dla dużej sieci butików, które w przyszłym miesiącu zamierzam otworzyć w Teksasie. Chciałbym porozmawiać na ten temat z kimś kompetentnym z waszego działu reklamy.

- Najlepiej z panem Malloyem. Kenem Malloyem. - Trzymała palce na centralce telefonicznej. - Chce pan, żebym do niego zadzwoniła? Może będzie mógł się z panem spotkać.

- Dziękuję. - Obserwował, jak wykręca numer i informuje Kena Malloya, że w holu na dole czeka na niego gość.

Uśmiechała się, odkładając słuchawkę.

- Pan Malloy powiedział, że chętnie się z panem spotka. Trzecie piętro, drugie biuro w głębi korytarza.

- Dziękuję, panno Rodriguez.

- Nie ma za co.

Świadom, że odprowadza go wzrokiem, szedł energicznym krokiem i energicznie uderzył przycisk windy. Jak dotąd, idzie doskonale.

Ken Malloy przywitał go uprzejmie, wysłuchał zmyślonej opowieści Tony'ego o sieci ekskluzywnych butików i odparł, że rad by osobiście przejrzeć projekt.

Mimo że rozmowa nudziła go śmiertelnie, Tony potakiwał z ożywieniem, kiedy Malloy przedstawiał kilka planów kampanii. Trzymając się swojej roli, Tony pokazał mu kilka szkiców, które miał w teczce.

Pół godziny później Tony wstał, uściśnął dłoń mężczyzny i obiecał przyjść znowu, gdy omówi propozycje „Sentinela” ze swoimi partnerami.

Wizytówka, którą Tony zostawił Malloyowi, z adresem i numerem telefonu w Los Angeles, była tak samo nieprawdziwa jak cała reszta. Ale zanim Malloy to sobie uświadomi, Tony zdobędzie już potrzebne informacje i będzie daleko stąd.

Wrócił na dół i od razu podszedł do Angeli Rodriguez.

- Jak poszło? - zapytała, najwyraźniej zadowolona, że znowu go widzi.

- Doskonale. Wygląda na to, że jednak Garcia Creations i „Sentinel” będą razem robić interesy.

- Miło mi to słyszeć.

- I żeby wyrazić pani wdzięczność... - Otworzył teczkę i wyciągnął śliczną, jedwabną apaszkę w biało-czarny geometryczny deseń, z metką „Garcia”. - Proszę pozwolić mi ofiarować to pani jako drobny upominek.

Odwróciła swoją ładną, zaczerwienioną z emocji twarz.

- Och, nie wiem, czy powinnam... Przecież nic takiego nie zrobiłam - Tony widział jednak, że jej spojrzenie wędruje ku jedwabnemu prostokątowi. Nie mogła oprzeć się pokusie.

Nie potępiał jej. Ten francuski model, którego metkę zastąpił własną, kosztował go sto dolców. Miał przygotowanych pięć różnych firmowych apaszek, w zależności od tego, czy recepcjonistka byłaby ubrana na niebiesko, czerwono, zielono czy kolorowo.

- Jest pani zbyt skromna, panno Rodriguez. Panna, mam rację?

- Tak...

Delikatnie udrapował apaszkę na jej ramionach.

- Doskonale. Zupełnie, jakby była stworzona do tej garsonki. I dla pani.

- Och... - Wciąż zarumieniona, dotknęła jedwabnej tkaniny, spoglądając na ramiona. Po chwili podniosła wzrok. - Jeżeli jest pan pewien, że to w porządku.

- Jestem pewien. Absolutnie. I uważam, że powinniśmy to przetestować.

- Przetestować? - Potrząsnęła głową. - Nie rozumiem.

- Zapraszam panią na lunch. Pójdziemy gdzieś, gdzie jest dużo ludzi, i zobaczymy, jak zareagują.

Nie było to dokładnie to, co Enzo miał na myśli, gdy mówił „nie rzucać się w oczy”, ale im szybciej zdobędzie niezbędne informacje, tym szybciej wróci do domu, do Henrietty.

Dostrzegł żal w oczach Angeli Rodriguez.

- Nie mogę - powiedziała, wzdychając. - Dziewczyna, która mnie zastępuje, jest chora. Muszę dzisiaj zostać w biurze.

- Jaka szkoda - zastanawiał się chwilę.

A więc będzie musiał poczekać kilka godzin. Trudno, jakoś to wytrzyma. Ale za to będzie mógł zabrać ją w bezpieczniejsze miejsce, gdzie będzie mniej ludzi.

- Może więc wybierzemy się na kolację? Wprawdzie muszę złapać samolot do Los Angeles o siódmej trzydziści, ale jeśli pani nie ma nic przeciwko tak wczesnej kolacji...

Twarz dziewczyny rozpuściła się.

- Ależ skąd. Kończę pracę o piątej. Możemy się gdzieś spotkać.

Ostrożna. To mu odpowiadało. Zabranie jej sprzed „Sentinela” mogłoby być zbyt ryzykowne. Przypomniał sobie spokojną restaurację niedaleko motelu Niebieski Księżyc i zapytał:

- Wie pani, gdzie jest Cylinder?

- Jasne. Będę tam o wpół do szóstej.

- A więc do wieczora. - Schylił się szarmancko, chwycił jej dłoń i musnął wargami delikatną śniadą skórę.

- Do zobaczenia Angelo. - Uśmiechnął się zachęcająco. - Mogę mówić pani po imieniu?

- Tak. - Widział, że stara się powstrzymać chichot zadowolenia. - Może pan.

Kiedy o siódmej wieczorem Tony żegnał się z Angelą Rodriguez wiedział już, gdzie mieszka Laura Spencer, kto naprawia jej samochód i jaki tryb życia prowadzi. Dowiedział się też, że jest zaręczona z zastępcą prokuratora okręgu Burnet, a jej rodzina składa się z ojczyma, byłego wydawcy „Sentinela”, obecnie na emeryturze, oraz matki - piosenkarki, która śpiewa teraz w Złotej Papudze.

Siedząc za kierownicą czarnej toyoty Luigiego, Tony westchnął z zadowolenia. Ta robota idzie za łatwo.

11

W czwartek wieczorem, gdy Laura szykowała się do snu, zadzwonił W Stuart.

- Cześć - powiedział potulnym, prawie pieszczotliwym głosem. -Przepraszam za moje zachowanie ostatniej nocy. Nie powinienem był wyładowywać na tobie złości.

- Masz cholerną rację.

- Zmarnowaliśmy wieczór, który mógł być cudowny.

Bawiła się kosmykiem włosów.

- To ty zmarnowałeś wieczór, który mógł być cudowny.

Usłyszała stłumiony śmiech.

- I nigdy mi tego nie wybaczysz, prawda?

Czuła, jak mięknie.

- Nie, dopóki nie odkupisz win.

- Lauro, wierz mi, że niczego bardziej nie pragnę. Ale zaczyna się proces Hallowaya i Ed przydzielił go właśnie mnie.

- To znaczy?

- To znaczy, że przez kilka tygodni nie będziemy się zbyt często widywać.

- Nawet w weekendy?

- Niestety, nawet w weekendy. To bardzo skomplikowana sprawa, Halloway wynajął bardzo ostrego i sprytnego adwokata.

Westchnęła z rezygnacją. Kilka miesięcy temu Stuart mówił jej o tej sprawie. Podkreślał, jakie znaczenie ma dla jego kariery. Narzekanie byłoby teraz nie na miejscu.

- Zadzwonię, kiedy tylko uda mi się wyrwać - obiecał Stuart. - Może znajdziemy chwilę na szybką kolację któregoś wieczoru.

Roześmiała się. Chyba chciał powiedzieć: „może uda nam się znaleźć chwilę na szybki numerek”.

- A co z barbecue jutro wieczorem?

- Może wpadnę na godzinkę.

Zważywszy na to, jak bardzo jest zajęty, było to więcej, niż mogła oczekiwać.

- A więc do zobaczenia. Dobranoc, Stuarcie - powiedziała.

Oczekiwane z niecierpliwością barbecue w Lost Creek rozkręciło się już przed zapadnięciem zmroku. W bufecie było mnóstwo amerykańskich i meksykańskich specjałów, łącznie ze słynnym befasolowym chili Lenoksa, jednym z niewielu lokalnych dań, jakie nauczył się przyrządzać w ciągu trzydziestu lat życia na ranchu. Aromat skwierczących na grillu steków rozchodził się wokół, a na estradzie pełen życia zespół zabawiał ponad setkę gości.

Laura, stojąc na werandzie obok J. B., sączyła mrożoną margaritę. Tego wieczoru założyła czarne skórzane spodnie, które Stuart nazywał spodniami gwiazdy rocka, prostą białą bluzkę i czarną haftowaną kamizelkę. Czarne buty nabijane ćwiekami i kowbojski kapelusz zsunięty na plecy dopełniały całości.

- Wspaniałe przyjęcie, J. B. - pochwaliła, patrząc, jak rancher z sąsiedztwa ciągnie żonę na parkiet, żeby zatańczyć two-step. - Przeszedłeś sam siebie.

J. B. dostrzegł jej tęskny wyraz twarzy.

- Dlaczego się nie bawisz, dziewczyno?

- Będę się bawić. - Rozejrzała się dookoła po zatłoczonym trawniku. - Jak tylko Stuart przyjedzie.

- To może jeszcze potrwać. - J. B. wziął ją za rękę i nie zwracając uwagi na protesty, ciągnął przez tłum gości, aż znalazł osobę, której szukał.

- Ted - zwrócił się do Kandalla, odciągając go na bok. - Mam tu bardzo znudzoną młodą damę. Myślisz, że mógłbyś coś na to poradzić?

Ted teatralnym gestem objął Laurę w pasie.

- Spróbuję. - Uśmiechając się do niej, zapytał: - Czym mogę pani służyć? Spacer w świetle księżyca? Taniec?

Spacer z Tedem w świetle księżyca był ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła.

- Taniec to lepszy pomysł, choć ostrzegam, że nigdy nie byłam mistrzynią w two-step.

- Mógłbym zaproponować, że cię nauczę, ale sam nie jestem w tym dobry. Pozostaje więc tylko jedna możliwość. - Trzymając ją mocno w pasie, zaprowadził Laurę do estrady i szepnął gitarzyście kilka słów na ucho.

Kiedy muzycy zagrali pierwsze takty *Amor* Julio Iglesiasa, Ted otworzył ramiona.

- Tak będzie lepiej?

Nie była pewna. Ponieważ jednak zadał sobie tyle trudu, nie chciała mu odmawiać. Mrucząc pod głosem niezobowiązujące „W porządku”, wślizgnęła się w jego ramiona.

Przyciągnął ją bliżej i mocno przytulił do twardej piersi. Poczowała prąd Przeszywający całe ciało. Tęsknię za Stuartem, to wszystko, doszła do wniosku, patrząc bezradnie wokół siebie i szukając wzrokiem narzeczonego. To w jego objęciach chcę się znaleźć. To jego oddech chcę czuć na policzku.

Zupełnie, jakby czytał w jej myślach, Ted odsunął się, żeby spojrzeć jej w oczy.

- A gdzie Stuart?

- Pracuje do późna. Zaraz tu będzie.

- Mam nadzieję. - Znów przyciągnął ją do siebie. Zwinął jej prawą dłoń w pięść, otoczył swoją i przygarnął do piersi. - Byłby durniem, gdyby stracił okazję, żeby zobaczyć cię w tym stroju.

Uśmiechnęła się.

- Ale nie masz zamiaru robić mi zdjęć, prawda?

- Zawsze o tym myślę, kiedy cię widzę. Ale będę się kontrolował. Dopóki się nie zgodzisz.

Powoli Laura odprężyla się. Nie leci na nią. Po prostu jest miłym facetem i stara się podtrzymać rozmowę. J. B. ma rację. Ostatnio jest za bardzo spięta. Potrzebuje więcej rozrywki.

- Czy mogę przeszkodzić?

Na dźwięk głosu Stuarta niemal wydała westchnienie ulgi.

- Stuart - powiedziała, gdy Ted uwolnił ją z uścisku. - Tak się cieszę, że udało ci się wyrwać.

- Mówiłem, że przyjdę. - Nie spuszczał wzroku z Teda. - Dzięki, że mnie zastąpiłeś, stary - powiedział z cieniem sarkazmu w głosie. A teraz, jeśli pozwolisz, moja narzeczona zatańczy ze mną.

Z ociąganiem Ted puścił dłoń Laury.

- Proszę bardzo. Bawcie się dobrze.

Przechodząc przez parkiet, obejrzał się na nich - dwoje kochanków patrzących sobie czule w oczy. Poczował, jak skręca mu się żołądek. Co się z nim dzieje, do diabła? Dlaczego ta kobieta tak na niego działa? Przecież jest zaręczona, na miłość boską. I wygląda na to, że jest szczęśliwa.

Gdy kelner roznoszący drinki zatrzymał się przy nim, Ted wziął butelkę *corony* i pociągnął długi łyk. Zobaczył J. B. stojącego po drugiej stronie parkietu i zaczął przepychać się w jego kierunku.

Galeria Luberick na Congress Street była już pełna ludzi, gdy w sobotę po południu Laura przyjechała tam z J. B. Kiedy przeciskali się przez tłum, żeby móc podziwiać ponad dwieście czarno-białych fotografii, które Ted Kandall zrobił w trakcie swojej błyskotliwej kariery, wszyscy już tam byli cała śmietanka towarzyska Austin i znani stanowi krytycy sztuki.

Laura początkowo nie chciała przyjść. Próbowwała się wykręcić, mówiąc, że ma dużo pracy, ale J. B. był nieustępliwy.

- Musisz mieć kilka godzin wolnego - przekonywał. - W przeciwnym razie wypalisz się, a wtedy co się stanie z „Sentinelem”?

Teraz, gdy patrzyła na zdjęcie somalijskiej kobiety przyglądającej się, jak amerykańskie oddziały przechodzą koło jej chaty, Laura zrozumiała, dlaczego krytycy z całego świata okrzyknęli Teda Kandalla nowym Robertem Capa.

To było coś więcej niż zdjęcie - to była cała opowieść. Za pomocą aparatu Ted uchwycił nieprawdopodobnie różnorodne emocje - grozę, strach, ciekawość i nadzieję.

Nadzieja, stale pojawiająca się w jego fotografiach, sprawiała, że obrazy wojny wydawały się mniej tragiczne. Były też inne zdjęcia - z Nikaragui, z Południowej Afryki, zrobione w dniu, gdy wypuszczono z więzienia Nelsona Mandelę, i z Libii ogarniętej powstaniem. Wszystkie wyrażały mieszaninę cierpienia i nadziei.

- Przez to zdjęcie o mało nie zginął - poinformował ją J. B., wskazując fotografię zrobioną w osławionej Alei Snajperów w Sarajewie.

Laura przyglądała się leżącym na ulicy ciałom, kobiecie uciekającej przed serią z karabinu.

- Postrzelili go?

- W udo. Ale zamiast uciekać, pomógł rannemu żołnierzowi ONZ wydostać się spod ostrzału. A to zdjęcie... - zatrzymali się przed serią niewielkich fotografii zatytułowanych po prostu „Upadek muru” - Ted zrobił podczas otwarcia Bramy Brandenburskiej w listopadzie tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Kiedy wreszcie udało mu się bezpiecznie wydostać z tłumu, był posiniaczony, podrapany, a nawet podeptany, ale fotografie, które przywiózł, są najbardziej poruszające ze wszystkich, jakie widziałem.

Nim zdążyła mu odpowiedzieć, J. B. pomachał do kogoś.

- To Ring Farley - poinformował Laurę. - Nie widziałem go od lat. Oglądaj sobie. Potem cię dogonię.

- W porządku. - Laura poszła dalej i zatrzymała się przed kolejną fotografią. Był na niej mały chłopiec, który szedł ulicą zasypaną gruzem. Kurczowo obejmował podartego misia, którego uratował z wybuchu. Patrzył prosto w obiektyw, a w jego oczach widać było zarówno strach, jak i dumę z posiadania.

- To moje ulubione zdjęcie.

Nie musiała się odwracać. Wiedziała, że tuż za nią stoi Ted. Był tak blisko, że czuła zapach jego wody po goleniu.

- Niezwykle - przyznała stłumionym głosem. - Mam wrażenie, jakbym znała tego chłopca.

- Polubiłabyś go. - Stał obok poruszony łzami w jej oczach. Zobaczył je, gdy odwróciła się, żeby spojrzeć na niego. - Ma na imię Elrak. Jest Chorwatem, ma siedem lat i wie, gdzie sprzedać paczkę amerykańskich papierosów za bochenek chleba. - Poklepał kieszeń na piersi, w której, sądząc po zarysach, trzymał paczkę marlboro. - Dlatego nie mogłem rzucić palenia.

To ją zaskoczyło. Te słowa ukazywały Teda Kandalla innego, niż znany z prasy porywczy playboy, wrażliwego.

- Masz rację - przyznała. - Lubię go. - Jeszcze raz spojrzała na zdjęcie. Nie mogła od niego oderwać wzroku. - Co z nim będzie?

Ted wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Udało mu się przetrwać, mimo że jego dom został zburzony. Przed wyjazdem z Sarajewa odszukałem jego rodzinę i znalazłem dla nich nowe mieszkanie. Mam nadzieję, że będzie tam bezpieczny.

- Opowiedz mi o innych fotografiach.

- Bardzo chętnie. - Ujął ją pod rękę i poprowadził przez salę, zatrzymując się przed kolejnymi zdjęciami. Opowiadał o wszystkim, co przedstawiały, ożywiał fotografie wzruszającymi, niekiedy zabawnymi historyjkami.

To jego sposób na odreagowanie całej tej ohydy, myślała, od czasu do czasu zerkając ukradkiem w jego stronę. Sposób na to, żeby można to było jakoś znieść.

- Cześć, wielki bracie!

Laura odwróciła się na dźwięk wesołego, młodego głosu. Zobaczyła śliczną dziewczynę, która podeszła do Teda i objęła go ręką w pasie. Miała na sobie bardzo krótką obcisłą czarną sukienkę, buty na wysokim obcasie i szare skarpetki. Na jej twarzy gościł figlarny uśmiech, który bardzo przypominał uśmiech Teda.

- Złotowłosa! - Ted przytulił ją serdecznie. - Jesteś sama?

- Żartujesz? Wszyscy moi przyjaciele tu są. Liczą na darmowe kanapki i szampana. - Spojrzała na Laurę i trąciła Teda łokciem w żebra. - Nie przedstawiś mnie?

- Och - zaśmiał się Ted. - Przepraszam. To jest Laura Spencer, pasierbica J. B. i nowy wydawca „Sentinela”. Lauro, poznaj moją małą siostrę, Sandrę.

- Cześć - przywitała się Sandra i jeszcze raz trącając go w żebra. dodała: - Uważaj, kogo nazywasz małą. - Wyciągnęła dłoń do Laury. Miło mi cię poznać, Lauro. Mój brat wiele mi o tobie opowiadał.

Laura spojrzała na Teda zdziwiona.

- Tak?

- Uhm. Ale nie martw się. Mówił same dobre rzeczy. To bardzo dziwne, biorąc pod uwagę to, co myśli o dziennikarzach.

- Ach, tak. - Laura zaczynała lubić tę dziewczynę. - A co on myśli o dziennikarzach?

Sandra wzięła małą kanapkę z tacy, którą niósł przechodzący obok kelner, i włożyła ją do ust.

- Nienawidzi ich - powiedziała, oblizując palce. - I to strasznie. Kilka lat temu walnął jednego w twarz, rozciął mu usta i wybił dwa zęby. Facet chciał nas pozwać do sądu, ale po rozmowie z ojcem przystał na ugodę.

- Musisz wybaczyć mojej siostrze - powiedział Ted, mierzwiąc jej jasne włosy. - To urodzona plotkara. Zawsze nazywaliśmy ją Louellą.

- To nie plotki, to najprawdziwsza prawda...

Wpadła na nich ekipa telewizyjna. W mgnieniu oka otoczyli Teda i Sandrę.

- Czy możemy państwa sfilmować, panie Kandall? Może powie pan kilka słów dla widzów wiadomości o szóstej. Jak się pan czuje po tylu latach nieobecności, w Teksasie?

Ted zaczął odpowiadać, a Laura dyskretnie się wycofała. Zastanawiała się, które zdjęcia jeszcze obejrzeć, gdy usłyszała przekleństwo i trzask. Zrobiło się zamieszanie. Wszyscy rzucili się w stronę Teda i Sandry.

Na chwilę zapadła głucha cisza.

Właścicielka galerii Claire Logan rozglądała się bezradnie dookoła.

- Co się stało? Dokąd on poszedł?

Wzburzony reporter wkładał z powrotem okulary, a kamerzysta sprawdzał stan sprzętu.

- To wariat. - Splunął, przeczesując palcami włosy. - Zapytałem go tylko, czy

wojna między nim i ojcem się skończyła. Zanim się zorientowałem, co się dzieje, przewrócił mojego kamerzystę.

- Mieliście zadawać tylko pytania dotyczące wystawy - powiedziała pani Logan surowo. - Omawialiśmy to z waszą stacją kilka dni temu.

- Nikt mi o tym nie powiedział.

Widząc, jak reporter odwraca wzrok, Laura domyśliła się, że kłamie. Zauważyła znajomego fotografa z „Sentinela”. Podeszła do niego.

- Dokąd poszedł Ted Kandall? - zapytała.

Młody mężczyzna wskazał drzwi.

- Wyszedł z siostrą, panną Spencer.

Pod wpływem impulsu Laura poszła w tym kierunku. Dogoniła Teda na końcu ulicy, miał już przejść przez Congress Bridge. Sandry z nim nie było.

- Mogę się przyłączyć? - zapytała.

Nie odpowiedział. Z rękami wciśniętymi w kieszenie schodził z mostu do Town Lake Hike i na szlak rowerowy, popularną ośmiokilometrową trasę wzdłuż rzeki Kolorado, skąd roztaczał się efektowny widok na miasto.

- Gdzie Sandra?

- Wsadziłem ją do taksówki. - Kopnął gałąź leżącą na drodze. - Ten cholerny dziennikarz doprowadził ją do łez. Mało mu nie urwałem głowy.

- Na szczęście tego nie zrobiłeś. Ale zdaje się, że będziesz musiał zapłacić za kamerę.

- To jego wina. Gdyby trzymał się uzgodnień, nic takiego by się nie stało.

- O co cię zapytał?

Nie chciał o tym mówić.

- Dlaczego, do licha, nie zostawiaj nas w spokoju? Dlaczego chcą się do nas dobrać podstępem?

- Musisz zrozumieć, że Kandallowie zawsze byli cennym łupem dla mediów. Traktuje się ich jak Kennedych Teksasu. Wszelkocni, bogaci, wpływowi.

- I dlatego są tacy interesujący?

- Niekoniecznie, ale widzowie tak sądzą i dopóki to się nie zmieni. dziennikarze będą na was polować.

- Media to krwiopijcy.

Uśmiechnęła się.

- Co do tego mogę się z tobą zgodzić. Bóg wie, ile przeszliśmy z J. B.. kiedy znaleźliśmy się w centrum zainteresowania, gdy moja matka odeszła. Ale teraz chyba inaczej na to patrzę.

- Nigdy nie zniżyłabyś się do tego poziomu.

Ten komplement poruszył ją bardziej niż wszystko, co do tej pory zrobił.

- Co powiedział ten dziennikarz? - zapytała znowu.

Ted przestał przyglądać się samotnemu wioślarzowi, który sunął po wodzie, prawie wcale nie robiąc fal.

- Chciał się dowiedzieć, czy mój ojciec wybaczył mi moje zachowanie w dniu pogrzebu matki.

- Rozumiem, że temat jest dla ciebie bolesny.

- Tylko wtedy, gdy nie chcę o tym mówić. A on wiedział, że nie chcę. Uzgodniliśmy z jego szefem, że nie będzie pytał o rodzinę, że będziemy rozmawiać tylko o mojej pracy i wystawie.

Stała przy nim. Wciąż wpatrywał się w rzekę.

- Jeśli chcesz o tym teraz porozmawiać, z przyjemnością posłucham. Mówią, że jestem w tym dobra.

Nie wątpił. Było w niej coś prawdziwego. Dobroć i przyzwoitość. Od razu to wyczuł. Może właśnie dlatego go do niej tak ciągnęło. Kobiety, które do tej pory spotykał, choć piękne i inteligentne, były kruche i powierzchowne. Właśnie dlatego nigdy nie związał się na dłużej z żadną.

- Nigdy nie mogliśmy dogadać się z ojcem - zaczął, ale zaraz zaprzeczył, potrząsając głową. - Nie, to nieprawda. Był czas, kiedy nie rozstawaliśmy się ze sobą. Ale praca pochłaniała go coraz bardziej. Długo nie było go w domu, podróżował z matką do Waszyngtonu, bywał na przyjęciach trwających do późnej nocy. Miałem trzynaście lat i prawie wcale go nie widywałem. Podobnie zresztą jak matki. Dla wygody wysłali mnie do szkoły z internatem, ale tak pokierowałem

sprawą, że wyrzucili mnie już po trzech miesiącach.

Laura uśmiechnęła się. Zastanawiała się, co takiego mógł zrobić, żeby ściągnąć sobie na głowę tak poważną karę.

- Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co chcę robić w życiu - ciągnął, kiedy ruszyli spacerkiem po zacienionej ścieżce. - Ale wiedziałem jedno - nie chciałem być politykiem. I nie chciałem studiować prawa. To właśnie wtedy zaczęliśmy z ojcem oddalać się od siebie. Kilka lat później, kiedy powiedziałem mu, że chcę zostać fotografem i podróżować po świecie, uderzył mnie. Matka próbowała interweniować, ale jej nie słuchał. Poszedłem na uniwersytet stanowy w Luizjanie i nie widziałem go więcej, aż do dnia pogrzebu matki.

Przypomniała sobie, że czytała kiedyś relację o tej tragicznej śmierci. Charles Kandall zawiózł samolotem na weekend około setki wolontariuszy pomagających przy jego kampanii wyborczej do swojego domu letniskowego w Aspen. W niedzielę w samym środku uroczystości jego żona weszła na górę, potem na balkon i skoczyła, zabijając się na miejscu.

- To musiało być dla ciebie straszne.

Zaśmiał się sarkastycznie.

- Nic o tym nie wiedziałem. Spędzałem wtedy weekend z przyjaciółmi na Florydzie. Po kilku nieudanych próbach ojciec przestał mnie szukać. Gdyby nie Lucinda, nie byłoby mnie na pogrzebie własnej matki.

- I to cię tak rozgniewało.

- Byłem wściekły. Gdy przyjechałem, nabożeństwo już trwało. Pięciami musiałem torować sobie drogę, szamotać się z ochroniarzami, żeby dostać się tam, gdzie siedzieli pozostali członkowie rodziny. A kiedy już tam dotarłem, ojciec nawet na mnie nie spojrzał. Później dowiedziałem się, że policja coś podejrzewała. Gdy jednak nie znaleźli nic, co potwierdziłoby ich podejrzenia, oświadczyli, że to było samobójstwo.

- J. B. nigdy mi nie wspominał o podejrzeniach. To prawda?

- Początkowo tak myślałem. Nie mogłem uwierzyć, że moja matka popełniła samobójstwo. Miała w sobie tyle życia, była duszą towarzystwa, a przy tym wspaniałą matką.

Uśmiechnął się smutnym, poruszającym uśmiechem.

- Wszyscy ją uwielbiali.

Odsunęli się, żeby przepuścić kobietę z wózkiem.

- Po pogrzebie nie zostałem zaproszony do domu - ciągnął bezbarwnym głosem. - Mimo to poszedłem. Dziś zdaję sobie sprawę, że gdybym się postarał, pogodziłbym się wtedy z ojcem. Pierwszy raz od wielu lat coś nas łączyło - smutek po utracie ukochanej osoby. Ale nie wykorzystałem tej okazji. Powiedziałem mu, że jest winny śmierci matki, że gdyby był lepszym mężem i bardziej o nią dbał, nie zabiłaby się.

- Ale już tak nie uważasz?

Potrząsnął przecząco głową.

- On nie ponosi za to odpowiedzialności. Matka lubiła życie, jakie prowadzili, i wszystko, co się z nim wiązało. Dlaczego postanowiła skończyć ze sobą, i to w taki sposób, na zawsze pozostanie dla mnie tajemnicą.

Mimo że Laura słyszała już wcześniej tę historię, nigdy przedtem nie opowiadano jej z taką goryczą. Twarz Teda była bez wyrazu, w jego głosie nie słyhać było żadnych emocji tylko ból, który ją dosłownie przeszywał.

- Ojciec nigdy nie wybaczył ci tego, co wtedy powiedziałeś?

- Nie. Nie chciał mi wybaczyć nawet w zeszłym tygodniu, kiedy pojechałem się z nim zobaczyć.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Tak mi przykro, Ted.

Nie zatrzymując się, pogłaskał jej dłoń.

- Wiem, dziękuję. - Spojrzał na nią i pierwszy raz, odkąd go dogoniła, dostrzegła cień uśmiechu błakający się na jego twarzy. - To prawda, co mówią. Jesteś w tym dobra.

Obok nich mała dziewczynka wskazywała palcem most. Zapadł zmierzch i spomiędzy przesł wylatywały chmary nietoperzy meksykańskich, tworząc falującą wstęgę. Spektakl, który nigdy nie nudzi mieszkańców Austin. Każdego wieczoru o zmierzchu przychodzą tu tłumnie i stają na moście lub siadają na ławkach przy nabrzeżu. Czekają na moment, gdy nietoperze wylecą na łowy.

- To wciąż najlepsze widowisko w Austin, prawda? - zapytała cicho Laura,

stając za nim.

- Tak. - Wzrok Teda powędrował w stronę rzeki. - Ojciec kiedyś mnie tu zabrał. Nie mogłem mieć więcej niż pięć, sześć lat. Było tak tłoczno, że musiał mnie wziąć na barana.

Tej nocy Laura długo nie mogła usnąć. Wciąż widziała twarz Teda, gdy mówił o swoich fotografiach. O tym, ile dla niego znaczą i jakie jego zdaniem mogą mieć znaczenie dla tych, którzy je oglądają. Myślała o tym, w jaki sposób mówił o swoim ojcu - nie z gniewem, ale z tęsknotą, która sprawiała, że chciała mu pomóc.

Niepokoilo ją, że nigdy nie odczuwała takiego współczucia w stosunku do Stuarta. Ale niby dlaczego miałyby mu współczuć? Stuart zawsze dogadywał się z rodzicami. Oczywiście ciężko na to pracował. Nawet gdyby nie chciał być prawnikiem tylko kimś innym, zrezygnowałby ze swoich marzeń, żeby zadowolić rodziców. Taki był.

12

- Co to właściwie jest? - zapytała Laura, gdy jej matka wylewała do brytfanny podejrzenie wyglądającą zieloną masę. W różowym fartuchu nałożonym na dzinsy i biały podkoszulek, Shirley wyglądała jak prawdziwa gospodyni domowa.

- *Gateau d'epinards d la Parisienne.*

- Co takiego?

- Zapiekanka szpinakowa, ale tłumaczenie nie oddaje finezji oryginału. Stuart dał mi przepis.

- Stuart? Mój Stuart?

- Zrobiliśmy duże postępy od czasu kolacji w zeszłym tygodniu. - Wsunęła brytfannę do pieca i nastawiła zegar na dwadzieścia pięć minut. - Zwłaszcza po tym, jak mu powiedziałam, że biorę lekcje gotowania.

- Kiedy zaczęłaś brać lekcje gotowania?

- Nie zaczęłam. Wymyśliłam to, bo doszłam do wniosku, że wspólne zainteresowania to dobry sposób, żeby mnie polubił. - Uszczypnęła Laure czule w policzek. - Przestań patrzeć na mnie tak, jakbym ukradła klejnoty koronne. To tylko niewinne kłamstwo.

- Stuart nie cierpi kłamstw.

- Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal, zawsze to powtarzam.

Shirley otworzyła szufladę, wyciągnęła dwie srebrne podstawki pod talerze i zaniósła je na stół pod oknem. Roztaczał się stąd widok na kampus.

- Kiedy rozmawiałam z nim przez telefon, był bardzo miły. Obiecał nawet przyjść i posłuchać, jak śpiewam.

Ach tak, pomyślała Laura. Kłótnia, która wybuchła między nią a Stuartem tamtej nocy, gdy znaleźli zdjęcia, obróciła się w końcu na dobre.

- Naprawdę tak powiedział?

- Mówię ci przecież, dziecinko, że jest teraz zupełnie innym człowiekiem.

Był dla mnie tak miły, że zastanawiam się, czy nie przedstawić mu pewnej propozycji.

Laura opuściła szklanę.

- Jakiej propozycji?

- Chodzi o to, że Joe chce sprzedać Złotą Papugę.

- Nie wiedziałam, że chce sprzedać lokal. Myślałam, że interesy idą dobrze.

Shirley wzięła karafkę stojącą na błyszczącym białym blacie i nalała Laurze szklanę mrożonej herbaty.

- Tak. Tylko że Joe jest już zmęczony. Chce spędzać więcej czasu z wnukami.

- Ale co to ma wspólnego ze Stuartem?

- Joe ma kupca, smarkatego przedsiębiorcę, który chce przekształcić klub w jakąś rockandrollową spelunę, a to oznacza, że jeśli chcę mieć pracę, będę musiała kupić Złotą Papugę.

Laura o mało nie zakrztusiła się herbatą.

- Kupić Złotą Papugę? Za co?

Niezrażona Shirley nadal nakrywała do stołu.

- Joe powiedział, że jeżeli zdobędę sto tysięcy dolarów zaliczki, resztę sam sfinansuje. I zanim pomyślisz, że oszalałam - dodała, gdy oczy Laury robiły się coraz większe - wysłuchaj mnie. - Odwiązała fartuch i położyła go starannie na blacie. - Przede wszystkim wiem, że wchodzenie do biznesu w moim wieku jest ryzykowne, ale Złota Papuga ma już stałą klientelę. Widziałam księgi rachunkowe. Wiem, ile Joe wyciąga z lokalu tygodniowo.

- Nie masz pojęcia, ile czasu i energii wymaga prowadzenie nocnego klubu. Trzeba pilnować pracowników, dostawców, znosić kaprysy klientów.

- Nie boję się ciężkiej pracy, Lauro. Chcę tylko mieć szansę i przekonać się, co potrafię. Ale przedtem potrzebuję stu tysięcy dolarów na zaliczkę.

- I dlatego pomyślałaś o Stuartcie?

- Przyszedł mi do głowy taki pomysł. Choć, prawdę mówiąc, Stuart jest dopiero drugi na liście.

- A kto jest pierwszy?

- J. B.

Laura patrzyła na nią zdumiona.

- Nie mówisz poważnie.

- Przez te wszystkie lata wielu osobom pomógł rozkręcić biznes, niektóre ledwo znał. Dlaczego nie miałby tego zrobić dla mnie?

- Nie wierzę własnym uszom. - Laura z niedowierzaniem pokręciła głową. - Jak możesz oczekiwać, że człowiek, którego tak bardzo zraniłaś, od którego odeszłaś zaledwie po roku małżeństwa, z którym nie rozmawiałaś przez szesnaście lat, zapomni o przeszłości i wręczy ci sto tysięcy dolarów?

- Przede wszystkim on nie musi mi niczego wręczać. Wystarczy, że podpisze czek. Tak samo jak ja podpiszę czek dla Joego.

- J. B. nigdy tego nie robi.

- Skąd wiesz? Kiedyś mnie kochał. I w głębi duszy wiem, że nadal mu na mnie zależy. Sam mi to powiedział.

Zabrzącał zegar. Shirley wsunęła na dłonie rękawice i podeszła do piekarnika.

- Słuchaj, jeżeli mi odmówi, zwrócę się do kogoś innego. Może do Stuarta. Ale na razie J. B. to najlepszy kandydat.

Laura znów chciała zaprotestować, ale powstrzymała się. J. B. jest dużym chłopcem. Wie, jak odmówić. Nawet Shirley. A jeśli tego nie zrobi, jeżeli rzeczywiście nadal mu na niej zależy, i to na tyle, że zechce jej pomóc, to będzie jego decyzja, nie jej.

- Gotowe. - Shirley dumnie obróciła się dookoła z parującą zieloną zapiekanką. - Czas na ucztę.

Z budki telefonicznej na zewnątrz motelu Tony zadzwonił pod nowojorski numer Enzia. Szef pewnie nie będzie zadowolony. Ale co miał zrobić? To nie jego

wina, że niczego nie znalazł.

- Najwyższy czas - powiedział Enzo, gdy wreszcie odebrał telefon. Co znalazłeś?

- Nic a nic, szefie. Przeszukałem dom Laury Spencer i nic nie znalazłem. Ani śladu. Żadnych nazwisk, żadnych obciążających dokumentów, niczego, co łączyłoby Kandalla z panem.

- A w jej biurze?

Tony roześmiał się.

- Szefie, w jej biurze jest większy ruch niż na Times Square. W dzień i w nocy. - Przerwał. - Pewnie nic tam nie ma.

- Hmm. - Enzo milczał przez chwilę. - To możliwe. Luigi mówił, że w „Sentinelu” nie pisano nic więcej na temat funduszy Kandalla.

- Ani słowa. Nie zdziwiłbym się, gdyby Laura Spencer zorientowała się, że odgryzła więcej, niż jest w stanie zjeść, i rzuciła to wszystko.

- Może masz rację. - Milczał przez chwilę. - Jak się trzyma Kandall?

- Doskonale. Widziałem go dziś rano w telewizji i muszę powiedzieć, że ten facet ma klasę. Mówi się, że to pewniak i ósmego listopada wygra.

- Miejmy taką nadzieję.

- Co mam jeszcze zrobić, szefie? - Modlił się, żeby Enzo kazał mu wracać do domu. - Tu nie ma już nic do roboty.

- Zostań tam. I przeszukuj dom Laury codziennie. Jeżeli trzyma materiały w biurze, któregoś wieczoru na pewno weźmie je do domu. Dobrze byłoby ją śledzić. Od dziś. Żeby wiedzieć, z kim się spotyka.

Tony westchnął.

- Tak jest, szefie.

- Nie do wiary. Muszę jechać aż do Burnet County, żeby zobaczyć się z

własnym bratem - zrzędziła Sandra, zamykając drzwi niebieskiego firebirda i idąc w kierunku Teda, który właśnie wyszedł z domu jej na spotkanie. - Wcale cię nie widuję. Równie dobrze mógłbyś być w Anglii.

- Wybacz, Złotowłosa. J. B. nie daje mi wytchnąć. - Objął ją w tali i poprowadził w stronę domu. - Jak żyjesz, siostrzyczko?

- Całkiem nieźle. - Spojrzała na niego. - A ty? Nie miałeś kłopotów z telewizją?

- Nie. Zgodziłem się wystąpić w porannym programie i w zamian obiecali nie podawać mnie do sądu.

- A jeśli znów cię o to zapytają, gdy znajdziesz się przed kamerą?

- Nie zrobią tego. Rozmawiałem z szefem stacji.

Sandra zatrzymała się w progu i rozejrzała się po pokoju gościnnym.

- Boże, prawie zapomniałam, jak lubiłam to mieszkanie. Jak było tu ciepło i wygodnie. Zupełnie inaczej niż w tym muzeum, w którym dorastaliśmy.

- Uważaj. Zaczynasz mówić tak jak ja. Ojciec tego nie lubi.

Sandra usiadła na skąpanym w słońcu krześle, zrzuciła buty i podwinęła nogi pod siebie.

- A gdzie jest J. B.?

- Gra w golfa z szeryfem Wilsonem. - Ted usiadł naprzeciwko niej i położył rękę na oparciu krzesła. - O czym myślisz?

- O tacie. I o tobie.

Ted uniósł rękę, dając znać, żeby zamilkła. Tylko nie to. Ten temat jest już zamknięty. Na dobre.

- Przecież nie wiesz, po co przyjechałam i co chcę ci powiedzieć -zaprotestowała.

- Nie musisz. Widać to po twoich oczach. Przyjechałaś, żeby jeszcze raz opowiedzieć mi o biednym starym ojcu. Ale ja mówię: nie.

- Wcale nie po to przyjechałam. No... niezupełnie po to.

- Co to znaczy? - zapytał Ted i natychmiast tego pożałował.

- To znaczy, że kiedy usłyszysz, co chcę ci powiedzieć, zmienisz zdanie na temat ojca.

- Sandro. Gdybym cię tak bardzo nie lubił, już by cię tu nie było. Ale ponieważ cię lubię i wiem, że nie wyjdiesz stąd, dopóki nie powiesz tego, co postanowiłaś... - Zrobił przyzwalający gest. - Mów. Ale ostrzegam, że tracisz czas.

- To nie będzie łatwe. - Zaczerpnęła głęboko powietrza, wstrzymała na chwilę oddech, zrobiła wydech. - Jest coś, o czym nie wiesz. Coś, co powinnam ci była powiedzieć dawno temu.

Usta Teda wykrzywił ironiczny uśmiech.

- Kolejne mroczne tajemnice rodziny Kandallów?

- Ten sekret dotyczy mamy.

Uśmiech Teda zniknął.

- Mamy?

- Pamiętasz, jak w dniu pogrzebu mamy obwiniałeś ojca? Powiedziałeś, że gdyby bardziej o nią dbał, nie popełniłaby samobójstwa?

Jak mógłby zapomnieć?

- Pamiętam, że mówiłem coś w tym sensie. Tak.

- A więc... Mama nie była tak samotna, jak wszyscy myśleli.

- Co to ma znaczyć, do licha?

- Miała romans.

Bomba, która wybuchłaby teraz na kolanach Teda, nie ogłuszyłaby go bardziej.

- Powtórz to.

Sandra zwilżyła usta.

- Wyjechałeś do szkoły, nie mogłeś wiedzieć. Kilka tygodni przed śmiercią mamy ojciec dowiedział się, że ma romans.

- To jakieś bzdury. Ona kochała ojca!

- Najwidoczniej nie powstrzymało jej to przed zdradą.

Spojrzał na nią z gniewem.

- Ojciec zrobił ci pranie mózgu? Wbił ci do głowy jakieś kłamstwa na jej temat?

- Nie. Nie ma pojęcia, że ja wiem.

- A skąd ty to wiesz?

- Słyszałam, jak któreś nocy kłócili się w swoim pokoju. Potem kłócili się już co noc. Ich krzyki tak mnie przerażały, że chowałam się pod kołdrę. Ale i tak wszystko słyszałam. Tata żądał, żeby powiedziała mu, kim jest ten mężczyzna.

- Chryste, co ty mówisz, Sandro?

- To prawda. Zachowywał się, jakby zupełnie oszalał. Krzyczał i groził, że zbije ją, jeśli mu nie powie.

- I co, powiedziała?

- Nie. Ciągle odmawiała.

- Ach tak. To wszystko wyjaśnia. Po prostu był zazdrosny. Pamiętasz jak się zachowywał, kiedy jakiś mężczyzna na nią patrzył.

Sandra pokręciła przecząco głową.

- To było coś więcej, Ted. Którejś nocy, po szczególnie paskudnej kłótni, mama w końcu przyznała, że ma romans i że chce go opuścić. Tata był w szoku. Domyśliłam się tego, bo zapadła długa cisza. A po chwili usłyszałam, jak zatraskują się drzwi do ich sypialni. Następnego ranka przy śniadaniu ojciec był bardzo cichy, miał zaczerwienione oczy, jakby płakał. Chciałam wtedy coś powiedzieć, ale nie wiedziałam co. Więc milczałam. Pomyślałam, że jeśli będę udawała, że nic się nie stało, wszystko się ułoży. I rzeczywiście. Mama wyjechała z ojcem do Aspen, więc pomyślałam, że wszystko jest w porządku. - Otarła łzy. - A następnej niedzieli już nie żyła.

Ted zapadł się w fotelu.

- Jesteś pewna, że tak właśnie było, Sandro? A może to tylko wytwór dziecięcej wyobraźni, błędne wytłumaczenie rzeczywistości?

Przecząco pokręciła głową.

- To nie był sen. To naprawdę się wydarzyło.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

- Bałam się. Sama nie byłam pewna, czy rozumiem to, co między nimi zaszło. Wyrzuciłam to wszystko z pamięci. Nigdy więcej o tym nie myślałam. Wtedy nie to było najważniejsze. Gdy mama umarła, wszystko inne nie miało znaczenia. Aż do chwili, gdy wiele lat później przeczytałam biografię ojca. Napisał, że jego małżeństwo z mamą było idealne. Dopiero wtedy mogłam zmierzyć się z prawdą.

- Powiedziałaś, że ojciec nie wiedział...

Potrząsnęła głową.

- Nigdy nie mogłam się zmusić, żeby z nim o tym porozmawiać. Wyobrażałam sobie, że pogrzebał przeszłość razem z mamą, i najlepiej będzie pozostawić sprawy własnemu biegowi.

- Mama nigdy nie powiedziała, kim był ten mężczyzna?

- Nie. Ten sekret zabrała ze sobą do grobu.

- Może pamiętasz kogoś, kto często bywał w naszym domu? Albo jakieś rozmowy telefoniczne?

- Nie.

- Cholera, musiałaś coś zauważyć. - Ted zerwał się z krzesła, włożył ręce w kieszenie spodni i przemierzał tam i z powrotem ogromny pokój. - Zawsze byłaś obok niej.

Widząc ten nagły wybuch, Sandra poczerwieniała.

- Miałam wtedy sześć lat! Trudno, żebym szpiegowała własną matkę.

- Przepraszam. - Odgarnął włosy do tyłu. Czuł się jak łajdak. Jak mógł wyładowywać gniew na Sandrze. - Widzisz, chodzi tylko o to... że to wszystko zmienia. Przecież jeżeli miała z kimś romans, to jej śmierć mogła nie być samobójstwem.

Oczy Sandry zrobiły się ogromne z przerażenia.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że mogła zostać zamordowana.

- Ted, policja przeprowadziła dochodzenie. Doszli do wniosku, że nie ma

dowodów przestępstwa. Dlatego uznali, że popełniła samobójstwo.

- Wiesz co? Nigdy w to nie uwierzyłem. Mama nie była typem człowieka, który rzuca się z balkonu. Albo zabija się w jakikolwiek inny sposób. Za bardzo kochała życie. - Głos mu złagodniał. - I ciebie. Nigdy by tego nie zrobiła.

- Ale kto chciałby ją zabić?

- Może kochanek. Może zmieniła zdanie i postanowiła zostać z ojcem, a on zabił ją w gniewie. - Zmusił się, żeby zachować spokój. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że musimy powiedzieć o tym policji, prawda?

Oczy Sandry patrzyły na niego ze strachem.

- Co chcesz im powiedzieć?

- Że wmieszany był w to jeszcze jakiś facet. Powinni o tym wiedzieć.

- Ale jakie to ma teraz znaczenie? To było tak dawno.

- Nie jesteś ciekawa, co się naprawdę wtedy stało? Jeżeli ktoś zabił mamę, nie chcesz, żeby został za to ukarany?

- Oczywiście, że chcę. Ale co będzie z ojcem? Jak przeżyje taki skandal.

- Myślę, że on chciałby znać prawdę tak samo jak my.

Sandra nie odpowiedziała.

- Powinien był mi powiedzieć - mówił Ted do siebie. - Nie powinien był mi pozwolić odejść w dniu pogrzebu, zanim nie powiedział mi prawdy.

- Nie dałeś mu szansy. Byłeś za bardzo rozgniewany. Nawet gdyby chciał ci o tym powiedzieć, nie słuchałbyś go.

To prawda. Zachowywał się wtedy jak szaleniec i tylko jedno miał w głowie - walić na oślep wszystkich dookoła.

- Chciałam ci to powiedzieć, kiedy byłam ostatnio w Londynie. Ale postanowiłeś przyjechać do domu, więc nie było już takiej potrzeby. Zwłaszcza że zrozumiałam, jak bardzo by cię to zraniło. A teraz mówię ci to... - spojrzała na niego z wahaniem - bo chcę podjąć ostatnią próbę. Bo to moja ostatnia nadzieja, że dasz ojcu jeszcze jedną szansę.

- Dlaczego zawsze ja mam mu dawać szansę? Dlaczego on nie da mi drugiej szansy?

- Ted...

- Mógł przyjść na wystawę, Sandro. Mógł zakończyć tę głupią wojnę raz na zawsze.

Sandra spuściła głowę. Nie wiedziała, co powiedzieć, żeby zmniejszyć gorycz w sercu Teda.

- Gdzie są jej rzeczy? - zapytał jakby bez związku. Pytanie całkowicie zaskoczyło Sandrę.

- Jakie rzeczy?

- Ubrania, książki, pamiętniki. Wszystko.

- Ubrania mamy ojciec rozdał. Ja zachowałam biżuterię. Mówiliśmy ci, żebyś zabrał, co chcesz - dodała, bo źle go zrozumiała.

Potrząsnął przecząco głową.

- Chodzi mi raczej o albumy ze zdjęciami, listy, które może się jeszcze gdzieś uchowały.

- Lucinda zapakowała wszystko w pudła i wyniosła na strych. Nie zaglądałam tam od wieków, ale wszystkie kartony są opisane.

- Chciałbym rzucić na nie okiem.

- Proszę bardzo.

- Kiedy ojca nie będzie w domu?

- Och. - Zastanawiała się przez chwilę. - Jutro po południu gra w brydża z generałem McGough. Powiem Lucindzie, że przyjdiesz.

Kiwnął głową.

- Dzięki, siostrzyczko.

Patrzyła na niego łagodnymi piwnymi oczami.

- Chyba nie robisz tego z powodów sentymentalnych, prawda? Mam na myśli przeglądanie rzeczy.

- Niezupełnie.

- Co spodziewasz się znaleźć?

Ted wzruszył ramionami.

- Jeśli będę miał szczęście, znajdę jakąś wskazówkę, która podpowie mi, kto to mógł być.

- Naprawdę myślisz, że ten tajemniczy facet miał coś wspólnego ze śmiercią mamy?

- Nie wiem. Wiem tylko, że muszę coś zrobić. Mam zamiar przejrzeć to wszystko. Dla ojca - dodał cicho. - Tyle jestem mu winien.

Strych wyglądał tak, jak go zapamiętał, może tylko warstwa kurzu była grubsza, a w kątach było nieco więcej pajęczyn. Panował tu straszny bałagan. Wszędzie wałały się rupiecie - stare pamiątki, które budziły wiele wspomnień: rower ze skrzywionym kołem, model samolotu, który tyle razy rozbijał się i był naprawiany, podarte rękawice do baseballu, domek dla lalek Sandry z obłazącą farbą.

Pudełka z napisem „Pani Kandall” leżały jedne na drugich pod najdalszą ścianą. Ted przedostał się tam, usiadł na podłodze i po kolei zaczął je przeglądać.

Było tu wszystko: ulubione książki Elizabeth, niektóre z autografami autorów, fotografie dziadków w ramkach, kilka koronkowych chusteczek, kolekcja pudełek na pigułki, nawet obsadka, którą Ted zrobił dla niej w przedszkolu. Ale nie było ani czasopism, ani fotografii, ani książki z adresami. Nic, co mogłoby być dla niego wskazówką.

Rozczarowany odłożył ostatnią książkę na miejsce i wstał. Kiedy rozglądał się po strychu, jego wzrok padł na przewróconą na bok torbę golfową.

Poczuł nagle ukłucie bólu. Ten zestaw do golfa Elizabeth podarowała Charlesowi z okazji dziesiątej rocznicy ślubu. Lucinda mówiła, że tymi kijami grał tego ranka, kiedy zginęła Elizabeth.

Po tragedii Charles odstawił kije i nigdy więcej jego noga nie postąpiła na polu golfowym.

Ted złapał za ramię zakurzonej torby, podniósł ją i oparł z powrotem o ścianę. Najbliżej znajdował się kij z numerem dziesiątym, wygrawerowanym na

stalowej główce. Na ustach Teda pojawił się uśmiech, gdy przypomniał sobie dzień, kiedy ojciec próbował nauczyć go gry w golfa.

- Najważniejsza jest praca nadgarstka, synu - mówił Charles, demonstrując odpowiednią technikę gry. Dziewięcioletni wówczas Ted, nigdy jej nie opanował. Zaniechał ćwiczeń i ku niezadowoleniu ojca zajął się tenisem.

Nie mógł się powstrzymać, wyciągnął kij z torby i zamarł.

Wokół rączki z wysuszonej, popękanej skóry owinięty był złoty łańcuszek. Ted natychmiast go rozpoznał. Należał do jego matki.

Oszołomiony zaczął odwijać łańcuszek, zsunął go w otwartą dłoń. To była rodzinna pamiątka, cienki sznureczek florentyńskiego złota, który Elizabeth dostała po babce. Miała go na sobie w dniu śmierci, ale gdy policja odnalazła ciało, na szyi matki go nie było.

Brak łańcuszka nie zmienił zdania policji co do tego, że Elizabeth popełniła samobójstwo. Prawdopodobnie zsunął się jej z szyi podczas upadku.

Ted jeszcze raz przyjrzał się łańcuszkowi, tym razem z bliska. Dopiero teraz dostrzegł, że był zepsuty, miał oderwane zapięcie, jakby go ktoś gwałtownie i silnie pociągnął.

- Co, do licha...

Spoglądał to na łańcuszek, to na torbę golfową. Jeżeli łańcuszek się odnalazł, to dlaczego był w starej torbie golfowej? Dlaczego nie został naprawiony i dlaczego Sandra nie dostała go wraz z resztą biżuterii Elizabeth?

Prawda uderzyła go jak obuchem w głowę.

Charles. To Charles wrzucił tu łańcuszek.

Charles zabił Elizabeth.

13

Sandra wyszła ze szkoły przed końcem ostatniej lekcji, żeby być wcześniej w domu. Teraz biegła w stronę Teda, który właśnie schodził no schodach.

- Znalazłeś coś?

Wyraz jego twarzy mówił sam za siebie.

Ted usiadł na schodach, poczekał, aż Sandra usiądzie obok i wręczył jej łańcuszek.

- Łańcuszek mamy - szepnęła Sandra. Wzięła go ostrożnie, jakby był ze szkła. Wpatrywała się w niego przez chwilę. Gdy znowu podniosła wzrok, z jej oczu płynęły łzy, rozmazując makijaż. - Gdzie go znalazłeś?

- Na strychu.

- Jak to możliwe? Po śmierci mamy ojciec wynajął wspinaczy wysokogórskich, żeby znaleźli łańcuszek. Wrócili z pustymi rękami. Jak mógł być wśród jej rzeczy, skoro nigdy go nie odnaleziono?

- Nie znalazłem go w jej rzeczach.

- Więc gdzie?

- W torbie golfowej ojca. Był owinięty wokół uchwytu dziewiątego kija.

Oczy Sandry zrobiły się jeszcze większe.

- Skąd się tam wziął?

Spojrzał na nią badawczo. Zastanawiał się, czy jest gotowa usłyszeć prawdę. Sandra nie tylko uwielbiała ojca, ale zawsze stała w jego obronie. Ale Ted wiedział też, że nie znosiła, gdy traktowano ją jak dziecko.

- Włożył go tam zabójca mamy.

Zabójca mamy. Od wczoraj, odkąd usłyszała te dwa słowa, nie dawały jej spokoju. Dzisiaj w szkole nie mogła się skupić. Wiedziała że Ted jest w domu i szuka czegoś, co mogło na nowo obudzić potwory.

- Mówisz, jakbyś wiedział, kto to zrobił.

- Wiem.

Sandra przełknęła ślinę. Dziwny, twardy i nieprzejednany wyraz twarzy Teda przerażał ją.

- Powiedz mi. - Gdy milczał, zacisnęła dłoń na jego ramieniu. -Powiedz - powtórzyła.

- To ojciec.

W oczach Sandry błysnął strach, twarz miała bladą.

- Nie. - Kręciła głową.

- Nie widzisz, że wszystko do siebie pasuje? - Mówił, jak nakręcony, jak mechaniczna zabawka, której nie można wyłączyć. - Wściekłość ojca, gdy dowiedział się, że mama go zdradza, ból, gdy powiedziała, że chce odejść, no i... - spojrzął na łańcuszek, który Sandra wciąż trzymała w dłoni. - No i to.

Sandra pokręciła przecząco głową.

- Każdy mógł go tam schować. Nawet morderca, jeżeli był jakiś morderca.

- Więc dlaczego ten ktoś nie doniósł na policję? Jeżeli chciał wrobić ojca, wystarczył anonimowy telefon.

- Masz rację - przekonywała go Sandra podniesionym z rozpaczyny głosem - jeżeli zrobił to ojciec, a potem schował łańcuszek do torby golfowej, dlaczego go stamtąd później nie wyjął? Dlaczego zostawił go tam, gdzie ktoś mógł go znaleźć?

- Nie wiem. Może zapomniał, gdzie go schował. Mogły to sprawić szok albo poczucie winy.

Patrzyła na łańcuszek, muskając go delikatnie koniuszkami palców.

- Nie wierzę, że potrafiłby ją zabić.

- Może nie zabił jej z premedytacją. Mógł ją popchnąć przypadkiem, w przyływie gniewu.

- Ale on nie był już na nią zły. Mama poleciała z nim do Kolorado. Czy to nie wystarczający dowód, że się pogodzili? I że postanowiła go nie opuszczać?

- Może. Ale mogła też pojechać ze względu na gości. Ojciec mógł źle zrozumieć ten gest. Może tamtego popołudnia zabrała go na górę i powiedziała, że nic się nie zmieniło. I to go rozwścieczyło. Sprawy zaczęły wymykać mu się z rąk.

Może ją popchnął albo po prostu straciła równowagę, a on próbował ją złapać. I nie miał za co, tylko łańcuszek został mu w rękach.

Scena, którą opisał, była tak żywa, że niemal ją widziała. A mimo to, nawet w przypiływie gniewu, nie chciała uwierzyć, że ojciec mógł zrobić coś tak potwornego.

- Jeżeli to był wypadek - obstawała przy swoim - to dlaczego nie powiedział o tym policji? Pewnie by mu uwierzyli.

- Nie, jeżeli dowiedzieliby się, że chciała go opuścić dla innego mężczyzny. Zazdrość to najczęstszy motyw zbrodni. Zapytaj pierwszego lepszego gliniarza.

Spojrzała na niego wyzywająco.

- Więc stawiliby czoło policji i poniósł karę. Ojciec nie jest tchórzem.

- Wiem o tym - przyznał Ted łagodniejszym głosem, patrząc na rozgniewaną twarz Sandry. - To nie strach przed więzieniem go powstrzymał.

- Więc co?

- Ty, Złotowłosa. Chciał oszczędzić ci dodatkowego bólu. Jestem pewien, że dlatego zrezygnował z kandydowania do senatu. Chciał się tobą zaopiekować.

Sandra szlochała cicho, trzymając głowę w dłoniach. Ted objął ją ramionami.

Wyjęła z torebki chusteczkę i otarła oczy.

- Musimy zachować to w tajemnicy - szepnęła, gdy trochę się uspokoiła. - Nikomu nie powiemy. Ani ojcu, ani policji. - Chwyciła jego dłoń i mocno ścisnęła. - Przysięgnij Ted. Przysięgnij, że nie zadzwonisz na policję.

Ted milczał przez chwilę. Na strychu bił się z myślami prawie godzinę, rozdarty między potrzebą pomszczenia śmierci matki i lojalnością wobec ojca.

Tak było aż do chwili, gdy zobaczył błagalne spojrzenie siostry. Zrozumiał, że nie ma wyboru. Już dość wycierpiała. Nie mógł przysporzyć jej dodatkowego bólu, wysyłając umierającego ojca do więzienia.

- Nie - powiedział łagodnie, głaszcząc jej miękkie złote włosy. - Nie zadzwonię na policję.

Wsparty o płot Ted przyglądał się, jak słońce powoli chowa się za horyzont. Nie miał pojęcia, jak długo tak stał, patrząc na wzgórze w oddali.

- A więc tu się schowałeś.

Mimo że rozpoznał głos J. B., nie odwrócił się.

- Szukałeś mnie, J. B.?

- Powiedzmy. Kilka godzin temu widziałem, jak błąkasz się po okolicy, i zacząłem się zastanawiać, dlaczego nie wracasz. - Podeszedł do płotu, stanął tuż obok Teda i pochylił się, opierając łokciami o sztachety. - Coś cię martwi, synu?

Ted nie odpowiedział. Nie dlatego, że nie ufał J. B. - był pewien, że umie dochować tajemnicy - ale dlatego, że nie wiedział, jak i od czego zacząć.

J. B. przyglądał mu się z niepokojem na twarzy.

- Czasem pomaga, jak się z kimś pogada.

Ted dobrze o tym wiedział. W sobotę wieczorem, po rozmowie z Laurą, spadł mu z piersi ogromny ciężar. Rozmowa nie wpłynęła na jego stosunek do ojca, ale zmniejszyła nieco poczucie winy, które dręczyło Teda przez te wszystkie lata.

- Czy to ma coś wspólnego z twoim ojcem? - dopytywał się delikatnie J. B. - Albo z poprzednią wizytą Sandry?

- I z jednym, i z drugim.

- Tym razem to coś poważnego, tak?

Ted nadal patrzył w dal. Słońce już całkiem schowało się za horyzontem, a wszystko wokół powoli nabierało ciemnego, rozmytego odcienia błękitu, jak zwykle o tej porze dnia.

- Charles zabił moją matkę.

Przez chwilę jedyną reakcją J. B. było milczenie. W końcu zapytał niskim, stłumionym głosem.

- Skąd wiesz?

Ted, wpatrując się w jeden punkt na horyzoncie, opowiedział mu wszystko,

również o tym, że obiecał Sandrze, że nie zawiadomi policji.

- Słodki Jezu. - J. B. potrząsnął głową z niedowierzaniem. Nadal patrzył na Teda, który unikał jego wzroku. - Słuchaj, synu, wiesz, że nie mam zwyczaju udzielać rad. Staralem się być przy tobie, gdy sądziłem, że tego potrzebujesz. Staralem się wskazywać ci właściwą drogę, kiedy to było możliwe, ale nigdy nie mówiłem ci, co masz robić.

- Jesteś dobrym przyjacielem, J. B.

- Mam nadzieję, że wciąż będziesz tak myślał, bo nie mam zamiaru złamać tej zasady.

Ted nie odpowiedział.

- Sam musisz dojść do ładu z tym wszystkim, Ted - ciągnął J. B. - Ty i Sandra do końca życia nie zaznacie spokoju, jeśli nie dowiecie się, co się stało.

- Wiem, co się stało. Mój ojciec zabił moją matkę.

- Nie znasz wszystkich okoliczności. Widzisz, jak twój ojciec z zimną krwią morduje matkę, ale może wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Musisz się dowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło tego dnia. Jesteś to winien i sobie, i ojcu.

Ted potrząsnął głową.

- To niemożliwe. Gdybyś zobaczył ojca, zrozumiałbyś dlaczego. To chory człowiek, J. B. Taki szok mógłby go zabić. Bez względu na to, co zrobił, muszę skończyć z tą sprawą. Właściwie już skończyłem. Cokolwiek zrobiłbym teraz, to już niczego nie zmieni.

- To ogromny ciężar synu.

- Gorsza byłaby świadomość, że jestem odpowiedzialny za jego śmierć.

Obaj milczeli chwilę, każdy zatopiony we własnych myślach. J. B. położył swoją dużą spracowaną dłoń na ramieniu Teda.

- Chodź, synu. Wracamy do domu.

Odgłos krzesła szurającego po deskach wyrwał Laureę ze snu. Usiadła zdenerwowana i spojrzała na podświetlany zegar stojący na stoliku przy łóżku. Pierwsza trzydzieści. Kto mógł o tej porze chodzić po werandzie? Na pewno nie J. B. Mimo że cierpiał na bezsenność i często wybierał się na nocne spacerki, nie zachowywałby się w ten sposób. Poza tym jutro jest konferencja MediaTech. Zawsze chodzi wcześniej spać, gdy ma coś ważnego do załatwienia następnego dnia.

Odrzuciła kołdrę, wstała z łóżka i na palcach podeszła do okna. Noc była bezchmurna, pełna cieni. W oddali widać było ciemny zarys głównego budynku.

Podniosła okno do połowy, wysunęła głowę i poczuła zimny dreszcz na karku. Jedno z krzeseł na werandzie było przekrzywione, jakby ktoś wpadł na nie, chodząc po ciemku. Czy naprawdę słyszała odgłos przesuwanego krzesła? A może to tylko wyobraźnia płata jej figle?

Kątem oka uchwyciła jakiś ruch i gwałtownie odwróciła głowę, żeby spojrzeć w tamtą stronę. Coś - lub ktoś - przedzierało się przez kępę amerykańskich dębów rosnących przy domku gościnnym.

Zadrżała na myśl o tym, że może jakiś włóczęga usiłował wejść, kiedy spała. Szybko cofnęła głowę, zamykając okno z trzaskiem. Pomyślała, że żaden szanujący się złodziej nie ośmieli się wejść do jasno oświetlonego domu, podeszła więc do łóżka i włączyła światło. Zbiegła na dół i zrobiła to samo.

Nie bardzo wiedziała, co ma dalej robić. Patrzyła przez chwilę na telefon, zastanawiając się, czy nie zadzwonić na policję. Ale zanim policja przyjedzie, ten, kto się przyczaił wśród drzew, zdąży uciec. Co im powie? Przecież widziała tylko cień przemykający między drzewami.

Sprawdziła frontowe drzwi. Były zamknięte, choć prawdę mówiąc, zwykła zasuwa była wątpliwym środkiem odstraszającym dla profesjonalnego włamywacza.

A może tylko jej się zdawało, że słyszy hałas. Może po dziesięciu latach mieszkania w Nowym Jorku, gdzie włamania były na porządku dziennym, zaczyna wariować.

Stuart mieszkał niedaleko. Wiedziała jednak, co by jej powiedział: „To tylko wiatr w drzewach, Lauro. Wracaj do łóżka”.

Był taki rozsądny. A ona taka... No właśnie, jaka? Głupia? Czy to odpowiednie słowo?

Zaśmiała się krótko i nerwowo. Co ona robi? Zastanawia się nad sobą o w pół

do drugiej nad ranem.

Wracaj do łóżka, Lauro.

Zostawiła włączone światła i uspokojona wróciła na górę.

14

Konferencja MediaTech zawsze odbywała się w Auditorium and Convention Center w Palmer i była jedną z największych tego typu imprez w stanie. Uczestniczyło w niej ponad tysiąc wystawców prezentujących najnowocześniejsze technologie komunikacyjne.

Mimo że J. B. od wielu lat był sponsorem konferencji, w tym roku nie zamierzał brać w niej udziału, dopóki nie dowiedział się, że podczas lunchu mowę wygłosi nie kto inny tylko Barbara Kandall.

Byli z Barbarą starymi przyjaciółmi. Poznali się dziewiętnaście lat temu, kiedy ze swoją klasą przyszła zwiedzać redakcję „Austin Sentine-la”. Uderzył go nie tylko jej urok, ale też jej stosunek do dzieci. Umiiała skłonić je do myślenia i zachęcić do zadawania pytań.

Na wieść o jej ślubie z Malcolmem Kandalem, który odbył się rok później, był zawiedziony. Nie dlatego że, jak sądzą niektórzy, sam chciał się z nią ożenić, lecz dlatego że nie mógł zrozumieć, jak taka łagodna i opiekuńcza kobieta jak Barbara Fenton może chcieć spędzić resztę życia z mężczyzną tak egoistycznym i powierzchownym jak Malcolm Kandall. Choć wydawało mu się to dość dziwne, ich małżeństwo przetrwało. Czy jednak Barbara była tak szczęśliwa, jak się wydawało, to już inna sprawa.

Uwielbiał patrzeć, jak przemawia. Mimo że nie miała społecznego zacięcia jak inne znane mu żony polityków, jej pasja, gdy omawiała ważne kwestie, chwytała za serce i podnosiła na duchu.

J. B. siedział teraz między szefem firmy Carmel Computers i kimś z branży wydawniczej i obserwował Barbarę, która zajmowała miejsce przy sąsiednim stoliku.

Jak na kobietę, która zaledwie kilka minut temu wygłosiła porywającą mowę, była dziwnie niespokojna. Jej wzrok błądził po sali w ślad za kelnerami, którzy co jakiś czas zatrzymywali się, by dolać jej wina.

J. B. był jedną z niewielu osób w Austin, które wiedziały o problemie alkoholowym Barbary. Kilka lat temu, gdy uświadomił sobie, że Barbara przestaje panować nad nałogiem, namawiał ją, żeby poszukała pomocy.

- Nie mogę tego zrobić. - Zdecydowanie potrząsnęła głową. - Jeżeli mój problem z piciem wyjdzie na jaw, to będzie koniec kariery Malcolma.

I choć przekonywał ją, że jej zdrowie jest ważniejsze od kariery męża, nie chciała go słuchać. Malcolm był ważniejszy.

Później nigdy już o tym nie rozmawiali. Ale teraz, widząc, jak z każdą sekundą staje się coraz bardziej niespokojna, zdał sobie sprawę, że stan Barbary się pogorszył.

Już miał do niej podejść, gdy prezes Carmel Computers zwrócił jego uwagę na broszurę, którą przeglądał. Nie minęło kilka minut, gdy usłyszał donośny gardłowy śmiech Barbary. Zaniepokoił się. Policzki miała zaczerwienione, mówiła szybko, popijając coś - zdaje się białe wino - bez przerwy. Nie odstawiała kieliszka.

Ta dama jest w kiepskim stanie i jeśli szybko jej stąd nie zabierze, jakiś nadgorliwy reporter na pewno nie przepuści takiej okazji.

J. B. przeprosił, wstał i szybko utorował sobie drogę do sąsiedniego stolika.

- Witaj, Barbaro. - Pocałował ją lekko w policzek.

- J. B.! Mój stary przyjaciel. - Mówiła znacznie głośniejszym głosem niż zwykle. - Tak myślałam, że tu będziesz.

Nie dał jej szansy powiedzieć nic więcej. Wziął ją za rękę i pociągnął, zmuszając, by wstała od stolika.

- Możemy zamienić słówko? Na osobności. - Dostrzegł jej wahanie i dodał: - To pilne.

Starając się nie zwracać niczyjej uwagi, wyjął kieliszek z jej dłoni i odstawił na stolik. Wziął małą czarną torebkę leżącą przy jej talerzu i podał Barbarze.

- Idziemy.

Poszła za nim posłusznie, a gdy dotarli do holu, zapytała.

- O co chodzi, J. B.? Dokąd mnie zabierasz?

- Do domu.

Zielone oczy Barbary patrzyły ze zdziwieniem.

- Do domu? Ale ja nie mogę. - Czknęła i zachichotała, zakrywając dłonią

usta. - Muszę wygłosić przemówienie.

- Już wygłosiłaś, Barbaro. Było doskonałe. - Pochylił się bliżej i szepnął jej do ucha: - Problem w tym, że trochę za dużo wypijaś.

- Wiesz co? - Uśmiechnęła się do niego słodko i znowu czknęła. - Chyba masz rację.

Z budki telefonicznej po drugiej stronie holu wyszedł Elliot Fitzpatrick, stary przyjaciel J. B., i podszedł do nich.

- Czy coś się stało Barbarze? - zapytał.

- Problem z żołądkiem - wyjaśnił J. B. - Nic poważnego.

- Mogę w czymś pomóc?

- Wszystko w porządku, Eliocie. Poradzę sobie. - Objął Barbarę w pasie i skierował ją w stronę drzwi prowadzących na parking.

- Zawsze jesteś dla mnie taki dobry. - Oparła się na nim. - Dlaczego?

- Bo jesteśmy przyjaciółmi. Zrobiłabyś dla mnie to samo.

Potrzebował tylko minuty, żeby odnaleźć samochód. Mocno trzymając Barbarę, pomógł jej usiąść z przodu, zapiął jej pas i zamknął drzwi.

- Clive cię przywiózł? - zapytał, siadając za kierownicą.

Potrząsnęła głową.

- Nie, przyjechałam sama.

- Każę komuś odprowadzić twój wóz później do domu, dobrze?

- Dobrze. - Przycisnęła palce do skroni. - Kręci mi się w głowie.

- Nie zamykaj oczu i nie odchylaj się do tyłu.

- Jestem pijana - stwierdziła poważnie.

J. B. uśmiechnął się i zatrzymał na chwilę, żeby zapłacić za parking.

- Wiem.

- Myślisz, że ten facet w holu się zorientował?

- Elliotem możesz się nie przejmować. To uosobienie dyskrecji. - Skręcił w

Barton Springs. - Co się stało, Barbaro? Mówiłaś, że wszystko jest pod kontrolą.

Zaczęła cicho płakać.

Wyrzucając sobie brak delikatności, J. B. sięgnął po jej dłoń leżącą bezwładnie na kolanach.

- Wybacz, moja droga. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Chcę ci tylko pomóc.

- Och, J. B. - Mimo jego rady odchyliła się do tyłu. - Nie możesz mi pomóc. Nikt nie może mi pomóc. Już za późno.

- Nigdy nie jest za późno, żeby rozpocząć życie na nowo. Znam doskonałą klinikę odwykową w Dallas. Osiem tygodni minie szybko i będziesz jak nowo narodzona.

Nadal kręciła głową.

- Nie mogę tego zrobić. Wybory są tuż, tuż... - Mówiła niewyraźnie. Gdy samochód wjeżdżał na wzgórze West Austin, przechyliła głowę na bok.

- Nigdy nie piłaś przy ludziach, Barbaro. Co się dzisiaj stało? Wszystko szło tak dobrze.

- Potwory - mruknęła.

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Co takiego? Powtórz.

Spojrzała na niego szklistym wzrokiem.

- Czy ty zabijasz potwory, J. B.?

Uśmiechnął się.

- Dla ciebie zabiłbym. - Już poważniej dodał: - Opowiedz mi wszystko, dziewczyno. Co cię dręczy?

- Nie mogę. To jest zbyt... obrzydliwe. I za bardzo boli.

Zacisnął usta ze złości. Jak mógł być tak ślepy? Jak przez tyle lat mógł być jej przyjacielem i nie widzieć, co ona przeżywa?

- Czy to ma coś wspólnego z Malcolmem? - Głupie pytanie. Jak mogłoby nie mieć związku z Malcolmem?

- Znienawidzisz mnie, gdy ci powiem. - Przypominała skruszone dziecko.

- Nigdy cię nie znienawidzę, Barbaro. Wiesz o tym.

Długo milczała. Gdy się odezwała, mówiła prawie szeptem.

- To się wydarzyło tak dawno...

- Co takiego?

- Malcolm - powiedziała z trudem - i Elizabeth. Byli kochankami.

Malcolm i Elizabeth. Słodki Boże.

- Poszłam za nimi do biblioteki - ciągnęła. - Nie wiedzieli...

- Gdzie to było?

- W Aspen.

Zamarł.

- Widziałam ich. I słyszałam. Wszystko słyszałam... - Znowu czknęła, ale tym razem nie zachichotała. - Była taka ładna w tej białej sukience. Dużo ładniejsza niż ja...

- To nieprawda.

- Malcolm by się z tobą nie zgodził.

- Malcolm to głupiec - powiedział J. B. głosem niskim i gniewnym. - To drań. Paskudny, zepsuty, nic niewart drań.

- Nienawidziłam jej - powiedziała z pasją, która go zaskoczyła. - Życzyłam jej śmierci. - Oddychała z trudem, otwierała i zaciskała dłonie. - Chciałam... zepchnąć ją z tego balkonu.

J. B. wcisnął hamulce, zatrzymał wóz i odwrócił się do niej.

- Mój Boże, dziewczyno, co ty mówisz?

Oparła głowę o szybę i zamknęła oczy.

- Trudno mi o tym mówić. To zbyt okropne.

W pierwszej chwili J. B. chciał zaprzeczyć. To przecież niemożliwe, Nie słodka, łagodna Barbara. Chyba źle zrozumiał. Siedział, patrząc na nią. Była taka

niewinna, taka udręczona.

- Barbaro? - grubymi palcami dotknął jej policzka. - Opowiedz mi o tym, dziewczyno. Wiesz, że możesz mi zaufać.

Westchnęła roztrzęsiona, ale nic nie powiedziała.

- Barbaro? - potrząsnął nią delikatnie, potem silniej. - Barbaro?

To było bez sensu. Zasnęła.

J. B. oparł się w siedzeniu i próbował zrozumieć to, co usłyszał. Ale obrazy, jakie podsuwała mu wyobraźnia, były nie do przyjęcia.

W ponurym nastroju uruchomił samochód i powoli zjechał w dół Scenic Drive, aż dotarli do domu Kandallów.

Drzwi otworzyła kobieta ze srogą miną w fartuszkach pokojówki.

- Nazywam się J. B. Lawson - przedstawił się, gdy spojrzała na niego zakłopotana. - Pani Kandall źle się poczuła na przyjęciu. - Podał torebkę Barbary. - Teraz śpi. Jeżeli pokaże mi pani, gdzie jest jej pokój, zaniosę ją.

Nie czekając na odpowiedź, wrócił do samochodu, wziął na ręce szczupłe ciało Barbary i prowadzony przez pokojówkę wszedł na górę.

W zielonożółtej sypialni położył Barbarę na łóżku, poczekał chwilę, żeby złapać oddech, i odwrócił się do pokojówki.

- Jej samochód został w śródmieściu. Każę go komuś odprowadzić.

- To nie będzie konieczne - powiedziała kobieta powściągliwie. Pan Kandall pewnie sam zechce to zrobić.

J. B. wzruszył ramionami.

- Jak pani uważa. - Spojrzał raz jeszcze na Barbarę, która cicho zachrapała, wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. - Kiedy spodziewa się pani pana Kandalla?

- Nie przed obiadem.

- Gdy przyjdzie, proszę mu powiedzieć, że chcę z nim rozmawiać.

Mimo że wyraz twarzy kobiety nie zmienił się, skinęła głową na znak, że przekaże wiadomość.

J. B. wrócił do samochodu i spojrzał w górę, w okna pokoju Barbary.

- Och, Barbaro - szepnął, obracając kluczyk w stacyjce. - Coś ty, na miłość boską, zrobiła?

Malcolm, którego wywołano ze spotkania z burmistrzem, chodził wściekły tam i z powrotem. Wreszcie po dwóch godzinach Barbara poruszyła się.

Natychmiast znalazł się przy niej.

- Barb? Obudź się. - Poklepał ją po twarzy.

Barbara jęknęła i przycisnęła rękę do brzucha.

- Źle się czuję.

- Zasłużyłaś sobie na to - parsknął, nawet nie starając się być delikatny dla chorej żony. - Ze wszystkich głupich rzeczy, jakie zrobiłaś w życiu, ostatnie upicie się podczas lunchu w obecności setek osób było chyba najgłupszą.

- Ja nie chciałam...

- Co cię opętało? Jak mogłaś się zgodzić, żeby J. B. odwiózł cię do domu? Ten facet nienawidzi mnie z całego serca. Pewnie zaraz wysmaży artykuł na twój temat. Już widzę te nagłówki: „Żona kandydata na gubernatora pijaczką”.

Barbara otworzyła oczy i zmrużyła je, próbując zebrać myśli.

- J. B. nie zrobiłby czegoś takiego.

- Skąd, do licha, możesz wiedzieć? - Gdy nie odpowiadała, usiadł obok niej na łóżku. - Nic mu nie powiedziałaś, prawda?

- Nie pamiętam...

- Musisz pamiętać, czy z nim rozmawiałaś.

- Rozmawiałam... tak.

- O czym? - Starał się pohamować gniew. W jej stanie krzyk tylko by ją spłoszył. - Mówiłaś mu coś o mnie i Elizabeth? Skup się, Barbaro. To ważne.

- Dlaczego?

- Bo J. B. chce się ze mną widzieć, dlatego. Przez szesnaście lat nie zamieniliśmy ani słowa i nagle chce się ze mną widzieć. Nic mu nie powiedziałaś, Barbaro?

Powoli uniosła się i oparła na łokciach.

- Dobra dziewczynka. - Malcolm zmusił się do uśmiechu. - Teraz spróbuj sobie przypomnieć, o czym rozmawiałaś z J. B. Wspomniałaś mu o Elizabeth?

Twarz Barbary miała chory odcień szarości.

- Nie wiem... Możliwe.

- Co mu powiedziałaś, Barbaro?

- Nie pamiętam.

- Barbaro! - krzyknął wyprowadzony z równowagi.

- Nie czuję się dobrze. - Trzymała się za brzuch i wtulała głowę w stertę zielonych poduszek. - Porozmawiamy później.

- Cholera. - Przeczesał włosy palcami, wstał i przyglądał się jej przez chwilę. Widywał ją w takim stanie na tyle często, by wiedzieć, że namawianie jej, żeby po takim pijaństwie coś sobie przypomnieć, mijało się z celem. Minie dobrych kilka dni, zanim przypomni sobie rozmowę z J. B. A to oznacza, że będzie musiał stanąć twarzą w twarz z tym szczwanym lisem, nie wiedząc, co mu powiedziała.

Sam nic mu nie powie, postanowił, patrząc na śpiącą Barbarę. Pozwoli mu się wygadać. W ten sposób będzie bezpieczny.

Już nieco pewniejszy podszedł do telefonu i zadzwonił do Lost Creek. J. B. sam odebrał telefon.

- Słyszałem, że chcesz ze mną rozmawiać. - Malcolm nie zawracał sobie głowy uprzejmościami. - Mów więc.

- Nie przez telefon - odparł chłodno J. B. - Możemy spotkać się u mnie albo u ciebie. Wybieraj.

- W moim domu jest za dużo ludzi. Przyjadę na ranczo, jeśli nikt nie będzie nam przeszkadzać.

- Nie będzie. Lenox wcześniej kładzie się spać, a Ted jest w Dallas z wizytą u

przyjaciół. Wróci późno.

Malcolm spojrział na zegarek.

- Muszę być na przyjęciu w Czterech Porach Roku. Jeżeli wyjdę o dziesiątej, w Lost Creek będę o jedenastej.

- Będę czekał - J. B. odłożył słuchawkę.

Gdy Malcolm przyjechał do Lost Creek, była jedenasta piętnaście. Zaparkował czarną corvette przy samochodzie J. B. i skierował się do frontowych drzwi. Noc była bezksiężycowa, a chłodna bryza z południa niosła ze sobą zapach deszczu.

Odetchnął kilka razy głęboko, zapukał i z uśmiechem przyklejonym do ust czekał, aż drzwi się otworzą.

- Cześć, J. B. Bawisz się w kamerdynera? - Malcolm postanowił nie okazywać J. B. swojej wrogości. Nie dzisiaj.

- Mówiłem, że Lenox kładzie się wcześniej spać.

Malcolm poszedł za nim do łagodnie oświetlonego gabinetu, świadczącego o niewyszukanym guście gospodarza - proste meble, duże dębowe biurko i ogromny regał z mnóstwem starych książek. W ceglany kominku palił się nawet ogień, chroniąc przed wieczornym chłodem.

J. B. obszedł biurko, usiadł w brązowym obrotowym fotelu i odchylił się do tyłu.

- Co z Barbarą?

Bawi się ze mną w kotka i myszkę, pomyślał Malcolm. I rozkoszuje się każdą chwilą.

- Dobrze. Śpi. - Odchrząknął. - Dzięki, że odwiozłeś ją do domu.

Uprzejma uwaga Malcolm'a przeszła niezauważona.

- Ona potrzebuje pomocy, Kandall. Profesjonalnej pomocy.

- Wiem. - Malcolm ciężko westchnął, mobilizując wszystkie siły. - Nawet nie będę mówił, ile razy już jej to powtarzałem. Nie chce słuchać.

- Trudno w to uwierzyć. Barbara jest rozsądną kobietą. Wie, że ma poważny problem. Przy niewielkiej zachęcie z twojej strony mogła znaleźć się w klinice już

dawno temu.

- To nie jest takie łatwe, jak ci się zdaje. Barbara potrafi być bardzo uparta. Kiedy wbije sobie coś do głowy, rzadko zmienia zdanie.

J. B. patrzył na niego surowo.

- Co się wydarzyło w dniu śmierci Elizabeth?

Malcolm zbladł.

- Co takiego?

- Zapytałem, co się wydarzyło w dniu śmierci Elizabeth.

- A skąd, do licha, mam wiedzieć.

- Bo byłeś tam. Tak samo jak Barbara.

- Owszem, byliśmy tam wtedy, ale niewiele wiem na temat tego, co się wydarzyło.

- Kłamiesz. - J. B. pochylił się w jego stronę z oczami błyszczącymi ze złości. - Ty i Elizabeth byliście na tamtym balkonie. Razem.

Malcolm zmusił się do kpiącego śmiechu.

- Skąd ci przyszedł do głowy ten szalony pomysł?

- Barbara mi powiedziała.

- Barbara była pijana, na litość boską! Chcesz powiedzieć, że wierzysz w pijackie brednie?

- Jeżeli te brednie mogą być źródłem jej problemów, to masz cholerną rację, wierzę.

- O czym ty, do licha, mówisz?

- Kiedyś Barbara w ogóle nie piła. Zaczęła dopiero po śmierci Elizabeth. Moim zdaniem to właśnie śmierć bratowej i wydarzenia, które do niej doprowadziły, były tak traumatyczne, że musi pić, żeby o nich zapomnieć.

Przerwał na chwilę. Spojrzał na swojego starego wroga, zastanawiając się, co też mogłoby złamać jego opór. Prawda, zdecydował. Przecież prawda zawsze jest najlepszą bronią.

- Barbara ją zabiła, prawda? - zapytał. - Zepchnęła Elizabeth z balkonu.

15

Malcolm poczuł się tak, jakby ktoś walnął go w brzuch. Nie mógł wydusić z siebie słowa i tylko wpatrywał się w J. B.

- Tak było, prawda? - zapytał J. B. - I właśnie dlatego Barbara zaczęła pić. Zżera ją poczucie winy.

- Jesteś szalony - stwierdził w końcu Malcolm. - Równie dobrze jak ja wiesz, że Barbara nie skrzywdziłaby nawet muchy. A co dopiero człowieka.

- Właśnie to jest najsmutniejsze - stwierdził J. B. ponuro. - A jeszcze bardziej przykre jest to, że zrobiła to dla tak nędznej kreatury jak ty.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę...

- Tylko mi nie mów „zaraz, zaraz”. I nie waż się zrzucać z siebie odpowiedzialności za tę straszną tragedię. Jak mogłeś romansować z żoną swojego brata! Jak mogłeś tak nisko upaść, Malcolmie?

- Nie spałem z żoną brata!

- Niech cię diabli, jeśli nie spałeś. Barbara może i była pijana, ale wiesz, że ja zawsze umiem rozpoznać cierpienie. A ona cierpi. Od dnia, w którym dowiedziała się, że masz romans z Elizabeth.

- Barbara nic takiego nie powiedziała.

- Powiedziała wystarczająco dużo. Ty i Elizabeth byliście w bibliotece na górze, na balkonie. Barbara weszła akurat wtedy, gdy się kłóciliście. I kobieta, która faktycznie nie mogłaby skrzywdzić muchy, została zabójczynią. Wszystko przez ciebie.

Malcolm zacisnął dłonie na poręczy krzesła.

- Zwariowałeś?

- Zataiłeś to, ale nie po to, żeby ją ochronić, tylko żeby uniknąć skandalu, który z pewnością zakończyłby twoją karierę.

- To tylko spekulacje - szydził Malcolm. - Wytwór twojej wybujałej wyobraźni. Nie masz żadnego dowodu.

- Wiem wystarczająco dużo, żeby policja w Aspen wznowiła śledztwo.

Malcolm prawie przestał oddychać.

- Nie zrobiłbyś tego Barbarze. Ona jest twoją przyjaciółką.

- A więc to prawda?

O Boże, co teraz? Zaprzeczyć? Byłoby to równie pozbawione sensu co ryzykowne. J. B. szybko traci cierpliwość. Trudno przewidzieć, kiedy przestanie rozmawiać i zadzwoni na policję. Modlił się, żeby sympatia J. B. dla Barbary wystarczyła, żeby zażegnać katastrofę. Opuścił ręce.

- O Boże.

- Mam rację?

Malcolm skinął głową.

- To był wypadek. Musisz mi uwierzyć. Wszystko stało się tak nagle. Nie mogłem nic zrobić, żeby temu zapobiec. A potem było już za późno. Dwie kobiety rzuciły się na siebie z pazurami, a po chwili... - Zamknął oczy. - Elizabeth wypadła.

- Dlaczego, do licha, nie próbowałeś ich powstrzymać?

- Mówiłem ci, nie mogłem. Wszystko działo się zbyt szybko. To był wypadek. Głupi, bezsensowny wypadek.

- Więc dlaczego nie zawiadomiłeś policji?

- Nie mogłem. - Mówił szybko, chodząc tam i z powrotem przed biurkiem J. B. - Nie mogłem ryzykować. Nie chciałem, żeby moja żona poszła do więzienia.

- Bzdury. Wcale o niej nie myślałeś. Myślałeś o sobie. O swojej karierze.

- Nie! Przysięgam na Boga, że moja kariera to ostatnia rzecz, o jakiej wtedy myślałem. Martwiłem się tylko o Barbarę.

J. B. uśmiechnął się szyderczo, widząc krople potu na czole Malcolma.

- Kłamiesz, sukinsynu - powiedział z pogardą w głosie. - Nie jesteś wart, żeby na ciebie pluć, wiesz o tym? Przez te wszystkie lata patrzyłeś, do czego doprowadza ją poczucie winy. Wiedziałeś, dlaczego pije. I nie zrobiłeś nic, żeby jej pomóc.

- Nie chciała niczyjej pomocy. - Twarz Malcolma była biała jak prześcieradło. Jego arogancja ulotniła się gdzieś, a głos, którym przez wiele lat czarował miliony Teksaszczyków, teraz był słaby. Słysząc w nim było strach.

- To ty nie chciałeś, żeby się leczyła. Wiem, bo kilka lat temu rozmawiałem o tym z Deirdre. Opowiadała, jak przekonywałaś Barbarę, że sami sobie poradzą z jej problemem.

- Słuchaj... - Malcolm przełknął ślinę. - Do czego zmierzasz? Chcesz, żebym odesłał ją do kliniki? O to ci chodzi?

- O to też.

- Więc czego jeszcze chcesz?

J. B. odchylił się do tyłu i przewiercał Malcolma wzrokiem.

- Chcę, żebyś zadzwonił na policję w Aspen i powiedział im, co się wydarzyło tamtego dnia.

Malcolm stał nieruchomo.

- Nie mówisz poważnie. Wsadzą Barbarę do więzienia. Czeka ją okropny proces. Wiesz, jaki to będzie miało na nią wpływ?

- A co poczucie winy robi z nią teraz? Zabija ją, Malcolmie. Spójrz na nią, człowieku. Stacza się w przepaść.

Zimny pot spływał Malcolmowi po plecach.

- Masz rację. Postaram się, żeby trafiła do najlepszej kliniki, na jaką mnie stać. Tylko mnie nie prosz, żebym na nią doniósł.

Gdy J. B. nie odpowiadał, zagrał swoją ostatnią kartą.

- Słuchaj, zawrzyjmy umowę. Zapłacę ci, ile chcesz, jeśli zachowasz to wszystko w tajemnicy. Wiem, że „Sentinel” nie jest teraz w najlepszej kondycji...

- Przez ciebie.

- To prawda. - Przyznał się, żeby udowodnić, że jest szczerzy. - To, co zrobiłem, było głupie i niewybaczalne. Ale mogę to naprawić. Jeden telefon do Orbacha i innych, i wszystko będzie tak jak przedtem. Nawet lepiej. I dam ci pieniądze, żebyś znowu mógł stanąć na nogi... Powiedz tylko ile.

- Nie masz ani grosza, Malcolmie. Dawno roztrwoniliś pieniądze z funduszu

powierniczego. A Barbara nie ma nic, dopóki żyje Deirdre. Jak więc możesz proponować mi umowę?

- Mój brat da ci tyle, ile zechcesz. Jestem pewien, że tak zrobi. Nie zechce kolejnego skandalu w rodzinie.

J. B. uśmiechnął się. Kiedyś dałby się zabić za to, żeby zobaczyć, jak ten facet płaszczy się i trzęsie jak galareta. Ale nie teraz. Teraz trzeba myśleć o innych - przede wszystkim o Barbarze, ale też o Tedzie. Nie mogę pozwolić, żeby ten chłopak żył ze świadomością, że jego ojciec jest mordercą.

- Zgódź się, J. B. - Malcolm obszedł biurko i stanął przed swoim starym wrogiem. - Zrób to dla Barbary.

J. B. pchnął w stronę Malcolma kartkę papieru. Podniósł słuchawkę i podał mu ją.

- To jest numer szeryfa w Aspen. Dzwoń, Malcolmie. Choć raz w życiu zrób, co należy.

Malcolm potrząsnął gwałtownie głową.

- Nie mogę...

- Jeżeli ty nie zadzwonisz, ja to zrobię.

Malcolm był cały mokry. Ten sukinsyn jest do tego zdolny. A szeryf go wysłucha. Nawet jeśli nie uwierzy w tę historię, będzie miał dość powodów, żeby wznowić dochodzenie. Co wtedy? Jak długo Barbara wytrzyma przesłuchanie na policji?

Drżącymi palcami przeczesał włosy. Byłby skończony. Jego marzenia ległyby w gruzach. Wszystko przez tego głupiego, mściwego starucha. Nie może do tego dopuścić. Nie dopuści.

Rozejrzał się wokół, jego wzrok padł na biurko. Obok otwartej koperty leżał nóż myśliwski.

- No więc, Malcolmie?

Nie było czasu do namysłu. Musi działać. Udał, że sięga po słuchawkę, którą trzymał J. B., i nagłym, szybkim ruchem chwycił nóż.

Zobaczył zdumienie w oczach starego mężczyzny, ale nim J. B. zdążył zrobić jakiś ruch, Malcolm podniósł rękę, a potem z całej siły wbił nóż w pierś J.

B.

J. B. upuścił słuchawkę i otworzył usta w desperackiej próbie wołania o pomoc. Ale nie mógł złapać tchu.

Malcolm cofnął się. Oddech J. B. stał się ciężki, urywany, a krew nieprzerwanie płynęła z rany.

Jeszcze żyje, pomyślał, widząc, jak J. B. zaciska kurczowo dłoń na rękojeści noża. Instynktownie starał się go wyciągnąć. O Boże, ile to jeszcze potrwa?

Nagle błysnęła mu w głowie nowa myśl: A co, jeśli nie umrze?

I wtedy, zupełnie jakby ktoś wysłuchał jego próśb, J. B. spojrzał w górę i zamknął oczy. Opadł na fotel z głową przechyloną pod dziwnym kątem. Malcolm wciąż patrzył na niego, niezdolny się poruszyć.

Zabieraj się stąd. Ten cichy rozkaz sprawił, że znów mógł się skupić. Powoli jego umysł zaczął funkcjonować. Nasłuchiwał odgłosu kroków. Na tyłach domu znajdowało się mieszkanie Lenoksa, ale stamtąd nie dochodziły żadne dźwięki.

Wszędzie cisza. I trzask ognia w kominku.

Sztywnymi dłońmi wyjął chusteczkę z kieszeni, potrząsnął, żeby ją rozprostować, i podszedł w stronę bezwładnego ciała. Od zapachu krwi płynącej z rany zrobiło mu się niedobrze.

Zaciskając zęby, odgiął palce J. B. i wytarł nóż. Przetarł też biurko, mimo że nie pamiętał, żeby go dotykał i krzesło, na którym siedział.

Trzymając wciąż chusteczkę w dłoni, wycofał się z pokoju. Przy drzwiach rozejrzał się ostatni raz. O niczym nie zapomniał? Upewnił się, że nie, wziął głęboki wdech i szybko wyszedł.

W połowie drogi do samochodu przypomniał sobie o kołatce przy frontowych drzwiach. Jęknął, wrócił i wytarł ją. Potem tak szybko, jak pozwalało mu na to biodro, pobiegł w stronę corvetty.

Natarczywy dzwonek telefonu wyrwał Laurę ze snu.

- Lenox?

- Och, panienko Lauro, musi pani tu szybko przyjechać... Stało się coś strasznego.

Przypominając sobie dwa inne wypadki, kiedy Lenox mówił w podobny sposób, Laura gwałtownie usiadła.

- Co się stało? J. B. znów miał atak serca?

Głos kamerdynera, zwykle mocny i pewny, teraz drżał.

- Nie. On... został zamordowany, panienko.

Te słowa ogłuszyły ją tak, że przez chwilę nie reagowała. Nawet oddychała z trudem. Gdy w końcu odzyskała mowę, była w stanie wyszeptać tylko: „nie”.

- Policja już tu jest.

Trwała w bezruchu niezdolna ani przyjąć do wiadomości tej nowiny, ani zaakceptować jej. Nie ten wielki człowiek, kpiący sobie ze śmierci. Przeżył przecież dwa zawały.

- Panienko Lauro?

Odłożyła słuchawkę.

Gdy Laura przyjechała, dom był jasno oświetlony. Na miejscu byli już policjanci i karetka pogotowia. Szeryf Amos Wilson, który znał J. B. jeszcze z czasów szkolnych, przybył ze swoimi zastępcami. Ruszył w jej stronę, zagradzając wejście do gabinetu. Był dobrze zbudowany, choć nie tak potężny jak J. B. Miał nieprzeniknioną śniadą twarz, niesforne siwe włosy i okrągły brzuch, świadczący o tym, że lubi teksańsko-meksykańską kuchnię i domowe lody. Na koszuli munduru błyszczała odznaka szeryfa.

- Przykro mi, Lauro - powiedział cicho, otaczając ją ramionami. - Tak mi przykro.

Zadrzała.

- Więc to prawda. - Przez chwilę, kiedy pędziła w stronę głównego domu, miała nadzieję, że to jakieś koszarne nieporozumienie, że w domu znajdzie J. B. i usłyszy, jak grzmiącym głosem pyta: „Co, na miłość boską, robisz tu o tej porze, dziecinko?”

- Obawiam się, że tak. - Głos Amosa docierał do niej jak przez mgłę.

- Jak? Co się stało?

- Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów. Jestem tu dopiero od kilku minut.

- Chcę go zobaczyć.

Powstrzymał ją.

- Nie teraz. Są tam koroner i prokurator okręgowy.

Koroner. Prokurator okręgowy. Słowa, które słyszała przedtem setki razy, nagle straciły dla niej sens. Nie pasowały. Nie do tego domu.

- Kto mu to zrobił, Amos? Kto?

Oczy szeryfa wyrażały uczucia, które nie całkiem rozumiała - mieszaninę smutku i współczucia.

- Chodźmy do innego pokoju - powiedział i poprowadził ją korytarzem. - Wszystko ci wyjaśnię.

- Lauro!

Chwytny za serce krzyk sprawił, że stanęła jak wryta. Odwróciła się szybko i zamarła ze zdumienia na widok rozgrywającej się przed nią sceny.

Korytarzem szła jej matka. Z obu stron trzymali ją mocno zastępcy szeryfa. Shirley włosy miała w nieładzie, wokół oczu rozmazany tusz. Wyglądała jak szop. Obcisła suknia przetykana złotą nitką była zabrudzona krwią. Jeszcze więcej krwi miała na rękach, na twarzy, a nawet na włosach.

Laura poczuła w żołądku coś zimnego i twardego.

- Mama - szepnęła. - Co...

- Chcą mnie aresztować za morderstwo, Lauro! Twierdzą, że zabiłam J. B.!

16

Oszołomiona Laura, spoglądała to na matkę, to na Amosa. Nie mogła powstrzymać nerwowego chichotu.

- O czym ona mówi, Amosie? To chyba jakiś głupi żart.

- To nie żart, Lauro. - Szeryf miał poważną minę. - Wszystkie dowody świadczą przeciwko twojej matce.

- Jakie dowody?

- Ja tego nie zrobiłam! - krzyknęła Shirley, bezskutecznie próbując uwolnić ręce, które mocno trzymali dwaj zastępcy szeryfa. - Ja tylko przyszedłam porozmawiać z J. B. Kiedy weszłam, on już nie żył.

Laura natychmiast uniosła dłoń w geście ostrzegawczym.

- Nic więcej nie mów. Ani słowa.

Shirley była jednak zbyt wzburzona, żeby jej posłuchać.

- Czy wszyscy ogłuchli? Ja tego nie zrobiłam!

Laura zwróciła się do Amosa.

- Błagam cię, Amosie. Powiedz swoim ludziom, żeby ją puścili.

- Nie mogę tego zrobić, Lauro. Muszę ją zabrać.

- Najpierw muszę z nią porozmawiać.

- Lauro...

W gabinecie dostrzegła błysk flesza. Fotograf policyjny chodził po pokoju, robiąc zdjęcia.

- Amosie, błagam. Tylko dziesięć minut. To wszystko, o co proszę.

Amos westchnął, spojrzął na Shirley, która nadal mocowała się z jego ludźmi, a potem znów na Laurę.

- Dobrze. Dziesięć minut i ani chwili dłużej. - Skinął na swoich zastępców. - Puśćcie ją.

Oswobodzona Shirley natychmiast wpadła w ramiona Laury.

- Dziecko - szlochała. - Pomóż mi.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Chodź. Obejmując drżące ramiona matki, poprowadziła ją do dużego pokoju. Starła się nie myśleć o dniu, kiedy była tu po raz ostatni. J. B., wówczas pełen życia, odgrywał rolę barmana.

- Usiądź, mamó.

Shirley zrobiła, co jej kazano.

- Co się stało? - zapytała Laura, siadając przy niej. - Co ty tu robisz?

Shirley schowała głowę w dłonie.

- Och, Lauro. Gdybym cię posłuchała...

- O czym ty mówisz?

- Przyszłam prosić J. B., żeby mi pożyczył pieniądze na odkupienie Złotej Papugi.

- Och, mamó.

- Wiem, wiem. - Wycierała łzy dłońmi, jeszcze bardziej rozmazując makijaż.
- To był głupi pomysł. Istniała tylko jedna szansa na milion, że mi pożyczysz pieniądze. Ale byłam taka zdesperowana, Lauro, wiesz o tym. - Palcem wytarła łzę spływającą jej po policzku. - A zdesperowani ludzie robią głupie rzeczy.

- Dlaczego przyszłaś tu o tej porze? Nie powinnaś być w pracy?

- Dziś było mało gości i Joe odwołał mój drugi występ. Wiedziałam, że J. B. nigdy nie kładzie się spać wcześniej. Pomyślałam więc, że najgorsze, co może mi się przytrafić, to to, że mnie wyrzuci.

- Czy tak właśnie postąpił?

- Nie! - spojrzała na nią z oburzeniem. - Nawet nie zdążyłam z nim porozmawiać. On... - Próbowwała przyglądać roztrzepane włosy, ale tylko bardziej je nastroszyła. - On już nie żył.

- No już dobrze. - Laura wyjęła z kieszeni chusteczkę i podała Shirley. - Opowiedz mi wszystko od początku. O której godzinie przyszłaś i jak się dostałaś do domu.

Shirley wzięła głęboki wdech, a potem powoli wypuściła powietrze.

- Przyjechałam tu dwadzieścia po dwunastej. Wiem, bo słuchałam radia. Akurat była przerwa na reklamy i podawali czas. - Przyłożyła chusteczkę do oczu. - Właśnie szłam w stronę frontowych drzwi, kiedy zobaczyłam światło w oknie gabinetu. Obeszłam dom. Przez drzwi na werandę zobaczyłam J. B. Siedział przy biurku odwrócony plecami, z głową przechyloną na bok, jakby spał. - Shirley zaszlochotała i przycisnęła do ust zwiniętą w kulkę chusteczkę. - Nie mogę o tym mówić - powiedziała, potrząsając głową. - To takie okropne.

- Musisz - ponagliła ją ostro Laura. - I to szybko, bo zanim minie szok, twój umysł wymaże z pamięci najważniejsze informacje. Tylko tak ci mogę pomóc, mamó.

Shirley nie odpowiedziała. Z zamkniętymi oczami i dłońmi splecionymi jak do modlitwy wyglądała tak tragicznie, że w innych okolicznościach Laura pewnie by się uśmiechnęła. Shirley była doskonałą aktorką. Ale teraz nie grała.

- Mamó? Słyszysz?

- Tak. - Odsunęła dłonie od ust. - Drzwi na werandę nie były zamknięte na klucz, weszłam więc i zawołałam J. B. Kiedy nie odpowiadał, podeszłam bliżej. Nie poruszał się, a z jego piersi wystawał nóż.

Na wieść o tym, że ktoś zabił J. B. nożem, Laura na chwilę zamknęła oczy.

- Mów dalej.

- Nie było czasu, żeby się zastanawiać. Podbiegłam do niego i starałam się go ocucić. A gdy nie reagował, próbowałam wyciągnąć nóż, syczałam i szarpałam, ale ten cholerny nóż ani drgnął.

Laura omal nie jęknęła. Shirley zostawiła odciski palców na narzędziu zbrodni.

- Zrozumiałam, że nie żyje - mówiła dalej łamiącym się głosem - więc tylko objęłam go. Płakałam, potrząsałam nim i mówiłam, jak mi przykro, i przepraszałam za całe zło, jakie mu wyrządziłam. Mówiłam, że gdybym tylko mogła cofnąć czas, zrobiłabym to. - Przerwała na chwilę. - I wtedy wszedł Lenox.

- Lenox cię tam zastał?

Shirley kiwnęła głową.

Laura bez trudu wyobraziła sobie tę scenę. J. B. z nożem w piersi. Shirley

zakrwawiona, płacząca i przepraszająca.

- Co powiedział?

- Ten głupiec powiedział tylko: „Dobry Boże, co pani zrobiła?”. Podbiegł do J. B., a kiedy zorientował się, że nie żyje, zadzwonił na policję. Próbowałam mu wyjaśnić, że nie mam z tym nic wspólnego. Ale ten człowiek był jak głaz. - Rozłożyła ręce. - Dobrze wiesz, że za mną nie przepada. Zawsze uważał, że nie byłam dość dobra dla J. B.

- Co powiedziałaś Amosowi?

- Wszystko. - Teraz jej twarz wyrażała złość. - Podszedł mnie, Lauro. Myślałam, że przyszedł jak przyjaciel, i dlatego, kiedy mnie przepytował, powiedziałam mu całą prawdę tak jak tobie. A on nagle zupełnie się zmienił, stał się szeryfem Amosem Wilsonem, przedstawicielem prawa. Miał nawet czelność wspomnieć tę sprawę z Lukiem Mendezem sprzed dwudziestu pięciu laty. Możesz w to uwierzyć? Po tym, jak ze mną rozmawiał, można by sądzić, że zabijanie ludzi mam we krwi.

- Czy Amos nie powiedział ci, że bez adwokata nie musisz nic mówić?

- Nie wiem... Chyba tak.

- Dlaczego go nie posłuchałaś?

Shirley spojrzała na nią z oburzeniem.

- Co się z tobą dzieje? Mówisz tak, jakbym była winna. Nie słyszałaś, co powiedziałam? Nie zabiłam J. B., a to znaczy, że nie mam nic do ukrycia. Poza tym, skąd miałam wziąć adwokata o pierwszej w nocy w tym zapomnianym przez Boga i ludzi mieście? Wszyscy traktują mnie tu tak, jakbym była trędowata.

Laura ścisnęła jej dłoń.

- Mam znajomego adwokata.

Nie mogła jednak powiedzieć nic więcej, bo do pokoju wszedł Amos. Podszedł do nich.

- Skończyłaś już, Lauro?

Laura wstała akurat w chwili, gdy sanitariusze wytaczali wózek. Zdążyła zauważyć tylko ogromne ciało J. B. owinięte w plastikowy worek, ale to wystarczyło, żeby zdarzenia tego wieczoru nabrały realności. Odwróciła wzrok.

- Tak. Na razie skończyłam.

Shirley trzymała ją kurczowo za rękę.

- Chyba nie pozwolisz, żeby mnie zabrali do więzienia?

- Muszę zadzwonić w kilka miejsc. Idź z Amosem, zobaczymy się za kilka minut.

- Co oni ze mną zrobią?

- Rutynowe czynności: zdejną odciski palców, zrobią zdjęcia. - Delikatnie odgięła palce Shirley, uwalniając rękę. - Nie będziesz tam długo. Obiecuję ci, że wkrótce wszystko się wyjaśni. Pamiętaj tylko, żebyś nic nie mówiła i niczego nie podpisywała, dopóki nie wrócę z adwokatem.

Shirley skinęła twierdząco głową.

Gdy Amos i jego ludzie odeszli, Laura westchnęła ciężko i odwróciła się do Lenoksa, który pojawił się bezszelestnie. Jego twarz przypominała białą maskę. Błyszczące od łez oczy przepelniał smutek. Uwaga matki, że nigdy jej nie lubił, podobnie jak wiele innych rzeczy, które mówiła Shirley, to oczywiście przesada. Lenox z natury był człowiekiem ostrożnym, toteż początkowo nieufnie traktował piosenkarkę, dopóki nie zrozumiał, że J. B. nigdy wcześniej nie był tak szczęśliwy. Niechęć pojawiła się dopiero później, kiedy Shirley opuściła J. B.

Po raz pierwszy od czasu, gdy poznała Anglika, Laura poczuła do niego urazę. To, co powiedział policji, z pewnością nie pomogło Shirley. Teraz jednak nie było czasu na dyskusje. Porozmawia z nim później, kiedy wszystko się uspokoi.

- Gdzie jest Ted? - zapytała.

- Pojechał do Dallas, żeby się spotkać z przyjacielem. Dzwoniłem do niego niedawno. Jest w drodze.

- Aha. - Przeszła za bar, wzięła słuchawkę i wybrała numer Stuarta. Po czwartym dzwonku odezwała się automatyczna sekretarka.

- Stuarcie, jesteś tam?

Poczekala chwilę, żeby umożliwić mu odebranie telefonu. Ale gdy milczenie przedłużało się, wzięła głęboki wdech i zostawiła wiadomość.

- Stuarcie, J. B. został zamordowany, a moją matkę aresztowano pod zarzutem morderstwa. Jesteś mi bardzo potrzebny, więc oddzwoń, gdy tylko

będziesz mógł. Jestem na farmie. - Bojąc się, że zaraz wybuchnie płaczem, odłożyła słuchawkę.

Kiedy się odwróciła, Lenoksa już nie było. W drugim końcu holu krzątała się ekipa dochodzeniowa, zbierając dowody i odciski palców.

Spojrzała na zegar stojący na kominku. Była pierwsza czterdzieści pięć. Gdzie Stuart podziewa się o tej porze? Nigdy nie zostawał w biurze po szóstej. Wolał pracować w domu, czasem do świtu. A jeśli jest w domu, to dlaczego nie odbiera telefonów?

Po dziesięciu minutach zadzwoniła jeszcze raz. Tym razem, gdy włączyła się sekretarka, usłyszała, jak ktoś westchnął z irytacją i odłożył słuchawkę.

Wiedziała, że jeśli będzie siedzieć beczynnie choć minutę dłużej, z pewnością zwariuje. Chwyliła kluczyki do samochodu i wyszła.

Kiedy zostawiła samochód na parkingu, dom Stuarta tonął w ciemnościach. Obok stał jego porsche, w którym odbijały się światła ulicy.

Zadzwoniła raz, a kiedy nikt nie odpowiadał, naciskała dzwonek, dopóki w sypialni na górze nie zapaliło się światło. Po kilku sekundach drzwi otworzyły się szeroko. Stał w nich Stuart w welurowym szlafroku narzuconym na bladoniebieską piżamę. Na kieszeni na piersi miał wyhaftowane swoje inicjały.

- Laura. - Przeczesał dłonią włosy. - Co ty na miłość boską?...

Nie dała mu dokończyć tylko przeszła obok niego i odwróciła się.

- Dlaczego nie odpowiedziałeś na mój telefon?

Zamknął drzwi i odwrócił się do niej.

- Pewnie nie słyszałem. Znowu zaczęła mi dokuczać alergia, więc wziąłem allerest przed snem. Musiałem spać jak zabity. - Wsunął ręce do kieszeni szlafroka.
- Co się stało?

Ton jego głosu i sposób, w jaki starał się zachowywać dystans, sprawił, że miała się na baczności. Spojrzała za jego plecy w stronę stołu, na którym stał telefon z automatyczną sekretarką.

Czerwone światełko sygnalizujące nagraną wiadomość nie migało.

Spojrzała mu prosto w oczy z otwartymi ze zdumienia ustami.

- Odebrałeś moją wiadomość - wydusiła wreszcie tak zaskoczona jego

kłamstwem, że z trudem znajdowała słowa. - Odsłuchałeś moją wiadomość, a potem... co?- Potrząsała z niedowierzaniem głową.- Wróciłeś do łóżka? Tak?

Stuart zaczerwienił się.

- To miała być pierwsza rzecz, jaką zrobię rano.

- Pierwsza rzecz, jaką zrobisz rano? Moja matka jest w więzieniu oskarżona o morderstwo, którego nie popełniła. Jesteś jedyną osobą, do której mogę się zwrócić o pomoc, jedyną, która może nam pomóc, a ty nie oddzwoniłeś?

- Ależ Lauro...

- Jestem twoją narzeczoną, na miłość boską! Jak mogłeś wysłuchać moją wiadomość i wiedząc, co się wydarzyło i co ja przechodzę, wrócić do łóżka?

- Przesadzasz. Lepiej zrobię ci herbatę...

- Nie chcę herbaty! Potrzebuję twojej pomocy. Chcę, żebyś poszedł ze mną do więzienia i postarał się uzyskać zwolnienie mojej matki za kaucją.

Nawet pod opalenizną widać było, że twarz mu pobladła.

- Co takiego?

Zamknęła oczy, ale szybko otworzyła je z powrotem.

- Czy ja mówię po chińsku? Chcę, żebyś reprezentował moją matkę, Stuarcie.

Zaśmiał się krótko, z zakłopotaniem, jakby powiedziała coś głupiego.

- Lauro, nie wiesz, że ja oskarżam przestępców? Nie mogę ich bronić.

- Moja matka nie jest przestępcą. Ona tego nie zrobiła.

- Mimo wszystko nie mogę...

- Możesz wziąć urlop, żeby bronić. Zawsze tak się robi i ja to wiem. Zatrudnię cię - dodała, nie dbając o to, czy przypadkiem nie urazi jego dumy. - Mam trochę odłożonych pieniędzy.

- To nie kwestia pieniędzy.

Zrobił kilka kroków po pokoju. Zatrzymał się tuż przed nią. Ręce wciąż trzymał w kieszeniach. Uderzyło ją, że nie powiedział ani słowa, by wyrazić współczucie, ani słowa, żeby ją pocieszyć. Żadnego czulego gestu, by złagodzić jej

ból, zapewnić, że wszystko będzie dobrze, że zajmie się wszystkim.

Twarz Laury przybrała ostrożny wyraz.

- Więc jak będzie?

- Nie mogę jej bronić.

- Dlaczego?

- Dzwonił Ed... Zabrał mi sprawę Hallowaya.

- I?

Patrzyła, jak Stuart przelika ślinę. Jabłko Adama przesuwało mu się w górę i w dół.

- Mam być oskarżycielem w sprawie twojej matki.

17

Gdyby nie miał tak zmieszanej miny, nie uwierzyłaby mu. Uświadomiła sobie, że wciąż stoi z otwartymi ustami. Zamknęła je. Czekala, aż powie, że odmówił. Ale on stał z rękami w kieszeniach z obronnym wyrazem twarzy.

- Kiedy się o tym dowiedziałeś?

- Wcześniej.

- Kiedy wcześniej? Zanim zadzwoniłam? Dlatego nie oddzwoniłeś?

Odwrócił się. Widziała tylko jego sztywne plecy.

- Nie chciałem ci tego mówić przez telefon.

- Mogłeś przyjechać na farmę. Wiedziałeś, że tam jestem. - Jego milczenie potwierdzało to, o czym Laura już wiedziała. Zdecydował, że będzie oskarżycielem, nie omawiając tego z nią. - Powiedz, że odmówiłeś. - Nie mogła uwierzyć, że Stuart może być tak nieczuły.

Odwrócił się szybko.

- Lauro, proszę cię, postaw się w mojej sytuacji. Mam trzydzieści sześć lat. Do tej pory moim największym osiągnięciem jest stanowisko zastępcy prokuratora okręgowego w okręgu Burnet. Myślisz, że to mnie zadowala? Większość moich kolegów jest już młodszymi partnerami w dużych, prestiżowych firmach, a ich nazwiska stale pojawiają się w gazetach.

- Mówiłeś, że lubisz swoją pracę.

- Wykańcza mnie. Przyjąłem ją, bo nie było innej.

- No dobrze. Nie cierpisz swojej pracy. Ale co to ma wspólnego z moją matką?

- Wiele. Ta sprawa może mi przynieść rozgłos, którego tak potrzebuję. Zostanę zauważony i będą mnie obserwować przez cały czas trwania procesu. A potem będę mógł przebierać w ofertach i wybrać firmę, w której zechcę pracować. Przyjdą do mnie na kolanach.

- Tak samo byłoby, gdybyś jej bronił.

Potrząsał przecząco głową.

- Nie. Powiedzieliby, że podjąłem się tej sprawy ze względu na ciebie. Posądzono by mnie o to, że nie kieruję się rozsądkiem, że nie widzę beznadziejności tej sprawy. Potem nikt już by mnie nie traktował poważnie.

- To nie jest beznadziejna sprawa. - Chciała podejść do niego, ale wyraz jego oczu zmroził ją. - Wiem, że z punktu widzenia mojej matki nie wygląda to najlepiej - ciągnęła mimo wszystko - ale ona tego nie zrobiła. A dowody mają wyłącznie charakter poszlakowy. Idź, porozmawiaj z nią, a sam zobaczysz.

- Tylko głupiec podjąłby się tej sprawy i jeszcze miał nadzieję, że wygra. Przykro mi, Lauro.

Stała na środku pokoju z opuszczonymi rękami. Przez głowę przebiegały jej wszystkie te chwile, gdy była tu razem z nim - jadła, pracowała, czasem śmiała się. Wszystko zmieniło się w ciągu kilku godzin. Poczowała się tak, jakby jakaś ogromna fala zmyła z niej resztki sił.

- Naprawdę tak uważasz. Nie masz zamiaru mi pomóc.

- Przykro mi - powtórzył.

- Myślałam, że cię znam. Myślałam, że mnie kochasz, że zrobisz dla mnie wszystko, tak jak ja zrobiłabym dla ciebie. Ale tylko się ośmieszyłam. Jedyne rzecz, która cię obchodzi, która cię kiedykolwiek obchodziła, to twoja kariera.

- Nie miej mi za złe, że kieruję się rozsądkiem, Lauro. Gdybyś była na moim miejscu, postąpiłabyś tak samo.

- Nigdy nie odwróciłabym się do ciebie plecami! - I choć wzniósł między nimi niemal namacalny mur, podeszła bliżej i zmusiła go, żeby spojrzał jej w oczy. - A właściwie w jakim świetle stawia cię ta sprawa? I czy oskarżanie matki narzeczonej to nie konflikt interesów?

Tym razem nie było wątpliwości. Stuart odwrócił wzrok.

- Stuarcie?

Odchrząknął.

- Musimy porozmawiać, Lauro.

Nogi się pod nią ugięły. Tylko duma nie pozwoliła jej usiąść.

- Mów.

- Masz rację. To byłby konflikt interesów. I właśnie dlatego... Jestem pewien, że to zrozumiesz. Muszę... - Zagryzł wargi i patrzył na nią bezradnie. - Muszę to zrobić.

Te słowa były dla niej jak policzek.

- Chcesz zerwać nasze zaręczyny.

Wyglądał, jakby poczuł ulgę, że ona to powiedziała, nie on.

- Tak będzie lepiej. I tak nic by z tego nie wyszło. Z czasem znienawidziłabyś mnie za to, że oskarżałem twoją matkę. Chciałbym nam tego oszczędzić.

- Och, Stuarcie. - Mimo gniewu poczuła pierwsze ukłucie bólu.

- Tak będzie lepiej.

- Oczywiście. - Przeszła obok niego i skierowała się do drzwi. - Uważaj więc, że już nie jesteśmy zaręczeni.

- Lauro?

Odwróciła się, unosząc brwi.

- A... pierścionek?

Niemal się roześmiała. Wyglądał tak żałośnie. Czego się obawiał? Że chce zatrzymać jego brylant bez skazy? A może bał się, co rodzice na to powiedzą.

Boże drogi. Jak mogła być tak ślepa, żeby nie widzieć, jaki jest naprawdę - płytki i bez kręgosłupa?

Zdjęła pierścionek i rzuciła go na stół. Zanim zdążył podziękować, wyszła.

Laura wyszła z więzienia okręgowego o trzeciej po południu. Przy Riddel Park czekał już na nią tłum dziennikarzy z różnych gazet i stacji telewizyjnych.

W jednej chwili otoczyli ją, podsuwając mikrofony i kierując na nią kamery. Przypomniała sobie, że sama postępowała tak samo, torując sobie drogę do pierwszego szeregu, żeby uchwycić jakieś zdanie, oświadczenie, cokolwiek, co

mogłaby później zacytować. Teraz ona znalazła się w centrum zainteresowania i zupełnie nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić.

- Panno Spencer, czy pani matka przyznała się do zabójstwa J. B. Lawsons?

- Czy powiedziała, dlaczego to zrobiła?

- Czy to prawda, że dwadzieścia pięć lat temu zasztyletowała swojego kochanka?

Oślepiąca błyskami fleszy usiłowała przedrzeć się przez tłum, ale oni wciąż nacierali, zasypując ją pytaniami.

- Nie mam nic do powiedzenia. Proszę mnie przepuścić.

Nagle poczuła, jak obejmuje ją jakieś silne ramię.

- Chyba państwo słyszeli - powiedział Ted głosem nieznoszącym sprzeciwu.

- Proszę nas przepuścić.

- Panie Kandall, my tylko wykonujemy swoją pracę. Sam pan wie, jak to jest. Tak jak panna Spencer.

- Panna Spencer jest bardzo zmęczona. Jestem pewien, że jeżeli pozwolicie jej odpocząć, z przyjemnością odpowie na wasze pytania. A tymczasem zabieram ją do domu.

Laura patrzyła zdumiona, jak tłum rozstępuje się przed nią.

- Chodź. - Ted pociągnął ją do bmw. - Zabieramy się stąd, zanim zmienią zdanie.

Nie pytała, skąd się tu wziął ani jak ją znalazł. W samochodzie oparła głowę na skórzanym podgłówku i zamknęła oczy, ledwo zdając sobie sprawę, że ruszyli. Starła się nie myśleć o niczym, ale umysł wciąż podsuwał jej jakieś dziwne, bezsensowne obrazy - zakrwawioną matkę, wózek z ciałem, zatraskujące się przed nią ciężkie drzwi celi, tłum przed więzieniem, dopytujący się, czy Shirley zabiła J. B.

Na myśl o J. B. poczuła ból, bardziej przenikliwy i silniejszy niż przedtem. Jak to możliwe, że nie żyje? Tylu rzeczy nie zdążyli zrobić, tylu słów nie zdążyli powiedzieć.

- Chcę go zobaczyć. - Ledwo rozpoznała własny głos. - Chcę zobaczyć J. B.

Ted spojrział na nią uważnie.

- Nie musisz tego robić.

- Nie uwierzę, że nie żyje, dopóki go nie zobaczę. - Patrzyła prosto przed siebie suchymi oczami. - Zawieź mnie do niego.

Wizyta w miejskiej kostnicy była krótka i bolesna. Ciało J. B. wciąż leżało na wózku przykryte białym prześcieradłem. Gdy pracownik kostnicy je odchylił, Laura przez minutę wpatrywała się w białą, stężoną twarz, po czym nie mówiąc ani słowa, wyszła na zewnątrz i wsiadła do samochodu.

Ted szybko zawiózł ją do Lost Creek. Nie chciał zostawiać jej samej od razu więc zabrał Laurę do głównego domu. Wozy policyjne już odjechały. Zaparkował obok samochodu J. B. jak tyle razy w ciągu ostatnich kilku dni, i spojrzął na Laurę. Była blada, oczy miała suche i nieobecne jakby patrzyła w ciemność. Nie był pewien, czy zorientowała się, że dojechali już na miejsce.

Teraz musi myśleć przede wszystkim o niej. Musi odsunąć na bok swój smutek i pomóc jej przetrwać te ciężkie dni. Ujął jej dłonie. Były zimne i bezwładne.

- Powiedz, jak mógłbym ci pomóc.

Ból w jej oczach podsycił jego własny.

- Powiedz, że to się nie wydarzyło. - Jej głos był beznamiętny. - Powiedz, że to tylko koszmarny sen i zaraz się obudzę.

- Chciałbym, żeby tak było.

- Tak bardzo go kochałam - szepnęła. - Nie znam drugiego takiego człowieka. Odmienił moje życie, gdy tylko go poznałam. Nie zraziło go to, że na początku byłam zgaszona i obojętna, a czasem nawet niegrzeczna. Wszystko rozumiał. I kochał mnie tak samo jak ja jego.

- Dlatego że wierzył w ludzi. Widział w nich to, czego inni nie dostrzegali. To była jedna z jego najbardziej ujmujących cech.

Ted mówił stłumionym głosem. Starał się nad nim zapanować. Laura spojrzała na niego. Przystojna twarz Teda była napięta. Malował się na niej ból, który dobrze rozumiała. Była tak pogrążona w rozpacz, że nawet o nim nie pomyślała.

- Och, przepraszam cię, Ted. Ty przecież też go kochałeś.

Wyjął z kieszeni papierosa i chwilę mu się przyglądał. Wyciągnął

zapalniczkę z deski rozdzielczej, zapalił go i zaciągnął się mocno. Płuca wypełnił mu mocny, gorący dym.

- J. B. kupił mi pierwszego nikon. To było zaraz po tym, jak przegrałem konkurs fotograficzny sponsorowany przez „Sentinela”. Oczywiście on tego tak nie ujął. Nie powiedział, że przegrałem. Stwierdził tylko, że zająłem drugie miejsce. Wręczając mi aparat, powiedział swoim grzmiącym głosem: „Żebyś mi nigdy więcej nie mówił, że jesteś »przegranym«, słyszysz? Pamiętaj, że jesteś zwycięzcą. I nigdy o tym nie zapominaj”. - Jeszcze raz się zaciągnął. - Jego wiara we mnie była jak balsam na moje wątłe ego. Odtąd za każdym razem, kiedy sprawy szły nie tak, jakbym sobie tego życzył, przypominałem sobie jego słowa.

Teraz jej kolej, żeby złagodzić ból i się pocieszyć.

- Cieszę się, że mogłeś spędzić z nim ostatnio trochę czasu. Od wielu lat nie widziałam, żeby był taki szczęśliwy.

Nie odezwał się, więc dodała:

- Muszę się dowiedzieć, kto to zrobił, Ted. Bez względu na to, co będę musiała zrobić...

Widoczna w jego oczach mieszanina smutku i zdziwienia zmroziła ją. Wypuściła jego dłoń, jakby ją ugryzł.

- Ty też myślisz, że to moja matka, prawda? Tak jak wszyscy.

- Lauro, wiem tylko to, co powiedział mi Amos...

- Mam gdzieś to, co mówi Amos! - zawołała z gniewem. - Ona tego nie zrobiła. To tylko... - Nagle uświadomiła sobie, że wszystkie fakty przemawiają na niekorzyść jej matki, i opadły jej ręce. - To tylko tak wygląda.

- Może opowiesz mi, co się stało? - łagodnie zachęcił ją Ted.

Jego spokojny głos i współczucie malujące się w oczach podziałały jak kojący balsam. Po raz pierwszy od chwili, gdy zaczął się ten koszmar, odprężyła się. Powtórzyła mu wszystko. To, co Shirley powiedziała i jak wyglądała. Po chwili wahania wspomniała nawet o stu tysiącach dolarów, które chciała pożyczyć od J. B.

- Zdaję sobie sprawę, że to ją bardzo obciąża - powiedziała na koniec. - Ale wierzę jej. Shirley nie byłaby do tego zdolna. Amos gada bzdury, że zrobiła to w przypływie gniewu. Ona nawet nie umie się złościć.

Ted powoli kiwał głową. Pomimo dowodów, o których wspominał Amos, wszystko wyglądało zbyt gładko. Jeżeli Shirley zabiła J. B., to dlaczego została na miejscu zbrodni i pozwoliła się złapać? To przecież nie ma sensu.

- Gdyby twoja matka to zrobiła - zastanawiał się Ted - jakby się zachowała?

- Nie mam pojęcia. J. B. na pewno miał jakichś wrogów. Ale nie sądzę, żeby ktokolwiek chciał go zabić. Chyba że...

Ted ożywił się.

- Chyba że co?

- Którejś nocy... - Zmarszczyła brwi. - Było bardzo późno. Obudził mnie hałas za oknem. Wyjrzałam i zobaczyłam cień przemykający między drzewami.

- Zgłosiłaś to na policję?

- Nie. Nie byłam pewna, czy to jakieś zwierzę, czy może włóczęga. Ktoś lub coś przebiegło, zanim zdążyłam się zorientować, co to jest.

W niebieskich oczach Teda dostrzegła cień zmartwienia.

- Może pracowaliście z J. B. nad czymś szczególnym? Albo niebezpiecznym?

- Badaliśmy tylko sprawę funduszy wyborczych twojego wuja, ale nawet do głowy by mi nie przyszło, że to może zagrażać życiu.

- Będiesz musiała powiedzieć Amosowi i adwokatowi, że koło domu kręcił się jakiś włóczęga. Prawdopodobnie zechcą to sprawdzić.

- Powiem. - Nie umiała powiedzieć mu, że Shirley nie ma adwokata, bo jedyny człowiek, którego brała pod uwagę, odwrócił się do niej plecami. Chciała zostać sama ze swoją rozpaczą.

- Poprosiłem Lenoksa, żeby przygotował dla ciebie pokój i przyniósł trochę ubrań z domku gościnnego - poinformował Ted, jakby czytał w jej myślach. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Odpięła pas.

- Nie, dobrze zrobiłaś. Dziękuję, Ted.

W milczeniu wysiedli z samochodu. Gdy znaleźli się w domu, Ted zawahał się przez chwilę. Chciał wziąć ją w ramiona i nie puścić, dopóki z jej oczu nie

zniknie udreka, ale coś w jej sylwetce powiedziało mu, że taki gest nie byłby mile widziany.

- To do jutra - pożegnał się.

Laura kiwnęła głową i poszła w stronę schodów.

18

Zadzwoił telefon. Szeryf Wilson spojrział na zegar wiszący na ścianie. O tak wczesnej porze mógł dzwonić tylko prokurator okręgowy. Miał rację.

- Co z dochodzeniem w sprawie zabójstwa Lawsona? - zapytał Ed Cavanaugh. - Dostałeś już coś z laboratorium?

Amos niemal widział ten charakterystyczny nieprzyjemny błysk w jego oczach.

- Czy na narzędziu zbrodni są odciski palców Shirley Langfield?

Amos westchnął.

- Tak, Ed. Są też na stoliku, na krześle J. B. i na drzwiach na werandę.

- Świetnie, świetnie. Wiadomo już, kto będzie jej bronił?

- Ona nie ma adwokata.

- A więc dostanie jakiegoś, prawda? Do południa chcę mieć podpisane przez nią oświadczenie.

- Słuchaj, Ed. - Amos zamilkł na chwilę, zebrał się na odwagę i powiedział: - Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

- Mów, tylko szybko. Jestem zajęty.

- Nie sądzę, żeby Shirley Langfield to zrobiła.

- Co takiego?

- To nie ma sensu. Uciekłyby stamtąd. Założyłaby rękawiczki albo chociaż wytarła odciski palców i pozbyła się sukienki.

- I to wszystko? Na tym opierasz swoją teorię? Co powinna była zrobić i czego nie zrobiła?

- Przysięgli będą chcieli wiedzieć, dlaczego niektóre rzeczy zostały dokładnie wytarte, na przykład kołatka przy frontowych drzwiach, a inne nie.

- Kołatki prawdopodobnie od dawna nikt już nie używał. Zazwyczaj takie

gadżety pełnią tylko rolę dekoracyjną. Przecież wiesz.

- Biurko J. B. też było czyste.

- Pewnie był pedantem. Albo Shirley zaczęła usuwać ślady, a potem puściły jej nerwy. Czasem to się zdarza.

Amos podrapał się po głowie.

- Nie jestem przekonany co do tej teorii, Ed.

- Słuchaj, Amos - głos prokuratora był zimny, jak lód - nic mnie nie obchodzi twoje wątpliwości. Niedługo są wybory, a ja mam zamiar je wygrać. Jeżeli będę się bawił się w podchody, mogę przegrać. Masz więcej dowodów, niż mógłbyś sobie wymarzyć, przygotuj więc wszystko tak, żebym wygrał, albo, Bóg mi świadkiem, pożegnasz się z odznaką.

Odłożył słuchawkę.

Amos ciężko westchnął i popatrzył bezradnie na telefon.

Po powrocie do domu ze spotkania w Lost Creek Malcolm nie mógł zasnąć. Leżał w ciemności, wpatrując się w cienie na suficie. Od nowa przeżywał wydarzenia ostatnich kilku godzin - chwila po chwili - zastanawiając się, czy nie zostawił jakichś śladów.

Nie zostawił. Przeanalizował każdy krok i miał pewność, że zrobił wszystko starannie i dokładnie. Mimo to sen nie nadchodził i gdy piętnaście po piątej zadzwonił telefon, poczuł ulgę. Wreszcie skończyło się czekanie.

Podniósł słuchawkę telefonu stojącego na stoliku przy łóżku i spojrzał na Barbarę. Spała spokojnie.

- Halo?

Dzwonił Clint, szef kampanii wyborczej Malcolma. Zazwyczaj spokojny, teraz mówił podnieconym głosem.

- Nie uwierzysz, czego się dowiedziałem.

Trochę zdenerwowany Malcolm przygotował się. Od tej chwili jego gra musi być bez zarzutu.

- Nie bawię się w zgadywanki o piątej rano - odburknął jak człowiek, którego właśnie wyrwano z głębokiego snu.

Clint nie pozwolił jednak, by najwidoczniej zły nastrój Malcolma przeszkodził mu w podzieleniu się nowinami.

- Lawson nie żyje - powiedział bez ogródek. - Został zamordowany w nocy w swoim domu.

Mimo że Malcolm spodziewał się takich wieści, wypowiedziane na głos słowa wstrząsnęły nim.

- Zamordowany? - Wciąż nie mając pewności, czy dość dobrze udał zdumienie, dodał: - Dobry Boże. Kto to zrobił? I dlaczego?

- Przyczyna nie jest jeszcze znana. Wiadomo tylko, że policja aresztowała Shirley Langfield, była żoną J. B.

Shirley. Aresztowali Shirley Langfield. Z trudem powstrzymał się, żeby się nie roześmiać. Co za zrządenie losu! Nie mógłby znaleźć lepszego frajera - a raczej frajerki - nawet gdyby się bardzo starał. Ludzie z okręgu Burnet nigdy jej nie wybaczyli, że przed laty porzuciła J. B. Cholernie trudno będzie znaleźć bezstronnych przysięgłych.

- Jasny gwint - powiedział, wracając do swojej roli, przeczesał włosy dłonią.
- Nie mogę w to uwierzyć. J. B. Lawson... zamordowany. Niemożliwe.

- Takiej okazji nie można przepuścić - powiedział Clint. - Wyciągniemy z tego wszystko co się tylko da, Malcolmie.

- O czym ty mówisz?

- O twoim programie wyborczym - wyjaśnił Clint z niecierpliwością w głosie. - O hasła „Prawo i porządek”. Prasa będzie chciała poznać twoją opinię. Wpływowy Teksaszczyk stał się kolejną ofiarą potwornej zbrodni. Zirytowani obywatele, domagający się zmian w kodeksie karnym. Będziesz miał doskonałą okazję, żeby wyłożyć swoje poglądy, i to w najlepszym momencie. Nie zapominaj, że urzędujący gubernator chce znieść karę śmierci. A ty uważasz, że powinna być utrzymana.

- Dobry pomysł, Clint. Nareszcie wiem, za co ci płacę.

Umysł Malcolma, teraz już pod kontrolą, znowu zaczął intensywnie pracować.

- Czy już wiadomo, kiedy będzie pogrzeb? Jeżeli tak, zorientuj się, czy mamy wysłać kwiaty, czy dokonać wpłaty na jakiś fundusz charytatywny J. B. Gdyby w grę wchodził fundusz, nasz udział powinien być znaczny - co najmniej kilka tysięcy dolarów. I zadbaj o to, żeby prasa się o tym dowiedziała.

Clint zachichotał.

- Dowiem się wszystkiego i oddzwonię.

Malcolm odłożył słuchawkę i spojrzał na Barbarę. Cały czas spała. Wiadomość o śmierci jej starego przyjaciela będzie dla niej ogromnym szokiem. Musi powiedzieć jej o tym delikatnie i mieć ją na oku. Przynajmniej do czasu wyborów.

Powoli się odprężył. Udało się. Nie tylko zdołał odsunąć od siebie największe zagrożenie, ale jeszcze ktoś inny zostanie obciążony tą zbrodnią.

Uśmiechając się, oparł głowę na poduszkach.

Czy mógł liczyć na większe szczęście?

Tony zadzwonił do Enzia do Nowego Jorku o siódmej rano.

- Co się tam dzieje, do cholery? - przywitał go Enzo. - W telewizji podali, że J. B. Lawson został zamordowany.

- Zgadza się, szefie. Zszedłem na kawę i wszyscy tylko o tym mówili.

- Podobno zrobiła to jego była żona.

- Tak, ale ta dziwka zaprzecza.

- Czy Kandall wydał już oświadczenie?

- Wiesz pan, co myślę? - zaśmiał się Tony. - Facet był niesamowity. Gdybym go nie znał, przysiągłbym, że to jego najlepszy przyjaciel kopnął w kalendarz.

- Jest szansa, że on to zrobił?

Tony milczał chwilę, zastanawiając się nad pytaniem.

- Tak - powiedział w końcu. - Gdyby ten stary prowadził śledztwo razem z Laurą i znalazł coś kompromitującego, Kandall mógłby spanikować. Ale nie sądzę, żeby tak było. Nie ma dość odwagi. Poza tym gdyby Laura miała coś na niego, już by pan o tym wiedział.

- Chyba masz rację. A co u ciebie? - Enzo napił się porannej kawy, głośno siorbiąc. - Znalazłeś coś?

- Tak. W końcu przyniosła do domu listę nazwisk. Wszystkie znamy: Orbach, Andover, Canton, Massuela i kilka innych. Dobra wiadomość - wszystkie zostały skreślane. Przy każdym napisała „ślepa uliczka”, a to znaczy, że nie udało jej się znaleźć nikogo, kto puści farbę.

- Chciałbym w to wierzyć. Płacę im mnóstwo pieniędzy, żeby trzymali gęby na kłódki.

- Mówię panu, szefie, ta kobieta jest nieszkodliwa. A poza tym z tego, co słyszałem dziś rano, nie spocznie, dopóki nie znajdzie zabójcy ojczyma. To znaczy, że nie będzie miała ani czasu, ani chęci na śledztwo w sprawie Kandalla. Zdaje się, że nie mam tu nic do roboty? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Masz mnóstwo roboty. Po pierwsze, trzeba śledzić Laurę. Wciąż jej nie ufam. Jeżeli Kandall jest zamieszany w to morderstwo i ona dowie się o tym, dopiero wdepniemy w gówno. Miej ją na oku i dzwoń codziennie.

Tony westchnął rozczarowany.

- Tak jest, szefie.

Laura nie mogła usnąć. Gdy nadszedł ranek, zmęczona ciągłym przewracaniem się z boku na bok wreszcie wstała, wzięła prysznic i ubrała się w dżinsy i bluzę, które Lenox przyniósł z domku gościnnego. Jeśli ma tu zostać jeszcze kilka dni, będzie potrzebowała więcej ubrań.

Salon wyglądał tak jak niecałe osiemnaście godzin temu - cichy, czysty i pełen wspomnień.

Wciąż nie mogła płakać. Spojrzała na krzesło, w którym siadywał J. B., i przypomniała sobie, kiedy po raz ostatni go w nim widziała. To było zaraz po zaręczynach ze Stuartem. Przy pizzy i pepsy opowiedziała mu o planach wzbogacenia niedzielного dodatku „Sentinela” o strony z komiksami.

Chodziła po pokoju, a jej serce przepełniał smutek. Dotykała mebli, poprawiała poduszki, ustawiła świecznik na środku stolika. Zatrzymała się chwilę przed ogromnym regałem zapchanym książkami i starymi pamiątkami. Jej wzrok padł na ceramiczny bursztynowożłoty wazon. Prezent urodzinowy od Stuarta.

- Jego kolor przypomina mi twoje oczy - powiedział wtedy.

Były jeszcze inne prezenty, które od niego dostała - mosiężny łabędź, replika Statui Wolności, którą przywiózł z Nowego Jorku, porcelanowa róża kupiona w sklepie z antykami, tomik poezji Roberta Frosta.

Wzięła do ręki fotografię w ramce, na której była ze Stuartem. Zdjęcie zrobiono w dniu Święta Pracy na pokładzie jachtu Flemingów. Tego wieczoru Stuart poprosił ją o rękę.

- Drań! - Rzuciła nim o ścianę i patrzyła, jak rozbija się z trzaskiem. Bursztynowy wazon spotkał ten sam los. A potem różę i pozostałe prezenty.

Nie zważając na bałagan, pobiegła na górę, szeroko otworzyła drzwi szafy i zaczęła zrzucić z wieszaków ubrania Stuarta. Gdy wszystko leżało już na podłodze, zgarnęła całą stertę, podeszła do okna i wyrzuciła.

Dysząc ciężko, usiadła na łóżku. Tak bardzo chciała się rozplakać.

Ted był w odległości dwudziestu metrów od domku gościnnego, gdy dostrzegł stertę ubrań na trawniku. Rano dowiedział się, że Stuart Fleming będzie oskarżycielem w procesie Shirley Langfield, od razu więc, domyślił się, do kogo należą.

Laura siedziała na łóżku. Była blada. Wpatrywała się w swoje dłonie mocno zaciśnięte na kolanach. Przez chwilę nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa, tylko patrzył na nią. Nie umiał radzić sobie z bólem innych.

W jej oczach nie pozostał ślad spokoju, który widział w nich poprzedniej

nocy. Teraz były zagubione, zawiedzione. Poruszyło go to tak głęboko, że sam był tym zaskoczony. Nieco zakłopotany podszedł bliżej i usiadł przy niej na łóżku.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie.

Nie pozwolił, żeby jej obcesowa odpowiedź zraziła go.

- Słyszałem, że Stuart ma być oskarżycielem w sprawie twojej matki.

Zacisnęła pięści.

- Drań.

- Ja czy on? - Gdy nie odpowiedziała, wziął kosmyk włosów z jej policzka i założył za ucho.

- Rzucił mnie - powiedziała po chwili. - Wiesz?

Patrzył na nią zaskoczony.

- Nie, nie wiedziałem.

- Zrobił to, żeby nie było konfliktu interesów - głosem drżącym z emocji, których już nie ukrywała, opowiedziała mu o wizycie w domu Stuarta. O tym, jak błagała o pomoc, a on się od niej odwrócił, i wreszcie o ostatnim ciosie, kiedy oświadczył, że zrywa zaręczyny.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wczoraj?

- Wczorajsza noc należała do J. B. - szepnęła.

Zanim zdążyła uprzedzić jego gest, przysunął ją do siebie i objął. I choć litość była ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnęła, poddała się.

Nagle wszystkie tamy puściły. Odsunęła od siebie dumę i to, co pomagało jej przetrwać ostatnie godziny. Gdzieś z głębi wyrwał się jej szloch, a potem oparła bezradnie głowę na piersi Teda i rozplakała się.

19

Wiadomość o śmierci J. B. rozeszła się po Hill Country lotem błyskawicy. Przez następne dwa dni trwały przygotowania do pogrzebu i setki osób przychodziły i dzwoniły do Laury. Przyjaciele, sąsiedzi i znajomi J. B., wszyscy, którzy go znali, chcieli wyrazić swój żal.

Laura, która musiała radzić sobie z podwójną tragedią - śmiercią J. B. i aresztowaniem matki - te przejawy sympatii nieustannie przypominały o ciężkiej próbie, jaka ją jeszcze czeka.

Prawnik, który od wielu lat zajmował się sprawami J. B., pomógł jej wynająć Quentina Marcha, jednego z najskuteczniejszych obrońców w sprawach kryminalnych w Teksasie. Mimo całego optymizmu i zapału jego wysiłki, by Shirley zwolniono z więzienia za kaucją, spełzły na niczym. Stuart, który podczas przesłuchania cały czas unikał wzroku Laury, przekonał sędziego, że istnieje duże ryzyko, że Shirley ucieknie, i wniosek został odrzucony.

Wstępne przesłuchanie wyznaczono na piątek dwudziestego ósmego października.

Spokój i niewzruszona siła Teda były darem niebios. Dzięki niemu, Lenoksowi i Mildred, którzy choć sami niepokieszeni - pomagali Laurze, pogrzeb J. B. zorganizowano szybko i nadano mu odpowiednią oprawę.

Laura stała teraz na małym cmentarzu, słuchając nabożeństwa odprawianego przez wielebnego McCorda, i obserwowała poważne twarze żałobników. Zastanawiała się, czy któraś należy do zabójcy J. B.

Ponad czterysta osób przyszło oddać cześć zmarłemu. Wśród nich byli najbardziej wpływowi obywatele Teksasu - gubernator, przewodniczący zarządu Consolidated Oil, paru senatorów, nawet telewizyjny kaznodzieja, którego Laura poznała przed rokiem.

Z tyłu za senatorem Babcockiem mignęli jej Malcolm Kandall i jego żona Barbara. Barbara cicho płakała, a Malcolm stał z głową pochyloną i rękami splecionymi przed sobą, tak jak tego wymagały okoliczności.

Laura postanowiła znaleźć zabójcę J. B. Dochodzenie w sprawie funduszy wyborczych kandydata na gubernatora będzie musiało poczekać. Czy Malcolm

zdawał sobie z tego sprawę? Zastanawiała się nad tym, gdy ich spojrzenia się spotkały. Czy to mu jest na rękę, czy też zupełnie obojętne? Jak zwykle jego twarz była nieprzenikniona. Gdy ekipa wiadomości filmująca ceremonię z dyskretnej odległości podeszła bliżej, Malcolm wziął żonę za rękę.

Nie było wątpliwości, że to ujęcie znajdzie się w wiadomościach o szóstej wraz z wcześniejszą wypowiedzią Malcolma: „J. B. Lawson był wielkim człowiekiem. Wprawdzie nie zgadzaliśmy się ze sobą, ale szanowałem go i podziwiałem jego talent dziennikarski. Jego śmierć jest dla nas wielką stratą”.

Nagle Laura poczuła dziwny dreszcz. Często zdarzało jej się to, gdy przygotowywała reportaże kryminalne w Nowym Jorku i ocierała się o niebezpieczeństwo.

Instynktownie obejrzała się za siebie. Karawan pogrzebowy, który przywiózł na cmentarz trumnę J. B., stał tam, gdzie przedtem, a za nim długi sznur samochodów czekających, by odwieźć żałobników do Lost Creek.

Wtedy go zobaczyła. Czarny sedan nieokreślonej marki. Stał tuż przed karawanem. Wszystkie okna miał zamknięte z wyjątkiem jednego od strony pasażera.

Dostrzegła sylwetkę człowieka siedzącego za kierownicą i jego czarne jak smoła włosy zaczesane gładko do tyłu. Nie zdążyła zauważyć nic więcej, bo okno podjechało do góry, a samochód powoli ruszył.

Ktoś ją obserwował.

- Och, moje dziecko, tak się cieszę, że jesteś - przywitała ją Shirley, gdy strażniczka wprowadziła Laurę do pokoju odwiedzin.

Shirley miała na sobie niebieski drelich wydawany w więzieniu okręgu Burnet. Jasne włosy były teraz zaczesane do tyłu. Bez makijażu wyglądała na bardziej bezbroną.

- Jak było na pogrzebie J. B.? - zapytała.

- Tłoczno. - Laura zdobyła się na błądy uśmiech. - Wszyscy jedli, pili i plotkowali. J. B. na pewno by się to spodobało.

- Stuart też był?

Po raz pierwszy od trzech dni Laura nie poczuła ukłucia bólu, gdy wymawiano imię jej byłego narzeczonego.

- Tak, ale nie wygłaszał mowy. Nawet nie podszedł złożyć kondolencji.

- To szczer! - Oczy Shirley aż iskrzyły z wściekłości. - I pomyśleć, że traktowałam go jak syna! O mały włos nie oddałam mu najcenniejszej rzeczy, jaką mam.

- Nie chcę o nim mówić.

- Dobrze, dziecinko. - Shirley chciała chwycić nad stołem dłoń Laury, ale strażniczka chrząknęła ostrzegawczo, więc cofnęła rękę.

- A ty jak żyjesz, mammo?

Twarz Shirley posmutniała.

- Nędznie. To straszna nora. I taki hałas, że nie można spać. Czekam tylko na Amosa, żeby powiedzieć mu w oczy, co myślę o tutejszych warunkach. Ale odkąd mnie tu przyprowadził, gdzieś się przyczaił. - Podniosła głos, żeby stojąca przy drzwiach strażniczka usłyszała uwagi. - O co mu chodzi? Może boi się, że mu wydrapię oczy? Albo że schowałam w rękawie wielki nóż i tylko czekam na odpowiedni moment, żeby go wbić w jego nędzne, zatwardziałe serce.

- Mammo, na litość boską, czy możesz się uciszyć? - szepnęła Laura, gdy strażniczka spojrzała na nie z niechęcią. - W ten sposób tylko napytasz sobie biedy.

- Już jestem w tarapatach. Ciekawe, jaką ty miałabyś minę, gdybyś spędziła tu cztery dni. Tutaj nawet kiedy się załatwiasz, wszyscy to widzą. Wiesz, że nie dali mi parawanu? Ta bezduszna baba powiedziała tylko „To nie Ritz”.

Laura z trudem powstrzymała śmiech. Dobrze, że matka odzyskuje animusz.

- Odpowiedz mi na kilka pytań czy wolisz marnować czas na narzekanie?

Shirley ożywiła się.

- Pytaj. Dowiedziałaś się czegoś?

- Chciałabym tylko wiedzieć, czy gdy tamtej nocy jechałaś do Lost Creek, widziałaś jakiś samochód jadący z naprzeciwka? Koroner orzekł, że J. B. umarł między dwunastą piętnaście a pierwszą rano. Mówiłaś, że na farmę przyjechałaś dwadzieścia po dwunastej. Jeżeli zabójca pojechał na zachód, w stronę Kerville,

nie mogłaś go widzieć, ale jeżeli jechał na wschód, w kierunku Austin, musiałaś go minąć.

Shirley zmarszczyła brwi w skupieniu.

- Teraz, gdy o tym wspomniałaś, przypominam sobie, że rzeczywiście widziałam jakiś samochód. Minęliśmy się obok farmy Clermont Peach. Jakies dziesięć minut przed zjazdem do Lost Creek.

- Pamiętasz, jaki to był samochód? Marka? Kolor?

Shirley potrząsnęła głową.

- Było za ciemno. A on jechał tak szybko. - Jej oczy rozszerzyły się. - Mój Boże. Lauro, myślisz, że to był morderca?

- Tak. A światła? Były wysoko? Jak w ciężarówce albo furgonetce? A może nisko, jak w samochodach sportowych albo sedanach?

- Nisko. - Nagle w jej oczach pojawił się błysk. - Ale pamiętam coś jeszcze.

- Co takiego?

- Robił dużo hałasu. Jak jeden z tych luksusowych samochodów wyścigowych.

- Dobrze. A kolor? Mógł być czarny?

- Możliwe. - Shirley zmarszczyła brwi, a potem potrząsnęła głową. - Nie mam pewności. Dlaczego akurat czarny?

Laura opowiedziała jej o samochodzie, który widziała na cmentarzu.

- Mój Boże! Chcesz powiedzieć, że ktoś cię śledzi?

- Nie...

- Lauro, powiedziałaś o tym policji?

- Cśś... Mów ciszej. Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Gdyby ten człowiek chciał mnie skrzywdzić, dawno już by to zrobił.

To jednak nie przekonało Shirley. Pochyliła się do przodu i spojrzała Laurze w oczy.

- Nie rób nic głupiego, dobrze? Nie zniosłabym, gdyby coś ci się stało.

- Nic mi się nie stanie. Jestem twarda, nie pamiętasz? Poza tym Ted namówił mnie, żebym przeniosła się do głównego domu. Pod opieką Teda i Lenoksa jestem bezpieczniejsza niż w Fort Knox.

Shirley wciąż jej się przyglądała.

- Bardzo lubisz Teda Kandalla, prawda?

- Chyba tak. Był dla mnie ostatnio ogromnym oparciem.

- Ale chyba się w nim nie zakochałaś? Nie byłoby to zbyt mądre, biorąc pod uwagę...

- Nie zakochałam się w nim, mamó. Mam dość mężczyzn i wiem na pewno, że już nigdy się nie zakocham.

- Nigdy to bardzo długo, dziecko.

- Ted i ja jesteśmy przyjaciółmi - wyjaśniła Laura zniecierpliwionym tonem.
- Nie wyolbrzymiaj tego, co nas łączy.

- Nie powiem już ani słowa na ten temat.

- To dobrze. - Laura szarpnęła połą żakietu i dodała: - Teraz muszę porozmawiać z tobą o testamencie J. B. Pewnie się nie zdziwisz, jeśli ci powiem, że zostawił mi prawie wszystko, co miał - dwie trzecie „Sentinela” i farmę.

- To cudownie, Lauro. - Reflektując się szybko, zapytała: - Dlaczego tylko dwie trzecie „Sentinela”? Kto dostanie resztę?

- Dwaj długoletni pracownicy gazety dostali po dziesięć procent. Ja otrzymałam dwadzieścia, kiedy zostałam wydawcą. Resztę J. B. zostawił Tedowi i mnie. Czterdzieści procent dla mnie i dwadzieścia dla Teda.

- Dla Teda? - Shirley uniosła w górę cienkie jasne brwi. - I co o tym sądzisz?

Laura wzruszyła ramionami.

- Dla mnie to żaden problem. Rozmawiałam już z Tedem. Powiedział, że nie zależy mu na tym, żeby być biznesmenem. Chętnie zostawi mi decydujący głos i będzie tylko cichym udziałowcem.

- To bardzo rozsądnie z jego strony.

- W ten sposób doszliśmy do ciebie.

Shirley zrobiła wielkopański gest.

- Jeżeli chodzi o sto tysięcy dolarów, które J. B. zostawił mi po rozwodzie, to powiedz adwokatowi, że może je zatrzymać. Ja ich nie potrzebuję. Może teraz prokurator uwierzy, że zapomniałam o tym punkcie testamentu.

- Zanim podejmiesz jakąś nieprzemyślaną decyzję - odparła Laura - poczekajmy i zobaczymy, jak potoczy się proces. Trzeba się zastanowić, jak załatwić sprawę pieniędzy. Wiesz, że ich nie dostaniesz, dopóki nie zostaniesz zwolniona.

- Quentin mi o tym mówił.

- No właśnie. A więc... Laura oparła się rękami o stół. - Tak jak się spodziewałam, J. B. nie dysponował dużą gotówką. Dochody pochodziły ze sprzedaży bydła. Po przejrzeniu ksiąg z zarządcą doszłam do wniosku, że najlepiej będzie wydzierżawić kawałek ziemi. Pieniądze z dzierżawy pójdą na utrzymanie farmy, spłatę hipoteki i na bieżące wydatki. Wszystkie dodatkowe dochody pójdą na spłatę ciebie i Lenoksa. To nie powinno trwać długo...

- Lenox!

Laura uśmiechnęła się.

- Tak, mam. J. B. również jemu zostawił sto tysięcy.

Shirley prychnęła sarkastycznie.

- Chyba będziesz musiała rozejrzeć się za nowym kamerdynerem.

- To zależy od Lenoksa.

Shirley powoli skinęła głową, a potem rozsiadła się wygodnie w krześle i założyła ręce na piersi.

- Jeżeli nie będę mogła pobrać moich stu tysięcy, z czego opłacę adwokata? W banku mam tylko dwadzieścia tysięcy.

- Na razie to wystarczy. Co do reszty, Quentin zgodził się zaczekać, dopóki nie otrzymasz spadku.

- Pod warunkiem, że zostanę uniewinniona. Co się stanie, jeżeli uznają mnie za winną?

Nie zważając na strażniczkę, Laura pogłaskała dłoń matki.

- Bądź dobrej myśli.

Shirley westchnęła ciężko.

- Naprawdę wierzysz, że uda mi się stąd wydostać? W więzieniu słyszy się różne rzeczy. Też to, że twój były narzeczony wysmażył niezły akt oskarżenia.

- Quentin też jest dobrym adwokatem. Musisz mu zaufać.

- Jeśli tak uważasz.

Laura wstała.

- Wpadnę jutro. Uważaj na siebie.

- Ty też. A jeżeli zobaczysz Amosa, powiedz mu, że dostanę wrzodów żołądka od tych odpadków, które tutaj nazywają jedzeniem. Powiedz mu, że po tych wszystkich wspaniałych obiadach, jakie jadł w moim domu, mógłby przynajmniej od czasu do czasu podrzucić mi jakiś stek.

- Powtórzę mu mamó. A ty zachowuj się dobrze i przestań dokuczać strażnikom. Oni robią tylko to, co do nich należy.

Tego samego dnia wieczorem, gdy Ted i Lenox poszli spać, Laura zbyt roztrzęsiona, żeby się położyć - zeszła cicho po schodach i usiadła na huśtawce na ganku. Kiedyś spędzali tu z J. B. wiele spokojnych wieczorów, omawiając plany związane z „Sentinelem”.

Nigdy już nie usłyszę jego głosu, pomyślała, patrząc na gwiazdy. To on nauczył ją, jak się nazywają gwiazdozbiory. Nigdy już nie zabrzmi jego grzmiący, zaraźliwy śmiech. J. B. odszedł i cokolwiek stanie się z gazetą, nigdy już nie będzie miał na to wpływu.

- Nie powinnaś siedzieć tu sama.

Odwróciła głowę. Tuż za nią stał Ted. Wciąż miał na sobie luźne ubranie, które założył po pogrzebie J. B.

- Masz złe nawyki, wiesz - powiedziała. - Zakradasz się cichcem.

- Przepraszam. To przyzwyczajenie z okopów.

Wskazał na wolne miejsce na huśtawce.

- Mogę się przysiąc?

- Pewnie.

- Też nie możesz spać?

Patrzył, jak kręci głową. Boże, jaka ona jest piękna. Nawet z podkrążonymi oczami i grymasem smutku wokół ust ma w sobie coś hipnotyzującego.

- Spędzałaś tu dużo czasu z J. B., prawda?

- Mnóstwo. Właśnie tu nauczył mnie naprawdę cenić wiejskie życie ciągnęła, patrząc w ciemność. - Nie wiem, czy bez niego uda mi się uratować gazetę, Ted. Bez jego wsparcia. Nie chciałabym zawieść, ale...

Rozpacz w jej głosie sprawiła, że znowu ją objął. Nigdy wcześniej żadna kobieta tak na niego nie działała. To go przerażało. Dotąd kobiety nie były w jego życiu najważniejsze. Przychodziły i odchodziły. Najczęściej to one zrywały, oświadczając, że jego brak zaangażowania i żywot włóczęgi są zbyt denerwujące.

Dlaczego więc ta kobieta obchodzi go tak bardzo?

- Nie zawiedziesz - powiedział ciepło.

- Skąd ta pewność?

- Bo twarda z ciebie sztuka. Jak twoja matka.

Na jej wargach pojawił się cień uśmiechu. Spojrzała na niego.

- To kolejna rzecz, jakiej nauczyłeś się w okopach? Pocieszanie kobiet?

- Nie. Tego nauczyłem się przy siostrze. - Wziął ją za rękę. - Słuchaj, Lauro, jeśli chodzi o gazetę, to choć nie jestem zbyt bogaty, mam odłożonych kilka tysięcy dolarów. Powiedz tylko słowo, a będą twoje.

Jego wspaniałomyślność głęboko ją poruszyła.

- Dzięki, Ted. Niestety, same pieniądze nie wystarczą. Pomogą najwyżej utrzymać „Sentinela” na powierzchni jeszcze kilka tygodni. Gazeta pilnie potrzebuje wiarygodności i jedynym sposobem, żeby ją zyskać, jest... - Przygryzła

wargę.

- Zdemaskowanie mojego wuja - dokończył za nią.

- Nie musimy o tym rozmawiać. Zdaję sobie sprawę, że to cię stawia w trudnym położeniu. Tym trudniejszym, że masz udział w „Sentinelu”.

Ted nie mógł powstrzymać sarkastycznego uśmiechu.

- Wuj i ja nie jesteśmy przyjaciółmi. Nigdy nie obchodziły mnie jego polityczne aspiracje. Nie szaleję na punkcie tego człowieka. Dobrze wiem, że odpowiedni wstępniak pozwoli „Sentinelowi” wypłynąć znów na szerokie wody.

- I nie będziesz czuł do mnie urazy, jeśli wypuszczę ten artykuł?

- Nie. Teraz mam tu zaangażowany kapitał. Chcę mieć pewność, że jest bezpieczny. - Widząc, że zaczyna się odprężać, dodał: - Naprawdę masz coś na niego?

- Nic, co mogłabym udowodnić.

Czuł, że Laura nie ma ochoty dłużej o tym mówić, więc nie naciskał. To ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebowała. Wstał i wyciągnął rękę.

- Chodź. Zrobię gorącą czekoladę. J. B. mówił mi kiedyś, że gorąca czekolada to lekarstwo dobre na wszystko. Nawet na bezsenność.

Bez słowa wzięła go za rękę i poszła z nim do domu.

Kiedy w poniedziałek rano Laura weszła do redakcji, przywitała ją ponura cisza.

Przyszła do biura pierwszy raz od zeszłego wtorku - dnia zabójstwa J. B. Biurko zawałone było korespondencją i wiadomościami o telefonach, na które prawdopodobnie nie będzie miała kiedy odpowiedzieć.

Weszła Mildred. Twarz miała napiętą, widać było, że stara się ukryć ból.

- Johnny i Leo chcą się z tobą widzieć - powiedziała. - Mam im powiedzieć, że jesteś?

Laura położyła na biurku plik kartek z wiadomościami prasowymi

- Tak. Ja też muszę z nimi porozmawiać.

Przez szybę przyglądała się, jak dwaj mężczyźni zbliżają się do jej biura. Byli to najstarsi pracownicy „Sentinela”. Zaczęli tu pracować w końcu lat pięćdziesiątych, jeden po drugim w odstępnie zaledwie kilku miesięcy. Dziesięć lat temu w nagrodę za ich długoletnią pracę J. B. odsprzedał każdemu po dziesięć procent udziałów w firmie i przyznał im prawo głosu przy podejmowaniu wszystkich decyzji dotyczących „Sentinela”.

Wiedziała, że zapis J. B. nie będzie dla nich niespodzianką, ale nie miała pewności, jak zareagują na wieść o tym, że dużym udziałowcem jest teraz Ted Kandall. Właśnie o tym chciała z nimi porozmawiać.

- Dzień dobry, panowie - przywitała ich, gdy weszli.

Odpowiedzieli równocześnie, ale widać było, że czuli się skrępowani.

Chcąc ze mną porozmawiać o czymś poważnym, pomyślała, w przeciwnym razie nie wyglądałoby tak ponuro. Powstrzymała westchnienie przekonana, że będzie musiała stawić czoło kolejnej katastrofie.

- Chcieliście się ze mną widzieć?

Leo spojrział na Johnny'ego. Domyślając się, że to on ma mówić, Laura zwróciła się do niego.

- Johnny?

Po krótkiej chwili milczenia naczelny dyrektor odchrząknął.

- Niezręcznie mi teraz o tym mówić, Lauro, ale nie mam wyboru.

Laura poczuła nieokreślony strach.

- Wał prosto z mostu.

- Dobrze. - Tym razem ich spojrzenia się spotkały. - Duży wydawca z Zachodniego Wybrzeża zaproponował nam w piątek, że odkupi nasze udziały w „Sentinelu”.

Twarz Laury stężała.

- Jaki wydawca?

- Carl Hansen z Hansen Publications.

Wprawdzie nigdy nie miała z nim do czynienia, ale wiedziała, że ma reputację człowieka, który zajmuje się mydłem i powidłem. Ten wydawniczy gigant z siedzibą w San Francisco był właścicielem ponad dwóch tuzinów gazet i dziesiątków czasopism w najróżniejszych miejscach w kraju. Żadnego tytułu nie założył sam. Wolał zaczekać, aż gazeta znajdzie się w tarapatkach. Zjawiał się wtedy ze swoimi rekinami, kupował pismo za bezcen i stawiał je na nogi.

- Powiedzieliście mu, że udziały w „Sentinelu” nie są na sprzedaż, prawda?

Johnny nerwowo poruszył się w krześle, ale nic nie powiedział.

- Właściwie nie - odparł Leo, przychodząc przyjacielowi z pomocą. - Prawdę powiedziawszy, obaj rozważamy taką możliwość.

Laura poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Chyba nie mówicie poważnie. Wiecie równie dobrze jak ja, że J. B. nie chciał, żeby ktoś obcy dostał udziały, a już na pewno nie ta miernota Hansen.

- Wiemy o tym - przyznał Leo. - I jeszcze kilka tygodni temu nie przyszłoby nam to do głowy. Ale od tego czasu wiele się zmieniło, Lauro. „Sentinel” ma poważne kłopoty, a Hansen jest naszą jedyną nadzieją. Przyciągnie do nas dziesiątki reklamodawców, których tak potrzebujemy. „Sentinel” utrzyma się na powierzchni. Nie będziesz musiała nikogo zwalniać. Wciąż będziesz głównym udziałowcem i nadal będziesz podejmowała wszystkie decyzje.

- To nie potrwa długo. Nie wiesz, co Hansen zrobił z „Phoenix Star”? Jego ludzie początkowo byli uprzejmi i potulni, ale nie minęło kilka tygodni, a w firmie już się kotłowało. Pracownicy zaczęli pikietować, domagając się reform i grożąc odejściem, jeśli Hansen nie zostanie głównym udziałowcem. Właśnie w taki sposób działa jego firma. Taktyka faktów dokonanych. Dobrze o tym wiem. Widziałam, co robi z gazetami w całym kraju. Nie pozwolę, żeby coś podobnego przydarzyło się „Sentinelowi”.

Johnny pokręcił głową.

- Rozumiem cię, Lauro, ale, z całym szacunkiem, twoje dobre chęci nie uratują gazety. Nie tym razem. A jak to się skończy dla nas? Gdzie znajdziemy pracę w naszym wieku?

- Nie masz gwarancji, że utrzymasz pracę, jeżeli Hansen przejmie firmę. Woli zatrudniać młodych za połowę pensji.

- Hansen obiecał, że zostaniemy, podobnie zresztą jak pozostali. Gotów jest zawrzeć z nami umowę na piśmie.

Już podjęli decyzję. I Laura nic nie mogła na to poradzić. Przed ośmioma miesiącami, kiedy przeglądała dokumenty dotyczące „Sentinela”, zorientowała się, że umowa między J. B. i jego dwoma pracownikami nie wyklucza możliwości sprzedaży przez Leo i Johnny'ego udziałów komuś z zewnątrz. Gdy wspomniała o tym, J. B. skwitował jej obawy wzruszeniem ramion.

- Są dla mnie jak rodzina, Lauro. Nigdy mnie nie skrzywdzą.

Johnny pochylił się. Jego twarz była poważna.

- Nie myśl, że jesteśmy nielojalni, Lauro. Chcemy tylko zachować pracę, uratować „Sentinela” i jego pięciuset pracowników.

Laura spojrzała na dziennikarzy krzątających się po redakcji, nieświadomych zbliżającego się kryzysu. Przypomniała sobie, co nie tak dawno powiedział jej J. B.: czasami uczciwość oznacza, że trzeba wiedzieć, kiedy dokonać trudnego wyboru.

Może wybór sam się dokonał, bez jej udziału. Może Johnny i Leo mają rację, ale psiakrew, nie zamierza poddać się bez walki.

- Ile czasu dał wam Hansen na podjęcie decyzji? - zapytała.

- Do piątku.

- Możecie jakoś przedłużyć ten termin?

Johnny i Leo spojrzeli po sobie zakłopotani.

- Dlaczego? O ile?

- Gdybyście dali mi kilka tygodni, może udałoby mi się nagłośnić tę historię z Malcolmem Kandalem.

- Już widzę tytuł - podjął Johnny. - Wzrosłaby sprzedaż. - Spojrzał na Leo, który kiwnął głową. - Tylko co mamy mu powiedzieć?

- Powiedzcie, że trzeba wyjaśnić pewne kwestie prawne związane z testamentem J. B. Powiedzcie, że musicie mieć czas do... - zerknęła w kalendarz - do ósmego listopada.

- A jeśli zechce nas sprawdzić?

- Ostrzeżę adwokata i bankiera J. B. To jego starzy przyjaciele. Nie zdradzą nas. Nawet gdyby musieli trochę skłamać.

To była dobra okazja, żeby poinformować ich o zapisie w testamencie J. B. Zrobiła to więc, kładąc nacisk na to, że Ted nie ma zamiaru wtrącać się do kierowania „Sentinelem”. Bez cienia urazy obaj pogratulowali jej serdecznie.

- Jesteś dobrym wydawcą, Lauro - powiedział Leo. - I prawdziwą podporą. Mam nadzieję, że wszystko potoczy się tak, jak sobie tego życzysz.

- Dzięki Leo. - Wstali prawie równocześnie. - A jeżeli usłyszycie coś, co może pomóc w dochodzeniu, nawet jeśli byłby to jakiś drobiazg, powiadomcie mnie, dobrze? To jest praca zespołowa.

- Możesz być tego pewna - obiecał Johnny.

Wyszli, a ona odwróciła się, żeby włączyć komputer. Wgrała plik, który trzymała w sejfie „Sentinela”, i zaczęła przeglądać listę sponsorów kampanii Malcolma. Zatrzymała się w połowie.

Przezucie, które nie odstępowało jej, odkąd Johnny wspomniał o Hansen Publications, w końcu znalazło potwierdzenie. Korporacja Hansena była wymieniona wśród sponsorów Malcolma. Do dziś przekazała na jego kampanię dwieście tysięcy dolarów.

W głowie błysnęła jej myśl, która sprawiła, że dreszcz przebiegł jej po plecach.

A może wybory na gubernatora miały związek z zabójstwem J. B.?

20

Laura natychmiast wyszła z redakcji i pojechała do Lost Creek. Chciała porozmawiać z Lenoksem, którego unikała od czasu aresztowania Shirley. Najwyższy czas przerwać tę absurdalną sytuację. Przecież Lenox nie miał wpływu na to, co widział i słyszał. Jest uczciwym człowiekiem i nie mógł postąpić inaczej.

Laura stała w drzwiach kuchni oparta o framugę. Przyglądała się, jak Lenox wyjmuje z kredensu naczynia i ustawiał je na stole.

Smutek postarzył jego twarz i przygarbił plecy. Ten człowiek, który jeszcze kilka dni temu chodził wyprostowany jak struna, teraz wyglądał, jakby dźwigał na barkach cały świat.

- Witaj Lenoksie.

Zaskoczony odwrócił się.

- Panienska Laura. Proszę mi wybaczyć. Nie wiedziałem, że pani tu stoi.

- Nie chciałam cię przestraszyć, kiedy trzymałeś naczynia. - Przechyliła głowę. - Mogę wejść?

Cofnął się zaskoczony.

- Ależ oczywiście. - Stał trochę sztywny, jak służący, który nie wie, czego ma się spodziewać.

Laura rozejrzała się po ogromnej kuchni w wiejskim stylu. Miedziane wypolerowane garnki wisiały nad piecem z niebieskich kafli. Pośrodku stał dębowy stół i krzesła. Francuskie okna wychodziły na ogród warzywny, którym zajmował się Lenox. Spędziła tu wiele radosnych chwil, gdy po powrocie ze szkoły częstował ją słynnymi angielskimi plackami z jęczmiennej mąki i kubkiem parującego kakao.

- Chcę cię przeprosić za to, jak cię traktowałam przez ostatnich kilka dni - powiedziała. - Unikałam cię, udawałam, że cię tu nie ma.

- Nie trzeba przeproszać, panienko.

- Właśnie że trzeba. Powinnam była wiedzieć, że jesteś człowiekiem honoru. Nie miałaś wyboru. Musiałaś powiedzieć policji wszystko, co widziałaś i słyszałaś tej nocy, gdy mój ojczym został zamordowany.

Anglik pochylił głowę.

- Dziękuję, że pani to powiedziała.

- Stosunki między nami zawsze były wyjątkowe. Nie mogę znieść myśli, że moja głupota mogła zniszczyć to, co nas łączy.

- To niemożliwe, panienko.

- Mam nadzieję, że zostaniesz w Lost Creek.

Jeszcze raz pochylił głowę jak doskonały kamerdyner.

- Jeżeli panienka sobie tego życzy, bardzo bym chciał. Nie jest tajemnicą, że uważam ten dom za własny.

- A ja nie mogę go sobie wyobrazić bez ciebie. - Położyła torebkę na stole i usiadła. - Skoro już to sobie wyjaśniliśmy, może przejdziemy do rzeczy. Wiesz, że badam sprawę śmierci J. B., prawda?

Uśmiechnął się.

- Szeryf Wilson mi mówił. Powiedział, że panienka jest bardziej uparta niż muły z Hill Country.

- Powiedz mu więc, że jeszcze nie widział, jak wierzgam. - Wyciągnęła z torebki mały notes i srebrny długopis Crossa. - Możesz mi odpowiedzieć na kilka pytań?

- Oczywiście.

- To dobrze. - Milczała przez chwilę. - Czy J. B. kiedykolwiek wspominał o możliwości sprzedaży „Sentinela”?

- Nie przypominam sobie. Ale jestem pewien, że takie sprawy omawiałby raczej z panią, nie ze mną.

- Masz rację. - Postukała długopisem o notes. - A jeśli chodzi o gości? Wiem, że mówiłeś już o tym policji, ale może mógłbyś mi to powtórzyć?

- Oczywiście. W ciągu ostatnich tygodni oprócz pani, szeryfa Wilsona, który wpadał od czasu do czasu, i pana Teda nikt nas nie odwiedzał. Pan Lawson większość wolnego czasu spędzał na wypasaniu bydła ze swoimi ludźmi lub przy zbiornikach.

- A tego dnia, kiedy został zamordowany? Może słyszałeś, jak rozmawia

przez telefon. Albo może wiesz, kto do niego dzwonił?

Jeżeli sugestia, że mógłby podsłuchiwać, uraziła go, nie dał tego po sobie poznać.

- Nie. Jak panienka wie, tego dnia pan Lawson był na lunchu. Wrócił dopiero o wpół do piątej.

- O wpół do piątej? Dlaczego tak późno?

- Tego nie wiem. Kiedy wrócił, poszedł jak zawsze do gabinetu, a ja do kuchni przygotować kolację. - Ściągnął usta. - Pamiętam, że kilka minut później zadzwonił telefon, ale zanim zdążyłem podejść do drugiego aparatu, pan Lawson już odebrał.

- Więc nie wiesz, kto dzwonił?

Potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie. Kiedy usłyszałem, że pan Lawson mówi „halo”, od razu odłożyłem słuchawkę.

- I co się działo później?

- Nic niezwykłego. Pan Ted był tego wieczoru w Dallas, a panienka pracowała do późna, więc kolację podałem panu Lawsonowi w gabinecie o siódmej.

- Co wtedy robił?

Lenox zmarszczył brwi.

- Stał przy oknie. Był pogrążony w myślach. Zapytałem, czy smakował mu obiad, a on odpowiedział, że tak. Potem powiedział coś szczególnego.

- Co takiego?

- Powiedział: „Sprawy zatoczyły pełny krąg, Lenoksie”.

Laura zapisała jego słowa.

- Wyjaśnił, co miał na myśli?

- Nie. Poczekalem chwilę na wypadek, gdyby chciał mówić dalej, tak jak to zwykle robił. Jednak gdy stało się jasne, że chce zostać sam, wyszedłem. Ta jego uwaga musiała mi wylecieć z głowy. Nie pamiętałem o niej aż dotąd.

- Czy potem jeszcze z nim rozmawiałaś?

- Wróciłem do gabinetu o ósmej zabrać tacę. Czytał i powiedział, że niczego już nie potrzebuje i że mogę odpocząć, jeśli chcę. To był... - odkaszlnął. - To był ostatni raz, kiedy widziałem pana Lawsona żywego. - Bryłka lodu w żołądku Laury dała o sobie znać.

- Miałaś więcej szczęścia niż ja. Nie widziałam go tego dnia.

Lenox jakby jej nie słyszał.

- Gdybym wtedy został i nie poszedł spać...

- To nie twoja wina, Lenoksie. Jestem przekonana, że ten, kto przyszedł tamtej nocy, miał zamiar zabić J. B. Nie wiem, czy przyszedł już z takim zamiarem, czy też podjął decyzję w ostatniej chwili, ale chciał to zrobić. Ty mogłaś tylko opóźnić zabójstwo, nie mogłaś mu zapobiec.

Zapisała coś w notatniku i podniosła na niego wzrok.

- Co usłyszałeś, jak się obudziłeś, Lenoksie?

Mimo że pytanie wyraźnie go krępowało, ponieważ dotyczyło udziału Shirley w całej tej sprawie, odpowiedział bez ociągania.

- Usłyszałem płacz kobiety. A właściwie szloch. Wskoczyłem z łóżka, zarzuciłem na siebie szlafrok i pobiegłem do gabinetu, skąd dochodził. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem panią Langfield klęczącą przed fotelem pana Lawsona. Obejmowała go. Płakała i powtarzała w kółko, że jej przykro. Błagała, żeby jej wybaczył.

- Ale nie słyszałeś, żeby wspominała o zabójstwie? Albo o tym, że pchnęła go nożem?

- Nie. Mówiłem to już policji.

Laura kiwnęła głową.

- Słyszałeś coś może, zanim usłyszałeś płacz? Kroki? Trzask drzwi? Samochód?

- Nie, panienko. - Jego oczy patrzyły przepraszająco. - Tak mi przykro.

Znów zapisała coś w notatniku.

- Pamiętasz coś jeszcze? Jakiś drobiazg, o którym mogłaś zapomnieć

powiedzieć policji?

- Nie.

Laura wstała.

- W porządku. Ale jeżeli coś sobie przypomnisz, powiesz mi o tym, prawda?

- Oczywiście. - Odprowadził ją do drzwi. - Proszę na siebie uważać, panienko. Wiem, że panienka bardzo chce złapać zabójcę pana Lawsona, ale może powinna to panienka zostawić policji. Śledzenie morderców nie jest...

Chociaż się zreflektował i zamilkł, odgadła, co miał na myśli. Uroczy typ z tego Lenoksa. Był człowiekiem starej daty. Szczerze wierzył, że niektóre rzeczy lepiej robią mężczyźni.

- Zajęciem dla kobiet, tak? - dokończyła za niego. Policzki Lenoksa zaczerwieniły się.

- Nie chciałem okazać braku szacunku.

- Wiem, Lenoksie. - Uśmiechnęła się. Nie przejmuj się. Nie jestem początkującym reporterem. Wiem, co robię. - Powodowana impulsem schyliła się i pocałowała go w policzek. - Ale jeżeli dzięki temu poczujesz się lepiej, to obiecuję, że będę bardzo ostrożna.

Tego wieczoru przy kolacji Laura opowiedziała Tedowi o ofercie Hansen Publication. Nie wspomniała jednak, że Carl Hansen przekazał dużą sumę na kampanię Malcolma. Zamierzała powiedzieć mu o tym stopniowo i delikatnie.

- Możesz coś zrobić, żeby go powstrzymać? - Podniósł swój kieliszek z winem, ale nie napił się. Obracał go w palcach. - Dobrze by było znaleźć jakiś kruczek prawny, który uniemożliwiłby Leo i Johnny'emu sprzedaż udziałów.

- Już dzwoniłam do adwokata i przesłałam mu faksem kopię umowy. Nic nie da się z nią zrobić.

- Nie rozumiem, dlaczego J. B. podpisał kontrakt, w którym nie było klauzuli dotyczącej sprzedaży udziałów, biorąc pod uwagę jego uczucia do „Sentinela”?

- Nie było kontraktu jako takiego. To była sprzedaż bezpośrednia. Umowa, którą podpisali wszyscy trzej, dotyczyła tylko ceny i sposobu płatności. - Rozwinęła swoją serwetkę. - J. B. był wielkim dziennikarzem i miał wielkie serce, ale nie miał smykałki do interesów. Sam by to przyznał.

Lenox postawił na stół parującą potrawkę z tuńczyka, ale Laura nałożyła sobie na talerz tylko jedną łyżkę. Przeszkadzały jej wspomnienia wesołych kolacji, które tu jadła kiedyś. Co wieczór musiała walczyć z ogarniającą ją tęsknotą.

Ted wciąż był zamyślony.

- Zastanawia mnie, dlaczego taki człowiek jak Carl Hansen, który może mieć każdą gazetę w tym kraju, nagle zainteresował się „Sentinelem”? - Odstawił kieliszek i zaczął jeść. - Co wiesz o tym facecie?

Laura wzruszyła ramionami.

- Tylko to, co przeczytałam w gazetach. Swoje imperium wydawnicze zaczął budować w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku, kiedy odziedziczył po ojcu „San Francisco Sun”. Po pięciu latach postawiono mu zarzut złego zarządzania funduszem emerytalnym i spędził trzy miesiące w więzieniu. Chodziły słuchy, że ma powiązania z przestępczością zorganizowaną.

- To może uwiarygodnić jego związek z zabójstwem J. B., ale wciąż nie rozumiem, dlaczego chciałby jego śmierci? Nigdy nie słyszałem, żeby J. B. wspominał jego nazwisko, a ty?

- Raz czy dwa razy, ale nie wyglądało na to, że zna go osobiście.

- Więc dlaczego nagle zainteresował się „Sentinelem”?

To była odpowiednia chwila, by powiedzieć mu resztę.

- To może mieć związek z twoim wujem. - Spojrzała uważnie na Teda i opowiedziała mu o dwudziestu tysiącach dolarów przekazanych na kampanię Malcolma.

Sugestia, że członek jego rodziny może mieć związek ze śmiercią J. B., nawet niebezpośredni, sprawiła, że Ted spojrzał na nią chłodno.

- Chcesz powiedzieć, że moim wujem steruje mafia?

- Nie - powiedziała ostrożnie. - Powiedziałam tylko, że Carl Hansen może mieć powiązania z przestępczością zorganizowaną. Możliwe, że sponsoruje Malcolma bez jego wiedzy.

- Co to wszystko ma wspólnego z „Sentinelem”?

- Kupując udziały w „Sentinelu”, Hansen może liczyć na to, że zmusi mnie do przerwania śledztwa w sprawie funduszy na kampanię Malcolma.

- W jaki sposób? Nawet jeśli położę łapę na udziałach Leo i Johnny'ego, wciąż pozostajesz głównym udziałowcem. Masz pełną swobodę i możesz drukować, co chcesz.

- Nie, jeżeli zbuntuje przeciwko mnie pracowników.

- Nie uda mu się. Oni cię uwielbiają. Wszyscy bez wyjątku.

- Tak było wcześniej, kiedy „Sentinel” przynosił dochody i mieli zapewnioną przyszłość. Teraz jest inaczej. Przeze mnie. Z powodu mojej determinacji gazeta ma kłopoty. Hansen szybko ich przekona. Powie, że jeżeli czegoś nie zrobią, wszyscy stracą pracę. Tak właśnie zrobił z „Phoenix Star”. Jakiś czas po tym, jak kupił niewielką część udziałów, dwóch najstarszych członków zarządu zmusił do rezygnacji i odsprzedania swojej części.

Ted obserwował ją bardzo uważnie. Jego czoło przecinała głęboka zmarszczka.

- Jak zamierzasz go powstrzymać?

Popijając wino, opowiedziała mu o dwóch tygodniach, które wytargowała dla siebie i dla „Sentinela”.

- Jeżeli będę mogła udowodnić, że pieniądze na kampanię Malcolm zdobył w nielegalny sposób albo że bierze je od przestępców, wyłączość „Sentinela” na te rewelacje zapewni nam miliony ze sprzedaży.

- Czy to przyciągnie z powrotem reklamodawców?

- To bardzo prawdopodobne. Nikt nie będzie chciał, żeby jego nazwisko kojarzono z Malcolmem Kandalem.

Ted napełnił kieliszki.

- Chciałbym ci pomóc - powiedział zdawkowo. - Nie wiem wprawdzie jak, ale gdybym był ci do czegoś potrzebny, jestem do dyspozycji.

Dla Laury to była pierwsza wskazówka, że Ted może przedłużyć swój pobyt na czas nieokreślony. Ucieszyło to ją, choć nie bardzo wiedziała dlaczego. Może po prostu przyzwyczaiła się do jego obecności.

- Jesteś pewien, że chcesz się w to pakować? Twoja rodzina może krzywo patrzeć na współpracę z „Sentinelem”.

- Sandra to jedynym członkiem mojej rodziny, którego nie chciałbym skrzywdzić. I nie sądzę, żeby miała coś przeciwko temu, żebym pomógł ci zdemaskować wuja, o ile oczywiście jest winien. - Napił się łyka wina. - A jeśli chodzi o mojego ojca, nie dbam już o to, co myśli.

Jego ostry ton zaskoczył Laurę. Mówił zupełnie inaczej niż po wystawie, kiedy opowiadał o dzieciństwie. Między tamtym wieczorem i dzisiejszym musiało się coś wydarzyć. Była tego pewna.

- Dzięki za propozycję. - Próbowała się uśmiechnąć. Miała nadzieję, że lekki ton głosu poprawi mu nastrój. - Zwykle pracuję sama, ale w tym wypadku mogę zrobić wyjątek.

Nie miała pewności, czy usłyszał, co powiedziała.

Gdy o siódmej rano zadzwonił telefon, Enzo Scarpati był w domu, delektując się poranną kawą i przyglądając ludziom uprawiającym jogging w Central Parku.

Uważnie słuchał, co mówi jego rozmówca. Gdy skończył, zapytał:

- Jesteś pewien, że nie wciskają ci kitu?

- Absolutnie. Mój przyjaciel bankowiec próbuje zasięgnąć języka. Najwidoczniej J. B. Lawson był nieźle zadłużony i trzeba dopełnić pewnych formalności, żeby można było przeprowadzić nowe transakcje. Żeby wszystko wyprostować, wystarczą pewnie dwa tygodnie.

- A jeśli Laura Spencer dostanie cynk o tym, co zamierzasz zrobić?

- Nie dostanie. Leo Brunel i Johnny O'Toole dali mi słowo, że nic jej nie powiedzą, dopóki nie dam im znać. Nie mam powodu im nie wierzyć, Enzo. Ci dwaj aż palą się, żeby sprzedać udziały. Mają już pod sześćdziesiątkę i panicznie się boją, że stracą pracę. - Zaśmiał się. Ostatnia rzecz, jakiej by chcieli, to zmarnować taką okazję.

- W porządku, Carl. Informuj mnie, co się dzieje.

Enzio odłożył słuchawkę i dolał sobie kawy. Pomysł, żeby poprosić Carla Hansena o kupno udziałów w „Sentinel”, był genialnym posunięciem. Nie miał wątpliwości, że dzięki niemu nie tylko uda się usunąć Laurę Spencer, ale też Malcolm będzie miał po swojej stronie obie gazety w Austin.

Jednak dwa tygodnie opóźnienia zaniepokoiły go. To może być podstęp, gra na zwłokę do czasu, aż Laura zakończy dochodzenie. Ale Hansen dobrze znał ludzi z branży. Jeżeli twierdzi, że Laura Spencer o niczym nie wie, Enzo musi mu uwierzyć.

Zadowolony, że wszystko idzie zgodnie z planem, wypił kawę i poszedł przebrać się do joggingu.

21

- W tym mieście jest chyba z milion samochodów - stwierdził Ted, gdy Laura powiedziała mu w końcu o podejrzanym sedanie, który widziała na cmentarzu. - Na pewno zauważyłaś coś więcej niż to, że był czarny i miał znak strażników Teksasu na tylnym zderzaku?

Jego zniecierpliwiony ton zasługiwał na ostrą ripostę. To, że J. B. zostawił mu część udziałów w „Sentinelu”, nie upoważniało go do tego, żeby rozstawiał ją po kątach. Jednak rzut oka na jego twarz, na głęboką zmarszczkę między brwiami i niespokojne spojrzenie błękitnych oczu wystarczył, by Laura zrozumiała, że to nie ona jest powodem irytacji, tylko brak postępów w śledztwie. Bardzo dobrze to rozumiała.

Siedzieli w jej biurze w redakcji „Sentinela”, pijąc kawę. Na zewnątrz, w pokoju prasowym tempo pracy było stosunkowo powolne, bo ponad połowa dziennikarzy przygotowywała reportaże w terenie.

- Mężczyzna za kierownicą był brunetem - powiedziała Laura. Żałowała, że nic więcej nie zapamiętała.

- To wszystko?

- Przykro mi. Nie każdy ma oko tak wyczulone na szczegóły jak ty.

- Jak udało ci się przetrwać jako reporterka kryminalna?

Postukała się palcem w skroń.

- Dzięki dedukcji, mój drogi Watsonie. To dar, który otrzymali nieliczni. Nigdy mnie nie zawiódł.

Żart wywołał uśmiech na jego twarzy.

- Dobrze, Sherlocku. Jak zamierzasz złapać faceta, który cię śledził, skoro nic o nim nie wiesz?

- Skąd wiesz, że mnie śledził? Może chodziło mu o ciebie? - Napła się kawy. - Może to jakiś zazdrosny mąż?

- Nie zadaję się z mężatkami.

- A może nieśmiały żalobnik. Albo czubek, który lubi kręcić się koło cmentarzy?

Do szału doprowadzało go, że nie traktuje tej sprawy poważnie.

- Równie dobrze to może być zabójca. Może ktoś wynajęty przez, jak mu tam, Hansena.

- Chyba przesadzasz.

- Może. Ale nie wiemy, o co tu chodzi. I dopóki się nie dowiemy, nie pozwolę ci się narażać. Od tej chwili ty i ja tworzymy zespół. Wszędzie będziemy chodzić razem.

Po raz pierwszy od śmierci J. B. jej oczy pojaśniały.

- Czy to syndrom dużego brata znowu daje o sobie znać?

- Coś w tym rodzaju. - Wolał powiedzieć coś na odczepnego, niż przyznać, że zaczęło mu na niej zależeć. Może nawet za bardzo. - W końcu przyrzekłem J. B., że będę cię miał na oku. A ja dotrzymuję słowa.

- To było jakieś dwa tygodnie temu. I jeśli dobrze pamiętam, chodziło o to, żebyś dotrzymał mi towarzystwa do czasu, aż przyjdzie mój narzeczony.

- Już nie masz narzeczonego - powiedział szorstko. - Czy ci się to podoba, czy nie, jesteś skazana na mnie.

Spodziewał się zdecydowanego oporu. Zaskoczyła go. Wzruszyła ramionami.

- Dobrze, możemy pracować razem. Pamiętaj tylko, kto jest Holmsem, a kto Watsonem.

Bardzo wcześnie rano, gdy Ted i brygadzysta pracujący na ranchu pojechali na aukcję bydła, Laura wzięła szybki prysznic, włożyła wyblakłe dżinsy, starą bluzę od dresu i cicho weszła do gabinetu J. B. Nie wiedziała dlaczego, ale tu właśnie potrafiła myśleć jaśniej niż gdzie indziej. Może dlatego, że spędzili tu z J. B. wiele czasu, pracując nad przekształceniem gazety.

Pokój wyglądał tak samo jak zawsze. Był przytulny. Panowała w nim atmosfera męskości. Brakowało jedynie starego skózanego fotela, który oddano do tapicera, i antycznego noża - narzędzia zbrodni.

Tym razem Laura nie pozwoliła, by wspomnienia zakłóciły tok jej myśli, tak jak to się często zdarzało w ciągu ostatniego tygodnia. Usiadła na krześle. Na biurku położyła żółty notatnik. Zaczęła zastanawiać się nad zdaniem, które zanotowała poprzedniego dnia.

„Sprawy zatoczyły w końcu pełny krąg, Lenoksie”.

Co J. B. miał na myśli? Zastanawiała się, podkreślając zapisane słowa. Czy to ma jakiś związek z Carlem Hansenem, mimo że J. B. prawie go nie znał? Dlaczego J. B. wrócił z lunchu tak późno? Gdzie był między wpół do drugiej a wpół do piątej - między końcem uroczystości i powrotem do domu?

Postukała w wargę końcem ołówka. Może ktoś, kto znał J. B., będzie wiedział, gdzie był? J. B. znał przecież mnóstwo osób biorących udział w tej imprezie? Do kogo powinna najpierw zadzwonić?

Na biurku obok notatnika leżała książka adresowa J. B. Przerzucając kartki, zatrzymała się przy nazwisku Elliota Fitzpatricka. Elliot był starym przyjacielem J. B. i właścicielem radia KYZZ. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat przewodniczył konferencjom w MediaTech. Laura nie wiedziała, czy będzie mógł jej pomóc, ale warto było spróbować. Żona Elliota przywitała się z nią ciepło i od razu przełączyła rozmowę.

- Jak się masz, Lauro? - spytał Elliot.

- Lepiej. Dziękuję za darowiznę na rzecz fundacji kardiologicznej, Elliocie. To bardzo miłe z twojej strony.

- Nie ma za co. Z radością dałbym dziesięć razy tyle, żeby J. B. wciąż był z nami.

- Wiem. - Milczała przez chwilę. - Elliocie, miałam nadzieję, że będziesz mógł mi pomóc.

- Z miłą chęcią. O co chodzi?

- Lenox powiedział mi, że w dniu lunchu w MediaTech J. B. wrócił do Lost Creek dopiero o wpół do piątej. Poszedł gdzieś po lunchu z tobą albo z kimś innym? Z kimś, kogo znał?

- Nie był ze mną. Ale widziałem go z Barbarą Kandall. Byli w holu. Zdaje się, że Barbara bardzo źle się czuła. Spytałem J. B., czy potrzebuje pomocy, ale zaprzeczył.

- Nie wiesz, gdzie poszli?

- Chyba chciał ją odwiedzić do domu.

- Rozmawiałeś z nim potem?

Elliot westchnął.

- Nie. To były ostatnie słowa J. B., jakie słyszałem.

Laura podziękowała i odłożyła słuchawkę jeszcze bardziej zaintrygowana. W zdawkowej rozmowie J. B. wspomniałby Lenoksowi, że zabrał Barbarę do domu, bo źle się poczuła. On jednak zrobił niezrozumiałą uwagę o tym, że sprawy zatoczyły pełny krąg - „w końcu zatoczyły pełny krąg” - nie wyjaśniając, o co mu chodzi.

Czy miało to związek z Barbarą Kandall? Możliwe. W końcu od dawna byli przyjaciółmi. Mieli wspólnych znajomych i wciąż od czasu do czasu spotykali się mimo niezadowolenia Malcolma.

Po chwili namysłu wyrwała żółtą kartkę z notatnika, zmięła ją i wyrzuciła do kosza. Jest tylko jeden sposób, żeby poznać odpowiedź: porozmawiać z Barbarą Kandall. Podniosła słuchawkę i wybrała numer rezydencji Kandallów.

- Dziękuję, że od razu zechciałaś się ze mną spotkać - powiedziała Laura do Barbary, która wprowadziła ją do salonu pełnego bezcennych antyków. W pomieszczeniu dominowały odcienie różu i kości słoniowej. - Wiem, jak bardzo jesteś teraz zajęta.

- Usiądź, Lauro - powiedziała Barbara, wskazując stojący obok wychodzącego na jezioro Austin okna, piękny komplet połączonych krzesel. - Mówiłaś, że chodzi o J. B.

Chociaż uśmiech na jej twarzy był przyjazny, w oczach czaiła się ostrożność. Zdawała się bledsza niż podczas pogrzebu.

- Tak. - Laura popatrzyła na nią uważnie. - Prowadzę śledztwo w sprawie jego śmierci.

- Śledztwo?... Myślałam...

- Wszystko w porządku, Barbaro. Możesz to powiedzieć. Myślałaś, że morderca został już aresztowany.

- Chcesz przez to powiedzieć, że policja wypuściła twoją matkę?

- Nie, wciąż jest w więzieniu. Twierdzą tylko - dodała, mając świadomość, że brzmi to jak refren starej piosenki - że nie zabiła J. B. Jedyne sposoby, żeby to udowodnić, to znaleźć prawdziwego mordercę.

- Rozumiem - powiedziała Barbara, oblizując wargi. - A co to ma wspólnego ze mną?

Laura spojrzała na zaciśnięte dłonie kobiety. Dlaczego jest taka zdenerwowana? Może w obecności Laury czuje się niezręcznie?

- Próbuję odtworzyć ostatnie godziny życia J. B. i miałam nadzieję, że może mi pomożesz.

- Nie bardzo wiem jak.

Laura pochyliła się do przodu. Starła się wyczytać coś z zachowania Barbary.

- Ty i J. B. wyszliście razem z Palmer Auditorium po lunchu w MediaTech.

- Kto ci to powiedział?

- Ktoś, kto was widział. - Czy tylko jej się zdawało, czy Barbara jeszcze bardziej zbladła. - Czy J. B. zabrał cię prosto do domu? - dopytywała się Laura. - Dzwonił gdzieś w samochodzie? A może ktoś zadzwonił do niego?

Barbara zaczęła bawić się diamentowym wisiorkiem na cienkim złotym łańcuszku. Była elegancka i zimna w kostiumie w kolorze nefrytu, który podkreślał zieleń jej oczu. Jednak pod tą wytwornością Laura wyczuwała napięcie.

- Przykro mi, ale nie zwracałam na to uwagi, Lauro. Widzisz, miałam grypę i tylko dzięki dużej dawce leków mogłam wziąć udział w lunchu. Po moim przemówieniu, kiedy usiedliśmy do stolików, leki przestały działać. J. B., jak zawsze szarmancki, zauważył, że źle się czuję. Zaproponował, że odwiezie mnie do domu.

- Zatrzymywaliście się gdzieś po drodze? To powinnaś pamiętać.

Barbara uśmiechnęła się przeprasząco.

- Nie pamiętam. Zasnęłam, zanim wyjechaliśmy z garażu, i obudziłam się

kilka godzin później we własnym łóżku. J. B. dawno już sobie poszedł. - Jej oczy napełniły się łzami. - Przepraszam, że nie mogę ci pomóc, Lauro. Bardzo kochałam J. B. i gdybym mogła coś zrobić, żeby jego morderca został ukarany, zrobiłabym to.

Zerknęła na stary zegar, który cicho wybił godzinę, a potem na zegarek na ręku.

Laura zrozumiała aluzję i wstała.

- Wiem o tym. Jeszcze raz dziękuję, że zechciałaś się ze mną zobaczyć, Barbaro.

Szły po imponującej czarno-białej marmurowej posadzce, a ich kroki niosły się echem.

- Zadzwoń do mnie, gdybyś coś sobie przypomniła, dobrze?

- Oczywiście.

Siedząc w mustangu zaparkowanym obok czarnej corvetty, Laura zerknęła na Barbarę, która wciąż stała na ganku.

Ona coś ukrywa, pomyślała, patrząc, jak Barbara odwraca się, wchodzi do domu i zamyka za sobą drzwi. Tylko co? Najważniejsze jednak, jak mogę to z niej wyciągnąć?

Rozmyślenia przerwał jej dzwonek telefonu komórkowego.

- Do cholery, co ty wyrabiasz? - Warknął na nią Ted. - Myślałem, że zawarliśmy umowę. Nigdzie się beze mnie nie ruszasz.

- Wiem, ale nie mogłam na ciebie czekać, Ted.

- Gdzie jesteś?

- Przed domem twojego wuja. Przyjechałam zobaczyć się z Barbarą. Ta odpowiedź zaskoczyła go.

- Z Barbarą? Po co? Co ona ma z tym wspólnego?

Poczekala, az blyszczacy kremowy bentley przejedzie obok, i ruszyla. Skrecila w Scenie Drive.

- Powiem ci, jak przyjadę do domu.

- To znaczy kiedy?

- Jesteś jak ból zęba, wiesz?

- Zaczynij się do tego przyzwyczajając. I odpowiedz na moje pytanie.

Tym razem uśmiechnęła się, słysząc niecierpliwy ton jego głosu.

Dotychczas jego opiekuńczość trochę ją irytowała. Nie była przyzwyczajona do tego, że ktoś wypytuje ją, dokąd idzie i kiedy wraca. Nie miała też cierpliwości dla osób, które lubią się zamartwiać.

Jednak ostatnie kilka dni z Tedem całkowicie to zmieniły. Było coś krzepiącego i podnoszącego w tym, że ktoś się o nią troszczy. Chce, żeby była bezpieczna, dzwoni, żeby spytać, kiedy wróci do domu.

Uśmiechając się do siebie, wcisnęła pedał gazu.

- Jestem w drodze - powiedziała.

Gdy godzinę później Laura zjawiła się w Lost Creek, Ted czekał na nią, siedząc na płocie. Ranek na aukcji sprawił, że był spocony i brudny, a mimo to pociągający. Starego stetsona J. B. zsunął na tył głowy, w ustach trzymał źdźbło trawy. Uśmiechnął się, widząc, jak podchodzi.

- Nareszcie jesteś.

Zaczepiła obcas na dolnej sztachecie ogrodzenia.

- Nie wiedziałam, że odmierzasz czas.

Ignorując jej uwagę, spytał:

- O co chodzi z Barbarą?

Powiedziała mu, dlaczego wybrała się z wizytą do Kandallów. Zeskoczył z

plotu zamyślony.

- Trudno sobie wyobrazić, że mogłaby celowo zataić jakieś ważne informacje. Zwłaszcza biorąc pod uwagę jej uczucia do J. B.

- Nie twierdzę, że znam ją tak dobrze jak ty, ale ona coś ukrywa, Ted. Jestem pewna.

Ted odwrócił się w stronę pastwisk, na których wciąż pasły się krowy, nieświadome zmian, jakie zaszły w ciągu ostatnich kilku dni.

- Gdy dorastałem, Barbara była jedyną krewną, w której towarzystwie dobrze się czułem. Była jedyną osobą, która zachęcała mnie, żebym nie rezygnował z marzeń. - Kąciki ust uniosły mu się w lekkim uśmiechu. - Nikt o tym nie wiedział. To była nasza tajemnica.

- Zdaje się, że to miła osoba.

- Tak, ale po śmierci mojej matki zmieniła się. Oddaliła się ode mnie. Nie odpowiadała na telefony. Ani na listy. Zadzwoiła dopiero, kiedy wysłałem jej zaproszenie na moją pierwszą wystawę w Londynie, żeby powiedzieć, że nie przyleci.

Laura czuła jego smutek. Rodzina powinna być z niego dumna, a traktowała go jak wyrzutka.

- Jak myślisz, dlaczego się zmieniła?

Wzruszył ramionami.

- Może to Malcolm. Nie można żyć z kimś przez tyle lat i nie patrzeć na świat z jego perspektywy.

Ruszyli w stronę domu, a on od niechcienia, może nawet nieświadomie, objął ją ramieniem.

- Chcesz, żebym z nią porozmawiał? Nie mogę zagwarantować, że uda mi się coś z niej wyciągnąć, ale nigdy nie wiadomo.

Laura przecząco pokręciła głową.

- Raczej nie. Pomyśli, że na nią napadamy i poczuje się urażona. Nie chcę, żeby sprawy przybrały dla ciebie jeszcze gorszy obrót.

- Co proponujesz?

Spojrzała mu w oczy.

- Powiem Amosowi i Quentinowi, że w dniu swojej śmierci J. B. odwiózł Barbarę do domu. Jeśli nie chce rozmawiać ze mną, będzie musiała porozmawiać z nimi.

Zatrzymał się i delikatnie, ale stanowczo odwrócił jej twarz w swoją stronę.

- Dlaczego masz taką poważną minę? Myślałaś, że będę się sprzeciwiał?

- Przyszło mi to do głowy. To twoja ciotka i najwyraźniej jesteś do niej bardzo przywiązany.

- J. B. był moim najlepszym przyjacielem. Nigdy nie zrobiłbym nic, co mogłoby przeszkodzić śledztwu, które ma ustalić, kto go zamordował, nawet gdyby miało to sprawić kłopot Barbarze. Przestań martwić się o mnie i o moją zwariowaną rodzinę, dobrze?

Uśmiechnęła się.

- Dobrze.

Pocałował ją w czubek nosa.

- Daj mi pięć minut, żebym wziął prysznic i się przebrał. Zawiozę cię do Amosa.

Zaskoczona tym braterskim pocałunkiem popatrzyła mu w oczy.

- Czy mam inne wyjście?

- Nie.

Jej usta wygięły się w uśmiechu, gdy patrzyła, jak biegnie do drzwi. Jakby się czuła, gdyby był tu przez cały czas? Jakby to było pracować z nim dzień w dzień? To nie jest całkiem niemożliwe. W końcu jest teraz właścicielem części „Sentinela”. Nie wspominał nic o wyjeździe.

Zirytowana własnymi myślami starała się odsunąć je od siebie. Co ona robi? Dlaczego zastanawia się nad czymś, co się nigdy nie zdarzy? To, że Ted porzuci życie włóczęgi, było tak samo prawdopodobne jak to, że ona poleci na Księżyc.

Nieoczekiwanie przypomniała sobie słowa matki sprzed kilku dni: „Nie zakochałaś się w nim, prawda?”

To niemożliwe. Nie tak szybko po tym, jak Stuart ją rzucił. Nie p0 tym, jak

przysięgła, że nigdy się nie zakocha i nigdy, póki żyje, nie zaufa żadnemu mężczyźnie.

To z powodu śmierci J. B. To nas do siebie zbliżyło. Jesteśmy przyjaciółmi, niczym więcej.

Dlaczego więc stoi tutaj i serce ściska się jej na myśl, że Ted wkrótce wyjedzie? Czy czułaby się tak, gdyby byli tylko przyjaciółmi?

Starając się o tym nie myśleć, ruszyła w stronę mustanga, żeby na niego poczekać.

- Ta sprawa jest już i tak dostatecznie skomplikowana - wymamrotał Amos, gdy Laura skończyła opowiadać mu o wizycie u Barbary. - Teraz jeszcze wmieszana jest w nią żona kandydata na gubernatora. Prokurator nie będzie zachwycony.

- Czym?

Amos spojrzał w stronę drzwi. Laura odwróciła głowę. W progu stał Stuart z uniesioną brwią. Jak zawsze wyglądał nienagannie. Ubrany był w lekki szary garnitur i jedwabną koszulę koloru kości słoniowej. Miał teczkę ze skóry aligatora.

Chociaż Laura nie czuła już do niego nic poza pogardą, nie mogła nie zauważyć, że od miesiący nie wyglądał tak dobrze.

Rozgłos mu służy, pomyślała, zastanawiając się, dlaczego przedtem tego nie zauważyła. Stuart jest w swoim żywiole.

Zmuszając się, żeby zachować bezstronność, słuchała, jak Amos omawia cel wizyty Teda i Laury w biurze szeryfa. Na wzmiankę o Barbarze Kandall twarz Stuarta poczerwieniała.

- Do cholery, co ty właściwie próbujesz zrobić? - wrzasnął, zatrzasnąwszy za sobą drzwi i podchodząc do Laury. - Zniszczyć moją sprawę?

Zanim Laura zdążyła odpowiedzieć, Ted poderwał się z krzesła, zagradzając Stuartowi drogę.

- Nie będzie żadnej sprawy, kolego, dopóki wszystkie tropy nie zostaną

zbadane.

Stuart rzucił mu mordercze spojrzenie.

- Nie potrzebuję żadnych tropów. Mam dość dowodów, żeby uzyskać wyrok skazujący.

- Masz poszlaki, nie dowody. I bez względu na to, jak bardzo chcesz ten proces wygrać, nie wolno ci ignorować potencjalnie ważnego naocznego świadka.

Nie spuszczał wzroku z Teda, Stuart powiedział:

- Zostaw nas na chwilę samych, szeryfie. Chcę porozmawiać z Tedem w cztery oczy.

Amos wziął Laurę pod ramię i wyprowadził ją z pokoju. Stuart zaczekał, aż zamkną się drzwi.

- Wysłuchaj mnie uważnie, Ted, bo nie będę tego powtarzał. Jeśli sądzisz, że pozwolę takiemu głupkowi jak ty zniszczyć moją sprawę, i to dlatego, że chcesz popisać się przed moją byłą narzeczoną, to jesteś większym osłem, niż myślałem.

Ted zrobił krok w jego stronę. Z trudem powstrzymał się, by nie złapać tego pompatycznego dupka za kołnierz i wyrzucić na ulicę.

- Tu nie chodzi ani o mnie, ani o ciebie, mecenasie. Chodzi o sprawiedliwość.

- Gówno prawda. Uganiaasz się za Laurą, odkąd tu przyjechałeś. Nie miało dla ciebie znaczenia, że jest zaręczona. Ani to, że nie mogła na ciebie patrzeć. Twoje wybujałe ego nie pozwoliło ci przyjąć do wiadomości odmowy.

- Nie gadaj bzdur o moim ego. I nie mów, że zerwaliście z mojego powodu. Wszyscy wiemy, kto zerwał i dlaczego, prawda, Fleming?

- Nie będę dyskutował z tobą o moim prywatnym życiu. Ale powiem ci jedno. Albo przestaniesz mieszać się do mojej sprawy, albo tym razem wpakuję cię do pudła.

Zadowolony, że udało mu się naprawdę rozdrażnić Stuarta, Ted oparł się o biurko Amosa i założył ręce na piersi.

- Dlaczego? Boisz się, że znajdziemy prawdziwego zabójcę?

- Mam prawdziwego zabójcę. Jest w więzieniu.

- Skoro jesteś tego taki pewien, dlaczego nie przesłuchasz mojej ciotki? Sprawdź, co pamięta z tamtego popołudnia?

- Nie mam zamiaru kompromitować ani siebie, ani mojego urzędu przesłuchując taką kobietę jak Barbara Kandall w związku z incydem, który nie dotyczy morderstwa.

- Dlaczego nie powiesz prawdy, Stuart? Jesteśmy teraz sami. Chcesz zakończyć dochodzenie, bo zależy ci na tym, żeby to Shirley Langfield została skazana.

Policzki Stuarta zabarwiły się na czerwono. Ted wiedział, że odgadł prawdę.

- Myślisz, że dzięki tej sprawie staniesz się bohaterem, prawda? Masz nadzieję, że to będzie twoja przepustka do sławy, do uznania, na które uważasz, że zasługujesz.

- Jesteś gnojkiem. Zawsze byłeś. - Szyderczy uśmiech Stuarta zmienił się w brzydki grymas. - Przyjmij do wiadomości, że dobre czasy minęły, kolego - dodał, naśladując sarkastyczny ton Teda sprzed kilku minut. - Teraz ja tu rządę. Jeśli ci się to nie podoba, możesz spakować manatki i wracać do Anglii.

- I tak się zachowuje dorosły, poważny człowiek, Stuaracie? - spytał Ted ironicznie.

- Powtórzę jeszcze raz. Trzymaj się od tej sprawy z daleka.

Kręcąc głową, Ted patrzył, jak Stuart wychodzi z biura. Boże, jak on nienawidzi snobów.

Nie czekając na zakończenie tej konfrontacji, Laura postanowiła przejść się do więzienia, żeby spędzić kilka minut z matką. Gdy jednak wyszła z biura szeryfa, zobaczyła, że wzdłuż Northington Street stoi kilkaset osób.

- Co się stało? - spytała kobietę obok.

- Kręcą reklamówkę dla Malcolma Kandalla. - Kobieta stanęła na palcach, żeby lepiej widzieć. - Czy to nie podniecające?

Chociaż Laura miała ciekawsze zajęcia, niż patrzeć, jak człowiek, którym

pogardza, paraduje przed kamerą, reporterska ciekawość zwyciężyła. Podeszła do barierki i zobaczyła, jak Malcolm idzie wśród tłumu.

Szedł wolno, uważając na chore biodro. Ludzie jednak nie zwracali na to uwagi. Jak zwykle doskonale sterował tłumem, uśmiechając się przyjaźnie, ściskając wyciągnięte ręce i całując małe dzieci. Tuż za nim szła ekipa filmowa.

- Miło pana widzieć - mówił, kiwając głową to na prawo, to na lewo. - Jak się pani miewa? Dziękuję za przybycie.

Przyjacielskim gestem wskazał na pracującego przy kampanii wolontariusza, który miał na głowie słomkowy kapelusz ze sloganem „Kandall dba” i powiedział:

- Świetnie wyglądasz. Dobra robota. Tylko tak dalej.

Ktoś stojący z tyłu przepychał się, żeby mieć lepszy widok, i Laura została nagle wypchnięta do przodu. Znalazła się dokładnie naprzeciwko Malcolma.

Ich spojrzenia się spotkały. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Laura dostrzegła zdziwienie w błękitnych oczach Kandalla. Nagle, jakby ktoś dotknął go czarodziejską różdżką, dobrze znany charyzmatyczny uśmiech znów zagościł na jego twarzy i Malcolm poszedł dalej.

Odwróciła się, żeby odejść, i wpadła na mężczyznę stojącego tuż za nią.

- Przepraszam - wymamrotała.

Spojrzała w górę i serce podskoczyło jej w piersi.

Mężczyzna był niski i żyłasty. Miał czarne włosy gładko zaczesani do tyłu, zebrane w koński ogon. Rysy jego twarzy, choć atrakcyjne, były ostre, kości policzkowe wysokie i wystające. Małe, ciemne, niezwykle błyszczące oczy wpatrywały się w nią zimno i beznamiętnie.

Poczuła, że przeszedł ją dreszcz.

Tego mężczyznę widziała na cmentarzu.

22

Mężczyzna zniknął w tłumie, zanim udało jej się przyjść do siebie. Przepychając się przez tłum, szła za nim. Jego ucieczka tylko po twierdziła jej podejrzenia, teraz była jeszcze bardziej zdecydowana do wiedzieć się, kim jest i czego chce.

- Przepraszam - powtarzała, przedzierając się przez tłum. - Proszę mnie przepuścić. Przepraszam.

Gdy jednak dotarła do Riddle Park, mężczyzna zniknął. Rozejrzała się dokoła zdziwiona. Jak to możliwe, że poruszał się tak szybko i tak szybko zniknął?

Wróciła na parking na tyłach biura szeryfa, gdzie Ted zostawił samo chód. Stała przy mustangu, rozglądając się wokół. Nogi wciąż jej drżały. Pytania, na które nie potrafiła odpowiedzieć, wirowały jej w głowie. Kim jest ten mężczyzna? Czego od niej chce? I najważniejsze: czy był w jakikolwiek sposób zamieszany w morderstwo J. B.?

- Laura!

Odwróciła się i zobaczyła, że Ted biegnie w jej stronę.

- Co tu robisz? Amos powiedział, że poszłaś odwiedzić matkę.

Wciąż ciężko dysząc, ścisnęła go za ramię.

- Znowu go widziałam, Ted.

- Kogo?

- Mężczyznę z cmentarza. Był tutaj, na Burnet Square.

- Jesteś pewna?

Skinęła głową.

- Tak. Wydawało mi się, że nie przyjrzałam mu się dość dobrze żeby go opisać. Myliłam się. Od razu go rozpoznałam.

Opowiedziała Tedowi, jak wpadła na nieznajomego, a potem zgubiła go w tłumie.

- Co ty wyrabiasz, Lauro. Co miałaś zamiar zrobić, kiedy go dopadniesz? Powalić na ziemię?

- Nie wiem - odcięła się. - Nie zastanawiałam się. Zobaczyłam go i zareagowałam instynktownie.

- Właśnie to mnie w tobie przeraża, Sherlocku.

Wziął ją pod ramię i odprowadził do biura szeryfa.

- Włosy wyszły doskonale - powiedziała Laura i pochyliła się, żeby przyjrzeć się szkicowi. - Szczękę miał bardziej kanciastą, a kości policzkowe bardziej wystające. Oczy były bardziej błyszczące. Jak węgle.

Kilkoma pociągnięciami ołówka policyjny rysownik dokonał stosownych zmian.

- Właśnie tak. - Laura instynktownie odsunęła się. Tak jak wtedy gdy znalazła się twarzą w twarz ze swoim prześladowcą. - To on.

Szeryf Wilson, który przyglądał się temu w milczeniu, potrząsnął głową.

- Nie wydaje mi się, żebym go już kiedyś widział. Ale sprawdzę w całym okręgu. Jeśli przyjechał do miasta, zanim J. B. został zamordowany, i uda mi się go odnaleźć, przesłuchamy go. - Skinął na rysownika. - Zrób mi kilka kopii, dobrze, Gary?

- Jedną dla mnie - powiedziała Laura.

Amos spojrział na nią podejrzliwie.

- Po co ci?

Widząc niewinny wzrok Laury, Ted z trudem zachował powagę.

- Pokażę go moim pracownikom - odpowiedziała. - Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, jak wygląda, gdyby przypadkiem zdecydował się przyjść do redakcji.

- Jeśli się pokaże w „Sentinelu”, natychmiast do mnie zadzwoń, słyszysz? Nie próbuj, powtarzam, nie próbuj na własną rękę zatrzymać tego mężczyzny. Czy

wyrażam się jasno?

- W zupełności.

Gdy rysownik wrócił z kopiami, Laura zręcznie wyciągnęła jedną z pliku, który trzymał w ręku.

- Dziękuję, panie oficerze.

Mimo że młody policjant wyglądał na zachwyconego, że może wyświadczyć Laurze przysługę, Amos patrzył na nią nieufnie. Wiedział, jak Laura działa. Gdy już się na coś zdecyduje, nie ma sposobu, by ją powstrzymać. I chociaż wiedział, że jest odważna, bystra i niewątpliwie kompetentna, nie pracuje w policji. A ludzie, którzy mieszają się w sprawy policji, są jak zadra w tyłku. Nie potrzebuje kłopotów. Nie przy naciskach, jakie wywiera na niego prokurator okręgowy.

- Ależ to Enrico!

Oczami rozszerzonymi ze zdumienia, recepcjonistka spoglądała to na szkic pamięciowy, to na Laureę.

- Enrico?

- Enrico Garcia. Projektant mody z Los Angeles. Był tu... jakie dwa tygodnie temu - Angela bawiła się apaszką, którą miała na szyi. - To on mi ją dał.

Laura zerknęła na apaszkę w biało-czerwony geometryczny wzór a potem spojrzała na Angełę.

- To twój znajomy?

- O nie, panno Spencer, nic z tych rzeczy. - Jej policzki lekko się zaróżowiły.
- Właściwie jest pani klientem. W każdym razie tak mi się zdaje. Któregoś dnia przyszedł do redakcji. Twierdził, że otwiera sieć butików i chce zamieścić ogłoszenie w naszej gazecie. Wysłałam go do pana Malloya.

Projektant mody. Oczywiście. Laura miała zamiar spytać o niego Kena, ale od tamtej pory tyle się wydarzyło, że całkiem wyleciało jej to z głowy.

Angela popatrzyła zmartwiona na szkic.

- Coś nie tak? To jakiś kryminalista?

- Właśnie tego próbuję się dowiedzieć. - Laura sięgnęła po telefon stojący na biurku Angeli i wybrała wewnętrzny numer Kena. - Ken, co to za historia z projektantem mody z L.A., o którym mi wspominałeś kilka tygodni temu? - spytała, gdy odebrał telefon. - Podpisaliście umowę?

W głosie Kena słychać było gorzką nutę.

- Ten palant więcej się nie odezwał. Na dodatek dał mi wizytówkę z fałszywym adresem i numerem telefonu. Kiedy zadzwoniłem do informacji w L.A., okazało się, że w spisie nie figuruje ani firma Garcia Creations, ani Enrico Garcia.

Twarz Laury pozostała bez wyrazu.

- Dziękuję, Ken - powiedziała.

Oddała słuchawkę Angeli. Znowu spojrzała na apaszkę na jej szyi. Nie trzeba być geniuszem, żeby domyślić się, że Garcia, czy jak mu tam, podstępem wydobyl informacje od niewinnej, nic nie podejrzewającej recepcjonistki.

- Co jeszcze możesz mi powiedzieć o tym mężczyźnie, Angelo?

- Zaprosił mnie... - W oczach Angeli widać było zawstydzenie. - Zabrał mnie na obiad. Chciał podziękować, że skierowałam go do pana Malloya.

- Czy powiedziałaś mu, że to był twój obowiązek?

- Próbowałam. Ale nalegał. Był bardzo uprzejmy. Wydawało mi się, że to nic złego. Zaproponował, żebyśmy spotkali się w restauracji przy lotnisku. Zgodziłam się.

- Dlaczego przy lotnisku?

- Powiedział, że tego samego wieczoru musi wrócić do L.A.

- Rozumiem. O czym rozmawialiście?

- O modzie. O Los Angeles. - Pod badawczym spojrzeniem Laury jej policzki znowu się zaróżowiły. - Rozmawialiśmy też o pani.

Tego się domyślała.

- A o J. B.? O nim też rozmawialiście?

- Trochę. Niezbyt dużo.

- Mów dalej.

Angela owinięła sznur słuchawki wokół palca.

- To wyglądało tak niewinnie. Opowiedział mi o swojej pracy, a ja opowiedziałam mu o swojej. Od czasu do czasu pytał o „Sentinela” albo o panią. Nie sądziłam, że to może mieć jakieś znaczenie. - Była bliska płaczu. - Chyba nie powinnam była tego robić. Przepraszam, panno Spencer. Bardzo mi przykro.

Laura nie była już tak rozgniewana. Angela to przecież jeszcze dziecko. Ma najwyżej dziewiętnaście lat. Nie może równać się ze spryciarzem takim jak Enrico Garcia.

- Powiedziałaś mi, gdzie mieszkam? - spytała Laura łagodnie.

Z nieszczęśliwą miną Angela przytaknęła.

Z pewnością tamtej nocy to on wahał się koło domu. Na myśl o tym, że mógł wejść do środka, przeglądać jej rzeczy, gdy spała, znowu zadrżała.

Po policzku Angeli spłynęła łza. Laurze zrobiło się żal dziewczyny. Poklepała ją po ręce.

- Już dobrze, nie płacz.

Angela spojrzała na Laurę.

- Zwolni mnie pani?

- Nie. Nie zrobię tego, bo powiedziałaś mi wszystko o tym mężczyźnie. Jednak następnym razem, kiedy ktoś będzie chciał uzyskać od ciebie informacje na temat gazety albo pracujących tu osób, odeślij go do mnie, dobrze?

Angela skinęła głową.

- Tak, panno Spencer. Dziękuję, panno Spencer.

Laura przeszła na drugą stronę korytarza, gdzie stało kilka krzeseł

Czekał tam na nią Ted.

Schował do kieszeni niezapalony papierosa, którego obracał w palcach, i wstał.

- Co się stało recepcjonistce? Dlaczego jest taka zdenerwowana?

Laura opowiedziała mu o wizycie Enrica Garcii w „Sentinelu” i o tym jak

wydostał od Angeli potrzebne informacje.

- To oczywiste, że nie wrócił do L.A. - powiedziała na zakończenie. - Wrócił tam, gdzie się zatrzymał. Prawdopodobnie do hotelu koło lotniska.

- Moglibyśmy sprawdzić w książce telefonicznej. Lotnisko w Austin jest małe. Z pewnością w okolicy nie ma zbyt wielu hoteli.

Oczy Laury rozbłysły.

- Dobra myśl, Ted.

Przekartkowała książkę telefoniczną, którą wzięła ze stolika. Znała zła spis hoteli i przesunęła palcem wzdłuż krótkiej kolumny.

- Trzy motele, wszystkie przy zjazdach z autostrady międzystanowej I-35. To nie powinno być trudne.

Zmysłowym gestem przetrzuciła włosy przez ramię, wybrała pierwszy numer i puściła do niego oko.

- Dzień dobry - powiedziała uprzejmie. - Mój współpracownik miał się ze mną skontaktować, gdy tylko zamelduje się w waszym moteli. Do tej pory tego nie zrobił. Może mi pani powiedzieć, czy już przyjechał? Nazywa się Enrico Garcia. - Poczekała kilka sekund, aż recepcjonistka sprawdzi dane w komputerze. - Nie ma nikogo takiego? - udał zaskoczenie. - Dziwne. Tak, sprawdzę gdzie indziej. Dziękuję.

- Dobra robota - powiedział Ted, gdy odłożyła słuchawkę. - Przypominasz mi pewnego znajomego paparazziego. Pewnego ranka dostał się do Pałacu Buckingham i dotarł aż do garderoby królowej. Dopiero tam go złapano.

- Jak mu udało się zmylić ochronę?

- Zastosował tę samą metodę, co ty - blefował z uśmiechem.

- Wszyscy robimy to, co musimy.

Zadzwoiła do dwóch pozostałych hoteli i opowiedziała tę samą historyjkę. Gdy w obu otrzymała negatywną odpowiedź, westchnęła i odłożyła słuchawkę.

- Cholera.

- Mógł się zameldować pod innym nazwiskiem - zasugerował Ted.

- To prawda. - Postukała palcem w usta. - W takim razie jestem w kropce.

Chyba że pokażę w recepcji szkic pamięciowy.

- Przecież Amos ostrzegął, żebyś tego nie robiła.

- Ale z drugiej strony - powiedziała, puszczając mimo uszu jego uwagę - pokazywanie wszystkim szkicu może być ryzykowane. Jeśli Enrico zorientuje się, że go szukamy, znowu może zniknąć. - Zerknęła na zegarek. - Nie widziałam, żeby jakiś czarny samochód jechał za nami do Austin, a ty?

- Nie...

- To oznacza, że Garcia może być w hotelu. Jeśli on tam jest, to jest też jego samochód.

- Co ci z tego przyjdzie? Nie znasz nawet marki.

- Ile czarnych sedanów ze znakiem Strażników Teksasu na tylnym zderzaku może stać na parkingu moteli przy lotnisku?

Ted uśmiechnął się szeroko.

- Jeśli dopisze nam szczęście, tylko jeden.

- No to na co czekamy? - Rzuciła książkę telefoniczną na stół. - Chodź, złapiemy tego faceta.

Gdy Ted i Laura jechali w stronę lotniska, Tony Cordero chodził tam i z powrotem po hotelowym pokoju. Od czasu do czasu popijał piwo z butelki, którą wyjął ze stojącego na komodzie opakowania.

Popełnił duży błąd, podchodząc tak blisko do tej kobiety. Jednak gdy w Burnett zbliżyła się do Malcolma Kandalla, żołądek podszedł mu do gardła. Co by było, gdyby postanowiła zrobić coś głupiego? Na przykład zastrzelić Kandalla? Podobne rzeczy się zdarzają. Nie byłby to pierwszy taki wypadek.

Śledząc ją, podszedł trochę bliżej niż zwykle, gotów rzucić się na nią, gdyby było trzeba. Zanim się zorientował, patrzył jej prosto w oczy. Na szczęście ma dobry refleks i szybko biega.

Laura jednak dobrze mu się przyjrzała i może teraz podać policji jego rysopis. A to znaczy, że na jakiś czas musi się przyczaić. Żadnego śledzenia, dopóki nie będzie pewien, że sprawa przycichła. Może nawet będzie musiał się przebrać.

Problemem był Enzo. Szef nie lubił, gdy któryś z jego ludzi nawalał. A on spartaczył sprawę.

Ale Enzo nie musi o niczym wiedzieć. Wystarczy, że Tony będzie trzymał gębę na kłódkę, udawał, że wciąż śledzi Laurę, i zdawał szefowi relacje tak jak przedtem.

Zadowolony, że wszystko zaplanował, ostatni raz pociągnął łyk piwa z butelki i postawił ją na komodzie. Porządna kolacja, jaką na dzisiaj zaplanował, będzie musiała poczekać. Dopóki wszystko nie przycichnie, zadowolony się knajpą obok motelu.

23

Poszukiwania na dwóch pierwszych parkingach nie przyniosły rezultatów. Dopiero na trzecim, obok motelu Niebieski Księżyc przy Airport Boulevard, Ted i Laura znaleźli to, czego szukali.

- To ten! - krzyknęła podniecona Laura, wskazując na czarną toyotę. - Widać znak na zderzaku.

Niebieski Księżyc mieścił się w parterowym zaniedbanym budynku. Był tu basen i telewizja kablowa w każdym pokoju. W restauracji obok serwowano specjalność zakładu dla rannych ptaszków w cenie 5,95 dolarów

Gdy Ted parkował mustanga niedaleko toyoty, Laura zadzwoniła do biura Amosa z telefonu komórkowego.

- Proszę z szeryfem Wilsonem - powiedziała, gdy usłyszała głos jego zastępcy w słuchawce.

- Szeryfa Wilsona nie ma.

- Może mi pan podać numer, pod którym mogłabym go złapać? To bardzo pilne.

- O co chodzi?

Laura podała swoje nazwisko i powiedziała, gdzie się znajduje. Pi informowała zastępcę szeryfa też o tym, że recepcjonistka z „Sentinela” zidentyfikowała poszukiwanego mężczyznę jako Enrica Garcję.

- Dowiedziałam się, że przyjechał do Austin cztery dni przed zabójstwem J. B.

- I co z tego?

- Szeryf Wilson - powiedziała z nutką złośliwości w głosie - chciał go zatrzymać i sprowadzić na przesłuchanie, gdy tylko uda się go zlokalizować. Znalazłam go. Jest tutaj, w motelu Niebieski Księżyc. Trzeba tylko.

- Nic mi o tym nie wiadomo - przerwał jej zastępca. Mówił z nosowym, leniwym teksaskim akcentem. - Szeryf niedługo wróci. Przekażę mu, że pani dzwoniła.

- Dzięki. - Rozłączyła się. - Za nic.

- Co się stało? - spytał Ted.

- Mamy problem z zastępcą Amosa. To kuzyn prokuratora okręgowego. Nie kiwnie palcem, żeby mi pomóc oczyścić matkę z zarzutów

Zanim Ted zdążył odpowiedzieć, Laura chwyciła go za ramię.

- To on!

Ted spojrział we wskazanym kierunku. Szczupły, dobrze ubrany mężczyzna przed trzydziestką stał przed drzwiami z numerem 123. Lekko pociągając za mankiety koszuli, rozglądał się uważnie wokoło.

- Pochyl się - Ted schylił się, pociągając Laurę za rękę.

- Co ty wyrabiasz? - powiedziała, starając się oswobodzić. - Dlaczego go nie złapiemy?

- Dlatego - powiedział Ted, ciągnąc ją w dół - że będzie dla nas lepiej, jeśli nie będzie wiedział, że go śledzimy.

Wziął nikona leżącego na tylnym siedzeniu. Na szczęście miał doświadczenie w robieniu zdjęć z ukrycia. Zanim się wyprostował, zrobił kilka zdjęć, nie zdejmując palca z migawki.

- Już możesz się wyprostować - powiedział do Laury, gdy Garcia odszedł.

Rzuciła mu mordercze spojrzenie.

- Co ty wyrabiasz? Prawie złamałeś mi rękę!

- Przepraszam. Musiałem działać szybko.

Laura pomasaowała sobie nadgarstek.

- Dokąd on idzie?

- Chyba chce zjeść specjalność zakładu dla rannych ptaszków.

Obserwował, jak mężczyzna znika w restauracji.

- To dobrze - powiedziała Laura. Spojrzała w lusterko i poprawiła sobie włosy. - Będę miała czas, żeby przeszukać jego pokój. Dowiem się, skąd pochodzi i co knuje.

- Czyś ty zwiariowała? To włamanie i wtargnięcie.

Odpięła pas bezpieczeństwa.

- Tylko wtargnięcie, nie zamierzam niczego łamać.

- To jak dostaniesz się do środka?

Strzeliła palcami i wyjęła kartę kredytową z torebki.

- Istnieje wypróbowany, niezawodny sposób.

Ted opadł na siedzenie.

- Nie rozśmieszaj mnie. Nie sądzisz chyba, że uda ci się otworzyć drzwi za pomocą karty kredytowej, prawda?

- Próbowales kiedyś?

- Nie, ale...

- Więc nie wiesz, jak to się robi. To nic trudnego. Chyba że w drzwiach są zasuw. Sądząc jednak po tym, jak wygląda to miejsce, jestem pewna, że nie ma tu zasuw. Otwarcie zamka to pestka.

Ted nie był przekonany.

- Nie podoba mi się ten pomysł. A co, jeśli Garcia wróci niespodziewanie? Albo jeśli ktoś zobaczy, że majstrujesz przy drzwiach?

- Wtedy trzy razy lekko naciśniesz klakson. To będzie znaczyło, że mam się ukryć.

Zaniepokojony rozejrzał się po opustoszałym parkingu.

- Robiłaś to już kiedyś?

- Raz czy dwa. To nic takiego.

- Przed chwilą zastanawiałaś się, czy nie pokazać w motelu szkicu pamięciowego. A teraz chcesz się włamać do pokoju. Co się stało, Lauro? Coś przeoczyłem?

- Tak. Niechętny stosunek do pomocy zastępcy Amosa. To mnie zdenerwowało.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że możemy wylądować w więzieniu?

- To jak zdobyć informacje o Enricu Garcii? Masz lepszy pomysł?

Nie miał. Zignorowano ich prośbę o pomoc, a policja w Austin nie zechce przyjąć skargi dotyczącej „domnianego prześladowcy”.

- Chyba nie. - Zerknął w stronę restauracji. - Ale pośpiesz się, dobrze?

Starając się nie okazać zdenerwowania, pomachała mu ręką przed nosem.

- Zrobię to tak szybko, jak tylko moje zręczne paluszki potrafią.

Gdy otwierała drzwi, Ted złapał ją za ramiona, pochylił się i pocałował. Tym razem nie był to braterski pocałunek. Jego dotyk był delikatny i czuły. Prawie oddała mu pocałunek. Nagle cofnęła się jak oparzona.

- A to za co?

W jego oczach powaga mieszała się z rozbawieniem. Dobrze знаła ten wyraz.

- To na szczęście.

- Aha.

Wysiadła z samochodu, ignorując przyspieszone bicie serca. Długimi, zdecydowanymi krokami ruszyła w stronę drzwi z numerem 123.

Po drodze minęła młodego mężczyznę ubranego w ciemne spodnie i białą koszulę. Identyfikator na jego piersi informował, że jest to recepcjonista z nocnej zmiany. W obawie, że później może ją sobie przypomnieć, ukryła twarz we włosach, opuszczając głowę. Mężczyzna jednak ledwie na nią spojrział. Zaczekała, aż zniknie w holu, i stanęła przed drzwiami pokoju Enrica.

Chociaż miała doświadczenie w tego rodzaju przedsięwzięciach, ręka jej drżała, gdy wkładała plastikową kartę między zamek i framugę drzwi.

Gdyby recepcjonista wrócił i zobaczył, że majstruje przy drzwiach, z pewnością chciałby dowiedzieć się, o co chodzi.

Po chwili zasuwka odskoczyła.

Westchnęła z ulgą i weszła do środka. Zamknęła za sobą drzwi. Był to zwyczajny pokój z podwójnym łóżkiem, komodą i telewizorem na obrotowym stoliku.

Poszukiwania zaczęła od komody. Uważała, żeby nie poprzewracać

porządnie ułożonych skarpetek i bielizny. Szybko przeszukała dokładnie szuflady. Nie znalazła nic ciekawego.

W szafie wisiały trzy garnitury, dwie sportowe marynarki i dwie pary spodni, wszystko doskonałej jakości. W kieszeniach nie znalazła nic poza paczką gumy do żucia i kilkoma chusteczkami do nosa. Jednak metki krawca z Manhattanu, Ernesta Farentina, były pierwszą wskazówką, że Enrico Garcia może nie być tym, za kogo się podaje.

Przeglądała ostatnią parę skarpetek, gdy usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Odwróciła głowę i zobaczyła cień mężczyzny, który zatrzymał się naprzeciwko zasłoniętego okna.

Wstrzymała oddech. Ted nie zauważył, że Enrico wrócił?

Nerwowo zaczęła rozglądać się za kryjówką, mężczyzna tymczasem schylił głowę i złożył ręce tak, jakby zapalał papierosa, a potem poszedł dalej.

Laura westchnęła z ulgą. Nie marudząc ani chwili dłużej, wyciągnęła walizkę z szafy, uklękła i odpięła ją. Na spodzie znalazła kilka jedwabnych apaszek z metkami Garcia Creations, perukę, zdarte robocze buty i niebieski kombinezon - rzeczy, których taki elegant jak Enrico Garcia nigdy by na siebie nie włożył.

Najwyraźniej sądził, że powinien mieć przebranie.

Pod peruką leżał bilet lotniczy wystawiony przez biuro podróży z Manhattanu na nazwisko Enrica.

W łazience nie znalazła nic ciekawego. Były tylko pasta i szczoteczka do zębów, suszarka do włosów, przyrządy do golenia i zestaw do manikiuru. Nie było płynu po goleniu. To ciekawe. Drogie ubrania, zestaw do manikiuru, ale nie ma płynu po goleniu ani wody kolońskiej. Coś tu nie gra.

Zadowolona, że wszystko dokładnie przejrzała, otworzyła drzwi, rozejrzała się i ruszyła szybkim krokiem w stronę mustanga.

- No i co? - spytał Ted, gdy wślizgnęła się na siedzenie obok kierowcy.

- Na pierwszy rzut oka nasz człowiek wydaje się być tym, za kogo się podaje. Projektant mody z Los Angeles Enrico Garcia. Jednak jego bilet lotniczy został kupiony w Nowym Jorku, a garnitury u Ernesta Farentina, krawca z Nowego Jorku.

- A więc nie jest z L.A.?

- Jeśli pochodzi z L.A., to bilety lotnicze i ubrania kupuje bardzo daleko od domu.

Wzięła telefon.

- Do kogo dzwonisz?

- Do detektywa z wydziału zabójstw, Joe DiVecchia. Pracowaliśmy razem nad kilkoma sprawami.

Wykręciła nowojorski numer i włączyła zestaw głośno mówiący, żeby Ted mógł słyszeć rozmowę.

- Do licha - powiedział detektyw, gdy sierżant połączył go z Laurą. - Przecież to Sprytna Laurie.

- Jak się masz, Joe?

- Kiepsko. Donna w końcu dopięła swego i jestem na diecie. Jem tyle zieleniny, że niedługo zamienię się w królika. Ale ona jest szczęśliwa, mój lekarz też. A co u ciebie, dzieciaku? Wygrałeś już jakieś rodeo?

- Jak wygram, pierwszy się o tym dowiesz.

Głos DiVecchia spoważniał.

- Przykro mi z powodu twojego ojczyma. Dostałaś ode mnie kartki

- Tak. Dziękuję. - Laura powiedziała mu o Enricu Garcii i o tym, co o nim wie. - Muszę go zidentyfikować, i to szybko, Joe.

- Zobaczę, co się da zrobić. Prześlij mi kopię szkicu pamięciowej faksem. Wrzucę go do naszego komputera. Jeśli facet nie jest notowań może uda mi, się namierzyć go przez tego krawca.

- Dzięki, Joe.

Rozłączyła się.

- Możemy mu przesłać szkic faksem z „Sentinela” - powiedziała do Teda, gdy wrzucał bieg. - Miejmy nadzieję, że niebawem dowiem się czegoś o Garcii. Spróbuję porozmawiać z Amosem.

- Może ja to zrobię - zasugerował Ted. - Jeśli Amosa nie będzie, postaram się przycisnąć tego leniwego zastępcę.

Amos jednak był w biurze. Miał kiepski humor.

- Zupełnie postradaliście zmysły? - warknął. - A może chcecie, żeby mnie wyrzucili z pracy?

- Dzwoniliśmy do ciebie, Amosie.

- Pewnie. Ted, jesteś nie lepszy od Laury. Powinienem dać wam nauczkę i zapuszkować za włamanie, wtargnięcie i utrudnianie pracy policji.

- Daj spokój. Namierzyliśmy faceta. Nie chcesz go złapać?

Zapadło krótkie milczenie.

- Do cholery, to jest on?

Ted powiedział mu, że recepcjonistka z „Sentinela” rozpoznała Enrica i stwierdziła, że był w Austin na cztery dni przed zamordowaniem J. B. Powiedział mu też o przebraniu w walizce mężczyzny.

- Zrobiłem mu kilka zdjęć. Wywołam je w „Sentinelu” i przyniosę.

Amos był już dużo spokojniejszy.

- Jest teraz w swoim pokoju?

- Nie. Je obiad w restauracji Bulls Eye obok motelu. Wszedł tam około wpół do siódmej.

- Muszę mieć nakaz aresztowania - powiedział Amos. - Jak tylko go dostanę, pojedę zgarnąć tego faceta.

Joe DiVecchio oddzwonił piętnaście minut po tym, jak dostał szkic pamięciowy Enrica.

- Wasz Enrico Garcia jest fałszywy jak banknot trzydolarowy - powiedział Laurze. - Nazywa się Tony Cordero. To wyjątkowo podły hombre. Przez ostatnie osiem lat był prawą ręką Enzia Scarpatiego.

- Scarpati to boss mafii z Nowego Jorku? - spytała Laura.

- Tak. Cordero jest ostrożny. Niewiele o nim wiadomo. Przed laty pętał się w okolicy Tompkin Square. Należał do gangu. Potem zaczął pracować dla Scarpatiego i w ciągu kilku lat stał się jego prawą ręką.

- Co dokładnie robi?

- Oficjalnie zarządza klubem nocnym Scarpatiego w centrum Manhattanu. Nieoficjalnie zajmuje się różnymi sprawami, od zadym do morderstwa włącznie. Chociaż, tak jak wszystkiego, co ma związek ze Scarpatim, nigdy nie byliśmy mu w stanie niczego udowodnić. Facet jest niebezpieczny, Lauro - powiedział. - Posługuje się kilkoma fałszywymi nazwiskami i potrafi przeobrazić się nie do poznania. Może wyglądać jak żołnierz, zamożny biznesmen, nawet duchowny.

- Co robi w Austin?

- Nie mam pojęcia. Nie wiedziałem, że Scarpati prowadzi interesy na Południowym Zachodzie.

- Wiesz coś o powiązaniach Scarpatiego z wydawcą z Zachodniego Wybrzeża Carlem Hansenem?

- Nie. Ale to nie znaczy, że nic ich nie łączy. Czy Hansena nie podejrzewano o powiązania ze światem przestępczym?

- Obiło mi się to o uszy. - Laura palcami niecierpliwie stukała w blat biurka. Nie przepadała za zagadkami. Zwłaszcza takimi, w których brakowało tyłu elementów.

- Dziękuję ci bardzo, Joe. Zadzwoń, jeśli będę potrzebowała więcej informacji. Pozdrów ode mnie Donnę.

- Nie wchodź w drogę temu facetowi, Lauro - ostrzegł DiVecchio. - Uważaj, bo możesz tego żałować.

24

Gdy Tony wrócił z restauracji, było już dziesięć po siódmej. Kolacja nie poprawiła mu nastroju. Stek był przypalony, a ziemniaki rozgotowane. Jedynie wino, cabernet o bogatym bukiecie, było dobre i dzięki temu posiłek był znośny.

Zamknął za sobą drzwi poczuł kręcenie w nosie i kichnął. Nie raz, nie dwa, ale cztery razy. Stojąc przy drzwiach, rozejrzał się po pokoju. Tylko jedna rzecz mogła wywołać taką reakcję. Perfumy. Dlatego umawiał się wyłącznie z kobietami, które ich nie używały.

Uperfumowana kobieta była w pokoju podczas jego czterdziestominutowej nieobecności. Wciąż czuł tę woń: subtelny, jakby znajomy zapach. Ktoś mniej wyczulony na zapachy w ogóle by go nie zauważył

Na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało na to, że ktoś coś ruszał. Tony podszedł do szafy, wyciągnął i odpiął walizkę. Wszystko było swoim miejscu - apaszki, peruka, ubranie i bilet.

Złodziej zabrałby apaszki i bilet. Jeśli to nie było włamanie, to kto wchodził do jego pokoju i po co?

Podszedł do nocnego stolika i wykręcił numer recepcji.

- Tu Garcia z pokoju 123 - powiedział, nie próbując nawet ukryć irytacji w głosie. - Czy ktoś wchodził do mojego pokoju między wpół do siódmej a siódmą dziesięć? Pokojówka? Ktoś z obsługi technicznej?

Recepcjonista natychmiast przyjął postawę obronną.

- Nie, proszę pana. Większość personelu już poszła do domu. Jakiś problem? Coś zginęło?

- Jeszcze nie wiem. Ale jestem pewien, że ktoś tu był.

- Zapewniam pana...

- Widział pan kogoś kręcącego się koło mojego pokoju?

- Nie, proszę pana. - Urwał. - Choć właściwie, jak się nad tym zastanowić, to widziałem jakąś kobietę.

Tony zamarł.

- Jaką kobietę?

- Zobaczyłem ją, kiedy wracałem z kolacji. Kilka minut po wpół do siódmej. Myślałem, że jest gościem...

- Jak wyglądała?

- Ładna. Miała długie rude włosy. - Odchrząknął. - Jeśli zaginęło coś cennego...

- Zawiadomię pana - powiedział Tony i nie zadając sobie trudu, by podziękować za pomoc, rzucił słuchawkę na widełki.

Laura Spencer. To jej perfumy poczuł w pokoju. Ten sam zapach czuł za każdym razem, gdy przeszukiwał jej dom, chociaż wtedy nie wywoływał tak gwałtownej reakcji jak teraz.

Ta suka go odnalazła. Siedziała w samochodzie, dopóki nie wyszedł, a potem zakradła się do pokoju. Na pewno go przeszukała, a to znaczy, że znalazła perukę i bilet lotniczy z nazwą nowojorskiego biura podróży.

Partaczysz, Tony. Robisz błędy, jakich nigdy przedtem nie robiłeś.

Skoro znalazła perukę i bilet, dlaczego nie została i nie próbowała go zatrzymać? Dlaczego nie wezwała glin? Na co czeka do cholery?

Zaklął pod nosem. Wstał z łóżka. Nic nie osiągnie, doprowadzając się do szału pytaniami, na które nie zna odpowiedzi. Musi się stąd wynosić.

Wyrzucił ubrania z szafy i zaczął je pakować, starał się myśleć logicznie. Najważniejsze to znaleźć inne miejsce, gdzie mógłby się zatrzymać. Jak najdalej stąd.

Druga sprawa była nie mniej ważna.

Laura Spencer musi umrzeć.

Ted i Laura już od kilku godzin byli w Lost Creek, gdy zadzwonił szeryf

Wilson. Sądząc po głosie, był zmęczony.

- Ten facet dostał cynk - powiedział, gdy Ted odebrał telefon. - Zwiąż, zanim moi ludzie dotarli do Niebieskiego Księżycy.

Twarz Teda sposepniała.

- Pewnie nie zostawił adresu?

- Nie. Nie zostawił nawet odcisków palców. Wyczyścił wszystko, zapłacił rachunek gotówką i zniknął.

- Przynajmniej udało nam się go zidentyfikować. - Ted powiedział mu, czego dowiedzieli się od Joe DiVecchia.

Po drugiej stronie słuchawki Amos ciężko westchnął. Tedowi zrobiło się go żal. Wątpił, czy szeryf miał kiedyś do czynienia z równie skomplikowaną sprawą.

- Znajdziemy go - powiedział w końcu Amos. - Rozesłałem portret pamięciowy w Burnet i w Travis. Jeśli ktoś go zauważy, dowiemy się o tym. A do tego czasu ty i Laura nigdzie się nie ruszajcie, słyszysz? Koniec zabawy w detektywów.

Laura nie mogła zasnąć. Chociaż w dużym domu czuła się bezpieczna z dwoma silnymi mężczyznami, niepokoiła ją jednak myśl, że Tony Cordero, zabójca i mistrz kamuflażu, jest na wolności.

Odłożyła kryminał Agathy Christie i oparła głowę o białe poduszki z falbankami. Nic dziwnego, że jest taka niespokojna. Morderstwo i chaos w spokojnym angielskim miasteczku to nie jest lektura, po której można zasnąć. Powinna poczytać coś długiego i nużącego. W bogatej bibliotece J. B. z pewnością znajdzie coś odpowiedniego.

Wstawała z łóżka, gdy usłyszała za drzwiami jakiś dźwięk.

Serce podskoczyło jej do gardła. Zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu czegoś ciężkiego. Pozytywka w kształcie karuzeli stojąca na komodzie to było wszystko co znalazła. Na palcach podeszła do komody. Pozytywka była zbyt lekka, żeby zrobić komuś krzywdę, ale i tak ją wzięła. Każda broń była lepsza od żadnej.

Delikatne pukanie do drzwi śmiertelnie ją wystraszyło.

- Laura?

Zamknęła oczy i westchnęła z ulgą. Otworzyła drzwi.

- Niech cię diabli, Ted. Wystraszyłeś mnie na śmierć.

To było widać. Jej piękna twarz była biała jak nocna koszula z mocno wyciętym dekoltem, którą miała na sobie.

- Przepraszam. Zobaczyłem światło pod drzwiami i chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku. - Oderwał wzrok od uwodzicielskiego dekoltu i spojrzał na pozytywkę, którą wciąż trzymała w dłoni. - Co miałaś zamiar z tym zrobić?

Drżącą ręką odstawiła ją na komodę.

- Chyba cię walnąć. Myślałam, że ktoś chce się włamać. Dlaczego nie śpisz? Sądziłam, że już dawno się położyłeś?

- Nie mogłem zasnąć, więc postanowiłem jeszcze raz wszystko sprawdzić.

Była śliczna. Z rudymi włosami spływającymi na ramiona, z twarzą bez makijażu, w białej jedwabnej koszuli, która opływała jej ciało. Wyglądała jak kusicielka zesłana na ziemię, by doprowadzać mężczyzn do szaleństwa. Nie mógł mówić za innych, ale na nim robiła piorunujące wrażenie.

- I co? Wszystko w porządku? - spytała lekko kpiącym tonem.

- Tak.

Na widok rozścielonego łóżka z pomietą pościelą i zarysem jej ciała, jęknął. W innych okolicznościach pewnie odegnałby strach, kładąc ją na łóżku i kochając całą noc.

Nie sądził, by go odrzuciła. Nie dlatego, że uważał się za szczególnie pociągającego. Był jednak pewien, że pociąg między nimi nie jest wytworem jego wyobraźni. Tak jak i sposób, w jaki rozchyliły się jej usta - mimo że tylko na chwilę - gdy wcześniej ją całował.

Niedawno zerwała ze Stuartem, była więc zraniona i bezbronna. Romans z nim, bez względu na to, jak krótki, skomplikowałby im życie.

- Nie musisz się o nic martwić. - Starał się mówić normalnym tonem. - Dom jest bezpieczny jak forteca. Lenox śpi z winchesterem przy łóżku, a ja niedaleko, w pokoju w głębi korytarza. Jesteś bezpieczna. - Uśmiechnął się. - W każdym razie

jeśli chodzi o prześladowców.

- Już czuję się lepiej.

Spojrzała tak na niego, gdy szeptała te słowa, że zaschło mu w gardle. Niepokój w jej miodowych oczach nie miał nic wspólnego z koszmarami sennymi ani z czającymi się w mroku zabójcami. Nie wyglądała już tak krucho jak przed chwilą, miała zamglone oczy i wilgotne, rozchylone usta.

Przełknął ślinę. Jeśli to jakiś sprawdzian, czuł, że go obleje.

- Czy teraz uda ci się zasnąć?

- Może.

Wciąż na niego patrzyła, a on czuł, jak opuszcza go rozsądek. To do niego niepodobne tracić kontrolę nad sobą, mieć poczucie, że wszystko zostało już postanowione, a on nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. A jednak nie mógł odejść. Zrobił krok w jej stronę.

- Może potrzebna ci zachęta?

Znowu lekko się uśmiechnęła.

- Może masz rację.

Czuł jej perfumy. Ten sam zniewalający zapach, który poczuł tamtego niedzielnego poranka na ganku. Ten, który przywodził na myśl angielski ogród. Pod jego wpływem zapragnął jej dotknąć delikatnie i posmakować. Wolno, wciąż wpatrując się w jej twarz, uniósł rękę do jej policzka i lekko pogłaskał miękką jak płatek róży skórę.

Jego dotyk sprawił, że serce Laury zatrzepotało. Nie mogła zaprzeczyć, że coś ich ku sobie przyciąga. Tak było od początku, choć pociąg tłumiło poczucie winy. Dzisiaj był jednak wyjątkowo silny. Dzisiaj pragnęła poczuć, jak otaczają ją silne ramiona, odkryć, co znaczy kochać się z kimś, kto odczuwa namiętność tak silną jak ona, z kimś, kto mógł sprawić, że jej ciało zdrzży tak jak teraz.

Jego ręka ześlizgnęła się na kark Laury i objęła ją za szyję. Przyciągnął ją do siebie, wpatrując się w nią gorącym wzrokiem.

- Chodź do mnie.

Westchnęła krótko, urywanie i podeszła do Teda z głową odchylną do tyłu i mocno bijącym sercem. Tym razem ich pocałunek był inny, nie miał w sobie nic

zartobliwego. Zanurzył ręce w jej włosach, pocałował ją mocno, zachłannie wsuwając język w jej usta.

Na znak milczącej zgody usta Laury rozchyliły się. Poczula, że sięga po niego, przywiera do niego, syci głód, całując go zachłannie i ciężko dysząc. Wciąż jednak była nienasycona.

Ogarniające ją pragnienie sprawiło, że czuła się tak, jakby miała się rozpuścić, rozplynać. Wygięła się w łuk i oparła o niego. Jego ręce ześlizgnęły się w dół powoli, namiętnie. Nie mogła oddychać. Kiedy ujął jej piersi, z ust Laury wyrwał się jęk.

- Po tym mam się poczuć senna?

Chwycił ją zębami za ucho.

- Nie skutkuje?

Westchnęła.

- Tego nie powiedziałabym. Jakiś skutek odnosi.

Niespiesznie wsunął palec pod wąskie ramiączko koszuli i zsunął je.

To samo zrobił z drugim, przytrzymując koniuszkiem palca, by nie zsunęło się zupełnie.

Z zamkniętymi oczami Laura delectowała się tym, co czuła. Jego usta wędrujące po jej szyi i dekolcie były lekkie jak piórko, miękkie jak aksamit i nieznacznie podniecające. Poczula powiew zimnego powietrza gdy koszula zsuwała się z niej w powolnej, delikatnej, dręczącej pieszczocie. Miała ochotę krzyknąć z rozkoszy.

- Taką widziałem cię w moich snach - wyszeptał Ted, gdy pochyla się, by wziąć w usta nabrzmiąłą brodawkę. - Takiej cię pragnąłem, gorącej i drżącej.

Poczuł jak drży. Zrozumiał jej pragnienie. Wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Położył się obok z ustami przy szyi Laury.

Nigdy nie sądził, że tak trudno będzie mu zapanować nad pożądaniem. Robił to przecież tyle razy. Jednak z Laurą było inaczej. Każde jej westchnienie, każdy urywany oddech przenikały go do głębi. Jej potrzeby były jego potrzebami, jej naleganie wzmagало jego pożądanie.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

- Tak - powiedziała z ustami tuż przy jego ustach. - Och, tak.

Poczuł żar w dole brzucha, gdy jej gorący, odurzający oddech owiał mu twarz.

- Pokaż mi. Pokaż, czego pragniesz.

Ręce Laury drżały, gdy odpinała guziki jego koszuli. Podniecona spragniona dotyku jego skóry, była niezdarna jak młoda dziewczyna.

Na widok jego nagości poczuła dławienie w gardle. Był wspaniały opalony, z muskularnymi udami i płaskim, twardym brzuchem. Jej ręce poruszały się nieśmiało. Opuszkami palców ześlizgnęła się po jego szerokiej piersi, napiętych mięśniach brzucha, niżej.

- Jesteś twardy jak skała.

Nigdy w życiu nie powiedziała czegoś takiego żadnemu mężczyźnie. Nigdy nie czuła potrzeby, by dotykać i pieścić w taki sposób.

Wiedziała, co rozkosz może zrobić z człowiekiem, jak zaćmiewa umysł i rozpala ciało. Ale nie wiedziała, że dotyk może wywoływać drżenie serca i żar.

Przekreśliła się i położyła na nim. Jej długie włosy były niczym gęsta kurtyna. Sycił się widokiem jej piersi. Zamknął usta na nabrzmiałej brodawce, pieścił ją językiem i rękami.

Laura poczuła, jak jej pożądanie sięga szczytu, jak wzbiera powoli ogromna fala. Napięcie sięgnęło zenitu. Jej ciało było śliskie od potu, prawie straciła nad sobą kontrolę.

- Teraz. Proszę, Ted. Teraz.

Jednym płynnym ruchem przetoczył się na nią i przykrył jej ciało swoim. Gdy wchodził w nią, jego głodne usta odnalazły jej wargi. Chwycił jej uda, podciągnął wysoko i wszedł głębiej.

Najpierw poruszali się wolno, potem coraz szybciej. Rozpaczliwie pragnęła wziąć wszystko, co może jej ofiarować. Przywarła do niego, wbijając mu palce w plecy. Żar był nie do zniesienia. Oddychała z trudem. Próbowwała nie oddychać w obawie, że czar pryśnie.

Orgazm wstrząsnął nią tak, że przez chwilę miała wrażenie, że zemdleje.

Wykrzyknęła jego imię. Chwycił jej ręce i przytrzymał na łóżku. Zanurzył twarz w jej włosach, gdy jego namiętność osiągnęła apogeum.

Zdawało się, że minęła wieczność, nim odzyskała dech w piersi. Kiedy już mogła normalnie oddychać, zaśmiała się ochryple i przytuliła się do niego.

- Teraz - powiedziała, całując jego wilgotną skórę - będę mogła zasnąć.

Laure obudziło coś bardzo przyjemnego. Ciepłe usta pieściły jej uszy.

- Mmm - zamruczała i poruszyła. - Co robisz?

- Zaspokajam apetyt.

Zachichotała.

- Myślałam, że zaspokoileś go wczoraj.

- Chyba wciąż nie mam cię dość.

Oparł się na łokciu i patrzył na nią. Z potarganymi włosami i zaspanymi oczami wyglądała jak mała dziewczynka. Była miękka, słodka, ufna. Ta ostatnia myśl przeraziła go nie na żarty. Czego się po nim spodziewa? Co będzie, jeśli nie będzie w stanie jej tego dać?

- Żałujesz? - spytała, jakby czytała w jego myślach.

Potrząsnął głową.

- Nie. - To w każdym razie była prawda. - A ty?

Zacisnęła usta.

- Może jednej rzeczy.

- Czego? - spytał, unosząc brwi.

Jej usta powoli wygięły się w uśmiechu.

- Tego, że ta noc była za krótka.

Objął ją i przytulił.

- Nie musimy jeszcze wstawać.

- Musimy. Dzisiaj jest wstępne przesłuchanie mojej matki, zapomniałeś? Muszę znaleźć jej jakieś ubranie. Ona nie ma nic odpowiedniego. W każdym razie nic, co by nadawało się do sądu.

Zupełnie zapomniał o przesłuchaniu.

- Nie martw się - powiedział, widząc niepokój w jej oczach. - Jest w dobrych rękach.

I chociaż wierzył w to, co mówił, wcale nie był pewien, czy wynik przesłuchania wstępnego będzie taki, jak tego chcieli.

25

W pokoju hotelowym w północnej części miasta Tony stał przed lustrem w łazience i przyklejał siwe wąsy nad górną wargą.

Bał się, że Laura Spencer podała glinom opis peruki, którą widziała w jego walizce, poszedł więc do sklepu i kupił zupełnie inną. Potem wstąpił do drugiego, z rzeczami z demobilu, i kupił workowate spodnie khaki, wyblakłą czerwoną koszulę i kapelusz z twardym rondem.

Cofnął się, podziwiając swoje dzieło. Jak zawsze przeobraził się zupełnie. Z bujną siwą czupryną i wąsami, w roboczych butach, które dodawały mu cztery centymetry wzrostu, nie rozpoznałaby go własna matka.

Buty stanowiły pewien problem, dawno ich nie nosił. Nic. Przyzwyczai się do nich.

W tej części miasta było dużo budów, więc dzięki przebraniu doskonale wtopi się w tło.

Teraz pozostało mu tylko powtórzyć sobie plan, a potem szybko go wykonać.

Jeśli wszystko pójdzie tak, jak zakładał, jutro popołudniu będzie z powrotem w Nowym Jorku, a wieczorem w łóżku Henrietty. Wydostanie się z Austin, nawet jeśli jego zdjęcie zamieszczą wszystkie gazety i pokażą je w wiadomościach, nie powinno stanowić problemu. Luigi, który ma więcej kontaktów niż AT&T, właśnie zajmuje się tym niewielkim problemem.

Nakłonienie go jednak, by nie zawiadamiał Enzia o wpadce z Laurą Spencer, to całkiem inna sprawa. Naturalizowany Włoch zgodził się nie wspomnieć o tym szefowi, dopiero gdy Tony wyjaśnił mu, że sam chce wszystko opowiedzieć Scarpatiemu. Luigi kupił nawet Tony'emu drugi samochód, brązowego buicka, w którym mógł niezauważony śledzić Laurę Spencer i Teda Kandalla.

Podszedł do łóżka, rozwinął mapę Austin, którą dostał razem z samochodem, rozłożył ją na łóżku i dokładnie obejrzał.

Zapamiętał trasę, którą ma jechać, złożył mapę i wrzucił do walizki. Dzisiaj odbywało się wstępne przesłuchanie Shirley Langfield, więc wiedział, gdzie Laura spędzi większą część dnia. Nie wiedział tylko, ile czasu to potrwa i gdzie Laura

pojedzie później.

Kilka godzin w samochodzie naprzeciwko sądu w oczekiwaniu, aż przesłuchanie dobiegnie końca, będzie prawdziwą męką, nie wspominając o niebezpieczeństwie. Ale nie ma innego wyjścia. Jeśli chce dzisiaj załatwić sprawę, musi tak zrobić.

Gdy Laura i Ted przyjechali o dziesiątej rano, w sądzie było pełno ludzi. Ubrana w prosty błękitny kostium i bluzkę ze stójką Shirley siedziała z Quentinem Marchem przy stole dla oskarżonych.

Stuart w glorii chwały - pisały o nim wszystkie gazety w całym stanie - naradzał się ze swoim asystentem, młodym człowiekiem o jasnych kręconych włosach i z nerwowym tikiem. Widział Laurę, ale nie przywitał się z nią.

W chwili, gdy wezwał pierwszego świadka, Laura wiedziała już, że jej były narzeczony dobrze przygotował się do rozprawy. Wszyscy świadkowie zeznawali, co widzieli, słyszeli i jakie dowody zebrali, odpowiadając na doskonale sformułowane pytania. Gdy Stuart zakończył przesłuchiwanie ostatniego z pracowników Złotej Papugi, nie było wątpliwości, że Shirley potrzebowała stu tysięcy dolarów, po które pojechała do J. B.

Chociaż zeznanie Laury na temat tego, co widziała w noc morderstwa, było tylko powtórzeniem zeznań Amosa i innych świadków, Stuart prowadził przesłuchanie z taką finezją, że oczy wszystkich na sali były zwrócone na niego.

Quentin, nie tak efektowny, choć nie mniej skuteczny, świetnie się spisał, przedstawiając dowody pośrednie. Z jego słów wyłaniał się obraz Shirley jako niewinnej kobiety, która miała nieszczęście znaleźć się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie.

Szałę jednak przeważył przytłaczający materiał dowodowy zebrany przez Stuarta.

Sędziemu z surową twarzą wystarczyło zaledwie dziesięć minut, żeby podjąć decyzję. Shirley stanie przed sądem. Termin rozprawy wyznaczono na poniedziałek, dwudziestego trzeciego stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku.

- Podczas procesu będzie inaczej - powiedział Ted, gdy razem z Laurą i Quentinem szli na parking. - Quentin będzie miał więcej czasu na przygotowanie się do rozprawy.

- Ted ma rację - przytaknął Quentin, krępy mężczyzna z szeroką klatką piersiową i patrycjuszowskim nosem. Szedł energicznym krokiem z wysoko podniesioną głową. - Przez trzy miesiące zdążę zrobić to wszystko, czego nie zdążyłem zrobić w tydzień.

- Czego się dowiedziałeś o Carlu Hansenie? - spytał Ted. - Jest szansa, że ma związek ze sprawą?

- W tej chwili pracuje nad tym prywatny detektyw. Drugi sprawdza Enzia Scarpatiego. Jeszcze niczego nie znaleźli, ale jestem pewien, i w końcu im się uda. - Zerknął na Laurę. - A co z tym samochodem, który twoja matka widziała na drodze do Lost Creek w noc morderstwa. Masz pomysł, do kogo mógł należeć?

Laura potrząsnęła przecząco głową.

- Opis był zbyt ogólnikowy. To mogła być toyota Tony'ego Cordera. Matka twierdziła jednak, że silnik pracował bardzo głośno, jak w samochodzie wyścigowym. Nie wiem, co o tym myśleć.

Doszli do samochodu adwokata, eleganckiego czarnego mercedesa.

- Mam wrażenie, że powinnam przypomnieć sobie coś ważnego, ale nie potrafię - myślała na głos Laura. - Mam to na końcu języka.

Ted spojrzał na nią.

- Czy to dotyczy samochodu?

- Nie wiem, ale jest gdzieś w zakamarkach mojej pamięci. W zasięgu ręki. To coś, co powinnam wiedzieć. Coś, co wiem.

- Za bardzo się starasz - powiedział Quentin, rzucając teczkę na tylne siedzenie samochodu. - Umysł ludzki dziwnie funkcjonuje. Ludzie nie pracują dobrze pod zbyt dużą presją.

Ted i Laura, objęci patrzyli, jak adwokat odjeżdża.

- Co teraz? - spytał Ted. - Masz jakieś plany na resztę dnia?

Laura zerknęła na zegarek.

- Mam zebranie kolegium redakcyjnego o czwartej, a potem z komisją do spraw finansów. To mnie przeraża.

- A jaka jest sytuacja finansowa gazety?

- Kiepska. Nasze wysiłki, żeby przyciągnąć dużych zleceniodawców, spęły na niczym.

- Sądysz, że Malcolm maczał w tym palce?

- Jestem pewna. Ale, do diabła, nie potrafię tego dowieść. - Westchnęła. - A czas ucieka.

- Chodzi ci o Hansena?

Laura skinęła głową.

- Zostało mi już tylko dziesięć dni. Jeśli do tego czasu czegoś nie zrobię, prawdopodobnie stracę „Sentinela”.

Malcolm przyszedł do biura zastępcy prokuratora okręgowego pogratulować Stuartowi sukcesu.

- Doskonale się pan spisał, panie Fleming - powiedział Malcolm, ujmując rękę młodego mężczyzny.

Stuart promieniał.

- Był pan na sali sądowej?

- Nie. Ale dostałem bardzo dokładnie sprawozdanie. - Młody prokurator pęczniał z pychy. - Mam nadzieję, że sam proces pójdzie równie dobrze i sprawiedliwości stanie się zadość.

- Z pewnością tak będzie, panie Kandall. Obiecuję.

Malcolm kiwnął głową z aprobatą. Założył ręce na piersi i pochylając się nad

biurkiem Stuarta, spytał:

- Myślał pan kiedyś o karierze politycznej, panie Fleming?

Twarz Stuarta poczerwieniała z podniecenia.

- Nie, proszę pana. Nie myślałem o tym.

Malcolm uśmiechnął się.

- Może dobrze by było, gdyby pan o tym pomyślał. Z pewnością ktoś tak utalentowany jak pan przydałby się w biurze gubernatora. - Zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. - Jeśli wygra pan ten proces, gwarantuję panu takie stanowisko, jakie pan sobie wybierze. - Zachichotał. - Z wyjątkiem mojego, oczywiście.

Gdy kilka minut później Malcolm opuścił biuro zastępcy prokuratora okręgowego, wiedział, że to było dobre posunięcie. Nie ma lepszego sposobu, by zamienić ambitnego człowieka w rekina, niż obietnica świetlanej przyszłości.

Zwracając uwagę, by nie złamać przepisów, Tony Cordero jechał za bmw Teda Kandalla z powrotem do Austin o trzeciej po południu. Gdy dojechali do „Sentinela”, Tony zaparkował po drugiej stronie ulicy i obserwował, jak wóz Teda zatrzymuje się przed głównym wejściem do gazety.

Chwilę później Laura pocałowała Teda w policzek i weszła do budynku redakcji.

Tony westchnął z ulgą.

Ted odjechał, a Tony wrzucił bieg w buicku.

Był gotów do akcji.

Ted podrzucił Laurę do „Sentinela”, a potem pojechał do kawiarni w

kampusie, by spotkać się z siostrą.

Sandra już na niego czekała przy stoliku za przepierzeniem.

- Jak poszło przesłuchanie wstępne? - spytała, widząc zmartwić jego twarz.

- Mniej więcej tak, jak się spodziewałem. Shirley będzie miała normalny proces.

Sandra skinęła na kelnerkę i zamówiła dwie filiżanki cappuccino.

- Przykro mi, Ted. A jak Laura to znosi?

- Jest zdenerwowana, ale nie miała złudzeń. - Zdjął okulary przeciwsłoneczne i położył je na stole. - Co się stało?

- Ciotka Barbara zaprosiła mnie wczoraj na lunch. Wyglądała okropnie.

- Pewnie kampania wyborcza daje się jej we znaki. Ostatnia wizyta Quenitna Marcha i przesłuchanie nie poprawiły stanu jej zszarpanych nerwów.

- Chyba masz rację - Sandra oparła ręce na stole. - W każdym razie mówiła o tobie.

Ta uwaga zaskoczyła Teda. W galerii Luberick, gdzie Barbara była tylko kilka minut, i później w czasie pogrzebu J. B. prawie z nim nie rozmawiała.

- O czym?

- Chciała wiedzieć, czy zmieniłeś zamiar i zamierzasz zostać w Austin dłużej niż dwa tygodnie. - Wzięła menu, udając, że je przegląda. - Chciała wiedzieć, czy plotki o tobie są prawdziwe.

- Jakie plotki?

Oczy Sandry pojaśniały.

- Że ty i Laura jesteście parą.

- Co to ją może obchodzić? - spytał szorstko.

Sandra otworzyła usta.

- A więc to prawda.

Było to raczej twierdzenie niż pytanie.

- Wiesz, jak to jest z plotkami. Nie można im wierzyć.

- Nie graj ze mną, w kotka i myszkę Theodore. Jestem na to zbyt bystra.

Z menu przy policzku, by nikt nie słyszał, o czym mówią, pochyliła się do przodu.

- Kochasz ją czy nie?

- Nic takiego nie powiedziałem.

Sprawy były i tak dostatecznie skomplikowane bez Sandry. Była niepoprawną romantyczką. Wystarczy jedno jego potknięcie, by zaczęła nagabywać go o datę ślubu.

- Dlaczego nie powiesz? - spytała Sandra z nutą zniecierpliwienia w głosie. - Co jest w tym słowie takiego odpychającego?

- Może uważam, że byłoby to przedwcześnie.

- Nieprawda. Widziałam, jak patrzyłeś na Laurę w galerii Luberick i jak trzymałeś ją za rękę podczas pogrzebu J. B.

- Było nam ciężko.

- To było coś więcej. - Odchyliła się, pozwalając kelnerce postawić cappuccino z pianką. Gdy odeszła Sandra oparła na stoliku łokcie i położyła brodę na dłoniach. - Laura czuje do ciebie to samo?

Jej upór wywołał uśmiech na twarzy Teda. Tak czy inaczej zamierza wydobyć z niego prawdę.

- O to będziesz musiała spytać ją sama.

- Nie wiesz?

- Nie potrafię czytać w myślach, siostrzyczko.

Sandra spojrzała w górę.

- Nie chodzi o to, żebyś czytał w jej myślach, Ted. Masz jej powiedzieć, że ją kochasz, i wtedy ona powie ci to samo.

Szkoda, że to nie jest takie proste. W sumie nie wiedział, na czym stoją. Tak, zależy mu na niej. I to bardzo. Nie był jednak pewien, czy to wystarczy.

- Mam nadzieję, że nie jest to kolejny nic nieznaczący romans. - Sandra

zdecydowała się nie odbiegać od tematu. - Bardzo lubię Laurę i chciałabym, żeby została moją szwagierką. - Westchnęła. - Szkoda, że ciotka Barbara ma na jej temat inne zdanie.

- Co właściwie powiedziała Barbara?

- Stwierdziła, że twój romans z Laurą w tej chwili tylko pogorszy twoje stosunki z ojcem.

Ted roześmiał się.

- Sandro, moje stosunki z ojcem nie mogą być gorsze.

- Powiedziałam jej to, ale udawała, że nie słyszy. Zachowywała się bardzo dziwnie. Gdybym jej nie znała lepiej, przysięgłabym, że piła.

Ted z namysłem wpatrywał się w filiżankę. Zachowanie Barbary w dniu jego wizyty w domu Kandallów także wydawało mu się dziwne, chociaż wtedy przypisał to jej zdenerwowaniu. Patrząc wstecz, zastanawiał się, czy podejrzenia Sandry nie są słuszne. Barbara nie byłaby pierwszą żoną polityka, która nie dała sobie rady z napięciem związanym z kampanią wyborczą.

- Co jeszcze mówiła?

- Prosiła, żebym z tobą porozmawiała. Wytłumaczyła, że utrudniasz wszystkim życie. Z powodu wyborów. „Sentinel” jest tak otwarcie przeciwny kandydaturze wuja Malcolma, że twój związek z jego wydawcą będzie dla niego krępujący.

W końcu to się stało, pomyślał smutno. Po siedemnastu latach czuła, uprzejma, troskliwa Barbara stała się tak samo egoistyczna jak reszta klanu Kandallów.

- Może mógłbyś z nią porozmawiać - zasugerowała Sandra. - Powiedzieć jej, żeby się nie martwiła.

- Nie widzę sensu... - Przerwał mu dzwonek telefonu komórkowego.

Oczy Sandry rozszerzyły się, gdy otworzył małą czarną torbę, którą miał przy sobie, i wyjął telefon komórkowy.

- Kiedy to kupiłeś?

- Dziś rano. - Nacisnął guzik. - Halo?

- Ted, tu Amos. Chcę, żebyś wiedział, że wciąż nie zlokalizowaliśmy

Tony'ego Cordera. Musiał gdzieś się zaszyć.

- Może wrócił do Nowego Jorku?

- Niemożliwe. Zaalarmowaliśmy lotniska, dworce kolejowe. Sporządziliśmy nawet drugi portret pamięciowy w peruce, którą opisała Laura. Rozmawiałem z jego szefem.

- Ze Scarpatim?

- Tak. Dziwne, ale był bardzo chętny do współpracy. Powiedział mi, że Cordero wziął kilka tygodni wolnego, żeby odwiedzić siostrę na Florydzie. Zaproponował nawet, że poszuka jej numeru telefonu i oddzwoni, gdyby go znalazł.

- Co powiedział, kiedy mu powiedziałaś, że Cordero jest tutaj, w Austin?

- Był zaskoczony. A jeszcze bardziej zaskoczony był, gdy usłyszał, że Cordero śledził Laurę.

- To może być gra.

- Zdaję sobie z tego sprawę. I dlatego, dopóki nie złapiemy Cordero, nie spuszczaaj Laury z oczu.

- Niech cię o to głowa nie boli. Laura jest albo ze mną albo w „Sentinelu”. Jest bezpieczna.

- Dobrze. Jej matka obdarłaby mnie ze skóry i nakarmiła moim ciałem sępy, gdyby jej dziewczynce coś się stało.

Oczy Sandry były okrągłe z ciekawości, gdy Ted schował telefon.

- O co chodziło? Z kim rozmawiałaś? Laurze grozi jakieś niebezpieczeństwo?

- Teraz nie mogę o tym mówić.

Wypił resztę kawy, położył dziesięciodolarowy banknot na stole i wstał.

- Miłego dnia, Złotowłosa.

Telefon od Amosa zaniepokoił go. Wiedział, że Laura jest bezpieczna w „Sentinelu”, zwłaszcza teraz, gdy wszyscy pracownicy widzieli portret pamięciowy. Ale tak czy inaczej, nie zaszkodzi sprawdzić.

Laura siedziała przy biurku nad raportem dotyczącym ostatnich datków na kampanię wyborczą Malcolma Kandalla, gdy Mildred szybko weszła do biura.

- Właśnie dzwonił Ted - powiedziała podniecona. - Znalazł dowody, które oczyszczą twoją matkę z zarzutów.

- Co takiego?!

Mildred podała Laurze różową kartkę z notatnika.

- Powiedział, żebyś zaraz spotkała się z nim na parkingu pod Singleton. Będzie czekał na trzecim poziomie naprzeciwko windy.

- Singleton? Ależ to przy Balcones Research Center. Co on tam, u licha, robi?

- Nie powiedział. A nawet jeśli powiedział, nie mogłam go zrozumieć. Był straszny hałas i usłyszałam najwyżej połowę z tego, co mówił.

- Dlaczego nie połączyłaś go ze mną?

- Powiedział, że nie ma czasu. A potem odwiesił słuchawkę.

Laura wahała się, ale tylko przez chwilę. Spojrzała na wyrwaną z notatnika kartkę, na której Mildred zanotowała adres Singleton Building.

- Nie wzięłam samochodu. Mogę pożyczyć twój?

- Oczywiście.

Mildred podeszła do biurka, wzięła kluczyki z szuflady i podała Laurze.

- Wiesz, jak wygląda mój wóz, prawda? Granatowy. Stoi przed wejściem.

Pięć minut później Laura jechała na północ bulwarem Mo-Pac.

- Dobry Boże - mamrotała, starając się nie żywić zbytnej nadziei. Cokolwiek Ted znalazł, niech to będzie coś, z czego będziemy mogli skorzystać. Niech to będzie coś, co pozwoli mi oczyścić matkę z zarzutów.

- Ted! - Skonsternowana Mildred patrzyła to na Teda, to na puste biuro Laury. - Co ty tu robisz?

- Przyszedłem zobaczyć się z Laurą. - Ted rozejrzał się dookoła. - Gdzie jest?

- Nie ma jej. Wyjechała zaraz po twoim telefonie.

Poczuł, jak po plecach przeszedł mu dreszcz.

- Jaki telefon? O czym ty mówisz?

Zdał sobie sprawę, że ludzie przestali pracować i wpatrują się w niego.

- Do diabła, co się tu dzieje? Gdzie jest Laura?

Mildred wstała. Złapała się blatu, żeby utrzymać równowagę.

- Pojechała do Singleton Building na spotkanie z tobą. - Mildred zbladła. - O mój Boże, Ted. Ktoś dzwonił... podszył się pod ciebie.

Tony Cordero.

- Jak Laura się tam dostanie?

- Wzięła mój samochód. Granatowy grand prix.

Mildred wyglądała na bardzo nieszczęśliwą.

Świadom, że nie wydobędzie z Mildred więcej informacji, jeśli będzie krzyczał, złapał ją za ramiona.

- Uspokój się. Sama rozmawiała z tym mężczyzną? Wiesz, co powiedział?

- Ja odebrałam telefon... Powiedział, że ma się z nim spotkać parkingu w Singleton Building. To na północ stąd, na West Anderson Lane, w pobliżu Balcones Research Center. Miał na nią czekać na trzecim poziomie, naprzeciwko windy. Powiedział, że ma informacje dotyczące jej matki...

Ted już jej nie słuchał.

- Dzwon na policję - krzyknął, biegnąc przez redakcję. - I każ im się pośpieszyć.

Singleton był to nowy siedmiopiętrowy budynek mieszkalny niedaleko Northcross Mall. Czy to miejsce ma jakiś związek z morderstwem J. B., zastanawiała się Laura, skręcając w Anderson Lane. I dlaczego Ted nie powiedział jej o tym wcześniej?

Laura zatrzymała się przed wjazdem do budynku, wzięła bilet parkingowy z automatu i poczekała, aż barierka zagradzająca drogę się podniesie.

Parking w jeszcze nie całkiem zamieszkałym budynku był częściowo pusty. Na trzecim poziomie Laura zaparkowała samochód na wolnym miejscu, wysiadła i wrzuciła kluczyki do torebki od Gucciego.

Na ścianie zobaczyła czerwoną strzałkę w lewo, i napis „windy”. Założyła torebkę na ramię i ruszyła w tym kierunku.

Wtem usłyszała warkot silnika nadjeżdżającego samochodu.

26

28 października, 1994 roku

Usłyszała krzyk kobiety i huk wystrzału.

Jego siła odrzuciła Laurę na furgonetkę. Poczowała ból przeszywający jej ciało i osunęła się na zimny, twardy beton. Przycisnęła kurczowo ręce do piersi. Poczowała gorącą, lepłą krew. Jęknęła.

- O, nie, tylko nie to.

Jak przez mgłę słyszała odgłosy kroków, trzask drzwiczek, jakieś głosy.

- Panienko? Panienko? Czy panienka mnie słyszy? - Ktoś podniósł jej głowę, delikatnie ją obejmując. - O Boże, Emmo, pomóż mi. Szybko. Mocno krwawi...

Laura nie słyszała nic więcej. Ból ustępował, zaczynała tracić przytomność. Z westchnieniem zamknęła oczy i pogrzyła się w ciemności.

To przez te cholerne buty nie mogę biec szybciej, pomyślał Tony pędząc rampą.

Słyszał, jak za plecami starszy mężczyzna głośno krzyczy, ponaglając kobietę, żeby wezwała pomoc. Chryste, miał nadzieję, że Laura nie żyje. Tych dwoje zasłoniło mu częściowo pole widzenia i nie mógł dobrze wycelować.

Ale teraz nic już nie mógł na to poradzić. Słyszał, że z wind wybiegają ludzie.

W końcu dotarł do buicka. Drzwi zostawił otwarte, więc teraz tylko je mocno szarpnął i wskoczył za kierownicę. Cudem uniknął uderzenia w zaparkowany samochód. Wcisnął pedał gazu i z piskiem opon ominął narożnik.

Nagle usłyszał wycie syreny policyjnej i dostrzegł wóz patrolowy wyjeżdżający zza rogu. Jego światła oślepiły go.

- Cholera. - Tony chciał wcisnąć hamulec, ale jego stopa, nieprzywykła do ciężkiego obuwia, zakleszczyła się pod pedałem gazu. Stracił cenne sekundy.

Wpadł w panikę. Czując, że traci panowanie nad samochodem, kręcił desperacko kierownicą. Próbował uniknąć zderzenia z betonową ścianą, do której zbliżał się z zawrotną szybkością.

Nie udało się.

Przerażony zdążył jeszcze tylko krzyknąć i buick walnął w mur. W ułamku sekundy, zanim metal zetknął się z betonem, Tony uświadomił sobie, że z tego bałaganu nie uda mu się wyjść cało.

Ted przechodził przez hol na parterze, kiedy usłyszał, że woła Angela, recepcjonistka „Sentinela”.

- Dzwoni pani Masters, panie Kandall - poinformowała, podała mu słuchawkę. - Mówi, że to pilne.

Ted prawie wyrwał jej słuchawkę.

- Co się stało, Mildred?

- Właśnie dzwonił sierżant Sutherland z departamentu policji w Austin. - Jej głos załamał się na chwilę. - Och, Ted, ktoś postrzelił Laureę.

Dotąd nie rozumiał, co znaczy powiedzenie, że komuś: „zmroz krew w żyłach”. Teraz już wiedział.

- Ale ona nie...

- Nie wiem. - Mildred płakała. - Zabrali ją do szpitala Breckenrid. Sierżant Sutherland nic więcej nie wie.

Ted rzucił słuchawkę na biurko i pognął do samochodu.

Jeszcze nigdy nie bał się tak bardzo. Pędząc przez miasto w stronę szpitala Breckenridge, starał się opanować wzbierające w nim przerażenie.

To wyłącznie moja wina, myślał, przejeżdżając skrzyżowanie na czerwonym świetle. Nie powinien był zostawiać jej samej ani na chwilę. Czy Amos nie mówił mu, żeby nie spuszczał jej z oczu? Dlaczego nie wziął tej rady dosłownie?

Wreszcie pojawił się ogromny budynek szpitalny. Z piskiem opon wjechał na podjazd dla karettek i wyskoczył z samochodu.

- Hej! - krzyknął na niego kierowca ambulansu. - Tu nie wolno parkować.

Ted rzucił mu kluczyki.

- Odprowadź samochód.

Sierżant Sutherland, ubrany po cywilnemu wysoki, szczupły mężczyzna, czekał już na niego w recepcji. Poinformował Teda, że Laura jest właśnie operowana, i opowiedział w skrócie, co się wydarzyło na parkingu w Singleton.

- Napastnik nie żyje - oświadczył z silnym teksaskim akcentem. - Czekam na jego identyfikację.

- Nazywa się Tony Cordero - poinformował go Ted, spoglądając na dwuskrzydłowe drzwi prowadzące na oddział. Pracuje dla Enzia Scarpatiego, bossa mafii nowojorskiej.

- Znasz tego bandziora?

- Nie osobiście. Ale wiem, że od dawna śledził Laurę. Słuchaj - dodał, patrząc na pielęgniarkę wchodzącą przez dwuskrzydłowe drzwi - może zadzwonisz do szeryfa Wilsona z okręgu Buraet? Na pewno chętnie z tobą o tym porozmawia.

Zanim policjant zdążył odpowiedzieć, Ted już rozmawiał z pielęgniarką.

- Nazywam się Ted Kandall - przedstawił się, ani trochę nie zażenowany tym, że po raz pierwszy w życiu wykorzystuje fakt, że jego nazwisko jest znane. - Może mi pani powiedzieć, jak się czuje Laura Spencer? Przywieziono ją półtorej godziny temu. Została postrzelona.

- Pójdę sprawdzić - powiedziała pielęgniarka.

Gdy jednak wróciła poinformowała go tylko, że Laura jest na stole operacyjnym. Lekarz porozmawia z nim, jak tylko skończy.

Kilka minut później przyjechała Mildred, którą tak niegrzecznie zostawił w tyle. Następną godzinę spędzili razem. Mildred piła kawę z dystrybutora, a Ted spacerował po poczekalni tam i z powrotem.

O szóstej przez wahadłowe drzwi wyszedł lekarz w poplamionym krwią zielonym kitlu. Był niskim, pulchnym mężczyzną, a jego niebieskie oczy patrzyły ze współczuciem.

- Panna Spencer dochodzi już do siebie - pocieszał ojcowskim tonem. - Miała szczęście. Kula ominęła serce i utkwiała w klatce piersiowej u góry, z lewej strony, tuż pod obojczykiem. Wyjęliśmy ją i mogę powiedzieć, że chyba nie został uszkodzony żaden nerw. Spodziewam się, że powróci do zdrowia w ciągu miesiąca.

Ted poczuł ulgę.

- Kiedy będzie można się z nią zobaczyć?

- Jak tylko przewiozą ją z sali operacyjnej. Za kilka minut. Może być trochę oszołomiona po środkach nasennych. Najważniejszy jest teraz dla niej odpoczynek i sen.

Kiedy po piętnastu minutach Ted i Mildred weszli zobaczyć się z chorą, Laura leżała z obandażowaną klatką piersiową. Oczy miała zamknięte, a twarz śmiertelnie bladą. Ale najważniejsze, że żyła.

Stojąca za Tedem Mildred oparła rękę na jego ramieniu i cicho popłakiwała. Ted, nie spuszczać oczu z Laury, ścisnął jej dłoń.

- Wyzdrowieje, Mildred.

Wolał nie myśleć o tym, co by zrobił, gdyby tak się nie stało. Mimo niefrasobliwości, którą jeszcze niedawno demonstrował przed Sandrą wiedział, że Laura Spencer stała się dla niego niezbędna jak powietrze

Na dźwięk stłumionych, dochodzących z oddali głosów Laura poruszyła powiekami i otworzyła oczy. Zobaczyła biały sufit, ściany i światło słoneczne przedzierające się przez opuszczone żaluzje. I choć najmniejszy nawet ruch wymagał od niej potwornego wysiłku, obróciła głowę w lewo, gdzie coś kłuło ją w rękę. Z metalowego stojaka zwisała butelka z kroplówką.

- Co to?...

- Cześć, Sherlocku.

Mimo tańczących przed oczami plam dostrzegła pochyloną nad sobą twarz Teda. Uśmiechał się, ale w jego oczach czaił się niepokój.

- Ted. - Miała wrażenie, jakby ktoś napchał jej do ust waty. - Co się stało?...

Kiedy się poruszyła, poczuła ostry ból w piersi. Skrzywiła się.

- Spokojnie, skarbie. - Podtrzymywana przez Teda oparła się na poduszkach.

- Żadnych gwałtownych ruchów, dobrze?

- W porządku. - Dostrzegła Mildred i spróbowała się uśmiechnąć. Cześć.

- Cześć - przywitała się Mildred, wycierając chusteczką załzawione oczy. - Jak się czujesz?

- Słabo. Gdzie jestem?

- W szpitalu Breckenridge. - Ted przysunął krzesła dla siebie i Mildred. - Ktoś do ciebie strzelał. Ale wszystko będzie dobrze.

- Ktoś strzelał? - Teraz powoli zaczęła sobie przypominać. Rozmowa telefoniczna, rajd przez miasto, brązowy sedan toczący się w jej stronę z zamiarem przejechania jej, pistolet i strzał. - To nie byłeś ty...

- Nie. To był Cordero. - Uniósł jej dłoń, przycisnął do ust i tak trzymał. - Ale już cię nie skrzywdzi, kochanie. On nie żyje.

- Ale ty go nie...?

Potrząsnął głową.

- Nie. Ale udusiłbym tego sukinsyna gołymi rękami, gdybym go dopadł.

- Więc jak?

- Stracił panowanie nad samochodem, zjechał z rampy i walnął w betonowy mur. Zginał na miejscu.

Zamknęła oczy.

- Czego on ode mnie chciał?

- Tego jeszcze nie wiemy. - Całował jej palce. - Porozmawiamy o tym później, dobrze, dziecińko? - dodał, gdy dostrzegł, że słabnie. - Teraz musisz odpoczywać. Straciłaś mnóstwo krwi.

Zamknęła oczy i uśmiechnęła się rozmarzona. Kochanie, skarbie, dziecińko. To były słowa, których przedtem nigdy nie mówił, nawet w przyływie namiętności. Jego głos też brzmiał inaczej. Była w nim nie znana jej dotąd

wrażliwość, nowa słodycz, która doprowadzała ją do łez.

Zwilżyła suche wargi końcem języka.

- Chcę do domu.

Roześmiał się. W jego niskim śmiechu słycać było ulgę.

- Wszystko w swoim czasie, Sherlocku. Teraz musisz odpoczywać. To zalecenie lekarza.

Powieki znowu zaczęły jej ciążyć.

- A mama... Nie chciałabym, żeby dowiedziała się o tym od strażników...

- Amos sam poszedł jej to powiedzieć. Wszystko z nią w porządku. Jutro będziesz mogła do niej zadzwonić, ale dopiero gdy wypoczniesz.

Mgła znowu zaczęła gęstnieć.

- Zostaniesz?

Pocałował ją w skroń.

- Tylko spróbuj mnie stąd wyrzucić.

27

Kiedy Ted przyjechał do szpitala następnego dnia wczesnym rankiem, Laura siedziała na łóżku. Chciał czuwać w jej pokoju całą noc, ale pielęgniarka przekonała go, żeby poszedł do domu i trochę odpoczął.

- Nie będzie miała z pana żadnego pożytku, jeśli rano będzie pan w kiepskim stanie - odburknęła łagodnie. - Lepiej niech pan idzie do domu, panie Kandall. Jeżeli jej stan się zmieni, choć nie sądzę, żeby tak się stało, zadzwonię do pana.

Teraz zdziwiona Laura patrzyła, jak idzie z ogromnym bukietem czerwonych róż, kupionym na dole w kwiaciarni. To była kolejna rzecz, jaką robił po raz pierwszy w życiu. Czuł się niezręcznie jak diabli, wyciągając przed siebie kwiaty.

- To dla ciebie.

- Och, Ted, jakie piękne!

- Nie tak piękne jak ty.

To była prawda. Chociaż wciąż była blada, jej oczy błyszczały bardziej niż wczoraj, a zaczesane do tyłu przepiękne rude włosy świeciły własnym światłem.

Przysuwając krzesło, dostrzegł pęk różowych lilii stojący na stolik przy łóżku Laury.

- Bardzo ładne. Powinienem się obawiać jakiegoś rywala?

Roześmiała się.

- Nie, chyba że czujesz się zagrożony przez starszych mężczyzn. - Jeszcze raz powąchała róże i odłożyła na bok. - Betty i Jim Fowleyowie byli tu niedawno. To ci starsi ludzie, którzy mnie uratowali.

Ted kiwnął głową.

- Wyjątkowi ludzie. Doktor jest prawie pewien, że gdyby nie ich szybka interwencja, wykrwawiłabyś się na śmierć.

- Chciałabym coś dla nich zrobić, gdy będzie już po wszystkim. Na przykład zaprosić na prawdziwe teksaskie barbecue na ich cześć. Moglibyśmy podtrzymać tradycję J. B. - dobre jedzenie i zachodnia gościnność.

My, pomyślała czując, że się czerwieni. Powiedziała „my”, jakby zakładała, że odtąd będą razem. Myśl ta, choć pociągająca, była nierealna.

I to nie dlatego, że ona ma coś przeciwko temu. Nie musiała zbyt głęboko analizować swoich uczuć, żeby wiedzieć, że się w Tedzie zakochała - bezgranicznie i bezwarunkowo. I nawet nie myśli o związku na odległość wzbudzała jej wątpliwości. Była pewna, że jeśli chodzi o niego, jest zupełnie inaczej. Wyraźnie dał jej do zrozumienia, bez owijania w bawełnę, że kariera jest dla niego najważniejsza. Od każdej kobiety.

Poruszyła się, żeby poszukać wygodniejszej pozycji, i natychmiast tego pożałowała.

- Auuu.

- Co się stało? - Ted, aż podskoczył, przewracając krzesło. - Boli cię? Może mógłbym coś zrobić? Wezwać pielęgniarkę? Może da ci jakiś środek przeciwbólowy?

Mimo bólu Laura uśmiechnęła się.

- Wszystko w porządku. Za szybko się poruszyłam, to wszystko.

- Kiedy ostatni raz brałaś tabletki przeciwbólowe?

- Nie biore już tabletek. Otepiają.

- Kto rządzi w tym szpitalu? Ty czy lekarze?

Popatrzyła na niego przekornie.

- Nie próbuję rządzić. Po prostu tak się składa, że wiem, co jest dla mnie dobre, i tyle. - Oparta o poduszki położyła ręce na wykrochmalonej białej pościeli.

- Teraz powiedz, czego się od wczoraj dowiedziałeś.

Podniósł krzesło, które przewrócił, i usiadł.

- Niewiele. Prawdopodobnie policjanci z Austin niedługo złożą ci wizytę. Sierżant Sutherland prowadzi dochodzenie w tej sprawie i chce cię przesłuchać.

- Czego się dowiedziałeś o Tonym Corderze?

- Niczego, czego nie wiedzielibyśmy wcześniej. Chociaż to się pewnie zmieni.

- Co masz na myśli?

- Sutherland poprosił Enzia Scarpatiego, żeby przyjechał do Austin zidentyfikować ciało Cordera.

- Nie powinna tego zrobić najbliższa rodzina?

- Jediną krewną Cordera jest jego siostra. Miesiąc temu opuściła dom na Florydzie i wróciła do Puerto Rico. Policja próbowała się z nią skontaktować, ale nie zostawiła adresu.

- I Scarpati zgodził się przyjechać?

- Zgodził się nie tylko przyjechać, ale też odpowiedzieć na kilka rutynowych pytań. Teraz jest w komisariacie. - Uśmiechnął się. - Z trzema goryłami i dwoma prawnikami.

- Świetnie. Ciekawa jestem, czego prawa ręka bossa nowojorskiej mafii chciała ode mnie.

- Wątpię, czy uda się to ustalić. Nie znam się zbyt dobrze na tym, a człowiek pokroju Scarpatiego nie byłby tym, kim jest, gdyby mówił prawdę policji. Współpraca, być może, ale szczerść... - Potrząsnął głową. W żadnym wypadku.

- Sądysz, że miał na mnie zlecenie? I na J. B.?

Ted delikatnie kciukiem głaskał jej dłoń.

- Sam już nie wiem, co o tym myśleć. To wszystko robi się coraz bardziej zagadkowe.

Nim zdążyła skomentować jego słowa, zadzwonił telefon przy łóżku. Ted podniósł słuchawkę i podał ją Laurze.

- To twoja matka.

- Moje dziecko! - szlochała Shirley. - Moje biedne, śliczne maleństwo. Jak się czujesz? Bardzo cię boli? Jeżeli tak, to musisz powiedzieć doktorowi. Albo pielęgniarce. Oni nie czytają w myślach, wiesz chyba?

- Czuję się dobrze, mamó.

- Nigdy w to nie uwierzę. Jak można czuć się dobrze z kulą w piersi?

- Już ją wyjęto. Jeszcze kilka dni i będę jak nowo narodzona.

- To wszystko wina Amosa - stwierdziła Shirley. Najwyraźniej znowu poczuła niechęć do szeryfa. - Gdyby chronił cię tak, jak powinien nie przytrafiłoby

ci się nic podobnego.

- Jeżeli kogokolwiek można obarczać winą, to tylko mnie. Nie posłuchałam Amosa. Ostrzegął mnie, żebym się nie wtrącała w sprawy policji. A ja nie posłuchałam.

- Przynajmniej nie musimy się już bać tego bandziora. Nie żyje.

Laura postanowiła nie mówić jej, że wolałaby, żeby go schwytano żywego. Nie ma potrzeby dodatkowo martwić matki.

- Kiedy wrócisz do domu, dziecinko?

- Za kilka dni. Wpadnę się z tobą zobaczyć.

- Tak bym chciała. Musisz dużo spać. - Wydała z siebie westchnienie godne Oscara. - Och, jakbym chciała być teraz z tobą. Czuję się taka bezradna w tej parszywej celi.

- Niedługo stamtąd wyjdiesz. Obiecuję ci.

- Miło to słyszeć. Ale chyba nie chcesz dalej prowadzić śledztwa w sprawie J. B. na własną rękę. Po tym wszystkim, co się stało? Byłabyś szalona. O mało nie zginęłaś, na litość boską!

Laura zamknęła oczy i oparła głowę o poduszkę.

- Mamo, proszę, daj spokój.

- Nie dam spokoju, dopóki mi nie obiecasz, że robotę policji zostawisz policji. W końcu za to im płacą.

- Obiecuję. Do widzenia, mamo. Już odkładam słuchawkę - dodała, gdy Shirley nie przestawała paplać.

Laura spojrzała w górę i podała słuchawkę Tedowi.

- Twarda sztuka ta twoja mama.

Odłożył słuchawkę.

- Jest apodyktyczna. Biedny Amos. Pewnie mu się dostało.

Ted delikatnie zgarnął kosmyk rudych włosów z czoła Laury.

- Czy teraz możesz mi już powiedzieć, co się stało?

- Chyba tak. - W jej oczach dostrzegł cień zakłopotania. - Byłam taka głupia. Powinnam się zorientować, że nigdy nie zostawiłbyś Mildred takiej wiadomości, bez względu na to, jak bardzo byś się spieszył. Poza tym wiedziałeś, że nie mam samochodu, więc jak mogłeś się spodziewać, że będę gnała przez pół miasta?

- Cordero wiedział, co powiedzieć, Lauro. Ja na twoim miejscu zrobiłbym to samo.

- Nie, nie zrobiłbyś. - Zacisnęła palce na jego dłoni i wzięła głęboki wdech. - On się przede mną schował... Czekał na trzecim poziomie.

- Wcześniej go nie zauważyłaś?

- Nie, dopóki do mnie nie strzelił. I nawet wtedy nie wiedziałam, że to on. Miał siwe włosy. - Drżącym głosem opowiedziała o tym, jak rozpaczliwie próbowała wrócić do samochodu Mildred, o skoku za furgonetkę i o tym jak zmarła, gdy za kolumną zauważyła napastnika z pistoletem.

- Zawsze myślałam, że mam doskonały refleks. A wtedy nie mogłam się ruszyć z miejsca. Wiedziałam, że od tego, co zrobię, zależy moje życie, a mimo to nie byłam w stanie się ruszyć.

- Dlatego że nigdy wcześniej nikt do ciebie nie celował z pistoletu.

To prawda. W Nowym Jorku trafiła ją zabłąkana kula. Nawet nie widziała bandyty, który strzelał.

- Gdyby podszedł do mnie jak mężczyzna, a nie chował się jak tchórz, poradziłabym sobie z nim.

Na ustach Teda zaigrał uśmiech.

- Tak?

- Śmiej się, jeśli chcesz, ale wiedz, że kilka lat temu, kiedy gwałtownie wzrosła liczba zuchwałych napadów na dolnym Manhattanie, wydawca „Heralda” nalegał, żebyśmy wszyscy przeszli kurs samoobrony. I wszyscy tak zrobili, nawet mężczyźni. - Gdy zwróciła wzrok w jego stronę, jej spojrzenie było nieco wyzywające. - Mogłabym rzucić nim o ziemię jak workiem kartofli, gdybym tylko chciała. I to nie ma i wspólnego ze wzrostem ani siłą przeciwnika. To kwestia sposobu.

- Będę o tym pamiętał, jeśli kiedykolwiek postanowisz obejść się ze mną brutalnie.

Weszła pielęgniarka, którą już wcześniej widział. Niosła metalową tacę.

- Czas zmienić opatrunek, panno Spencer.

W ten sposób dała Tedowi do zrozumienia, że powinien wyjść. Pocałował Laurę i poszedł do telefonu w holu zadzwonić do Amosa. Ponieważ zabójstwo J. B. i zamach na życie Laury mogły się wiązać, sierżant Sutherland zgodził się, żeby Amos był obecny podczas przesłuchania Scarpatiego. Ted chciał się dowiedzieć, co gangster miał do powiedzenia.

Przy odrobinie szczęścia tajemnica niedługo się wyjaśni, nie miał jednak zamiaru czekać bezczynnie. Nie w sytuacji, gdy zamieszany jest w to facet pokroju Scarpatiego.

O czwartej po południu sierżant Sutherland przyjechał zobaczyć z Laurą. Był szczupłym mężczyzną, mówił z silnym teksaskim akcentem i miał senny wygląd. Zadał jej kilka pytań i Laura zrozumiała, wygląd naprawdę może być mylący.

Powiedziała, co wiedziała i sama zaczęła go wypytywać. Była równie błyskotliwa, jak on.

- Czego się pan dowiedział od Enzia Scarpatiego, sierzancie?

- Twierdzi, że nic nie wiedział o planach Tony'ego Cordera ani o tym, że zamierzał przybyć do Austin. Jak już pewnie pani wie, siostra Cordera wyjechała do Puerto Rico i nie udało nam się z nią skontaktować. Pan Scarpati utrzymuje, że nic o tym nie wiedział.

- Szeryf Wilson pytał go, czy spotkał się kiedyś z moim ojczymem?

Sutherland zamknął czarny notes i wsunął go do kieszeni marynarki.

- Tak. Powiedział, że go nie spotkał. Przysięgał, że nigdy wcześniej nie był w Austin.

- Mógł kłamać.

- Mógł. Tak samo jak mógł kłamać na temat planów podróży Cordera. Niestety, nie mamy jak tego sprawdzić. Jedyne człowiek, który mógłby zaprzeczyć jego słowom, nie żyje.

- Jaka była jego reakcja przy identyfikacji ciała?

- Wyglądał na zmartwionego. Powiedział, że Cordero był dobrym pracownikiem.

- Gdzie teraz jest Scarpati?

Sutherland westchnął.

- Nie został o nic oskarżony. Nie mieliśmy wyboru. Pozwoliliśmy mu wrócić do Nowego Jorku.

- Wspaniale.

- Przykro mi, panno Spencer. - Wstał. - Wiem, że liczyła pani na to, że jego zeznania w jakiś sposób pomogą oczyścić z zarzutów pani matkę. Jednak dopóki nie dowiedzimy, że kłamie albo że miał coś wspólnego z zamachem na pani życie, mamy związane ręce.

Nigdy nie uda im się go przyskrzynić, pomyślała z goryczą. Od wielu lat próbuje to zrobić policja w Nowym Jorku. Facet jest po prostu zbyt cwany.

Kiedy sierżant wyszedł, Laura myślała o tym, co jej powiedział, patrząc na obrazy migające na ekranie telewizora. Dźwięk był wyłączony. To były migawki z jakiejś konferencji prasowej.

Tak było aż do chwili, gdy zorientowała się, że przeprowadzano wywiad ze Stuartem. Chwyciła pilota leżącego na nocnym stoliku i włączyła głos.

- ...napad na pannę Spencer to godny pożałowania incydent - mówił Stuart nieco pompatycznie. - To nie miało nic wspólnego z zabójstwem J. B. Lawsons.

Młody dziennikarz przepchnął się do przodu.

- Czy pan wie, panie Fleming, że pańska narzeczona przysięgła znaleźć prawdziwego zabójcę?

Usta Stuarta wykrzywił ledwo zauważalny cyniczny uśmiech.

- Była narzeczona. Tak, słyszałem o tym. I nie przejmuję się tym, jeśli chce pan wiedzieć. Każdy ma prawo do własnego zdania. A jeśli chodzi o nasze biuro, ta sprawa jest już zamknięta.

Potem z wyższością przechylając głowę, podziękował dziennikarzom zgromadzonym przed jego biurem i szybkim krokiem odszedł do czerwonego porsche.

- Ty draniu - wydusiła Laura, wyłączając telewizor. - Jeszcze zobaczymy, czy ta sprawa jest już zamknięta.

Ostrożnie sięgnęła po telefon i zadzwoniła do „Sentinela”.

- Mildred - powiedziała, gdy usłyszała głos sekretarki. - Czy byłabyś tak miła i poprosiła kogoś, żeby mi przyniósł do szpitala mój notatnik z adresami? Jeżeli mam tu zostać jeszcze przez tydzień, równie dobrze mogę trochę popracować.

28

- Panno Spencer? Czy pani mnie słyszy?

Głos należał do mężczyzny. Był ochryply, z lekkim akcent z Bronksu. Laura tylko drzemała, szybko więc otworzyła oczy. Omal i krzyknęła ze strachu.

Przy łóżku stał Enzo Scarpati.

Mimo niskiego wzrostu z bliska wyglądał równie imponująco w telewizji. Można nawet powiedzieć, że gdy się na niego patrzy wszystkiego miał jakby więcej - czarne włosy były bardziej błyszcząco czy ciemniejsze, a na rękach miał więcej złota. Nawet pieprzyk na i się wydawał się większy.

- Co pan tu robi? - Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę drzwi, próbując równocześnie usiąść. - Jak się panu udało przejść obok dyżurki?

Głupie pytanie. Człowiek taki jak Enzo Scarpati może przechodzić przez ściany, jeśli zechce.

Włożył ręce do kieszeni marynarki.

- Nikogo tam nie było.

Starła się, żeby nie dostrzegł w jej oczach strachu. Pamiętała, że jego siła po części bierze się z wpływu, jaki wywiera na ludzi. Uśmiechnął się uspokajająco, prawie po ojcowsku.

- Zapewniam panią, że nie ma się czego obawiać - powiedział takim samym łagodnym tonem. - Przyszedłem, żeby panią uspokoić, a nie przestraszyć.

Dzwonek przy łóżku był w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów i choć mogła bez trudu do niego sięgnąć, nie zrobiła tego. Nie był to z jej strony akt brawury, lecz raczej desperacji. Sytuacja matki z każdym dniem stawała się coraz bardziej beznadziejna. Jeżeli jest jakaś szansa, choćby najmniejsza, że Enzo przyczyni się do uwolnienia Shirley, musi z niej skorzystać.

- Czego pan chce?

- Przeprzić za to, co Tony pani zrobił. To równie niewybaczalne, co niewytłumaczalne i głęboko nad tym boleję.

- Choć oczywiście nie ponosi pan za to żadnej odpowiedzialności!

- Żadnej. Nie znam pani, panno Spencer. Ani pani ojczyma. I nigdy żadne z was mi nie zagrażało.

- A gdyby było inaczej, kazałby pan nas zabić?

W kącikach ust zarysował mu się uśmiech, oczy jednak pozostały zimne. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak niebezpiecznym jest człowiekiem.

- Nie mam żadnego interesu w zabijaniu ludzi, bez względu na to, co pani o mnie słyszała.

- Więc jak pan wyjaśni fakt, że ktoś, kto pracował dla pana tyle lat, ktoś kogo pan znał i komu ufał, i kto, jak sędzę, był pańską prawą ręką, przyjechał do Austin mnie zabić, a pan nic o tym nie wie?

Enzio zadawał sobie to samo pytanie, dopóki nie porozmawiał z Luigim, który wyjaśnił mu przyczyny irracjonalnego zachowania Tony'ego. Laura Spencer po prostu go zdemaskowała i chłopak obawiał się konsekwencji. Głupiec. Wystarczyło powiedzieć prawdę, a można by uniknąć całego tego zamieszania. Enzio kazałby mu wrócić do Nowego Jorku i wysłałby na jego miejsce kogoś innego. Wielka rzecz. Tony jednak postanowił sam się z tym uporać. I w rezultacie wszystko spieprzył.

- Widocznie - odparł - nie znałem go tak dobrze, jak mi się zdawało. To się czasem zdarza.

- Innym może tak, ale nie panu. Wiem, jak starannie dobiera pan ludzi. W przeciwnym razie długo by pan nie pociągnął.

Drzwi się otworzyły i wszedł wysoki młody mężczyzna. Uśmiechał się szeroko, w ręce trzymał bukiet kwiatów. Kiedy jednak zauważył Enzia, uśmiech znikł, a twarz mu stężała.

Rzucił Laurze szybkie spojrzenie, jakby sprawdzając, czy wszystko w porządku, i zamknął drzwi.

- Co pan tu robi, do diabła? - zapytał.

Enzio spokojnie zmierzył go wzrokiem.

- A kto chciałby wiedzieć?

- Kandall. Ted Kandall.

Enzio zmrużył oczy. A więc to jest bratanek Malcolma. Obieżyświat i czarna owca. Enzio nie tak go sobie wyobrażał. Zgodnie z tym, co mówił Malcolm, miał to być zepsuty, strachliwy, niezdolny bogaty chłopak. Ted Kandall nie wyglądał na nikogo takiego. I, co ciekawe, zdaje się, że wcale nie był przestraszony ani nawet onieśmielony jego obecnością.

- Zapytałem - powtórzył Ted - co tutaj robisz?

- Grzecznie rozmawiam z panną Spencer.

Ted cisnął kwiaty na krzesło. Najchętniej rozdeptałby tego karła, zrobił miazgę z tej jego tłustej gęby. Na myśl o tym, że jest tutaj i rozmawia z Laurą, krew się w nim gotowała.

Enzio patrzył na niego spokojnym, beznamiętnym wzrokiem. Ted podszedł do niego bardzo blisko.

- Zabieraj się ze swoimi uprzejmościami i wynoś się stąd, do diabła. Ale zanim to zrobisz, dam ci radę. Trzymaj swoje brudne łapska i swoich bandziorów z dala od Laury. Bo jeżeli coś jej się stanie, jeśli choć włos jej z głowy spadnie, załatwię cię osobiście, kapujesz?

Enzio nawet nie mrugnął. Ten młokos ma więcej odwagi, niż tego spodziewał.

- Jest pan albo bardzo odważny, albo bardzo głupi, panie Kandall. Ale ponieważ pańskie zachowanie można tłumaczyć miłością, wybaczam panu, mimo że nie należę do osób, które łatwo zapominają. Dlatego wyjdę. Zresztą i tak już skończyłem.

Odwrócił się do Laury i uklonił nonszalancko.

- Jeszcze raz przepraszam, panno Spencer.

Enzio spojrzał jeszcze raz na Teda, przeszedł obok niego i wyszedł.

Kiedy w sobotę Laura wróciła ze szpitala, dom wyglądał jak kwitnąca łąka. Wszędzie stały kwiaty z bilecikami, telegramami i wiadomościami przekazanymi przez telefon. Była nawet ogromna wypchana paczka i pozdrowienia od starych

paczki z „New York Herald”.

- Dobry Boże! - krzyknęła Laura, patrząc na tę feerię barw. - Nie miałam pojęcia, że znam aż tylu ludzi.

- Jeszcze więcej kwiatów jest w panienki pokoju, panienko Lauro - poinformował Lenox. - I w bibliotece. - Uśmiechnął się, co od śmierci J. B. nieczęsto mu się zdarzało. - Część musiałem ustawić w kuchni. Mam nadzieję, że nie będzie mi panienka miała tego za złe.

- Oczywiście, że nie. - Sięgnęła po bilecik przyczepiony do wyjątkowo pięknych różowych mieczyków i przeczytała na głos. - *Witaj w domu, Sherlocku. Jeżeli jeszcze raz tak mnie wystraszysz, zabiję cię. Ted.*

Roześmiała się i pogłaskała go po policzku.

- Dobrze powiedziane, Ted. Dziękuję.

- Nie ma za co.

Laura ruszyła w stronę pokoju gościnnego, ale Ted ją zatrzymał.

- O nie, tam nie pójdziesz. Doktor powiedział, że masz wypoczywać w łóżku. - Delikatnie odwrócił ją w stronę schodów. - I tak właśnie zrobisz.

- Ale to nie ma sensu. Odpoczynek to odpoczynek, wszystko jedno gdzie.

- Mylisz się. - Dał jej przyjacielskiego klapsa. - Na górę. Lenox przygotował specjalny powitalny lunch na twoją cześć. - Mrugnął znacząco do kamerdynera. - A wiesz przecież, jaki jest nieznośny, gdy musi czekać.

Pół godziny później ubrana w białą-niebieską koszulę nocną z logo Dallas Cowboys na piersi, Laura siedziała na łóżku, rozkoszując się wyśmienitym musem czekoladowym Lenoksa. Ted bawił się w niańkę.

Skończyła jeść, a on zabrał tacę i postawił na serwantce.

- Widzę, że apetyt ci dopisuje. Pałaszujesz wszystko, jak gdyby nigdy nic.

- Nic na to nie poradzę. W trudnych sytuacjach zawsze dużo jem. To uspokaja.

Ted usiadł na brzegu łóżka i wskazującym palcem gładził jej szyję.

- Czy myślałaś też o innej terapii?

Odwróciła głowę, schwyciła go zębami za palec i lekko ugryzła.

- Na przykład jakiej?

- Na przykład... - Pochylił się. - Takiej.

Ustami chwycił jej wargi i całował długo, powoli. Jego palce zmagaly się z guzikami nocnej koszuli. Z trudem oddychała.

- Czy to kolejna z twoich...

- Albo takiej. - Omijając opatrunek, teraz już dużo mniejszy, całował jej piersi. Wilgotnym językiem powoli kreślił kółka wokół brodawki, a potem złapał sztywny, nabrzmiały sutek.

- Mówiłaś coś?

Nie pamiętała. Straciła wątek. Kiedy jego usta nie przerywały zmysłowej podróży, opadła na stertę poduszek za plecami.

- Masz problem z koncentracją, kochanie?

- Trochę...

Zrobiło jej się gorąco, on tymczasem delikatnie rozsuwał jej nogi. Nigdy dotąd nikt z nią tak nie postępował, wpadła więc w popłoch i próbowała go powstrzymać. Nie pozwolił jej.

- Lekarz powiedział: żadnych gwałtownych ruchów, więc uspokój się, kochanie. I baw się dobrze.

Chciała zaprotestować, ale zabrakło jej tchu w piersi, gdy językiem wzbudził w niej rozkosz. Delikatnie kąsał wrażliwą skórę wewnętrznej strony ud, a jego palce, grzesznie i cudownie, pieściły jej ciało.

Gdy dotarł do jej gorącego, wilgotnego wnętrza, krzyknęła zdumiona. Iskry podniecenia, jedna po drugiej, przesywały jej ciało. Ale nic nie przygotowało jej na nagłe uderzenie fali gorąca, gdy jego język wniknął w nią głębiej. Hamulce puściły, chwyciła go za ramiona, nie mogąc się powstrzymać i bez skrępowania wyprężyła biodra w jego stronę, ponaglając bezwstydnie, żeby pieścił ją głębiej.

- O Boże.

Czuła rosnącą rozkosz, która w końcu wybuchła, wprawiając jej ciało w drżenie. Chwytała powietrze głębokimi haustami. Miała wrażenie, że jej płuca zaraz eksplodują.

- Chodź do mnie.

W jednej chwili Ted zrzucił ubranie i opierając się na rękach po obu stronach jej ciała, powoli w nią wszedł. Uważał, żeby jej nie urazić. Gdy świat wokół nich rozpląnął się, a ich ciała osiągnęły niepowtarzalną harmonię, wiedziała z absolutną pewnością, że już nigdy nie będzie należeć do żadnego innego mężczyzny.

Ted stał przy oknie, patrząc w ciemność. Od czasu do czasu zaciągał się papierosem. Myślał.

Zawsze doskonale wiedział, czego chce od życia. Poukładał sobie wszystko, według ważności: kariera, rodzina - ta, którą miał - przyjaciele i kobiety.

Od szesnastu lat ta kolejność nigdy nie uległa zmianie. Przyjaciele martwili się o niego. Uważali, że w jego życiu, choć doskonale uporządkowanym, trzeba czegoś więcej - na przykład domu, do którego wraca się co wieczór, kochającej żony, dzieci, psa rozkopującego klomby sąsiadów.

Ale Ted nie wiedział, jak taki dom stworzyć. W młodości otaczali go rodzice i krewni, którzy bardziej dbali o karierę i sławę niż o wartości rodzinne. Nawet matka, którą przecież uwielbiał, nigdy nie miała dla niego czasu.

Zaniedbywanie ze strony najbliższych początkowo go raniło, ale w końcu nauczył się akceptować brak zainteresowania rodziców, ich długie nieobecności w domu, wymagania związane z nowymi kampaniami i chaos poprzedzający ważne spotkania towarzyskie.

Wszystko to sprawiło, że wcześniej stał się samowystarczalny. Przyczyniło się też do tego, że miał bardzo niskie mniemanie o życiu rodzinnym. Przekonany, że jeśli chodzi o wychowywanie dzieci, nie byłby lepszy od swojego ojca, nawet nie myślał o małżeństwie i zaangażowaniu. Poczucie samotności łagodził nic nieznaczącymi związkami, które dawały mu, jeśli nie spełnienie, to przynajmniej przyjemność.

I choć zawsze starał się wiązać tylko z takimi kobietami, których potrzeby były takie jak jego, od czasu do czasu któraś z nich pozostawała z nim na dłużej albo przypadkiem, albo dlatego, że miała nadzieję go zmienić.

Po takich krótkich związkach czuł się jednak jak łajdak. A jeśli przyjaciele mieli rację i marnował najlepsze lata, nie dbał o to. Miał to, czego chciał.

Rzeczywiście?

Zgniółł papierosa w małej popielniczce, którą trzymał w dłoni, i spojrzął na Laurę. To ona wszystko zmieniła - jego wyobrażenia dotyczące kobiet, jego priorytety i plany. W ciągu czterech krótkich tygodni przewróciła jego życie do góry nogami i nic nie mógł na to poradzić.

Na myśl o tym, że ktoś mógłby ją skrzywdzić, sam miał ochotę zabijać. I nie szybko, bezboleśnie, tylko powoli, żeby drań błagał o litość.

Z ust Laury wyrwał się jęk. Nie był pewien, czy to jęk bólu, czy rozkoszy. Odstawił popielniczkę na parapet, podszedł do niej i dotknął delikatnie, żeby nie poruszyła się zbyt gwałtownie.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego tak, że pękł kolejny fragment starego pancerza.

- Dlaczego wstałeś? - mruknęła.

- Nie mogę spać.

- Aha. - Przeciągnęła się powoli, leniwie jak kot. - Coś mi się śniło. A przynajmniej tak mi się zdaje.

- Mam nadzieję, że to był przyjemny sen.

- Nie mógł być lepszy. Objęła go za szyję. - Mówiłeś mi takie cudowne rzeczy.

Roześmiał się.

- Naprawdę?

Zatrzepotała uwodzicielsko długimi rzęsami.

- Mówiłeś, że jestem piękna i bardzo ponętna.

- To nie był sen. Naprawdę tak mówiłem. - Pocałował ją w czubek nosa. - Jesteś piękna. I ponętna.

- A potem powiedziałaś coś jeszcze.

- Że doprowadzasz mnie do szaleństwa?

- Aha. Po tym.

Nie odpuści mu. Właściwie dlaczego miałyby to zrobić? Czy nikt nigdy nie powiedział mu, że kobiety pragną słyszeć słowo „kocham”? I że nigdy nie mają dość?

Nie powiedział tego mimochodem. Ani w chwili namiętności. O nie, powiedział to bardzo wyraźnie. I powtórzył kilka razy w ciągu nocy. Z taką pasją, o jaką sam siebie nigdy by nie posądzał.

Może się nauczy powtarzać to częściej. Będzie się tego domagała. Był pewien.

- Zdaje mi się, że powiedziałem, że cię kocham.

Otworzyła szeroko oczy.

- Mówiłeś serio?

- A jak sądzisz?

- Mówiłeś tak, jakbyś tak myślał. Choć z drugiej strony w przypływie namiętności mężczyzna może powiedzieć wszystko. - Uniosła brwi. - Prawda?

- Nie ten mężczyzna.

Uśmiech powoli obejmował całą jej twarz. Przytuliła go do siebie.

- Powiedz to jeszcze raz.

Omal nie jęknął. Powiedział to jednak dopiero wtedy, gdy jego usta były tuż przy jej wargach.

- Kocham cię. Kocham do szaleństwa. Kocham bezgranicznie i na zawsze.

29

- Dokąd się wybierasz? - Ted usiadł raptownie i patrzył, jak Laura przeciąga cienki skórzany pasek przez szlufki szarych spodni.

- Nie śpisz. - Uśmiechnęła się. - Z potarganymi włosami jesteś taki zabawny.

Przezcesał włosy palcami.

- Nie zmieniaj tematu. Dokąd się wymykasz cichaczem?

- Nie wymykam się cichaczem. Po prostu wybieram się do „Sentinela”. - Spojrzała w lustro i wyłożyła kołnierzyk czerwonej jedwab bluzki na klapy granatowego żakietu. - Skąd to srogie spojrzenie? Chyba nie myślałeś, że będę tu siedzieć beczynn timer, oglądać opery mydlane i tyć?

- Nie ma nic złego w tym, żeby na kilka dni trochę sobie odpuścić.

- To luksus, na który nie mogę sobie pozwolić. Gdybyś zapomniał zostały tylko dwa dni do końca czasu, jaki zostawili mi Leo i John. Jeżeli nie udowodnię, że Malcolm próbuje mnie wyeliminować, nie zdemaskuję go i nie znajdę motywów, wszystko przepadnie.

- Twoje życie jest ważniejsze niż „Sentinel”.

- Mojemu życiu nic już nie zagraża.

- Skąd ta pewność?

- Wciąż żyję. Wierz mi, gdyby Enzo Scarpati chciał mnie zabić, już by to zrobił. - Ted chciał zaprotestować, ale powstrzymała go pocałunkiem. - Zamiast robić mi trudności, pojedź ze mną do biura? Chyba mogę wykorzystać błyskotliwego i przystojnego asystenta do prowadzeniach nudnych poszukiwań.

Nachmurzona mina powoli znikła z przystojnej twarzy Teda. Kiedy jeszcze raz go pocałowała, uśmiechnął się.

- Wiedziałem, że wcześniej czy później mnie wykorzystasz.

Półtorej godziny później, kiedy weszli do redakcji, kilkanaście osób ruszyło w ich stronę, żeby przywitać się z Laurą. Zapewniła wszystkich, że czuje się dobrze, z każdym dniem coraz lepiej, i poleciła, żeby przyniesiono do jej biura jeszcze jeden komputer.

Szybko poinstruowała Teda, jak uzyskać dostęp do bazy danych Nexus.

- Właściwie czego szukamy? - zapytał, gdy na ekranie pokazał się artykuł z datą ze stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku.

- Sprawdzamy, czy Enzo Scarpati nie kłamał, mówiąc, że nigdy wcześniej nie był w Austin.

Obrócił się w krzesło i spojrzał na nią.

- Myślałem, że chcesz przygwoździć mojego wuja.

- Chcę. - Kiedy wciąż na nią patrzył, najwyraźniej czekając na wyjaśnienia, dodała: - W szpitalu dużo o tym myślałam i jestem przekonana, że zabójstwo J. B., zamach na moje życie i to, co się stało z „Sentinelem”, wiąże się ze sobą.

- Jeszcze kilka dni temu nie byłaś tego pewna. Dlaczego zmieniłaś zdanie?

- To intuicja. I powiązania Carla Hansena.

Ted pokręcił głową.

- To fałszywy trop, Lauro. Wprawdzie mój wuj nie jest święty, ale faceta pokroju Scarpatiego nie dotknąłby nawet trzymetrowym kijem.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Bo jego kampania odbywa się pod hasłem poszanowania prawa i porządku. Pomysł, że mógłby mieć powiązania z mafią, to szaleństwo.

- Zgadzam się, że na pierwszy rzut oka to nie pasuje. Domniemany szef mafii i polityk, w którego żyłach płynie błękitna krew. Ale nie możesz pomijać faktu, że Malcolm nie jest zwykłym politykiem. Cierpi na przerost ambicji i, moim zdaniem, jest pozbawiony skrupułów. Pomyśl tylko, ile pieniędzy zgromadził w tak krótkim czasie. - Ted wciąż milczał. - Dużo więcej niż urzędujący gubernator. Jak to zrobił?

- Pieniądze są tam, gdzie władza, Lauro. Dobrze o tym wiesz. A Malcolm reprezentuje teraz władzę. I nie zapominaj, że wielu jego sponsorów to przyjaciele

mojego ojca. Byli szczerzy dla Malcolma, żeby zademonstrować lojalność wobec Charlesa.

Westchnęła z ulgą, gdy wziął ją za rękę.

- Nie przekonałem cię, prawda?

Zamknęła jego palce w swojej dłoni.

- Martwi cię to?

Uśmiechnął się.

- Nie. - Zerknął na ekran komputera. - Myślisz, że odpowiedź znajduje się tutaj.

- Mam nadzieję. Człowiek taki jak Scarpati nie nawiązuje niezauważony znajomości. Nie przypominam sobie, żebym coś o nim czytała, odkąd zostałam wydawcą ale tak czy inaczej sprawdzimy to. - Podeszła do swego biurka. - Jeżeli nie znajdziemy tego, czego szukamy w dziewięćdziesiątym czwartym, cofniemy się do dziewięćdziesiątego trzeciego.

Siedząc w swoim gabinecie za dużym hebanowym biurkiem, należącym kiedyś do jego ojca, Malcolm spojrzął w górę. Pomachał kartką papieru listowego, którą właśnie mu podał brat.

- Co to jest?

Charles, bledszy niż zazwyczaj, uśmiechnął się.

- Przemówienie na wypadek przegranej.

Uśmiech na ustach Charlesa sprawił, że Malcolm zirytował się jeszcze bardziej.

- Wiem, co to za przemówienie. Ale, do diabła, co ja mam z tym zrobić?

- Zawsze dobrze jest mieć co powiedzieć, w niespodziewanych okolicznościach. W takiej sytuacji to przemówienie będzie jak znalazł. Napisał je mój...

Malcolm zwinął kartkę w kulkę i cisnął do kosza.

- Nie będę wygłaszał żadnego przemówienia na wypadek przegranej. Doskonale wiesz, że jestem tak samo dobry jak urzędujący gubernator. Choć oczywiście prędzej dałbyś się zabić, niż to przyznać, prawda?

Charles zamknął oczy.

- Na miłość boską, Malcolmie, nie zaczynaj od nowa...

- Wiesz, na czym polega twój problem? Nie wierzysz we mnie. Nigdy nie wierzyłeś.

- To nieprawda.

- Czyżby? - Malcolm rozłożył ręce i wyglądał teraz tak, jakby był dwa razy większy od brata. - Od samego początku, od kiedy zajmuję się polityką, nigdy nie przyznałeś, że coś robię dobrze. I nawet wtedy, gdy nadstawiałem za ciebie karku, prowadząc twoje kampanie i przyczyniając się do tego, że znów cię wybierano, zawsze ktoś inny zbierał pochwały. Ja byłem tylko młodszym bratem, którego trzymałeś przy sobie z litości.

- Mylisz się. Tyle razy ci mówiłem, że nigdy nie czułem do ciebie litości. Poczucie winy - być może. Żal - to na pewno. Ale nie litość. I zawsze miałem uznanie dla twoich umiejętności. Jako szefa kampanii i jako polityka. Zawsze.

- To dlaczego nigdy nie akceptowałeś moich pomysłów?

- Nie wszystkich - wyjaśniał Charles znużonym głosem. - Tylko niektórych. Dlatego że mamy inne zapatrywania na pewne sprawy. Wiesz przecież, że mam bardziej liberalne poglądy.

- Nieźle, jak na republikanina.

- Nigdy tego nie ukrywałem.

- I mimo to, za każdym razem, wybierano cię do senatu. - Jego głos przybrał sarkastyczny ton. - Jak ci się to udawało, Charlesie? Skorzystałeś z mojej rady i posmarowałeś, gdzie trzeba? A może to zasługa twojego uroku osobistego?

Na ustach Chariesa zarysował się ledwo widoczny uśmiech.

- Urok to zawsze była twoja specjalność. Ja mogłem tylko o tym pomarzyć.

- Nigdy nie wierzyłeś, że mogę coś osiągnąć, prawda? A w każdym razie dużo mniej, niż osiągnąłem. No, przyznaj to. Uważałeś, że nie jestem dość mądry,

brak mi wyobraźni i determinacji, żeby zostać gubernatorem Teksasu. Pewnie boli cię świadomość, jak bardzo się myliłeś i że nie tylko jestem tak samo dobry jak ty, ale nawet lepszy.

Uśmiech znikł z twarzy Chariesa.

- Zawsze tylko to cię obchodziło. Być lepszym ode mnie.

- Co jest złego w tym, że bracia ze sobą rywalizują?

- Nic, pod warunkiem, że rywalizacja nie przerodzi się w obsesję. Albo, co gorsza, w zazdrość.

- Zazdrość? - Malcolm umyślnie powiedział to protekcjonalnym tonem. - Moja? Czy twoja? Nie rozśmieszaj mnie.

- A więc śmieję się. To znacznie lepsze niż kłótnia. - Podniósł się z fotela, opierając dłonie na poręczach. - Życzę ci jutro powodzenia, Malcolmie.

- Dziękuję.

Kiedy Charles wyszedł, Malcolm, który nie należał do ludzi długo roztrząsających rodzinne konflikty, wzruszył ramionami. Sięgnął po pilota i włączył telewizor. Szukał aktualnych informacji na temat zamachu na życie Laury Spencer, który miał miejsce niecały tydzień temu. Znalazł je na kanale CNN.

- Jak dotąd nie odnotowano znaczących postępów w śledztwie w sprawie tajemniczego napadu na wydawcę „Sentinela” Laurę Spencer. Przypominamy, że napad nie zakończył się dla niej tragicznie. W krótkim oświadczeniu dla naszej stacji sierżant Paul Sutherland z policji w Austin obiecał wczoraj, że śledztwo będzie kontynuowane.

Dzisiaj w Iraku Saddam Husajn...

Malcolm przestał słuchać. Rozparł się wygodnie w fotelu, trzymając palec wskazujący przy ustach. Wieści o ataku na Laurę Spencer, a potem o śmierci Tony'ego Cordera zdziwiły go i zbiły z tropu. Nie chodziło o to, że Enzo nie mógł zlecić zabójstwa. Raczej o to, dlaczego to zrobił. Laura nie stanowiła dla niego zagrożenia. Chyba że Enzo wiedział coś, o czym Malcolm nie miał pojęcia.

Miał nieprzewartą chęć, by zadzwonić do klubu nocnego Capri, ale powstrzymał się. Na samym początku ich znajomości Enzo jasno dał do zrozumienia, że Malcolm nie ma prawa się z nim kontaktować. Enzo będzie się z nim kontaktował. Odstępstwo od tej zasady mogło teraz drogo kosztować.

- Malcolm?

Na dźwięk głosu żony wyłączył telewizor i obrócił się w fotelu.

W drzwiach stała Barbara z wyrazem zakłopotania na twarzy.

- Co się stało Charlesowi? Wyszedł bez pożegnania.

Malcolm machnął lekceważąco ręką.

- Mieliśmy małą sprzeczkę na temat harmonogramu spotkań. Przejdzie mu. Nie przejmuj się.

- Martwię się. On jest chory, Malcolmie. Poświęcił tyle czasu i energii na tę kampanię. Mógłbyś przynajmniej okazać mu trochę współczucia.

- Współczucie nie pomoże mi wygrać wyborów.

- Jak możesz tak mówić? Gdyby nie on i wsparcie jego i jego bogatych przyjaciół, może nigdy nie zaszedłbyś tak daleko.

- Dziękuję ci, Barbaro - zauważył sarkastycznie. - Nie ma to jak słowa otuchy z ust małżonki dwadzieścia cztery godziny przed wyborami.

Głos Barbary złagodniał.

- Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało. Wiesz przecież, że wierzę w ciebie. Tak jak w to, że jutro wygrasz. Chciałabym tylko, żebyś miał dla Chariesa więcej cierpliwości, zważywszy na to, przez co przeszedł.

Gdyby jej jutrzejsza obecność nie była tak ważna, pewnie powiedziała by jej, żeby poszła do diabła. Ale teraz nie mógł sobie pozwolić na wpadkę. Od dnia konferencji MediaTech nie wzięła do ust kropli alkoholu. Chciał, żeby nadal tak się zachowywała. Chociaż do jutra.

Wstał, uśmiechając się.

- Masz rację, kochanie. Jak zawsze. Poczekam, aż Charles wróci do domu i zadzwonię do niego, żeby go przeprosić. - Dopiero teraz dostrzegł koszulę, którą trzymała w ręce. - To moja koszula?

- Tak - rozłożyła ją. - Dolores akurat ją prasowała i na mankencie zauważyła plamę krwi. - Przysunęła rękaw, żeby mu pokazać. - Prała ją w ciepłej wodzie razem z całą resztą i zdaje się, że plama się utrwaliła.

Malcolm poczuł się tak, jakby go ktoś walnął w brzuch. To była koszula,

którą miał na sobie w noc zabójstwa J. B.

30

Nie mogąc wydusić z siebie słowa, Malcolm wciąż patrzył na koszulę. Mankiet zaplamił pewnie wtedy, gdy odginał palce J. B. z rękojeści noża. Tamtej nocy chciał jak najszybciej wrócić do łóżka i zapomnieć o koszmarze. Nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby sprawdzić ubranie.

Barbara patrzyła na niego zakłopotana.

- Skaleczyłeś się?

Malcolm kiwnął głową, zadowolony z wymówki, którą mimowolnie mu podsunęła.

- Tak. Skaleczyłem się... przy goleniu.

- Byłeś wtedy w koszuli?

- Nie, oczywiście że nie. - Ze wszystkich sił starał się opanować drżenie głosu. - Rana się otworzyła, jak się ubierałem.

Marynarka! Na rękawie pewnie też jest krew. Poczuł, jak nogi się pod nim uginają. Z trudem zmusił się, żeby obejść biurko, zachowując pozory spokoju.

- Wyrzuć ją - powiedział. Machnął ręką. - Jeżeli plama nie zeszła, to koszula jest do niczego.

- Daj, zobaczę to skaleczenie. - Barbara podeszła bliżej. - Założyłeś opatrunek?

- Nie ma co oglądać. Już prawie się zagoiło. - Musi sprawdzić marynarkę i wyrzucić ją, zanim Dolores, która zajmowała się jego ubraniami, odda ją do pralni.

- Malcolmie, czy coś się stało?

- Nie mogę teraz rozmawiać, Barbaro - powiedział, wymijając ją. Muszę przygotować się do spotkania z senatorem Babcockiem.

Nie był już dłużej w stanie ukrywać swojego pośpiechu, niemal wybiegł z gabinetu.

W sypialni poszedł prosto do szafy, którą dzielił razem z Barbarą. W pośpiechu przeglądał wieszaki, dopóki nie znalazł garnituru - brązowego w jodełkę

- który miał na sobie tamtej nocy.

Serce mu zamarło. Prawy mankiet był od spodu ubrudzony krwią, która po wyschnięciu zamieniła się w ciemną purpurową plamę.

Ściągnął ubranie z wieszaka i zwinął w kłębek. Rozglądał się pokoju, szukając miejsca, gdzie mógłby je na razie schować. Dziś w nocy, kiedy Barbara uśnie, zadba o to, żeby się go pozbyć na dobre. Może je spali w kominku. Albo utopi na dnie jeziora. Tak, to znacznie lepszy pomysł, bezpieczniejszy. Tam nikt go nie znajdzie.

Sięgał po walizkę leżącą na górnej półce szafy, gdy otworzyły drzwi i weszła Barbara. Wciąż trzymała koszulę w ręce.

- Co się z tobą dzieje, Malcolmie? Wybiegłeś z gabinetu, jakby się paliło.

- Powiedziałem ci już. Mam spotkanie z Babcockiem.

- Ale dopiero o wpół do drugiej. - Jej wzrok padł na zwinięte ubranie, które Malcom przyciskał do piersi. - Co ty robisz z tym garniturem? Na marynarce też jest krew?

Zaprzeczanie czemuś, co łatwo mogła sprawdzić, było bezcelowe.

- Tak. Ja... Chcę go zanieść do pralni.

- Na litość boską, nie musisz odnosić ubrań do pralni. Dolores to zrobi. - Wyciągnęła rękę. - Daj mi to.

- Nie - odruchowo cofnął się o krok. I natychmiast zrozumiał, to był błąd.

Barbara, która była czasem uparta bardziej niż stado mułów, przyglądała mu się uważnie.

- Dlaczego zachowujesz się tak dziwnie, Malcolmie? Dlaczego nie chcesz, żebym zajęła się twoją marynarką?

Musi coś zrobić, żeby się wreszcie zamknęła.

- Co to jest, do cholery? Pieprzone przesłuchanie? Nie mogę zająć się swoim ubraniem, jeśli mam na to ochotę?

Powoli, jak kobieta, która ma do spełnienia misję, podeszła blisko i stanęła na wprost niego. Jej postawa uległa zmianie. Ciało zesztyniało, a oczy, zwykle tak łagodne, spoglądały na niego teraz z chłodną determinacją.

- Co ty przede mną ukrywasz, Malcolmie?

- Nic.

- Uważasz, że jestem głupia? - Zanim zdążył się zorientować, wyrwała mu garnitur z rąk, upuszczając spodnie. Wciąż stał nieruchomo, gdy rozwijała marynarkę i oglądała prawy rękaw.

Przez kilka sekund, które wydawały się wiecznością, wpatrywała się w dużą czerwoną plamę. Kiedy w końcu podniosła wzrok, jej twarz miała odcień szarości.

- To duża plama, Malcolmie - powiedziała bezdźwięcznym głosem, niewiele głośniejszym od szeptu.

Zwilżył wargi.

- Dlaczego robisz z tego taki problem? Powiedziałem ci już...

- Dlatego że to jest garnitur, który miałeś na sobie na kolacji u Jaycee. Tamtej nocy, gdy zamordowano J. B.

- Jak w takim stanie mogłaś zapamiętać, co wtedy miałem na sobie?

- Nie wiem, ale pamiętam. Dokładnie. Byłeś wtedy na mnie zły za to, że J. B. odwiózł mnie do domu. Powiedziałeś, że chce się z tobą spotkać, że musisz wiedzieć, co mu powiedziałam, żebyś wiedział, jak z nim rozmawiać.

- I co z tego? - Starał się, żeby zabrzmiało przekonująco, i wiedział, że mu się to nie udało. Ona już domyśliła się całej prawdy.

- Następnego dnia rano powiedziałeś, że nie zdążyłeś z nim porozmawiać. Mówiłeś, że kiedy wyszedłeś z Czterech Pór Roku, było już za późno i postanowiłeś skontaktować się z nim później. - Znów spojrzała na zaplamiony krwią rękaw. - Okłamałeś mnie, prawda? I teraz też kłamiesz. Chcesz, żebym uwierzyła, że cały dzień chodziłeś w poplamionym ubraniu, a potem poszedłeś na ważną uroczystość w tej samej marynarce. Jesteś na to zbyt pedantyczny, Malcolmie.

- Nie zauważyłem plamy... - Słowa uwięzły mu w gardle.

- Ktoś w biurze musiałby ją zauważyć. Spójrz tylko! - krzyczała, podsuwając mu rękaw pod nos. - Jak można było to przeoczyć?

Opuściła rękę, marynarka wypadła jej z dłoni.

- Poplamiałeś ją tamtej nocy, prawda? Kiedy poszedłeś zobaczyć się z J. B.

Po... - Zamknęła na chwilę oczy. - Po tym, jak go zabiłeś.

Nie było sensu dłużej zaprzeczać. Był wyczerpany. Musi oszczędzać siły na następną batalię - trzeba przekonać ją, że nie miał innego wyjścia, że J. B. zniszczyłby ich oboje.

- Pozwól, że ci wyjaśnię...

Krzyk, który wydobył się z jej gardła, przypominał ryk zranionego zwierzęcia. Zaciśnęła dłonie w pięści i przycisnęła do ust, jej oczy były przerażone. Kręciła głową powoli, nieustannie, jakby nie mogła przyjąć do wiadomości tego, co właśnie odkryła.

Podszedł do niej, chcąc ją uspokoić, tak jak to robił zazwyczaj, ale nie pozwoliła mu.

- Zabiłeś go! - krzyczała histerycznie, odsuwając się do tyłu. - Zabiłeś J. B.! I pozwoliłeś, żeby ktoś inny został o to oskarżony...

Uderzył ją mocno. Dotknęła ręką policzka, patrząc na niego z niedowierzaniem.

- O mój Boże, Barbaro, przepraszam. - Podszedł bliżej. - Nie chciałem tego zrobić... Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Wpadłaś w histerię... - Próbował odsunąć jej dłoń od policzka. - Pokaż...

Odepchnęła go tak mocno, że o mało się nie przewróciła.

- Nie dotykaj mnie! - Wybuchła płaczem, odwróciła się i wybiegła.

Potrzebował zaledwie kilku sekund, żeby się pozbierać. Musi ją powstrzymać. Jest w takim stanie, że może zrobić wszystko, włącznie z pójściem na policję.

Biegł schodami, wołając ją i błagając, żeby się zatrzymała i wysłuchała go.

Ale nie zrobiła tego. Pobiegnęła na oślep przez hol, pchnęła drzwi wejściowe i znikła mu z oczu.

Kiedy dobiegł do portyku, właśnie wsiadała do samochodu.

- Barbaro, na litość boską, zaczekaj!

Drzwi mercedesa zamknęły się z trzaskiem. Za chwilę był przy samochodzie i ciągnął za klamkę, żeby otworzyć drzwi. Bezskutecznie. Barbara zdążyła je zablokować.

- Barbaro, nie rób głupstw. Porozmawiajmy. - Walił pięścią w drzwi i wołał, na zmianę grożąc i błagając. - Proszę cię, kochanie. Przysięgam, że wszystko zrozumiesz, kiedy tylko...

Patrząc przed siebie, Barbara uruchomiła silnik. Gwałtownie ruszyła rozpryskując żwir i przewracając Malcolma na ziemię.

Oszołomiony patrzył, jak samochód znika na drodze.

31

Kiedy w poniedziałek wieczorem wyczerpana pracą Laura odsunęła się od komputera, była dziesiąta. Dwa dni spędzili na przekopywaniu się przez stare artykuły, kolumny plotkarskie i wiadomości miejskie i niczego nie znaleźli.

- Też nic nie znalazłaś? - Ted przeciągnął się, z trudem powstrzymując ziewanie.

Pomasowała nasadę nosa.

- Nigdzie nie ma wzmianki o tym, że Scarpati był w Austin. A przecież mogę się założyć, że nie jest tu obcy. Południowy Zachód to dla niego lukratywny rejon. Ponad połowa narkotyków docierających do Stanów przewożona jest przez granice Teksasu. Dlaczego miałby nie brać w tym udziału?

- To prawda. Ale co to ma wspólnego z tobą? Albo z J. B.?

- Żebym tylko wiedziała, psiakrew. - Wstając, zobaczyła Nicki Cochran, redaktorkę z działu zagranicznego, która machała do niej ręką.

Podeszła z Tedem do jej biurka.

- Co się stało? - zapytała.

Nicki rozmawiała akurat przez telefon i przysłoniła dłonią słuchawkę.

- Mam na linii naszego londyńskiego korespondenta. Mówi, że w czasie nocnego spotkania premiera z rzecznikiem IRA przy Downing Street 10 wybuchła bomba.

- Są jakieś ofiary? - dopytywał Ted.

- Właśnie usiłuję się dowiedzieć - westchnęła zirytowana, rzucając słuchawkę. - Cholera. Znowu się rozłączyli. Już trzeci raz. - Odwróciła się do komputera i nacisnęła kilka klawiszy, żeby ściągnąć najnowsze informacje, ale niczego nie było.

Ted już wykręcał numer przy drugim telefonie.

- Nie masz nic przeciwko, żebym zadzwonił do Lloyda? - zapytał Laureę.

- Pewnie, że nie. Włącz interkom, żeby wszyscy słyszeli.

Tak jak się spodziewał Ted, Lloyd słyszał o incydencie i już był na nogach. Próbował wysłać fotografa na miejsce.

- Tam jest bałagan jak diabli. - Głos redaktora Associated Press drżał. - Podobno trzy ofiary śmiertelne i żadnych informacji ani o premierze, ani o przedstawicielu IRA.

- Ktoś przyznał się do zamachu?

- Jak dotąd, co najmniej kilka grup terrorystycznych. Moim zdaniem bombę podłożył ktoś, komu zależy na zerwaniu rozmów pokojowych. Kilka minut po wybuchu wszystkie londyńskie gazety otrzymały anonimowy telefon grożący zamachami na terenie całej Anglii i Irlandii. Musisz pojechać do Belfastu. Wynajmij samolot, jeśli to będzie konieczne. Bez względu na koszty...

Ted spojrzał na Laureę. Przyglądała mu się uważnie.

- Teraz nie mogę, Lloyd. Może za kilka dni...

- Za kilka dni będzie za późno. Potrzebuję cię teraz. - Na linii słychać było jakieś zakłócenia, potem brzęczenie, w końcu zapadła cisza.

Połączenie zostało przerwane.

Ted odłożył słuchawkę. Kiedy podniósł wzrok, Laury już nie było. Znalazł ją w bmw. Siedziała z przodu z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Co się stało? - zapytał, siadając za kierownicą. - Dlaczego uciekłaś?

- Nie wiesz?

- Mam pewne przypuszczenia, ale chciałbym to usłyszeć od ciebie.

Zamknęła oczy i poczekała, aż serce przestanie jej walić.

- Nie uda nam się, prawda, Ted? To znaczy nie mamy przed nami przyszłości.

Ted obrócił się, żeby spojrzeć jej prosto w oczy.

- Tego bym nie powiedział.

- Nie? - spytała ironicznie. - A co byś powiedział?

Obawiał się tej chwili, myśl o niej odsuwał od siebie w nadziei, że kiedy już nastąpi, stosunki z Laurą będą na takim etapie, że nie sprawi żadnej różnicy. Sam

się jednak oszukiwał. Laura nie należała do kobiet, które zadowolają się półśrodkami. Wszystko jedno, czy wyboru dokona dziś, czy za dwa miesiące. Tyle wiedział na pewno.

- Słyszałaś, co powiedziałem Lloydowi. Nie jadę.

- Ale chcesz jechać. I to bardzo. - Uśmiechnęła się do niego smutno. - Przyznaj, Ted. Tak naprawdę tylko to daje ci prawdziwe szczęście. Chcesz robić to, czym zajmowałeś się przez ostatnie szesnaście lat. Musiałabym być ślepa, żeby tego nie widzieć.

- Nie twierdzę, że nie kocham swojej pracy. Ale ciebie też kocham. Bardziej niż kogokolwiek.

Słowa wypowiedziane z taką szczerością doprowadziły ją do łez, ale powstrzymała je. Nie będzie płakać, do cholery. Nie będzie go zatrzymywać w taki sposób.

- Ja też cię kocham. I dlatego nie proszę, żebyś wybierał między karierą i mną. Gdybym tak zrobiła, a ty wybrałbyś mnie, wciąż bym się zastanawiała, czy nie zrobiłaś tego, bo nie miałaś wyjścia. Nie mogłabym żyć, zastanawiając się, czy gdybyś wybrał inaczej, nie byłbyś szczęśliwszy.

Ujął ją za brodę i uniósł delikatnie.

- Istnieją kompromisowe rozwiązania, które możemy przedyskutować. Jeden z moich najlepszych przyjaciół w Londynie stanowi doskonały przykład na to, że para nie musi mieszkać pod jednym dachem przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, żeby była szczęśliwa.

- A inne pary? Te, którym się nie udaje? To większość czy mniejszość?

- Wszystko zależy od nas, kochanie. Jednym się udaje, innym nie.

- Nie chcę ryzykować, że będziemy się zaliczać do tej drugiej kategorii.

Uśmiechnął się.

- Myślałem, że lubisz wyzwania.

Potrząsnęła głową.

- Nie w takim wypadku. - Obok przejechała karetka na sygnale. Laura śledziła wzrokiem migające czerwone światła, dopóki nie znikły. - Zwariowałabym, mając świadomość, że w każdej chwili możesz znaleźć się w

niebezpieczeństwie.

Zabrał rękę.

- O czym ty mówisz?

- Mówię, że wszystko, co było między nami, było cudowne. Ale teraz chcę, żebyś pojechał do Belfastu, Ted. Chcę, żebyś był tam, gdzie jest twoje miejsce.

- Moje miejsce jest przy tobie.

- Nie dziś wieczorem. Nie po tym, jak widziałam twoją twarz, gdy rozmawiałeś z Lloydem. Nie po tym, jak słyszałam w twoim głosie podniecenie.

Chciał zaprzeczyć. Chciał jej powiedzieć, że za bardzo ją kocha, żeby z niej rezygnować, że gotów jest się ustatkować. Ale jej baczny wzrok zamknął mu usta. Ma rację. Rozmowa z Lloydem sprawiła, że poczuł podniecenie, ale też głęboki żal, że po raz pierwszy od szesnastu lat nie będzie brał w tym udziału, że to nie jego aparat robi zdjęcia, że nie odegra w tych zdarzeniach żadnej roli.

- Nie chcę cię teraz zostawiać - powiedział z uporem w głosie. - Poczekam i zobaczę, co się stanie z „Sentinelem”, a potem...

Jeszcze raz potrząsnęła przecząco głową.

- Nie. Słyszałeś, co powiedział Lloyd. Ta sprawa nie może czekać. Poza tym to, że zrezygnujesz z wyjazdu, nie zmieni losu „Sentinela”. - Po chwili dodała: - Znam w Dallas pilota wynajmującego samoloty. Zadzwońię do niego. Jestem pewna, że zabierze cię wszędzie, gdzie zechcesz.

Nie było sensu z nią dyskutować. Pojedzie do Belfastu i stamtąd do niej zadzwoni. Może po pewnym czasie, kiedy wszystko przemyśli, zrozumie, że nawet taki związek „na pół etatu” jest lepszy niż żaden, i zmieni zdanie.

Włożył kluczyk do stacyjki, wrzucił bieg i ruszył w stronę Lost Creek.

Za trzecim razem Laura wreszcie zlokalizowała Dale'a Andersena na lotnisku Dallas/Fort Worth. Pilot właśnie wrócił z Orlando na Florydzie, ale tak jak przewidywała, gotów był polecieć wszędzie.

- Daj mi kilka godzin, żebym mógł nadrobić zaległości we śnie - powiedział.
- Będę gotów do startu jutro rano o jedenastej.

Tej nocy kochali się inaczej, desperacko. I nawet orgazm, jakiego jeszcze nie miała, nie mógł tego zmienić. Później, kiedy Ted trzymał ją w ramionach, Laura

czuła, jak powoli i nieubłaganie zwiększa się dzielący ich dystans.

O szóstej rano udawała, że śpi, żeby uniknąć płaczliwych pożegnań. Słyszała, jak Ted wstaje z łóżka i wychodzi z pokoju, żeby się spakować.

Malcolm szalał. Był wtorek, wpół do siódmej rano. Od chwili, gdy Barbara wypadła z domu jak burza, upłynęło trzynaście godzin. Początkowo myślał, że pojechała do swojej matki, jak zawsze, gdy wpadała w szal. Poleciał więc do Houston samolotem Jerry'ego Orbacha, który był do jego dyspozycji dzień i noc. Ale kiedy dotarł na miejsce, okazało się, że dom jest ciemny i cichy, a na podjeździe nie ma żadnego samochodu. Dzwonił do drzwi prawie dziesięć minut, mając nadzieję, że Barbara jest w środku i tylko się dąsa. Przekonał się jednak, że jej tam nie ma, wrócił do domu i zaczął wydzwaniać do Deirdre.

Teraz przemierzał sypialnię tam i z powrotem, z wściekłością spoglądając na telefon. Chciał, żeby zadzwonił. Zaczął wpadać w panikę. Gdzie ona się podziewa? Za niecałą godzinę rozpoczną się wybory. Dziennikarze przybędą w komplecie, spodziewając się, że Barbara będzie razem z nim. Co im powie, do licha?

Nie śmiał dzwonić do żadnej z jej przyjaciółek w obawie, że rozejdzie się wieść o zaginięciu Barbary. Nic nie mógł zrobić. Mógł tylko czekać.

Krople deszczu uderzające w okno obudziły Laureę. Uśmiechając sięgnęła ręką obok, pewna, że natrafi na silne, mocne plecy. Ale natrafiła tylko na zimną pustkę. Z bólem uświadomiła sobie, że Ted wyjechał.

Stłumiła szloch, przyciskając poduszkę do piersi i zanurzając w nią twarz. Musiała być tak cholernie szlachetna? Dlaczego nie kazała wybierać? Wiele kobiet na jej miejscu tak by zrobiło. Ted wybrałby ją. A ona zrobiłaby wszystko, żeby był szczęśliwy. Przy niej zapomnialby o takich miejscach jak Bośnia, Irlandia i Ruanda. Jest tyle innych rzeczy wartych fotografowania. Również w Teksasie.

Pamiętała jednak słowa Mildred: „To obieżyświat. Nie usiedzi długo na

jednym miejscu”.

W Burnet nie byłby szczęśliwy. Dobrze zrobiła.

Wstała powoli. Automatycznie wykonywała wszystkie poranne czynności. Jakimś cudem zmusiła się, żeby wziąć prysznic i się ubrać. Musiała się nawet zmusić, żeby pojechać do „Sentinela”. A tam na biurku kalendarz pokazywał datę, wtorek ósmego listopada. Za kilka godzin los gazety będzie przesądzony.

Starając się nie myśleć o Tedzie, usiadła przed komputerem i wzięła się do pracy.

Właśnie miała zrobić sobie przerwę na kawę, kiedy wreszcie natrafiła na artykuł, którego tyle czasu szukała. Zamieszczono go na trzeciej stronie piątkowego wydania z dwudziestego trzeciego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

Wczoraj wieczorem w kolacji wydanej w celu zebrania funduszy na kampanię wyborczą burmistrza Malcolma Kandalla brało udział ponad dwieście osób. Impreza, na którą bilet wstępu kosztował pięćset dolarów, zorganizowana w hotelu Cztery Pory Roku przez Jerry'ego Orbacha, prezesa Komitetu Akcji Politycznej, zasilila konto burmistrza Malcolma Kandalla, ubiegającego się o drugą kadencję sumą stu tysięcy dolarów.

Pod krótkim tekstem było zdjęcie przedstawiające uśmiechniętego Malcolma obok Jerry'ego Orbacha. Tuż za nim, nieco z boku, stał mężczyzna uderzająco podobny do Enzia Scarpatiego.

Laura odchyliła się w krześle. To było to. Związek, którego szukała przez kilka tygodni. Jak mogła zapomnieć o Jerry'emu Orbachu? Pięć lat temu ten dealer samochodowy był wplątany w aferę narkotykową wraz ze skorumpowanym szeryfem Paulem Montenegrem z okręgu Hidalgo. Mimo że Orbach został zwolniony z braku dowodów, mało kto wierzył, że jest niewinny.

To Orbach jest ogniwem łączącym, a nie Malcolm Kandall. Tylko w jaki sposób? Jak Jerry, stale obserwowany przez FBI, mógł pomagać Enziowi Scarpatiemu w operacjach narkotykowych?

Chyba że Enzo Scarpati był na tej imprezie wyłącznie z jednego powodu - żeby spotkać się z Malcolmem Kandallem. Ta wersja miała więcej sensu.

Jeszcze raz spojrziała na zdjęcie, przyglądając się mężczyźnie, w którym rozpoznała Scarpatiego. Miał takie same gęste czarne włosy, oliwkową cerę i taki sam pieprzyk na nosie. Jeszcze kilka dni temu i miałyby wątpliwości, ale po jego

wizycie w szpitalu w zeszłym dniu była pewna, że to on.

- Dobre wieści?

Na dźwięk głosu Mildred Laura podniosła wzrok.

- Wreszcie znalazłam, Mildred.

Mildred szybko zamknęła drzwi.

- Znalazłaś coś na Malcolma Kandalla?

- Sama zobacz. - Odchyliła się, żeby Mildred mogła spojrzeć na ekran. - Jednak Enzo Scarpati kłamał - powiedziała, gdy Mildred zajęta była czytaniem. - I teraz mogę to udowodnić.

Wybrała numer Quentina. Powiedziała mu, co odkryła.

- Zaraz zadzwonię do detektywa w Nowym Jorku zakomunikował ożywionym głosem. - Nietrudno będzie sprawdzić, gdzie Enzo był tego wieczoru.

Kiedy Laura odłożyła słuchawkę, natychmiast zadzwonił telefon. Była to jej prywatna linia. Mając cichą nadzieję, że to może Ted, od razu odebrała.

- Laura Spencer.

Głos z drugiej strony linii był niewyraźny. Laura nie rozumiała, co mówi dzwoniąca kobieta.

- Nie rozumiem. Kto mówi?

- Barbara... - szlochała. - Barbara Kandall.

- Barbara. - Laura chwyciła słuchawkę w obie dłonie. - Co się stało? Dlaczego płaczesz?

- Muszę z tobą porozmawiać. - Laura usłyszała brzęk kostek lodu w szklance. Barbara była pijana, bardzo pijana.

- Słucham cię, Barbaro.

- Wiem... - Nastąpiła krótka przerwa. - Wiem, kto zabił J. B

32

Serce Laury zaczęło walić jak oszalałe.

- Kto to zrobił?

- To rozmowa nie na telefon. Muszę... to wyjaśnić osobiście

- Dobrze. - W obawie, że Barbara odłoży słuchawkę, Laura spierała się z nią.

- Powiedz mi, gdzie teraz jesteś.

- W Houston. W domu mojej matki. - Barbara zaczęła płakać. - To takie okropne - mówiła przez łzy. - Potworne.

- Barbaro, posłuchaj mnie. Przestań już pić. To tylko pogarsza sprawę. Pomogę ci. Chyba po to do mnie zadzwoniłaś, prawda? Chcesz, żebym ci pomogła?

- Tak.

- No właśnie. Podaj mi adres swojej matki.

- Musisz przyjechać sama. Bez policji. Pod żadnym pozorem ich nie zawiadamiaj.

- Dobrze. - Łagodniejszym głosem dodała: - Podasz mi adres?

- 101 Inwood. Naprzeciwko River Oaks Country Club.

Laura zapisała adres, przyciskając ramieniem słuchawkę do ucha.

- Zapisałam.

- Kiedy... będziesz?

- Nie wiem. Spróbuję złapać najbliższy lot. Jeśli mi się nie uda, przyjadę samochodem. Ale na pewno będę.

W ciągu niespełna trzech godzin Ted z Austin dotarł na lotnisko Dallas/Fort Worth. Z lotniska zadzwonił do domu, do Sandry, ale nikt nie odpowiadał. Postanowił zadzwonić później, z samolotu.

Teraz, czekając na naprawę uszkodzonego podwozia samolotu Dale'a Andersona, nie mógł usiedzieć na miejscu. Spacerował po małej poczekalni tam i z powrotem. Nie potrafił się skoncentrować i ułożyć planu działania, jak to miał w zwyczaju przed ważnym zadaniem.

Stale myślał o Laurze, o tym, jak wyglądała rano, gdy wyjeżdżał, jaka była delikatna i bezbronna. Gdy całował ją w ciepły policzek, tak bardzo go kusiło, żeby posłać do diabła Belfast i wrócić do łóżka.

Teraz, kiedy zbliżał się czas odlotu, coraz bardziej wątpił w słuszność swojej decyzji. Nie był już taki pewien, czy latanie z jednego końca świata na drugi z aparatem na szyi jest tym, czego naprawdę pragnął. Bez wątpienia fotografowanie było jego pasją. Ale związek z Laurą był wyjątkowy.

Kiedy do poczekalni weszła szczupła kobieta z długimi rudymi włosami, serce aż mu podskoczyło.

- Laura!

Dopiero gdy kobieta spojrzała na niego zdziwiona, zorientował się, że się pomylił.

Stał dłuższą chwilę zawiedziony. Z głośnika pod sufitem dobiegał głos spikera. Poszedł do telefonu i zadzwonił do „Sentinela”. Przypuszczał, że Laura siedzi w redakcji i pracuje.

- Laury nie ma - poinformowała go Mildred. Pojechała do Houston.

- Do Houston? A co ona tam, na miłość boską, robi?

- Zadzwoniła Barbara Kandall. Powiedziała, że wie, kto zabił J.B.

- Co takiego?

- Ja też tak zareagowałam. - Mildred mówiła spokojnym głosem. - Ale akurat byłam przy tym, jak Laura odebrała telefon, Ted. Tym razem to nie podstęp. Naprawdę dzwoniła Barbara.

- Czy Laura zawiadomiła policję?

- Nie. Barbara powiedziała, żeby w żadnym wypadku nie powinna

powiadamiać policji. Chciała sama z nią porozmawiać.

W co się tym razem pakuje? Ted poczuł skurcz w żołądku. Skąd miał wiedzieć, czy to nie pułapka, tym razem zastawiona przez Malcolm'a?

Kusiło go, żeby zadzwonić do Amosa, pomyślał jednak, że na razie lepiej tego nie robić. Jeżeli Barbara mówiła prawdę, obecność policji mogłaby wszystko zepsuć. Laura nigdy by mu tego nie wybaczyła.

Zerknął na zegar na ścianie.

- Kiedy wyjechała, Mildred?

- Mniej więcej godzinę temu. Nie zdążyła na ostatni poranny lot. Nie chciała czekać na następny, więc pojechała samochodem.

Ted myślał szybko. Houston było trzy i pół godziny drogi z Austin. Jeżeli wylecą z Dale'em w przeciągu najbliższej godziny, będą na miejscu mniej więcej w tym samym czasie co Laura.

- Pojechała do posiadłości Fentonów, do mojej ciotki?

- Tak.

Rozłączył się i natychmiast zadzwonił do hangaru.

- Dale - powiedział, gdy pilot odebrał telefon. - Zmiana planów. Lecimy do Houston.

- Dlaczego nie chcesz tego zrobić? - krzyczała rozdrażniona Sandra. Ojciec uparcie wyglądał przez okno firebirda. - Naprawdę tyle by cię kosztowało, gdybyś powiedział Tedowi „przepraszam”? On już to zrobił. A w każdym razie próbował.

- W odróżnieniu od Teda ja nie mam za co przepraszać - warknął Charles. - To on oskarżył mnie, że jestem mordercą, o ile sobie przypominasz.

- Nie przypominam sobie. Miałam wtedy sześć lat.

- Więc musisz mi wierzyć na słowo.

- Ale to było wieki temu, tato. Od tamtego czasu przepraszał cię nieraz.

Dlaczego mu nie wybaczysz?

- Pewnych spraw ojciec nie może łatwo zapomnieć. Ani wybaczyć.

- Mniej surowy ojciec tak by zrobił.

- Dość już Sandro. Zgodziłem się, żebyś zawiozła mnie na głosowanie, a nie wciągała w dyskusje o bracie.

Strasznie nie lubiła go denerwować ale, do licha, przed powrotem Teda do Anglii musi jeszcze raz spróbować pogodzić mężczyzn, których kochała najbardziej na świecie.

- Dlaczego czujesz się tak dotknięty? Zranił cię? A może to dlatego, że miał odwagę przełamać tradycję, zrobić coś, czego ty nigdy nie byłbyś w stanie zrobić.

Zerknęła na niego z nadzieją, że zrobiła choćby drobny wyłom w murze, którym tak uparcie się otaczał, ale wyraz jego twarzy był tak samo obojętny jak przedtem.

- Kultywowanie tradycji Kandallów to był mój wybór, Sandro. Mój wkład w historię naszej rodziny, z czego jestem dumny. Natomiast Teda nigdy nie interesowała tradycja.

- I co z tego? Spójrz, ile osiągnął. - Wjechała na parking przy Omega Elementary School, gdzie powoli zjeżdżali się wyborcy. Gdy jej uwaga spotkała się z głuchym milczeniem, odwróciła się do ojca. - Nie rozumiem cię, tato. Mówisz tak, jakby Ted był jakimś potworem, człowiekiem bez serca, jakby nie kochał swojej rodziny. A tak wcale nie jest. Jest troskliwy, ciepły i wspaniałomyślny. I kocha rodzinę.

- Powiedziałem już, że nie chcę o nim rozmawiać. - W oczach Charlesa błyszczał gniew. Sandra odchyliła się, jakby uderzył ją w twarz. - Teda długo nie było w moim życiu i chcę, żeby tak zostało.

Poczuła dławiący gniew.

- To straszne, co mówisz. Po tym wszystkim, co zrobił, żeby cię chronić. Przecież gdyby nie on, siedziałbyś teraz w więzieniu...

Zamilkła przerażona tym, że za dużo powiedziała. O mały włos, a by się wygadała.

Charles przygwoździł ją wzrokiem.

- Co ty powiedziałaś?

Odwróciła się, żeby sięgnąć po torebkę.

- Nic. Chodźmy już, zanim zrobi się tłoczno.

Mimo osłabienia mocno zacisnęła dłoń na jej nadgarstku.

- Nigdzie nie pójdziemy, dopóki mi nie powiesz, co miała oznaczać ta uwaga. Co on ci naopowiadał? Jakimi kłamstwami nakarmił cię tym razem?

- Ależ tato. - Potrząsnęła głową. - Ty go w ogóle nie znasz.

- Powiedz wreszcie, co ci powiedział, do cholery!

Przez chwilę wahała się. Bała się go zranić, a równocześnie chciała mu wszystko powiedzieć, żeby udowodnić, że Ted troszczy się o niego. To wyraz jego oczu, twardy i nieustępliwy, sprawił, że podjęła decyzję.

- On wie o mamie - szepnęła. - Oboje wiemy.

Puścił jej nadgarstek.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

Spojrzała w stronę parkingu. Przyjeżdżało coraz więcej osób. Wszyscy szli z pochylonymi głowami, chowając się przed podmuchami silnego wiatru. W oddali zbierały się deszczowe chmury, nadając niebu odcień szarości. Po chwili odwróciła się do ojca i spojrzała mu prosto w oczy.

- Wiemy, że ją zabiłeś.

Nie wiedziała, co zobaczyła najpierw, szok czy przerażenie. Te uczucia, zbyt silne, żeby je ukryć, odbijały się na przemian w jego oczach gdy patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Mój Boże. - Głos zamarł mu w suchych, białych ustach.

- Kilka tygodni temu Ted znalazł na strychu łańcuszek mamy schowany w twojej starej torbie golfowej.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydać z siebie ani słowa.

- Był wstrząśnięty - ciągnęła Sandra. - Nigdy wcześniej nie widziałam go tak rozdartego, pokonanego. A mimo to znalazł dość siły, by mnie podtrzymać na

duchu. Kiedy błagałam go, żeby nikomu o tym nie mówił, zgodził się. Nie była to dla niego łatwa decyzja, tato. Wiesz przecież, co czuł do mamy. A mimo to zgodził się. Zrobił to ze względu na ciebie. Żeby zaoszczędzić ci bólu. Zrobił to, bo cię kocha...

Charles osunął się ciężko. Zamknął oczy, ciężko dysząc.

- Tato? - potrząsnęła nim.

Poklepał ją lekko.

- Wszystko w porządku.

- Przestraszyłeś mnie.

- Nie bój się. Twarda ze mnie sztuka. Żeby mnie zabić, potrzeba czegoś więcej niż sprzeczki z córką.

- Nie mów tak.

Oddychał już łatwiej, ale wciąż był blady.

- Chcę usłyszeć resztę tej historii, Sandro. Co Ted robił na strychu?

Opowiedziała mu wszystko: o tym, jak pojechała do Londynu i namawiała Teda do powrotu i jak przyszło jej do głowy, żeby przyjechał do Austin pod pretekstem wystawy.

Nie przerywał jej. Siedział wyprostowany i patrzył, jak krople deszczu monotonnie uderzają w asfalt.

Tak było do chwili, gdy zaczęła opowiadać o jego kłótniach z matką, które słyszała co noc. Odwrócił się do niej.

- Słyszałaś to wszystko?

Kiwnęła głową.

- Każde słowo. Słyszałam też, jak mama powiedziała ci, że w jej życiu jest inny mężczyzna i chce cię opuścić.

Zamknął oczy.

- Dobry Boże.

- Chciałam przyjść do ciebie następnego dnia, ale za bardzo się bałam.

- Więc zamiast do mnie, poszłaś do brata.

- Nie. Nie powiedziałam mu nic aż do dnia, kiedy próbowałam go przekonać, żeby dał ci jeszcze jedną szansę. Kiedy dowiedział się o tajemniczym kochanku, poszedł na strych w nadziei, że dowie się, kim był. Myślał, że może to zabójca mamy. Ale znalazł łańcuszek w twojej torbie golfowej.

- I doszedł do wniosku, że to ja go tam włożyłam.

Spojrzała na niego zdumiona.

- No cóż... Tak. To znaczy, że włożyłaś. A nie?

Kręcił powoli głową, patrząc jej w oczy.

- Nie, Sandro. Nie zrobiłem tego. Jestem tak samo zdziwiony jak ty. Przez te wszystkie lata nie wiedziałem, gdzie jest - powiedział stłumionym głosem. - Nie zabiłem twojej matki.

Sandra oparła się na siedzeniu.

- A łańcuszek, klótnie, wszystko co mówiłaś...

- Nie przeczę, że byłem zły. Rzeczywiście, gdybym wtedy wiedział, kim był tamten mężczyzna, chyba mógłbym go zabić. Ale nie twoją matkę. - Błękitne oczy ojca wypełniły się łzami. - Nie mógłbym jej skrzywdzić. Za bardzo ją kochałem. Bez względu na to, jak bolesna była dla mnie świadomość, że odchodzi, prędzej zabiłbym jego, niż pozwolił, żeby włos spadł jej z głowy.

- Więc jak łańcuszek mamy znalazł się w twojej torbie golfowej?

- Nie wiem, Sandro - pokręcił głową. - Po prostu nie wiem.

- Musimy powiedzieć o tym Tedowi.

- Nie - powiedział to głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Był tak skory, żeby uwierzyć w to, że zabiłem jego matkę, więc pozwól, niech dalej tak myśli.

- Ale to okrutne...

- Słyszałaś, co powiedziałem, Sandro. - Otworzył drzwi. Wsiadł z firebirda, rozłożył parasol i ruszył w stronę szkoły.

Kiedy w chłodny deszczowy ranek Malcolm przyjechał na wybory, budynek straży pożarnej Pine Brook, w którym głosowali wyborcy z jego okręgu, był już pełen ludzi.

Tak jak się spodziewał, przedstawiciele mediów czekali tylko aż wysiądzie z samochodu. Niczym wytrawny aktor pomachał im, uśmiechając się do kamer. Nie dał po sobie poznać zdenerwowania.

- Czy wierzy pan, że wygra wybory, panie Kandall?

- Oczywiście. Mieszkańcy Teksasu dowiedli, że są gotowi na zmiany. Chcą mieć gubernatora, który się nimi zaopiekuje i przywróci świetność naszemu wspinałemu stanowi. - Spoglądał z zadowoleniem na otaczających go ludzi. - Zgromadzeni tu dziś są tego najlepszym dowodem.

- Pani Kandall nie przyjechała z panem?

- Jest bardzo przeziębiona - improwizował. - Nie chciała nikogo zarazić. Przyjedzie, gdy tylko zrobi się luźniej.

Uniknął odpowiedzi na następne pytania, unosząc rękę.

- Moja kampania już się skończyła. Chciałbym wszystkim podziękować za wsparcie i lojalność w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy. Bez względu na to, czy wygram, czy przegram, postaram się nigdy nie zawieść. A teraz pozwólcie, że oddam głos.

Półtorej godziny później był w domu.

- Ktoś dzwonił? - zapytał Dolores.

Pokojówka potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, proszę pana. Nikt.

Począł do południa, a potem zdecydował, że dłużej nie może czekać. Musi znaleźć Barbarę, zanim jej nieobecność zacznie się rzucać w oczy. Przedtem jednak, jeszcze raz spróbuje zadzwonić do domu teściowej w Houston.

Kiedy Barbara odebrała telefon, napięte ramiona Malcolma rozluźniły się.

- Barbaro! Dzięki Bogu, że cię znalazłem. Tak bardzo się o ciebie martwiłem...

- Zostaw mnie w spokoju, Malcolmie.

Po głosie poznał, że jest pijana.

- Barbaro, już do ciebie jadę. Musimy porozmawiać.

- Za późno na rozmowy. - Usłyszał jak pociąga nosem. - Będę rozmawiać tylko z Laurą.

Poczuł, jakby ktoś wbijał mu w żyły lodowate igły.

- Nie! Tylko nie z Laurą. - Drżącymi palcami przeczesał włosy. - Chyba do niej nie dzwoniłaś, prawda Barbaro? Nic jej nie powiedziałaś? Odezwij się, do cholery. - Nie było odpowiedzi. Nerwowo naciskał klawisz przerywający rozmowę. - Barbaro? Halo! Halo!

Odłożył słuchawkę. Barbara rozłączyła się.

Głupia dziwka. Zrobiła to. Zadzwoiła do tej pieprzonej dziennikarki. Do szóstej wieczorem wszystkie stacje podadzą tę historię.

Starając się za wszelką ceną zachować spokój, głęboko zaczerpnął powietrze. Musi przeszkodzić tej rozmowie. Nie tracąc ani sekundy, zadzwonił na prywatne lotnisko, gdzie Jerry trzymał samolot.

- Lecimy do Houston - poinstruował pilota. - Jak najszybciej.

Prawie wyszedł z domu, gdy przypomniał sobie o pistolecie.

Wrócił do gabinetu, podszedł do biurka i otworzył zamkniętą na klucz szufladę, w której trzymał berettę. Kupił ją dwa lata temu po włamaniu do sąsiedniego domu. Chciał nauczyć Barbarę, jak się nią posługiwać, ale kategorycznie odmówiła. Przed wielu laty, jeszcze w college'u, na oczach Barbary jej najlepszy przyjaciel został zabity strzałem z bliskiej odległości przez zazdrosnego kochanka. Od tamtej pory broń ją przerażała. Na sam jej widok oblewał ją zimny pot. Jeżeli będzie sprawiać kłopoty, wystarczy, że zamacha jej przed nosem pistoletem, a zrobi wszystko, co jej każe.

Sprawdził, czy jest naładowany, zabezpieczył go i wsunął do kieszeni na piersi. Nie sądził, że będzie musiał użyć broni, ale zawsze lepiej być przygotowanym na wszystko.

33

Kiedy Laura dojeżdżała do zachodnich dzielnic Houston, niewielki deszczyk, który kropił prawie przez całą podróż, przeszedł w ulewę. Droga zrobiła się śliska, a widoczność spadła prawie do zera.

Deirdre Fenton mieszkała w ponadhektarowej posiadłości na zachód od centrum, w dzielnicy River Oaks. Jasno oświetlony teraz dom był zbudowany w stylu wczesnych Tudorów i wyglądał jak gigantyczna warownia na końcu długiej, wysypanej żwirem drogi.

Nie wiedząc właściwie dlaczego, Laura bała się. Przejechała przez otwartą bramę i zatrzymała się przed ozdobnymi frontowymi drzwiami.

Zarzuciła na głowę kaptur płaszcz przeciwdeszczowego i szybko przebiegła niewielką odległość dzielącą ją od drzwi. Nie słyszała żadnego dźwięku z wewnątrz ścian budynku. Ktoś jednak musiał na nią czekać, w przeciwnym bowiem razie dlaczego brama była otwarta, a wszystkie światła zapalone?

Przycisnęła dzwonek, modląc się, żeby ktoś w domu, widząc, w jakim Barbara jest stanie, miał dość rozsądku, żeby zabrać jej alkohol.

Gdy nikt nie zareagował, zadzwoniła znów. Ale kiedy i tym razem nie było żadnej reakcji, zaczęła mocno walić w drzwi i wołać Barbarę po imieniu. Chwyliła w końcu gałkę i obróciła ją zdziwiona, że drzwi nie są zamknięte na klucz.

- Barbaro? - Otworzyła drzwi. - Jest tu ktoś?

Przywitała ją martwa cisza.

Zawahała się, ale tylko przez chwilę. Nie zamierza wracać z pustymi rękami. Jeżeli Barbara tu jest, znajdzie ją. Jeżeli jej nie ma, będzie czekać, aż wróci.

Zamknęła za sobą drzwi, przeszła przez elegancki, dwukondygnacyjny hol i weszła do luksusowo urządzonego pokoju gościnnego. Kiedy indziej z przyjemnością by się tu zatrzymała, żeby podziwiać wspaniałe drewno, adamaszek sprowadzony z zagranicy i stare dywany, ale teraz nie było na to czasu. Musi odnaleźć Barbarę.

Znalazła ją w kuchni na parapecie, pogrążoną w głębokim śnie, z głową wtuloną w stertę poduszek w biało-niebieską szachownicę. Do siebie przyciskała

pusty kieliszek, a na podłodze leżała przewrócona butelka po wódce.

Wszędzie czuć było odór zwiertzałego alkoholu, ale Laura nie zwracała na to uwagi. Zdjęła płaszcz, rzuciła go na oparcie krzesła i szybko podeszła do śpiącej.

- Barbaro? - Potrząsnęła nią kilka razy, wołając po imieniu, próbując uzyskać jakąkolwiek odpowiedź. Bezskutecznie. Barbara nie reagowała.

Wyjęła z jej ręki kieliszek i włożyła go do zlewu wraz z butelką. Nie ma innego wyjścia, musi poczekać, aż Barbara się obudzi. Miała na nadzieję, że gdy Barbara wypije filiżankę mocnej kawy i coś zje, będzie w stanie dokończyć rozmowę. Wygląda na to, że w domu nie ma ani służby ani pani Fenton. Sama będzie musiała sobie z tym poradzić.

Obeszła blat i otworzyła kredens. Znalazła słoik kawy maxwell house i zabrała się do dzieła.

Ted zorientował się, że jedzie w złym kierunku, dopiero gdy zauważył tablicę z napisem „Rice University”.

Klnąc pod nosem, wyrzał przez okno audi wynajętego na lotnisku Houston Intercontinental. Mimo że była dopiero czwarta po południu, niebo było prawie czarne od burzowych chmur, a drogi śliskie i niebezpieczne. Spodziewał się, że przybędzie dużo wcześniej, ale lądowanie opóźniło się z powodu nieustannych wyładowań atmosferycznych.

Dojechał do skrzyżowania i zawrócił, nie dbając o to, czy ten manewr nie kolidował z przepisami.

Jadąc na północ w stronę Greenbriar, wcisnął przycisk telefonu. Co dziesięć minut dzwonił do Laury z samolotu, ale albo była poza zasięgiem, albo burza powodowała zakłócenia. Kiedy na linii znów usłyszał głos operatora, rozłączył się i zadzwonił do domu Deirdre. Tak jak poprzednio - żadnej odpowiedzi.

- Co się tam, do licha, dzieje?

W końcu dostrzegł znak zjazdu na Kirby Drive. Jeżeli ruch się nie nasili, w ciągu dwudziestu minut powinien dotrzeć do domu Fentonów.

Kiedy po kuchni Fentonów rozszedł się kuszący aromat kawy, Barbara zaczęła się budzić. Laura z ulgą napełniła kubek, postawiła na tacy obok innego, wypełnionego gęstą zupą grzybową, i ustawiła wszystko na stole kuchennym.

- Cześć, Barbaro. - Usiadła na skraju parapetu. - Jak się czujesz?

Po kilku nieudanych próbach Barbara w końcu zdołała otworzyć oczy. Były przekrwione i rozbiegane.

- Kto...

- Laura Spencer. Dzwoniłaś do mnie, pamiętasz?

Barbara wymamrotała coś niezrozumiałego i stękając, powoli usiadła.

- Moja głowa.

- Masz. - Laura podała jej szklanekę wody i lekarstwo, które znalazła w apteczce w łazience na górze.

- Co to jest?

- Aspiryna. No, bierz. Połknij. Poczujesz się lepiej.

Jak posłuszne dziecko Barbara zrobiła, co jej kazano.

- Grzeczna dziewczynka. - Laura podała jej kawę. - A teraz kawa. Gorąca, więc pij powoli. - Pomagała jej, dopóki Barbara nie wypła połowy. Z resztą poradzi sobie sama bez obawy, że się poparzy.

- A teraz zupa - powiedziała Laura, widząc, jak rumieńce powracają na policzki Barbary. - Łatwiej ci będzie wypić, ale jeśli wolisz, mogę dać ci łyżkę.

Barbara potrząsnęła głową.

- Nie. Tak jest dobrze.

Laura patrzyła, jak pije zupę, i w jej sercu coś drgnęło. Z włosami w nieładzie, w pogniecionej drogiej lnianej sukni i ze spuszczonego wzrokiem Barbara wyglądała jak smutne, zagubione dziecko.

Dopiero po kilku minutach była dość przytomna, żeby odpowiedzieć na parę pytań. Starając się mówić tak, żeby ją jak najmniej wystraszyć, Laura zapytała łagodnie.

- Jesteś tu sama, Barbaro?

Kiwnęła głową.

- Matka wyjechała na kilka tygodni do Kalifornii, a służba ma wolne.

- Możemy więc rozmawiać swobodnie, bez obawy, że ktoś może nam przeszkodzić. - Kiedy Barbara nie odpowiadała, Laura zaczęła ją delikatnie sondować. - Pamiętasz, jak dzwoniłaś do mnie do „Sentinela”? Jak prosiłaś, żebym tu przyjechała?

- Tak.

- Powiedziałaś, że wiesz, kto zabił J. B.

Barbara zamknęła oczy. Ale nawet wtedy było widać, że cierpi. To, co w sobie dusiła, stało się ciężarem nie do zniesienia.

- Pozwól mi sobie pomóc, Barbaro.

- Przyjechałaś tu sama?

Laura kiwnęła głową.

- Tak. Jesteśmy tu tylko we dwie.

Zdawało się, że Barbara potrzebuje wieczności, żeby podjąć decyzję. Wciąż wyglądała przez okno z takim samym smutnym wyrazem twarzy. Gdy w końcu spojrzała na Laurę, głos miała mocny i zdecydowany.

- Malcolm - powiedziała. - To Malcolm zabił J. B.

Laura wpatrywała się w nią zdumiona.

- Znalazłam jego koszulę zaplamioną krwią - ciągnęła Barbara. - Tę samą, którą miał na sobie na kolacji u Jaycee w dniu, kiedy zamordowano J. B. Zapytałam go o plamę, a on powiedział, że rano zaciał się przy goleniu.

- Nie uwierzyłaś mu?

- Nie. - Odwróciła się do okna. - Poszłam za nim na górę. Był w naszej sypialni, trzymał w rękach zwinięty garnitur. Miał go na sobie wtedy, tamtej

nocy... - Po policzku spłynęła jej łza, której nawet nie próbowała wytrzeć. - Rękaw też był zaplamiony krwią.

Nagle Laura przypomniała sobie czarną corvette zaparkowaną na podjeździe domu Kandallów, gdy pojechała zobaczyć się z Barbarą. Przypomniała sobie, jak Shirley opisywała samochód, który widziała na drodze do Lost Creek.

Robił dużo hałasu. Jak jeden z tych luksusowych samochodów wyścigowych.

Corvetty były głośne. Właśnie to Laura próbowała sobie przypomnieć w dniu wstępnego przesłuchania.

- Czy Malcolm się przyznał?

- Nie od razu. - Głos Barbary był matowy, jakby mówiła coś, czego sama nie rozumiała. - Ale szybko się zorientował, że nie ma sensu dłużej kłamać. - Palcami dotknęła policzka. - Uderzył mnie. Nigdy przedtem tego nie zrobił.

- Dlaczego cię uderzył? - zapytała Laura szeptem. Dlaczego zabił J. B.?

- Tego dnia, gdy odbywała się konferencja MediaTech, J. B. odwiózł mnie do domu.

- Wiem. Byłaś chora.

- Nie byłam chora. Wypiła łyk zupy. - Byłam pijana. Widzisz, mam poważny problem alkoholowy.

- Nie wiedziałam.

- Niewiele osób wie. Tylko Malcolm, moja matka i kobieta, którą wynajął, żeby mnie pilnowała. Starali się trzymać mnie w ryzach. Jednak co jakiś czas wymykałam się im spod kontroli.

- I dlatego Malcolm zabił J. B.? - zapytała Laura zdziwiona, że coś tak mało znaczącego mogło doprowadzić do zabójstwa. - Z powodu twoich problemów z alkoholem?

- Nie. Chodziło o to, co powiedziałam J. B., kiedy odwoził mnie do domu. Odchyliła głowę do tyłu. - To wszystko moja wina. Gdybym siedziała cicho, gdybym tego dnia nie zaczęła pić, J. B. nadal by żył.

- Daj spokój. - Laura wzięła od niej kubek i postawiła na stole. - Nie możesz się obwiniać.

- Z J. B. zawsze tak dobrze się rozmawiało. Zawsze miał silne ramię i życzliwe ucho.

- Co takiego mu powiedziałaś?

- Tajemnicę. Zdradziłam mu tajemnicę, którą trzymałam w sekrecie przez szesnaście lat i z którą nie mogłam sobie już dłużej poradzić. Gdy Malcolm się o tym dowiedział, wpadł w furję. Okropnie się pokłóciliśmy. - Schowała głowę w dłoniach i szlochała bezradnie.

Gdyby czas nie naglił, Laura cierpliwie wysłuchałaby do końca całej historii. Widać było, że Barbara potrzebuje pomocy. Ale równie ważne było zabranie jej do Burnet, żeby złożyła zeznania. Malcolm na pewno pozbył się już kompromitującej koszuli i marynarki, ale jeżeli koszulę widziały i pokojówka, i Barbara, Amos może uznać, że to wystarczy, żeby go aresztować.

Laura wstała, świadoma, że rozmawiają już prawie pół godziny.

- Opowiesz mi resztę w samochodzie, dobrze? Teraz musi jechać na lotnisko.

- Dlaczego? Dokąd lecimy?

- Wracamy do Burnet porozmawiać z szeryfem Wilsonem. Musimy złapać najbliższy lot. Jesteś gotowa to zrobić, prawda?

Barbara sprawdziła, czy utrzyma się na nogach, i wstała powoli.

- Chyba tak.

- Chodźmy więc.

- Po moim trupie - usłyszały za plecami.

Barbara krzyknęła, Laura odwróciła się.

W drzwiach stał Malcolm Kandall z wycelowanym w nią pistoletem.

34

Gdyby sytuacja nie była taka poważna, Laura pewnie by się roześmiała. Z wodą kapiącą mu z twarzy, pozlepianymi włosami i wzrokiem obłądnym z przerażenia Malcolm Kandall przypominał raczej uciekiniera z zakładu dla obłąkanych niż przystojnego polityka, który oczarował rodziny Teksańczyków.

- Nie możesz zostawić tego w spokoju, prawda? - cedził słowa przez zaciśnięte zęby. - Wciąż musisz wścibiać nos.

Laura starała się sprawiać wrażenie spokojnej.

- Próbuję ratować matkę przed więzieniem.

- Za to teraz już nikogo nie uratujesz. Nawet siebie.

- Malcolmie, proszę cię - powiedziała Barbara płaczącym głosem. - Odłóż broń. Wiesz, jak jej nie znoszę.

- Ona ma rację - wtrąciła Laura. - I bez tego masz już dość problemów...

- Zamknij się. - Okrzyknął kobiety. Twarz miał bladą i cały się trząsnął ale rękę miał pewną, a spojrzenie zdecydowane. Machnął pistoletem w stronę Barbary.

- Odsuń się od niej.

Przerażona Barbara przywarła do ściany.

- Co takiego?

- Głucha jesteś? Powiedziałem, żebyś się odsunęła od Laury.

Kątem oka Laura dostrzegła, jak Barbara odsuwa się dalej od ściany.

- A ty - szybkim ruchem skierował broń w stronę Laury - do tyłu.

Laura wiedziała, że nie ma sensu dyskutować. Zrobiła, co jej kazał. Malcolm lewą ręką zerwał niebieski jedwabny sznur, którym przewiązana była zasłona, i podał Barbarze.

- Zawiąż jej ręce z tyłu.

Barbara, nie spuszczać wzroku z pistoletu, potrząsnęła głową.

- Nie.

Malcolm szybko ocenił sytuację. Wrzask i machanie bronią nic tu nie pomoże. Musi zmienić taktykę.

- Barbaro, posłuchaj mnie...

- Odłóż pistolet.

- Nie mogę. Ale mogę go opuścić. - Opuścił rękę wzdłuż boku. - Teraz lepiej?

Barbara kiwnęła głową, ale nie spuszczała oczu z broni.

- Nie chcę, żeby komuś stała się krzywda.

- Powinnaś była pomyśleć o tym, zanim ją tu wezwałam. Zanim jej wszystko opowiedziałam.

- Co chcesz jej zrobić?

- Znasz odpowiedź. Musimy się jej pozbyć. Jeżeli tego nie zrobimy, oboje trafimy do więzienia, i to na długo.

- Nie słuchaj go, Barbaro. Ty nie pójdziesz do więzienia. Nie zrobiłaś nic złego.

- Nie chcę, żeby komukolwiek jeszcze stała się krzywda - powiedziała Barbara z uporem.

- Ona albo my. Ciebie też zniszczy. Dobrze wiesz dlaczego, prawda?

Barbara milczała. Po policzkach ciekły jej łzy.

- Zrób, co mówię - rozkazał, potrząsając sznurem w jej kierunku. - Zwiąż ją.
- Znowu uniósł pistolet. - Bo zacznę strzelać. Szybko.

Zaskoczona Laura patrzyła, jak Barbara, najwidoczniej przerażona tym, że zrealizuje swe groźby, z wahaniem zrobiła krok w stronę Malcolma.

Musi coś wymyślić, i to szybko. Wykorzystując chwilową nieuwagę Malcolma, chwyciła stojący na blacie ekspres do kawy i cisnęła mu go w twarz.

Wrzasnął, zachwiał się i zwałił na kredens.

Laura nie traciła ani chwili.

- Chodź - powiedziała, chwytając Barbarę za rękę i ciągnąc za sobą. - Do mojego samochodu. - Przebiegając obok Malcolma, chwyciła ze stołu torebkę i płaszcz. - Szybko.

Barbara potknęła się dwa razy, ale Laurze za każdym razem udało się ją podtrzymać. Na zewnątrz ulewa przemieniła się w mżawkę.

- Wsiadaj - ponaglała Laura, trzymając otwarte drzwi mustanga.

Barbara zawahała się i spojrzała w stronę domu.

- A Malcolm? Może powinniśmy sprawdzić...

- Wszystko będzie dobrze. Kawa była zimna. Jeśli chcesz, możemy z samochodu zadzwonić po karetkę. Ale najpierw zadzwonimy na policję. Wsiadaj.

Westchnęła zniecierpliwiona brakiem zdecydowania Barbary. Wepchnęła ją do środka i pobiegła do drzwi od strony kierowcy. Nacisnęła pedał gazu, cały czas obserwując frontowe drzwi.

- No, dalej. - Bezszykownie usiłowała zapalić silnik. - Jedź.

Za wszelką cenę próbowała uruchomić samochód. Raz. Drugi. Trzeci. Bezszykownie.

- Nie rób mi tego, cholera! Nie teraz.

Gdy w końcu samochód zapalił, drzwi od strony kierowcy otworzyły się gwałtownie. Za nimi stał Malcolm. Patrzył na nią z wściekłością. Z czoła ściekała mu strużka krwi.

- Ty suko. Wsiadaj.

Laura aż krzyknęła z bólu, gdy chwycił ją za lewe ramię i pociągnął. Paląca fala przeszła jej klatkę piersiową, przypominając, że jeszcze nie jest zupełnie zdrowa.

- Ty draniu - wrzasnęła. - Nie ujdzie ci to na sucho. Za dużo ludzi wie, gdzie jestem...

Malcolm z wściekłością uderzył ją w twarz. Kompletnie ją to zaskoczyło. Głowa odskoczyła jej w bok. Doprowadzona do szału rzuciła się na niego z rozczapierzonymi palcami. Wbiła mu paznokcie w twarz i dźgnęła go. Ale na nic to się zdało. Nie mogła wykorzystać umiejętności, których nauczyła się na kursie samoobrony. Nie pozwoliła na to niezagojona jeszcze rana.

Malcolm chwycił jej prawą rękę, wykręcił i mocno przycisnął do pleców.

- Chciałabyś, żebym odstrzelił ci teraz głowę? - zapytał, przykładając jej zimną lufę do skroni.

Była gotowa udawać, że opadła z sił. Miała nadzieję, że uwierzy, iż osłabła, gdy nagle zaskoczeni usłyszeli pisk opon i ryk klaksonu.

35

Z samochodu wyskoczył Ted. Nie wierzył własnym oczom.

- Malcolm!

- Ted, uważaj! - krzyknęła Laura. - On ma broń. To on zabił J. B.

Zaskoczony zatrzymał się, ale tylko na chwilę. Patrząc wujowi w oczy, ruszył pewnie do przodu.

- Puść ją.

- Nie ruszaj się - rozkazał Malcolm. - Jeszcze krok, a przysięgam, odstrzelę jej głowę.

Ted nie miał wyboru, musiał się zatrzymać. Przeżył zbyt wiele takich chwil, żeby nie czuć respektu przed bronią i człowiekiem, który ją trzymał.

- Spokojnie. - Żałował, że nie był na tyle przewidujący, żeby zabrać ze sobą pistolet. Nie zrobił tego, mógł więc polegać tylko na tym, co miał do dyspozycji: na swojej głowie i sile mięśni.

Usłyszał płacz i spojrzał w bok. Przy mustangu stała Barbara. Szlochała z pięściami przyciśniętymi do ust.

Puść Laure, wujku Malcolmie - powiedział spokojnie, bez cienia groźby. - Potem porozmawiamy. Tylko my dwaj.

- Zamknij się. I trzymaj ręce tak, żebym je widział.

Ted rozłożył szeroko ręce.

- Nie rób głupstw, wujku. Bez względu na to, w jakie bagno wdepnąłeś, nie warto zabijać. W ten sposób tylko wszystko pogorszysz.

- Nie wciskaj mi kitu, chłopcze. I nie próbuj zgrywać przede mną bohatera. Chyba że ci życie niemiłe.

Barbara nie przestawała płakać.

- Posłuchaj go, Ted. - Skrzyżowała ręce na piersi i choć nadal wyglądała na wystraszoną, chyba zaczęła przychodzić do siebie. - On nie ma nic do stracenia. Zabił już dwie osoby.

- Dwie? - Ted gwałtownie odwrócił głowę w stronę Malcolma. Wuj wyglądał jak zwierzę w potrzasku. Dzikim wzrokiem spoglądał na samochód zaparkowany po przeciwnej stronie mustanga. Ale ręka trzymająca broń wycelowaną w głowę Laury była niewzruszona jak skała.

- Kogo jeszcze zabił oprócz J. B.?

- Ani słowa więcej, Barbaro! - ostrzegł Malcolm.

- Bo co? - Teraz jej głos był donośny i wyraźny. Stawał się coraz mocniejszy. - Co zrobisz? Mnie też zabijesz? Zabijesz nas wszystkich?

- Zamknij się!

- Nie widzisz, że to koniec? To byłaby masakra. Nie ujdzie ci płazem.

- Kogo on jeszcze zabił, Barbaro?

Jakby nagle opuściły ją wszystkie siły, oparła się o mustanga.

- Twoją matkę.

Ted słyszał te słowa, ale nie był w stanie zrozumieć ich znaczenia.

- Co powiedziałaś?

- To był wypadek. Mieli romans. Elizabeth chciała rzucić Charlesa dla Malcolma. Ale Malcolm nie chciał do tego dopuścić. Owszem pragnął jej, ale chciał też kariery, bogatej żony i wspaniałej przyszłości.

Ślepa, niepoohamowana furia opanowała Teda.

- Ty draniu - syknął. - Ty podły, podstępny draniu.

Opuścił ręce i gwałtownie skoczył do przodu. Usłyszeli jęk, a także głuchy odgłos uderzenia, gdy Malcolm upadł na zderzak mustanga. Pistolet wyleciał mu z ręki.

- Dzwoń na policję - krzyknął Ted do wrzeszczącej Barbary.

Gdy Barbara wskoczyła do mustanga, Ted chwycił Malcolma mocno za marynarkę, odwrócił i walnął pięścią w twarz.

Malcolm osunął się na ziemię, nie wydając dźwięku.

Ted usłyszał stękanie za plecami. Laura próbowała podnieść się z ziemi.

W dwóch skokach był przy niej i tulił ją do siebie.

- Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało. Dopiero, gdy dostrzegł krew na bluzce, zdał sobie sprawę, że jest ranna. - Chryste, ty krwawisz!

- To nic takiego, tylko rana się otworzyła.

Łzy ciekły jej po twarzy. Ted wyciągnął chusteczkę z tylnej kieszeni spodni i wsunął jej pod bluzkę.

- Co ty tu robisz? - zapytała głosem drżącym ze wzruszenia. - Powinieneś być teraz gdzieś nad Atlantykiem.

- Zmieniłem plany.

- Dlaczego?

Delikatnie przyciskał chusteczkę do rany.

- Bo cię kocham. Bo nie chcę się z tobą rozstawać. Ani na chwilę.

- A Belfast... A twoja praca...

Laura przytrzymała prowizoryczny opatrunek, a Ted pomógł jej wstać.

- Nie jest tak ważna jak ty. Wiedziałem o tym od samego początku, tylko nie byłem gotów się do tego przyznać.

- A teraz jesteś?

- Tak. Przecież bym nie wrócił, gdybym nie był przekonany.

- Och, Ted. - Chciała coś powiedzieć, ale jęk syreny przeszył powietrze. Po chwili podwórze zalało światło reflektorów i otoczyło ich kilka policyjnych radiowozów.

- No i już... Skończone.

Na ostrym dyżurze w szpitalu Houston Memoriał młody internista, który wyglądał raczej na ucznia szkoły średniej niż na chirurga, założył ostatni szew i uśmiechnął się kpiąco.

- Powinno wytrzymać. Chyba że postanowi pani sprawdzić jego wytrzymałość i zgłosi się pani do komandosów.

- Nie rozumiem, doktorze Ryan.

- Och. - Plastrem przymocowywał do rany gruby prostokąt gazy. - Chodzą słuchy...

- No cóż, pewnie tak. Ale nie zamierzam więcej uganiać się za przestępcami. Przynajmniej w najbliższym czasie.

Podpierając się ręką, ześlizgnęła się ostrożnie ze stołu, na którym spędziła czterdzieści pięć minut.

- A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym wrócić do domu.

- Proszę to wziąć. - Wyjął małą buteleczkę z oszklonej szafki i podał Laurze.
- Jeżeli ból się nasili, gdy przestanie działać znieczulenie, proszę brać jedną tabletkę co cztery godziny.

- Dziękuję, doktorze.

W poczekalni siedział Ted z bladą twarzą i zaciśniętymi ustami. Nie słyszał, jak podchodzi, i drgnął, gdy położyła mu dłoń na ramieniu.

- Laura. - Wstał, objął ją i trzymał, jakby była tratwą ratunkową. - Wszystko w porządku? Nie pozwolili mi wejść do środka.

- W porządku. - Miała mu tyle do powiedzenia, ale nie znajdowała słów. Wtuliła się więc w jego ramiona i milczała.

- Miałaś rację co do Malcolma - przyznał, puszczając ją w końcu. - I co do Barbary.

Patrzyła mu w oczy i widziała w nich smutek, rozczarowanie i złość.

- Jeśli nie chcesz, nie musimy teraz o tym rozmawiać.

- Chcę. - Usiedli. - Kiedy byłem na policji, żeby złożyć zeznania, Barbara poprosiła mnie o chwilę rozmowy. Wiedziałem, że wizyta u doktora Ryana zajmie ci trochę czasu, więc się zgodziłem.

- Jak ona się czuje?

- Lepiej, niż się spodziewałem. Jest silniejsza, niż można by sądzić. Malcolm ją przytłaczał. - Poczekał, aż pchająca wózek pielęgniarka przejdzie obok. -

Opowiedziała mi wszystko, co się wydarzyło tamtego dnia w Aspen. Szukała Malcolma i znalazła go w końcu na balkonie biblioteki z moją matką.

- A więc to, co mówiła to prawda? Malcolm i twoja matka mieli romans?

Ted kiwnął głową.

- Kłócili się. Barbara mówi, że matka była w okropnym stanie. Bała się powiedzieć o wszystkim Charlesowi. Kiedy postanowiła go opuścić Malcolm się nie zgodził. Zaczęli się szamotać. Matka przechyliła się i runęła z balkonu. Malcolm próbował ją złapać, ale wszystko wydarzyło się tak szybko, że zdążył tylko chwycić jej łańcuszek.

- To okropne.

- Kiedy Malcolm zorientował się, że Barbara wszystko widziała był zdruzgotany. Błagał ją o wybaczenie, przysięgał, że nigdy nie kochał Elizabeth. Twierdził, że to ona go uwiodła.

- Dlaczego nie powiadomiła policji?

- Chciała to zrobić, ale Malcolm oświadczył, że prędzej umrze, niż pójdzie do więzienia. Zachowywał się jak małe dziecko, szlochał w jej ramionach, powtarzając wciąż, że ją kocha. Miała za dobre serce, by oprzeć się jego prośbom. Bardzo go kochała, więc zgodziła się nikomu nic nie powiedzieć. Pomogła mu się pozbierać i wrócili na przyjęcie.

- Powiedziałeś, że Malcolm miał łańcuszek twojej matki. Co się z nim stało?

- Kiedy Barbara uświadomiła sobie, że Malcolm nie jest w logicznie myślący, wzięła od niego łańcuszek i wrzuciła do pierwszej lepszej torby golfowej. Nie zdawała sobie sprawy, że należy do mojego ojca. Miała zamiar zabrać go stamtąd później, ale nie była w stanie rozpoznać torby. W końcu gościom pozwolono wrócić do domu, a ci, którzy przyjechali grać w golfa, zabrali swoje kije. Barbara nie miała wyboru. Mogła tylko czekać, aż ktoś zwróci łańcuszek. Gdy nikt tego nie zrobił, założyła, że musiał się gdzieś zagubić.

- Nie rozumiem. Łańcuszek cały czas był w torbie golfowej twojego ojca i on o tym nie wiedział?

Opowiedział jej o poszukiwaniach na strychu przed dwoma tygodniami i o tym, jak zareagował, gdy go znalazł.

- Och, Ted.

- Po tym wydarzeniu Barbara zaczęła pić. Początkowo pomagało jej to zapomnieć. Ale po pewnym czasie stało się nałogiem i nie mogła przestać.

- Nigdy nie myślała o tym, żeby się leczyć?

- Wiele razy. J. B. wiedział o jej problemie i zachęcał ją do tego, żeby zaczęła leczenie. Namawiała ją do tego też matka i Joan Alder, najlepsza przyjaciółka Barbary. Ale Malcolm jej nie pozwolił. Bał się, że jeśli rozejdą się pogłoski o jej uzależnieniu, będzie to oznaczało koniec jego kariery.

- Nie dawało mi spokoju to, co J. B. powiedział do Lenoksa po powrocie z konferencji MediaTech: „Sprawy w końcu zatoczyły pełny krąg” - powiedziała cicho Laura. - Nie mogłam zrozumieć, co miał na myśli. Teraz już wiem. Musiał wiedzieć, że Malcolm ponosił odpowiedzialność za śmierć twojej matki. Zawsze miałam wrażenie, że J. B., tak jak ty, nigdy nie uwierzył w samobójstwo Elizabeth.

- Cieszę się, że tyle się wyjaśniło. Może teraz będzie mogła odpoczywać w spokoju.

Laura wzięła go za rękę i przytuliła do policzka.

- Czy Malcolm się przyznał?

- Jeszcze nie. Nie powie ani słowa, dopóki nie porozmawia z adwokatem. - Ted zaśmiał się śmiechem, w którym nie było radości.

- Wiesz, co jest w tym wszystkim najzabawniejsze? Według ostatnich sondaży Malcolm prowadzi z przewagą ponad siedmiuset tysięcy głosów. Prawdopodobnie zdobędzie przeważającą większość głosów. Nawet jeśli przerwano by teraz wybory i nikt więcej nie oddałby na niego głosu i tak by wygrał.

- Tak bardzo chciał zostać gubernatorem, że konieczność rezygnacji z urzędu będzie dla niego większym ciosem niż trzydzieści lat więzienia.

Zerknął na nią.

- Myślisz, że tyle dostanie?

- Jest oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia i nieumyślne spowodowanie śmierci. Tak, chyba coś koło tego.

- A co z Barbarą?

- Będzie oskarżona o współudział albo przynajmniej ukrywanie

przestępstwa. Ale chyba zgodzi się zeznawać przeciwko mężowi, mimo że nie musi, więc pewnie pójdą z nią na ugodę. - Zauważyła policjanta po cywilnemu przechodzącego przez drzwi i zerwała się na równe nogi. - Amos! Czy ktoś pomyślał o tym, żeby go zawiadomić?

- Poprosiłem, żeby poinformował go policjant, który dokonał aresztowania. Amos i dwaj jego zastępcy lecą już tu helikopterem.

- A moja matka?

Ted uśmiechnął się.

- Powinni ją zwolnić w ciągu najbliższej godziny. Zadzwoiłem do Lenoksa i powiedziałem, żeby ją odebrał i zawiózł do Lost Creek. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem. Nie powinna być teraz sama.

Oczy Laury wypełniły się łzami.

- Sama nie załatwiłabym tego lepiej. Dziękuję, Ted.

Wstał.

- Powiedziałem na policji, że cię przywiozę, żebyś złożyła zeznania. Może załatwimy to teraz, żeby mieć to z głowy, i pojedziemy do domu? Co ty na to? Samolot Dale'a czeka na lotnisku.

Dom. Żadne słowo nie mogło brzmieć cudowniej. Ani bardziej odpowiednio. Uśmiechnęła się i objęła go w pasie.

- Dobrze.

Siedząc w celi nie większej niż szafa w jego domu, Malcolm rzucił wściekle spojrzenie na wchodzącego adwokata, dobrze ubranego mężczyznę z obwisłymi policzkami i długimi siwymi bakami.

- Czas najwyższy - wycedził Malcolm, gdy strażnik zamknął drzwi.

- Bardzo przepraszam za spóźnienie. Straszny dziś korek na do Houston.

Pewnie. Nie musisz mi tego mówić. Gdyby nie to, byłbym wcześniej niż

Laura i nie siedziałbym tu teraz.

- A więc - Sam Garret przesunął krzesło tak, żeby nie dotykał obszarpanej ściany - powiedz mi, o co chodzi?

Nie było sensu go okłamywać. Nie teraz, gdy miał przeciwko sobie Barbarę i dwóch wiarygodnych świadków, Teda i Laureę.

Opowiedział Samowi wszystko: począwszy od romansu ze szwagierką, czego będzie żałował do końca życia, a skończywszy na chwili, gdy do posiadłości Fentonów przyjechała policja z Houston.

- Chryste - Sam przeciągnął dłonią po włosach.

- Nie rób takiej przerażonej miny - warknął Malcolm. - Wydostań mnie stąd, do cholery.

Sam powoli, ze smutkiem pokiwał głową.

- Jestem prawnikiem, Malcolmie, nie cudotwórcą. Prawie na sto procent nie zgodzą się na zwolnienie za kaucją.

Malcolm zaczął chodzić po celi. Może Enzo mógłby coś poradzić. Z jego kontaktami. Załatwić zwolnienie za kaucją. Może nawet pomógłby mu uciec z kraju.

Stanął naprzeciwko Sama.

- Chcę zadzwonić.

- Do kogo?

- Nie twoja sprawa. Załatw to.

Pięć minut później Malcolm dzwonił do Enzia z automatu na zewnątrz celi.

Udało mu się połączyć tylko z jakimś smarkatym dupkiem, który najwidoczniej zastąpił Tony'ego Cordera.

- Pan Scarpati jest na konferencji - powiedział mężczyzna z silnym brooklińskim akcentem. - Mógłby pan powtórzyć swoje nazwisko?

Malcolm zacisnął zęby.

- Kandall. Malcolm Kandall. Enzo i ja...

- Chwileczkę.

Kiedy mężczyzna wrócił, uprzejmość ulotniła się z jego głosu jak kamfora.

- Pan Scarpati nigdy o panu nie słyszał. Proszę sprawdzić w książce telefonicznej. Prawdopodobnie wybrał pan zły numer.

- Nie wybrałem złego numeru...

Ku jego zdumieniu mężczyzna przerwał połączenie. Przez kilka sekund Malcolm stał, wpatrując się w słuchawkę, zanim ją odwiesił. Konferencja, psiakrew. Enzo jest w swoim biurze. Był tego pewien. Nie chce z nim rozmawiać, dlatego że Malcolm Kandall nie jest mu już potrzebny. Enzo taki był.

Sukinsyn. Tyle dla niego ryzykował, a ten drań wyrzuca go teraz jak śmiecia.

Przez chwilę miał ochotę wydać Enzia. Omal nie poprosił strażnika, żeby wezwano prokuratora okręgowego. Dużo dałby za to, żeby zobaczyć tego wazeliniarza w kajdankach. Zdał sobie jednak sprawę, że to niemożliwe. Bez świadków jego zeznania przeciwko Enziowi nic by nie znaczyły. A gdyby gangster dowiedział się, że Malcolm go zdradził, jego życie nie byłoby warte złamanego grosza. Nawet za kratkami.

Za kratkami. Gdy Malcolm wrócił do celi, nadzieja, że uda mu się uniknąć kary, opuściła go. Usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

Po raz pierwszy w życiu poczuł się zupełnie bezradny.

36

Dwie godziny później Ted i Laura przylecieli do Austin. Lotnisko było pełne ludzi. Dziennikarze i gapie przepychali się, żeby lepiej zobaczyć osoby, które komentator telewizyjny nazwał „mocnym duo z Teksasu”.

Przed kamerami Laura, wyczerpana, lecz trzeźwo myśląca, podała rękę Tedowi.

- Lepiej od razu z nimi porozmawiać i mieć to z głowy - zaproponował, obejmując ją mocno w talii. - Inaczej nie dadzą nam spokoju.

Głosem, który w miarę, jak mówiła, stawał się coraz pewniejszy, opowiedziała dziennikarzom o wszystkim, co już wiedzieli: o tym, że Malcolm Kandall przyznał się do zabójstwa J. B. i że zostanie przewieziony do okręgu Burnet, gdzie zostanie oficjalnie oskarżony.

Dziennikarz z tylnego rzędu podniósł rękę.

- Czy wyjeżdżając do Houston, wiedziała pani, że Kandall zabiła pani ojczyma, panno Spencer?

- Nie.

- A jeśli chodzi o wcześniejsze doniesienia dotyczące powiązań Malcolma Kandalla z Enziem Scarpatim. Czy są prawdziwe?

- Niestety, nie mogę o tym mówić.

Inny dziennikarz zapytał Teda.

- Panie Kandall, czy pański wuj przyznał się do zabicia pańskiej matki?

- Tak. Ta sprawa podlega jednak innej jurysdykcji, poproszę was więc o powstrzymanie się od komentarzy. - Uśmiechnął się. - Musicie zadawać takie pytania, na jakie możemy odpowiedzieć.

- Panno Spencer, co pani czuje, wiedząc, że człowiek, który próbował zniszczyć panią i pani gazetę, zabił też pani ojczyma?

- Gniew. I smutek. Nic na świecie nie jest tak ważne, żeby warto było zabijać. Malcolm Kandall teraz to rozumie. Szkoda tylko, że za późno. Gdyby

zrozumiał to wcześniej, J. B. nadal by żył.

Znajomy komentator telewizyjny podsunął jej mikrofon.

- Wielkie, specjalne popołudniowe wydanie „Sentinela”, z prawem wyłączności na relacjonowanie ostatnich wydarzeń, pojawiło się w kioskach nie więcej nad godzinę temu. Czy ma już pani jakieś informacje na ten temat panno Spencer? I na temat kondycji „Sentinela”?

Laura uśmiechnęła się. W ciągu ostatnich dwóch godzin była w stałym kontakcie z Miltonem Shankiem. Dyktowała mu wszystko przez telefon, a on oddzwaniał z ostatnimi lokalnymi wiadomościami.

- Zainteresowanie czytelników przeszło nasze najśmielsze oczekiwania - powiedziała z lekką dumą w głosie. - Nie tylko musieliśmy podwoić nakład, ale przed chwilą dowiedziałam się, że do redakcji dzwonią klienci pragnący zamieścić reklamy.

Kiedy fotograf skierował na nią aparat, uśmiechnęła się szeroko.

- Cieszę się, że mogę zakomunikować wszystkim, że „Sentinel” przetrwał i ma się doskonale. I tak będzie jeszcze długo.

W limuzynie, która zabrała ich do Lost Creek, Laura ułożyła się wygodnie w ramionach Teda.

- Tym razem doskonale poradziłeś sobie z prasą. Bardzo dyplomatycznie - uniosła wzrok, uśmiechając się lekko. - I obyło się bez bijatyki. Czyżby nowe wcielenie Teda Kandalla? A może tylko drugie oblicze bardzo skomplikowanego człowieka, którego znam i kocham?

- Powiedzmy, że to ulepszona wersja starego modelu. Ty też nieźle wypadłaś. J. B. byłby z ciebie dumny.

W oczach Laury pojawił się smutek.

- Teraz, kiedy wiem, dlaczego zginął, mam wrażenie, że mogłam temu zapobiec.

- Nonsens.

- To prawda. Gdybym nie była tak bardzo zajęta losem gazety, J. B. mógłby przyjść do mnie z tym, czego się dowiedział. Omówilibyśmy wszystko tak jak zawsze. Razem podjęlibyśmy decyzję, co zrobić z Malcolmem. On jednak postanowił sam uporać się ze wszystkim, bo nie chciał przysparzać mi dodatkowych problemów.

- Nie obwiniaj się, kochanie.

Przerwali, słysząc kolejne wiadomości dotyczące wyborów.

- W wyniku dziwacznej splotu okoliczności - mówił komentator - Malcolm Kandall, który został dziś oskarżony o zamordowanie J. B. Lawsons, przytłaczającą większością głosów wygrał wybory na stanowisko gubernatora. W pisemnym oświadczeniu, które przed kilkoma minutami otrzymała nasza rozgłośnia, Malcolm Kandall zrezygnował z ubiegania się o stanowisko gubernatora i pogratulował gubernatorowi Thorne'owi dobrej roboty. Nie było żadnych innych komentarzy.

Ted wyłączył radio.

- Cieszę się, że ten rozdział jest już zamknięty. Lepiej będę spał, wiedząc, że Malcolm Kandall nie zostanie gubernatorem.

Mimo że była już prawie północ, gdy Ted i Laura dotarli do Lost Creek, wszystkie światła w domu były zapalone. Kiedy limuzyna wjechała na podwórze, drzwi frontowe otworzyły się gwałtownie. Wybiegła z nich Shirley z otwartymi ramionami.

- Och, moje dziecko.

Śmiejąc się i płacząc, przytuliła Laurę do piersi.

- Dobrze się czujesz, dziecinko? Lenox powiedział, że rana się odnowiła. - Odsunęła się zmartwiona. - O mój Boże, chyba cię nie zraniłam?

Laura roześmiała się.

- Czuję się dobrze. Przestań obchodzić się ze mną jak z jajkiem. - Popatrzyła na matkę z pewnej odległości. - No, no, co ja widzę. - Uśmiechnęła się szeroko na

widok białych, nabijanych ćwiekami dzinsów, kurtki do kompletu i białych butów z frędzlami. - Skąd wzięłaś ten strój?

Shirley rozłożyła szeroko ręce i z wdziękiem wykonała piruet.

- Kupiłam. Jak ci się podoba? Doszłam do wniosku, że po tym wszystkim, przez co przeszłam, mogę sobie sprawić jakieś nowe ciuchy. Lenox zabrał mnie na zakupy.

Zdumiona Laura spojrzała na Lenoksa stojącego tuż za Shirley.

- Zabrałaś mamę na zakupy?

Z trudem powstrzymywał uśmiech.

- Tak, choć muszę przyznać, że nie jest to zajęcie, któremu chciałbym się często oddawać.

- Nie słuchaj go. - Shirley najwyraźniej zapomniała o dawnych urazach. Klepnęła Lenoksa przyjacielsko po plecach. - On też się dobrze bawił. Mogę to śmiało powiedzieć. I ma całkiem niezły gust. Ja na Brytyjczyka.

Skłonił się lekko.

- Dziękuję pani. Pozwoliłem sobie przygotować lekką kolację, panienko Lauro. Czy mam podać tutaj?

- Byłoby wspaniale, Lenoksie.

- Może ci pomóc, staruszkę? - zaproponował Ted, obejmując Lenoksa ramieniem. - Laura będzie mogła porozmawiać trochę z matką na osobności.

- Nie musisz tego robić - zaprotestowała Laura.

Ted machnął ręką i wyszedł z pokoju.

Shirley wzięła córkę za rękę i poprowadziła do sofy.

- To bardzo ładnie z jego strony. - Spojrzała na nią rozbawionym wzrokiem. - Amos mi mówił, że Ted nie wraca do Anglii. To prawda? Czy nie powinnam wyciągnąć z tego jakichś wniosków?

Laura uśmiechnęła się.

- No cóż... Może powinnaś.

Shirley ścisnęła jej rękę.

- To dobrze. Polubiłam tego młodzieńca.

Laura udała, że jest lekko zaniepokojona.

- Nie jestem pewna, czy to dobrze, czy źle. - Widząc zamyśloną twarz Shirley, zapytała: - O co chodzi, mamó?

- Jest pewna sprawa. - Shirley spojrzała na swoje paznokcie, świeżo pomalowane na krwistoczerwono. - Tylko nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Uśmiech zniknął z twarzy Laury.

- O co chodzi?

- Mój przyjaciel, mężczyzna, którego poznałam w Niemczech, zadzwonił do mnie wieczorem. Usłyszał w telewizji o moim zwolnieniu i skontaktował się ze mną za pośrednictwem biura szeryfa. Mieszka w Los Angeles i jest właścicielem nocnego klubu. - Uniosła wzrok. - Chce mnie zatrudnić, Lauro. Podpisać ze mną kontrakt na kilka lat.

- W Los Angeles?

Shirley kiwnęła głową.

- A co z planami odkupienia Złotej Papugi?

Shirley wzruszyła ramionami.

- Nie sądzę, żeby to wypaliło. Chyba miałaś rację. Za dużo pracy i za duża odpowiedzialność.

Znowu się tak zachowuje, pomyślała Laura, przypominając sobie podobną rozmowę sprzed szesnastu lat. I jest tak samo beztrocka jak wtedy. Nie ma dla niej znaczenia, że jeszcze nie mieli okazji świętować zwolnienia z więzienia, uratowania „Sentinela” i decyzji Teda o pozostaniu w Teksasie. Nowa przygoda i już jej nie ma.

Przestań, Lauro. Nie jesteś już nastolatką. Jesteś dorosła. Shirley nigdy się nie zmieni. Przecież wiesz.

- Nie masz mi tego za złe, prawda, dziecinko?

Laura spojrzała w zamglone piwne oczy i potrząsnęła głową.

- Nie. Oczywiście, że nie. Cieszę się z tobą, mamó. Jestem pewna, że podbijesz Los Angeles. - Zmusiła się do uśmiechu. - Kiedy zaczynasz?

- W najbliższy piątek.

- Aha.

- Ależ ty jesteś zmartwiona. - Zanim Laura zdążyła zaprzeczyć, Shirley przybrała tragiczny wyraz twarzy. Tym razem przypominała Lane Turner z *Madame X*. - Och, Lauro, znowu cię rozczarowuję, prawda?

- Nie, wcale nie.

- Zawsze byłam okropną matką.

- Przestań.

- To prawda. Nigdy nie robiłam tego, co inne matki - nie uczyłam cię szyc, nie chodziłam na wywiadówki, nie piekłam ciasteczek dla skautów, nie śpiewałam ci kołysanek.

Laura uśmiechnęła się.

- Śpiewałaś mi kołysanki.

Shirley uniosła brwi.

- Naprawdę?

- Oczywiście - Laura wstała. Jedną rękę położyła na piersi, drugą wyciągnęła w stronę wymaginanego kochanka, po czym bardzo dobrze naśladując matkę, zaśpiewała *Good morning heartache*.

Shirley wybuchnęła śmiechem i obie padły sobie w ramiona.

- Och, dziecinko - szepnęła. - Jesteś dla mnie taka dobra. Jak sobie bez ciebie poradzę?

Da sobie radę, pomyślała Laura. Poczwała, że łzy spływają jej po policzkach. Zawsze sobie dawała.

37

Ted miał właśnie iść na górę do Laury, która wcześniej poszła spać, gdy odezwał się dzwonek do drzwi. Patrzył, jak Lenox idzie przez hol, żeby otworzyć drzwi. Po chwili lokaj wrócił.

- Ktoś chce się z panem widzieć, proszę pana.

Na widok ojca wchodzącego do pokoju zaskoczony Ted wstał.

- Tata. - Był tak zdziwiony, że nie mógł wydusić z siebie nic więcej.

- Wiem, że jest późno, ale szeryf Wilson wezwał mnie do siebie więc skorzystałem z okazji...

W jego głosie nie słychać było już sarkazmu, a w oczach, które jeszcze kilka tygodni temu patrzyły na niego z pogardą, dostrzec można było cień lęku.

- Aha.

Powiedz coś inteligentnego, na litość boską. Coś, co ma więcej niż jedną sylabę. Przełknął ślinę i wskazał na krzesło.

- Usiądź, proszę. Napijesz się czegoś? Może kawy? A może wody mineralnej?

Charles w wełnianej, zbyt obszernej kamizelce wyglądał staro. Pokręcił głową.

- Nie, dziękuję. - Usiadł na sofie i oparł łaskę o oparcie. - Chciałem poczekać do rana, ale twoja siostra mówiła, że wyjeżdżasz do Belfastu.

- Zrezygnowałem z wyjazdu. - Milczał chwilę. - Zostaję w Teksasie. Na stałe.

Chociaż Ted dostrzegł zaskoczenie w oczach Charlesa, nie wiedział, czy ta wiadomość go ucieszyła, czy nie.

- Opowiedziała mi też o twojej wizycie na strychu.

Ted poczuł gwałtowny przypływ złości.

- Nie powinna była tego robić.

- Nie gniewaj się na nią. To moja wina. Rozzłościłem ją. Wyrwało się jej, zanim zorientowała się, co mówi. Pod tym względem jest taka sama jak ty. Najpierw powie, a potem myśli.

Ted uśmiechnął się lekko.

- Zawsze byłeś surowym sędzią ludzkich słabości.

- To prawda. - Przerwał na chwilę. - Jeśli chodzi o łańcuszek twojej matki...

- Zaraz ci przyniosę.

Ted wrócił szybko i podał Charlesowi łańcuszek. Widząc udrękę na twarzy ojca, gdy głaskał palcami zapięcie, Ted poczuł, że ściska mu się gardło.

- To Malcolm - szepnął Charles. - Mój brat.

- Wiem. Przykro mi, że wyciągnąłem błędne wnioski.

- A jakie mogłeś wyciągnąć? Dowody były ewidentne. Nawet Sandra uwierzyła.

- Nie uwierzyłaby, gdybym się tak bardzo nie upierał, że to ty jesteś mordercą.

- Zgodziłeś się nie zawiadamić policji.

- To nie była łatwa decyzja. Byłem rozdarty. Ale nie mogłem się na to zdobyć.

- I chciałeś wrócić do Anglii, pozostawiając mnie nieświadomym tego, co dla mnie zrobiłeś? Dlaczego? Bałeś się, że nie okażę ci wdzięczności?

On wciąż nie rozumie. Stara się, ale wciąż nie rozumie.

- Nigdy mi nie zależało na wdzięczności. - Gdy Charles nie odpowiadał, zapytał: - A tobie, tato? Na czym tobie zależy? Czego chcesz?

Przez chwilę Charles wpatrywał się w rzeźbę Jacka Bryanta stojącą na stoliku.

- Już za późno na pragnienia.

- Nieprawda. Nie przyszedłbyś tu dzisiaj, gdybyś uważał, że dla nas już jest za późno. Przyszedłeś, bo wiesz, że jest jeszcze nadzieja.

- Tyle się wydarzyło...

- Wszystko można jeszcze zmienić, zapomnieć.

- Tak po prostu?

Ted odchylił się w fotelu i założył nogę na nogę.

- A co? To zbyt impulsywne dla ciebie?

W zmęczonych niebieskich oczach ojca zobaczył coś, czego nie widział od wielu lat.

- Coś w tym rodzaju.

- Więc możemy spróbować zrobić to stopniowo. Zobaczymy jak nam pójdzie.

Charles zamyślił się.

- Dobrze.

Ted wiedział, że na tym etapie nie uzyska od ojca nic więcej. Dla Charlesa to i tak było bardzo dużo. I na razie wystarczy.

- Zamierzam wydać album - powiedział zdawkowo. - Chcę do zatytułować Oblicza Teksasu. Może mi pomożesz?

- Ja?

- Tak. Kto lepiej od ciebie zna Teksas i bardziej go kocha? Potrafi opowiadać o nim z większą pasją? I z większą dumą?

Charles wyglądał na zdziwionego.

- Ale co miałbym robić?

Ted wzruszył ramionami.

- Powiesz mi, jakie miejsca warto sfotografować i dlaczego. Opowiesz o zmianach, jakie tu zaszły w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Coś w tym duchu.

Charles powoli pokiwał głową.

- Jasne. To mogę zrobić.

- Więc dobrze. Zadzwoń do ciebie.

Charles wziął laskę i wstał. Ted też się podniósł. Wyszli razem, milcząc.

Kiedy podeszli do starego bentleya, którym Charles ostatnio razdko jeździł, ojciec zatrzymał się.

- Dzięki, synu - powiedział głosem ochrypłym ze wzruszenia. - Dzięki tobie ta wizyta była dla mnie dużo łatwiejsza, niż się spodziewałem.

Synu. Ile czasu minęło, odkąd Ted ostatni raz słyszał to słowo.

- Nie ma za co.

A potem stało się coś niezwykłego. Charles otworzył ramiona. Ted poczuł, jak oczy napełniają mu się łzami. Pozwolił, by ojciec go objął. Dławiło go wzruszenie. Jedna po drugiej znikwały nagromadzone przez lata urazy. Otoczył ramionami chore ciało ojca.

- Witaj w domu, synu. - szepnął Charles.

- Dobrze jest wrócić, tato.

- Nie spałaś całą noc - zauważył Ted.

Stali z Laurą na ganku i patrzyli na wschód słońca nad wzgórzami. Obejmował ją w talii. Na skórze czuł promienie porannego słońca, ale prawdziwe ciepło płynęło gdzieś z jego wnętrza, z poczucia, że jest blisko niej, że ją kocha, a ona kocha jego.

Laura westchnęła.

- Wciąż myślę o mamie.

- Martwisz się, że wyjeżdża?

- Nie. - Oparła się plecami o jego piersi. - Martwię się tylko, czy ten jej tak zwany stary przyjaciel nie zechce jej wykorzystać. Może zatrudnia ją tylko po to, żeby przyciągnąć publiczność. Dzięki niej klub będzie pełen ciekawskich przez wiele tygodni, może nawet miesięcy.

- I co w tym złego? Shirley lubi być w centrum uwagi.

- Nic. Ale co będzie później, jak przestanie być obiektem zainteresowania?

Ted przytulił ją mocniej.

- Nie wiem, kochanie. Wiem tylko, że gdybyś próbowała ją powstrzymać, i tak by nie posłuchała. Może nawet obraziłaby się na ciebie.

- Wiem i dlatego nie zamierzam nic mówić. - Zaśmiała się. - To zabawne, ale tak naprawdę nic się nie zmienia, prawda? Nawet jeśli człowiekowi wydaje się, że jest inaczej.

- Co masz na myśli?

- Byłam pewna, że moja matka rozpocznie nowe życie, że w końcu jest gotowa się ustatkować, być z rodziną. Ale ona wciąż jest tą samą Shirley - beztroską, czarującą i wylewną. I niestałą.

- Ale wiesz, że bardzo cię kocha, prawda?

- Ale bardziej kocha światła reflektorów. Teraz, kiedy wreszcie to zrozumiałam, jestem w stanie to zaakceptować. Bez żalu.

Pocałował ją w czubek głowy.

- A ty, Sherlocku? Masz jakieś plany na przyszłość? Może wybierasz się na zasłużony odpoczynek? Nadal chcesz pojechać na Hawaje?

Roześmiała się.

- Ostatnio nie miałam zbyt wiele czasu, żeby myśleć o podróżach.

- Może teraz o tym pomyślisz?

- Hmm... - Przechyliła głowę na bok. - A pojedziesz ze mną?

Pieścił jej ucho.

- Zdaje się, że pan młody towarzyszy panie młodej podczas miodowego miesiąca?

Odwróciła się. Oczy miała szeroko otwarte, a usta rozchyliła ze zdziwienia.

- Powiedziałeś: miodowy miesiąc? Masz na myśli... małżeństwo?

- Co się stało? Boisz się tego słowa?

- Nie. Myślałam... Myślałam, że to ty się go boisz. Myślałam, że jesteś przeciwny małżeństwu.

W jego oczach czaiło się rozbawienie.

- Kiedyś byłem. Ale zmieniłem zdanie. Nie tylko kobiety mają do tego prawo.

- Ale... - Powoli i ostrożnie zaczerpnęła powietrza. - Jesteś pewny, że dobrze się zastanowiłeś? Może po prostu jest ci mnie żal, bo moja matka wyjeżdża. Albo myślisz, że powinienes, skoro już postanowiłeś zostać. Jeżeli to jest powód...

- Na litość boską, kobieto! Zawsze tyle mówisz, kiedy mężczyzna ci się oświadcza?

Przełknęła ślinę.

- Nie. Tylko wtedy, gdy w grę wchodzi właściwy facet.

- To znaczy „tak”?

- Pod warunkiem, że jesteś pewien...

- Jestem pewien. - Oparł czoło o jej czoło. - Nigdy w życiu niczego nie byłem tak pewien. Nie, nie zdecydowałem się dlatego, że jest mi ciebie żal. Ani nie dlatego, że zostaję. Chcę się z tobą ożenić, bo cię uwielbiam. Bo nie mogę żyć bez ciebie i każdej nocy chcę zasypiać z tobą w ramionach. I budzić się obok ciebie. Przerwij, kiedy uznasz, że już dość usłyszałaś.

- Och, Ted. - Śmiejąc się przez łzy, zarzuciła mu ręce na szyję. - Kocham cię.

- Ale wciąż nie odpowiedziałaś na pytanie.

- Tak, wyjdę za ciebie. Tak! Tak! Tak!

Powiedziałaby jeszcze raz „tak”, ale jej na to nie pozwolił. Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował.